This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

Druk sprzedany z wydatku krajowej

D. 8320

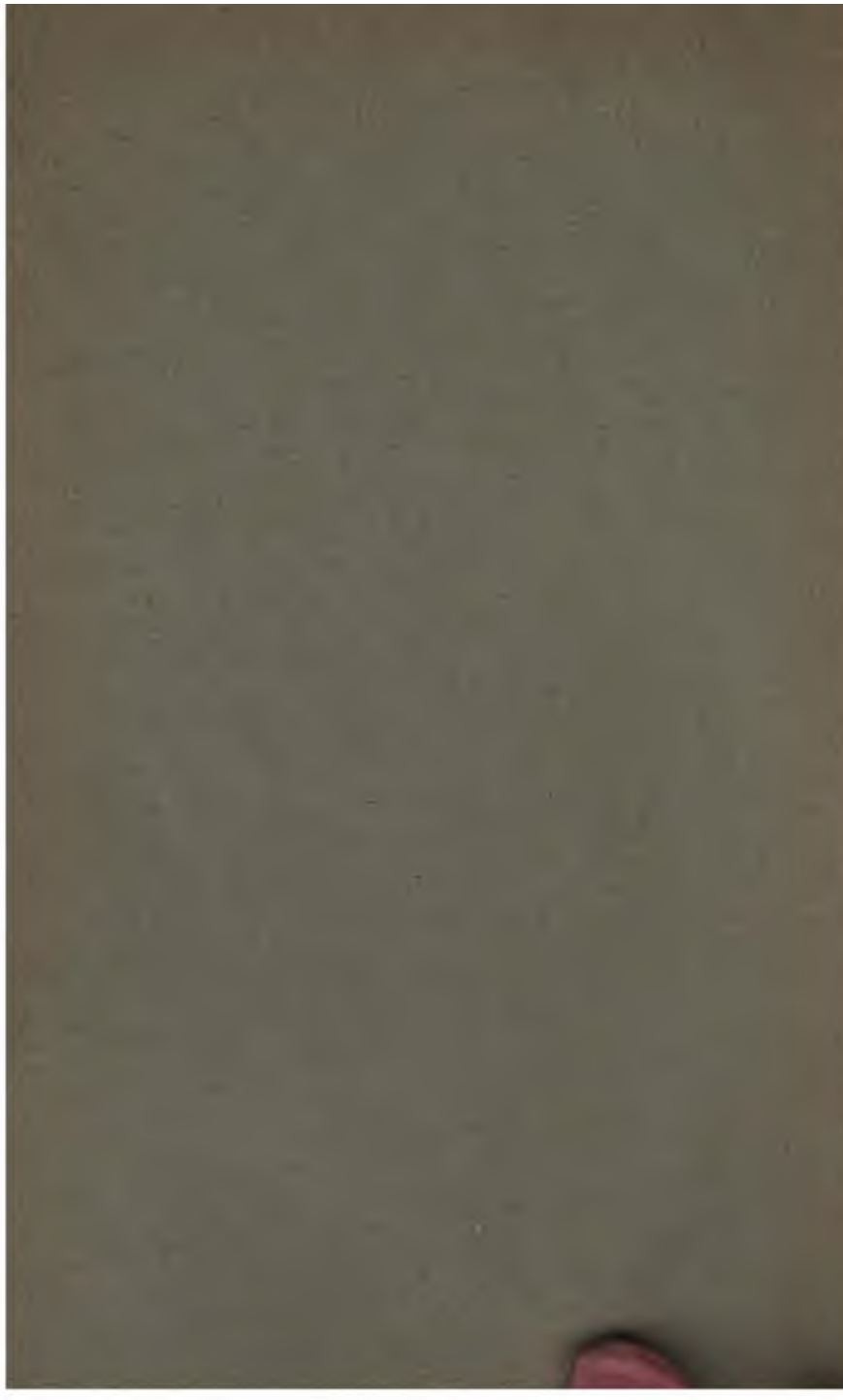

MESYANIŚCI I SŁOWIANOFILE.

M. ZDZIECHOWSKI

MESYANIŚCI I SŁOWIANOFILE

SZKICE Z PSYCHOLOGII
NARODÓW SŁOWIAŃSKICH

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1888

Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem J. Gadowskiego.

PRZEDMOWA.

Rasa i otoczenie — te dwa czynniki, składając się na wytworzenie indywidualności autora, rozwijają i potęgują pewne rysy jego istoty duchowej *(qualité maîtresse)*, które, nadając kierunek całej jego twórczej działalności, stanowią klucz do wyjaśnienia jego życia i dzieł. Wynalezienie owych rysów, umiejętne ich odcieniowanie, wreszcie wykazanie związku ich z rasą, do której należał, i z otoczeniem, wśród którego wyrósł, wychował się i żył autor, powinny stanowić główne zadanie krytyków psychologów. Zasadę tę pierwszy uformułował Taine i ze świetnym skutkiem zastosował ją do badań literatury i sztuki we Francyi, w Anglii, we Włoszech i w Holandyi. Brandes znów pominął, niestety, w „Prądach literatury XIX wieku“ zalecaną przez wielkiego mistrza krytyki francuskiej psychologią narodów, ale natomiast z wielkim talentem użył metody porównawczej, którą cokolwiek za mało uwzględnił Taine.

Otóż połączyć Taine'a z Brandesem, — stanąć na Taine'owskiem stanowisku psychologii jednostek i szczepów i zajrzeć w głąb duszy autora oraz narodu, który go wydał,

a następnie, idąc w ślad za Brandesem, ogarnąć okiem pokrewne objawy wśród innych narodów i plemion — oto, zdaniem mojem, ideał krytyki.

Do ideału tego staramy się dążyć w miarę sił naszych.

Przedmiot pracy niniejszej stanowią prądy patryotyczno-mistyczne u nas i w Słowiańszczyźnie — w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Kierunek ten, znany pod nazwą mesyanizmu u nas, a słowianofilstwa w Rosyi, obfite daje pole do spostrzeżeń porównawczo psychologicznych, stanowi bowiem charakterystyczną właściwość plemienia naszego. Polega on na tem, że rozpowszechniony w Europie od czasu wojen Napoleona I-go ruch narodowościowy przejawił się pośród narodów słowiańskich w formie mistycznej wiary w opatrznościowe ich posłannictwo, — w przyszłe moralne, a na chrześciańskim gruncie oparte odrodzenie zmateryalizowanej i zbutwiałej Europy, dzięki życiodawczemu pierwiastkowi uczucia, który tylko Słowianie umieli w sobie przechować w pierwotnej czystości i który przeto wprowadzić mają do dziejów świata. Tę szatę mistyczną przybrały dążenia narodowe w epoce współczesnej u nas i u naszych pobratymców tylko, — niegdyś zaś u Żydów.

Studyum moje jest pierwszą pracą porównawczą w zakresie nowożytnych literatur słowiańskich. Wstąpiłem na niwę dotąd dziewiczą, z tego powodu nie mogłem jej odrazu całkowicie obrobić, — przechodziło to siły moje. Nie dotknąłem wcale mistycznych majaczeń Słowaków i Czechów o wszechsłowiańskiej jedności, a co ważniejsza, pozostawiłem na uboczu naszę bogatą, oryginalną a mesyanicznemi dążnościami zabarwioną filozofią, której nikt dotąd wszechstronnej nie poddał analizie, wówczas gdy o mistrzach

poezyi naszej posiadamy wyczerpujące prace Chmielowskiego, Klaczki, Małeckiego, Nerynga, Tarnowskiego, Spasowicza i Tretiaka. Zamiast obrazu jednolitego a wyczerpującego, daję tylko szereg powiązanych jednością myśli szkiców, w których poruszam pewną tylko ilość faktów i główne osoby. Do charakterystyki wieszczów naszych, szczegółów nowych nie dodaję, opieram ją na źródłach znanych, ale nowem jest stanowisko autora.

Pragnąłbym gorąco, aby książka ta znalazła odgłos nietylko u nas, ale i u braci Słowian, aby zachęciła ich do pilniejszego zajęcia się ojczyzną naszą, którą, niestety, tak mało znają, a bodaj że i znać nie chcą.

Nadmienię, że do badań literatur słowiańskich w kierunku porównawczym, zachęcił mię pan Paweł Wiskowatow, profesor literatury rosyjskiej w uniwersytecie dorpackim. Jemu też dedykowałem pracę niniejszą, która wyszła w przekładzie rosyjskim pierwiej, nim mogła ujrzeć światło dzienne w szacie polskiej.

ADAM MICKIEWICZ

1823—1841.

W roku 1823 wyszedł z druku drugi tomik poezyj Mickiewicza zawierający Grażynę i Dziady (II i IV część), sąsiedztwo godne uwagi ze względu na nieskończoną różnicę tych dwóch utworów. Epiczny, iście homerowski spokój Grażyny obok szału uczucia, które, jak potok rozhukany, a granic swych przyrodzonych nieznający, porywało i zapełniało duszę wielkiego wieszcza w Dziadach! Okoliczność ta tak wybitnie, zdaniem mojem, charakteryzuje umysł i usposobienie mistrza Adama, iż wymaga dłuższego i głębszego zastanowienia. W lecie 1819 r. Mickiewicz poznał i pokochał całą siłą duszy młodej a niezajętej żadnem innem uczuciem i niezmąconej brudem uciech zmysłowych pannę Maryą Wereszczakównę. Była już wprawdzie przyrzeczoną innemu, również pod względem rodu i majątku stała na wyższym szczeblu społecznym niźli poeta nasz, nadziei przeto nie mógł żywić żadnej, a jednak gorącość duszy jego podziałała na dziewczynę, z natury usposobioną do marzeń, odpłacała mu poniekąd wzajemnością, ztąd też poeta nie przestawał w głębi duszy łudzić się, że pragnienia jego urzeczywistnią się. Nie poddał się nawet rozpaczy, wówczas, gdy (pod koniec 1820 r.) po rozmowie poufnej z narzeczonym Maryli dobrowolnie i na zawsze od niej się usunął: wtedyto bowiem napisał poświęconą Maryli balladę „To

lubię", treść której stanowiły wzajemne stosunki kochanków przedstawione w sposób humorystyczno wesoły. Dopiero w lutym 1821 r. na wieść o ślubie Maryli pochłonęła go boleść wielka, przechorował ją poeta ciężko, myślał nawet o samobójstwie; tak iż przyjaciele chcąc ulżyć rozrywką jego rozpaczy, postarali się dlań o urlop roczny i, wyrwany z samotności kowieńskiej, Mickiewicz spędził w Wilnie szkolny rok 1821/22.

Miłość nieszczęśliwa powiązała mu się z myślą o samobójstwie jako jedynem wyjściu z nieszczęścia i wywołała w duszy wieszcza obrazy wracających z tamtego świata samobójców, oraz ich pośmiertnych z kochanką stosunków. Owocem myśli tych był przedewszystkiem „Upiór" potem dopiero „Dziady".

„Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły,
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata.
Cóżto za człowiek? Umarły".

Otóż nieboszczyk ten co roku w dzień zaduszny odwala mogiłę i błąka się „aż do niedzieli czwartej" po świecie, szukając tej, którą kochał za życia, po upływie zaś terminu wraca do grobu „opadły na sile z piersią skrwawioną, jakby dziś rozdartą". Skarg jego podsłuchał pewien stary zakrystyan, zawierają się one w następującym czterowierszu:

„O sprawiedliwy lecz straszny wyroku!
Ujrzeć ją znowu, poznać się, rozłączyć,
I to, com cierpiał, to cierpieć co roku,
I jakem skończył — zakończyć!

A zatem, jako karę za błąd, musi każdego roku powracać na ziemię, tam powtarzają mu się katusze dawnej miłości, kończące się samobójstwem.

Upiora pisał Mickiewicz w chwili największej rozpaczy miłośnej, bo w pierwszej połowie 1821 roku. Widocznie lubował się bardzo tą myślą, jeśli rozwijał ją nadal, aż rozszerzył wkrótce do zakresu, „Dziadów". Uroczystość ta gminna, polegająca na wyzywaniu dusz czyscowych i uśmierzaniu mąk ich za pomocą pokarmów i napojów, mająca zaś miejsce na cmentarzach, w nocy i w Dzień Zaduszny, uderzała od dzieciństwa wyobraźnię poety, w danym zaś wypadku wyśmienicie dawała się zastosować do utworu o szerszych rozmiarach, a mającego przedstawić cierpienia młodzieńca, który życie sobie odebrał wskutek zawiedzionej miłości. Dzieła swego wieszcz nie dokończył. W 1823 roku wydał tylko II i IV część: z pierwszej pozostały fragmenta, właściwej trzeciej nie pisał wcale, chociaż nazwą tą ochrzcił część, której wypadałoby nosić miano drugiej, napisał ją bowiem poeta później znacznie, natchniony wypadkami 1830–31 roku, — w pierwszym więc planie Dziadów nie mógł jej mieć na myśli. Otóż część druga, jak słusznie twierdzi Tretiak, autor znakomitej pracy: „Mickiewicz w Wilnie i Kownie", odgrywa znaczenie tylko dekoracyjne, jest rodzajem wstępu do dzieła: bohater nie występuje tu wcale, a wystawiony wyłącznie sam obrząd święta Dziadów, jak go lud nasz pojmuje i dokonywa. Część ta obchodzi nas jedynie ze względu na myśl o odpowiedzialności pośmiertnej za życie doczesne, którą tu autor przeprowadza. Na wzywanie guślarza, spełniającego obrząd wraz z tłumem wieśniaków na cmentarzu, zjawiają się zrazu dusze dwojga dziatek-aniołków, proszących o parę ziarnek gorczycy, bo:

„...słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie".

Następnie zstępuje z piekieł duch pana okrutnego,

który znęcał się za życia nad poddanymi, po śmierci zaś, dręczony za to przez kruki, sowy i widma jakieś nocne, ogłasza następujący wyrok niebios:

„Sprawiedliwe zrządzenie Boże,
Bo kto nie był ni razu człowiekiem
Temu człowiek nic nie pomoże".

Nareszcie duch pasterki cierpiącej męki czyscowe za karę, że, żyjąc na świecie, nie żyła dla świata i, choć piękna i kochana, gardziła miłością, nie umiejąc spocząć na jednem uczuciu; mówi ona co następuje:

„Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu,
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

Wyrażona w tych słowach chrześciańska idea ścisłej łączności pomiędzy ziemskiem a zagrobowem życiem ważną jest z tego powodu, że poeta przeprowadza ją również i w części IV, stanowiącej najzupełniejszy wyraz uczuć miłośnych, które w tej epoce pochłaniały duszę jego. Miłość natchnęła najwspanialsze dzieła sztuki, słuszne przeto zajęcie wzbudzać w nas powinien utwór, w którym największy z poetów polskich wylał gorące i długotrwałe uczucie swoje ku Maryli. Przeczytawszy jednak, doznamy niechybnie rozczarowania, nie znalazłszy w poemacie tych uciech estetycznych, których mogliśmy się spodziewać. Dlaczego? Aby się przejąć do głębi dziełem mistrza, trzeba umieć dostroić się do wysokości jego uczucia, które nie zawsze i nie każdemu bywa dostępnem; ztąd też zarzut wieszczowi uczynić można, że polotu swego nie umiał obniżyć, że przeto stał się zrozumiałym ledwo dla szczupłego grona wybranych, wówczas gdy sztuka powinna być dostępną kołom jak najszerszym. Aby stworzyć dzieło artystyczne, trzeba być panem swych uczuć; równowaga ducha o tyle jest niezbędną, że

w przeciwnym razie uczucie, zapanowawszy samowładnie w duszy poety, pozbawia go zmysłu miary estetycznej, fantazyi zaś odejmuje skrzydła. Najwięksi poeci miłości tworzyli dzieła swe w chwilach, w których uczucie utraciło już siłę pierwotną i, mogąc przeto zapanować nad pomysłem, śmiało czerpali w skarbnicy fantazyi. Najpiękniej u nas pisał o miłości Słowacki, tymczasem nie kochał się nigdy w bohaterce, którą tak cudownie ubrał w kwiaty swojej płomiennej fantazyi, w chwili zaś, gdy tworzył, wspomnienie o odbytej z nią wycieczce po górach i jeziorach Szwajcaryi było dlań tylko pełnem uroku marzeniem, ubarwiającem powszednią prozę życia. To samo mniej więcej zastosować można do Petrarki, Lamartina, Rückerta, Heinego i tylu innych, których lira erotyczna wiecznie nas zachwycać będzie. Ale w jakże odmiennym stanie znajdował się Mickiewicz, gdy pisał „Dziady;“ bolał wówczas i szalał z boleści. Nareszcie uczucie wybuchnęło na zewnątrz wspaniałym, lecz niszczącym płomieniem, wyszło ztąd dzieło niedoścignionego pełne natchnienia, pełne uczucia posuniętego prawie do ekstazy, lecz z tego właśnie powodu nieodpowiadające wymaganiom harmonii artystycznej: aby się niem przejąć należycie, trzeba chyba samemu być w stanie zrozpaczenia po zawiedzionej miłości, inaczej albo się znużymy, starając się przejąć potęgą uczucia i natchnienia poety, albo utwór zbyt słabo odczujemy — i pozostanie niezadowolenie, że zabrakło skrzydeł, by iść w ślady za mistrzem poezyi polskiej.

Z powodu okoliczności powyższych w części tej panuje nieład — w gruncie rzeczy pozorny tylko, a jednak znacznie utrudzający streszczenie, myśl tu nie płynie ciągiem jednym i całość przedstawia się jako zbiór przejmujących boleścią i rozpaczą wynurzeń niepowiązanych jednością planu, lecz będących wynikiem przypadkowych skojarzeń. Bohater poematu Gustaw zjawia się wieczorem w plebanii,

w dziwacznym stroju, przypominającym pustelnika, i z wyrazem obłąkania na twarzy; w obecności księdza starego i dwojga dzieci puszcza wodze rozpaczy, i podniecony do nieprzytomności, wygłasza moc wielką bezładnych utyskiwań, które kończy samobójstwem: na zapytanie księdza, kim on jest, odpowiada, że trupem — pustelnikiem, że umarły dla świata; zaproszony do ogrzania się przy kominku, wskazuje na pierś swą i śpiewa, że tam we wnętrzu taki żar płonie, że stopiłby kruszce i głazy, że wobec niego niczem jest ogień kominka. Z urwanych skarg i westchnień jego domyśla się ksiądz, iż uczucie nieszczęśliwe jest przyczyną obłąkania, lecz na zapytanie staruszka, jak dawno płacze po swej stracie, zamiast odpowiedzi wyrusza na podwórze i powraca, ciągnąc za sobą gałąź jedliny, przedstawia ją jako towarzysza niedoli, który opowie dzieje smutnej miłości, gdyż zdaje mu się w chwili tej, że gałąź owa jest właśnie listkiem cyprysu, który otrzymał od kochanki na wieczną pamiątkę przy pożegnaniu. Pod wpływem wspomnienia zawsze świeżego w pamięci w ślicznych opowiada wyrazach o chwili rozstania, opowiadanie to, odnawiając rany niezagojone, rzuca go w nowy szał rozpaczy i Gustaw śpiewa wtedy śliczną pieśń Szyllera z trylogii „Wallenstein:“

„Pocałunek jej, ach, nektar boski!
Jako płomień chwyta się z płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,
Harmonijnem ożenione brzmieniem“.

„Księże, — zwraca się do starca, — o nie! Ty tego nie czujesz obrazu! Ty cukrowych ust lubej nie tknąłeś ni razu!“

Rozpalony odgłosem pogrzebionych, niestety, rozkoszy, nuci znów zwrotkę o pocałunku i porywa dziecię, chcąc je uścisnąć; dziecię ucieka, ucieczka ta znów go przenosi z chwilowego szału w rozpamiętywania dziejów uczucia — bolesne, a gorączkowe i urwane: „I czegoż ona przede mną uciekła?

Czyliż ją śmiałem przerazić wejrzeniem? Czyli słówkiem lub skinieniem?“ Ksiądz, chcąc go pocieszyć, opowiada, że rozumie jego boleść, gdyż i on kiedyś miał żonę, którą kochał, a którą stracił. Lecz dziwnie brzmi na to odpowiedź pustelnika:

„Słuchaj, przyjmij pociechę, małżonku strapiony,
Żona twoja przed śmiercią już była umarłą“.

Gdyż dwa są rodzaje śmierci — jedna śmierć jest pospolita, tą umierają wszyscy prawie ludzie i wyobraźnia kochanka nastrojona na smutną nutę roztacza obraz skonu młodej dziewczyny kochanej i zaręczonej.

Ale jest straszniejsza druga,
Bo nie umarza od razu,
Powolna, bolesna, długa.
Śmierć ta dwie społem osoby ugodzi,
Lecz moje tylko zabija nadzieje,
Drugiej bynajmniej nie szkodzi.

Śmierć taka jest udziałem kochanka, gdy lubą jego oddają obcemu. W podobny sposób rzecz się ciągnie dalej: znajdujemy piękne choć bolesne narzekania, że miłość zrobiła go komarem, że duch jego nie zapala się więcej przy rymie wieszczym, że czyny wielkie nie budzą w nim zapału, bo jedna tylko jest iskra w duszy, zapala się ona raz tylko w wieku młodocianym, „czasem roznieca ją ogień Minerwy“, czasem duma i chęć wyniesienia się, lecz w nim iskrę tę zapaliło „oko niebianki“, ztąd iskra ta „trawi się w sobie, świeci sama sobie, jako lampa w rzymskim grobie“, przygasło zaś dążenie do sławy i do wielkości. Inny ustęp świadczy o przedziwnej czystości uczuć poety: rysy kochanki przeniósł na obrazek.

„Ach, ja tak ją na martwym ubóstwiam obrazku,
Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek,
I gdy dobranoc daję przy księżyca blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię!“

Wiecznie obecny w sercu jego obraz kochanki broni przystępu myślom brudnym. Następnie Gustaw i ksiądz poznają się wzajemnie, staruszek był niegdyś nauczycielem jego, przytomność wraca Gustawowi, wspomina swe lata dziecięce, gdy unosiły go czyny Godfryda i Jana III, i z większem panowaniem nad sobą, choć z niemniejszą boleścią, opowiada jak po latach niebytności zwiedził te miejsca, w których oddychał niegdyś miłością, powoli jednak daje folgę boleści, aż wreszcie z piersi jego wyrywa się skarga, stanowiąca punkt kulminacyjny utworu, a słusznie przez Tretiaka nazwana najpiękniejszą symfonią uczuć. Rzecz się zaczyna od żalu cichego, że Bóg ich urządził ku wspólnemu życiu, że łączyła ich dziwna odpowiedność charakterów, tymczasem węzły, jakby przez Boga samego osnute, rozstrzygła o n a; myśl ta, wtrącając go w uniesienie namiętne, dyktuje mu przekleństwa przeciwko niej i wogóle przeciwko kobietom: „Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!“ Jakaż przepaść między nim, a nią! Ją blask złota oślepił, jemu zaś, gdyby ukazała się kobieta „piękniejsza niźli poetów zmyślenia, niźli ty nawet“, gdyby za chwilkę z nią spędzoną obiecywała „wszystkie złoto Tagu“, nawet królestwo w niebie „oddałbym ją za ciebie — za słodycz twego jednego spojrzenia“. Pozostaje mu ukarać zwodnicę; ze sztyletem w ręku, a wściekłością w duszy śpieszy, by zemsty dokonać, lecz „o nie, nie — nie! żeby ją zabić, trzeba być pierwszym z szatanów“. I rzuca sztylet. „Niech ją własna pamięć goni“. Pójdzie tylko na ucztę godową, nie powie jej nic, ale „cisnę okiem jadowitej żmii, wgryzę się jak piekielny dym pod jej powieki i w głowie utkwię na wieki. Będę jej myśli czyste przez cały dzień brudził, i w nocy ją ze snu budził“. Lecz zamiar kalania Maryli kojarzy się w tej chwili z obrazem kochanki, promieniejącej blaskiem czystości i poezyi, a tak czułej na każde wzruszenie, na każdy wyraz przyostry,

tak umiała ona lotem promyka przenikać w serce jego i zgadywać najtajniejsze uczucia. Roztkliwiony poeta wyrzuty, które zwracał ku kochance, zwraca ku sobie samemu: wszak nie obiecała ona jemu nigdy nic, sam „urojone żywił mamidła“, ale teraz poprzestałby na względach maleńkich, gdyby mógł być z nią jak brat z siostrzyczką, codziennie ją widywać, siadać z nią u stołu, ale nadaremne, nawet skromne takie żądania — i jakaś rzewna i tęskna żałość przenika go coraz silniej, skarży się na serce kamienne ludzi, którzy nie pojmą nigdy mąk jego samotności, boleje, że ta, którą kochał, nie westchnie nawet nad nim, nie przypnie wstążki czarnej do sukienki na pamiątkę mąk jego. Tu już roztkliwienie dochodzi granic ostatnich. Narzekania płaczliwe nie pochłoną wulkanicznej natury Gustawa i na mocy prawa kontrastu odzywa się w duszy jego głos niezamarłej jeszcze potęgi uczucia:

„Stój, stój żałośne pisklę! precz wrzasku niewieści!
Będęż jak dziecko szczęścia, umierając szlochał!
Wszystko mi, wszystko niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!
Żywy, o nic przed nikim nie umiałem żebrać,
Żebrać litości nie będę umarły!

I tu następują luźne, urwane okrzyki i westchnienia, to determinacyi, to cofania się i strachu, to znów wściekłości, wreszcie ogarnia Gustawa obłęd i bohater nasz przebija się.

Psycholog nie znajdzie nic do zarzucenia całej tej części, jest to jęk serca zranionego miłością nieszczęśliwą: jakim wyrwał się z piersi poety, takim go rzucił na papier, rozpaczliwy, gorączkowy, obłąkania bliski. Płomienność uczucia wzbudza sympatyą i uwielbienie dla wieszcza, który tak głęboko i silnie kochać umiał, ale też nadweręża harmonią, jest błędem estetycznym. Porównałbym w tym wypadku Mickiewicza z Leopardim. U obydwóch bowiem uderza przede-

wszystkiem jeden wspólny rys, — jest nim boleść bezbrzeżna, przenikająca całą ich istotę, bezwzględnie panująca w ich duszy, niedopuszczająca innych myśli lub uczuć, lecz z powodu różnicy temperamentów boleść ta przechodzi u Leopardiego w wyrozumowany, ściśle konsekwentny pesymizm, beznadziejny, lecz z pozorem marmurowego spokoju, — w wulkanicznej zaś naturze Mickiewicza przejawia się w formie rozpaczy pełnych miotań, jęków i skarg, ale rzecz dziwna, wyjątkowa, a zasługująca na głębokie zastanowienie — gorączka ta pomimo całej siły nie zamąca głęboko zakorzenionych w sercu poety zasad, tak iż, prędzej czy później, ustąpić musi przed pełnym równowagi spokojem ducha; w całym poemacie wrzące i płomienne uczucie idzie w parze z iście filozoficznym i wyrozumiałym poglądem na świat. Choć rozpacz wyrywa mu z serca kiedyniekiedy przekleństwa i złorzeczenia, jednak, gdy po przeczytaniu utworu obejmiemy myślą całość, to nie omieszka uderzyć nas ta okoliczność, że zrozpaczony wieszcz nie wini i nie przeklina, ani kochanki, ani tego, kto mu ją odebrał, ani świata i ludzi, ani wreszcie Boga. Następujący ustęp najlepiej rzecz tę wytłómaczy:

Oto pewny robaczek maleńki,
Który pełzał tuż przy głowie,
Świętojański to robaczek,
Ach, jakie ludzkie stworzenie!
Przypełznął do mnie i powie:
(Zapewne mię chciał pocieszyć)
Biedny człowieku, poco to jęczenie?
Ej, dosyć rozpaczą grzeszyć!
Kto temu winien, że piękna dziewczyna,
Żeś czuły? Nie twoja wina!
Patrz, mówił dalej robaczek,
Na iskrę, co ze mnie strzela,
I cały objaśnia krzaczek:
Zrazu szukałem z niej chluby
Teraz widzę, że będzie przyczyną mej zguby

I zwabi nieprzyjaciela.
Iluż to braci moich złe jaszczurki spasły!
Klątem więc ozdobę własną,
Która na mnie śmierć sprowadza;
Chcę, żeby te iskry zgasły:
Ale cóż robić? nie moja w tem władza
I póki żyję, te iskry nie zgasną...
Tak, póki żyję, te iskry nie zgasną!

Winę więc uczuć, które pożerają go i czynią nieszczęśliwym, przypisuje iskrom żarzącym się mu w sercu. Iskry te nie gasną nigdy, a, wybuchając płomieniem potężnym, powodują ową trawiącą siłę namiętności, której pokonać nie umie. Wina więc jednem słowem w nim samym, w wulkanicznej jego, rwącej się, polotu pełnej naturze. Z myślą tą są w związku narzekania jego na naukę i książki, które w trzech powtarza miejscach, a z takim naciskiem, że, wbrew zdaniu Tretiaka, przypuściłbym, iż poeta z całą świadomością rzeczy chciał przeprowadzić w tej części „Dziadów“ myśl o niebezpieczeństwie nauki, która wyobraźnię pchnie w górne loty, z planety czyni i piekło i raj, napełnia duszę żądzą ideału nieukojoną niczem; — podobnież otworzyła i jego wyobraźni obszary nowe, tak, iż wzgardził nudnym obrotem rzeczy ziemskich, dążył wyżej coraz i wyżej, szukał niebieskiej kochanki — ztąd cierpień jego i łez pasmo. Ale nie bierze ztąd pochopu do potępienia nauki, tylko gdy duch jego po powtórzonej scenie samobójstwa ma się przenieść znów w zagrobowe krainy, to przy pożegnaniu z księdzem zaleca mu, aby niósł ulgę „prośbą i mszalną ofiarą“ duszom tych, którzy, jak on, pchnięci myślą poza krańce świata, zawinili przeciwko porządkowi odwiecznemu i pokutują obecnie za błędy. A zatem poeta pomimo całej sympatyi dla bohatera swego, z którym utożsamia siebie, uznaje winę i zsyła nań karę sprawiedliwości Bożej. I ideę tę odpowiedzialności pośmiertnej tak konsekwentnie przeprowadza w Dziadach, że

nawet część czwartą kończy zwrotką tą samą prawie, którąśmy widzieli dwa razy powtórzoną w części drugiej:

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu,
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

To nas utwierdza w przekonaniu, że cała potęga uczucia nie była w stanie poruszyć zasad życiowych, które mistrz nasz był sobie wyrobił. Wobec tego staje się łatwem do pojęcia, że jednocześnie prawie mógł tworzyć Dziady i Grażynę i nie potrzebujemy zatrzymywać się dłużej nad poematem tym, tem bardziej, iż podrzędne zajmuje miejsce w szeregu innych utworów Mickiewicza. Treść jego stanowi bohaterskie poświęcenie się księżny Grażyny, która wobec napaści sił Krzyżaków przebrana w zbroję mężowską broni zamku od wrogów i polega w boju. Szlachetna prostota stylu i klasyczny spokój, z jakim autor rzecz swą rozsnuwa, wprawiały zawsze krytyków w podziw. Tretiak dowodzi z całą słusznością, że wieszcz pracę swą nad Grażyną uważał za przykrą konieczność, pobudką zaś do napisania poematu miała być chęć pozyskania względów starszyzny uniwersyteckiej, Mickiewicz bowiem robił wówczas starania, aby go kosztem wszechnicy wysłano za granicę. Wydane przedtem ballady nie mogły przeciągnąć na jego stronę ogółu profesorów niesympatyzującego z romantyzmem, musiał więc puścić w świat utwór bardziej licujący z wymaganiami ich opartemi na kulcie sztuki starożytnej i francuskiej. Tłómaczenie to, mające za sobą wszelkie pozory słuszności, nie może nas w zupełności zadowolnić, — wszak Göthe pomimo wszechstronności swego gieniuszu nie umiałby w pierwszej lepszej chwili ułożyć poematu natchnionego byronowską boleścią, aniby też Byron zdołał napisać cokolwiek w rodzaju homerowskim; zatem przyczyny, że Mickiewicz jedno

cześnie mógł tworzyć rzeczy tak nieskończenie różne pod względem nastroju ducha, a jednak równem odznaczające się wykończeniem, szukać należy głębiej, a mianowicie w charakterze wieszcza, w tej jego tak rzadkiej właściwości, że po wybuchach uczucia posuniętych do ekstazy, które były potrzebą jego natury, wynikiem wrzących wiecznie w duszy jego uniesień i zachceń, wieszcz umiał powracać do jasnego, niezakłóconego spokoju ducha, do zupełnego panowania nad sobą. Właściwość ta, wywyższająca go wobec wszystkich współczesnych poetów wytłómaczyć da się chyba tylko herkulesową, powiedzmy bez obawy przesady, organizacyą umysłu wieszcza — niezrównaną siłą jego ducha. Gdy wszelkie gwałtowniejsze uniesienia, powodując następujące po nich objawy reakcyi, psują zawsze harmonią ducha, u Mickiewicza tylko umiały iść w parze z dziwną powagą i jasnością, którą dać może jedynie trwałość i pewność przekonań zasadniczych. Jednakże dodać należy, że na wyrobienie owej to trwałości poglądów zasadniczych złożyły się w pewnej mierze okoliczności zewnętrzne. W dzieciństwie poety rozwijano w nim, w młodości zaś sam utrwalić i wzmocnić potrafił w sobie zasady religijne na katolickim oparte gruncie, które, jak pochodnie, przyświecały mu przez życie, broniąc od zapadania w wątpliwość i rozpacz. Wychowany w zapadłym zakątku Litwy, pod opieką księży, w sferach średniej szlachty i małomiasteczkowych urzędników, zapewno prawie nie zasłyszał poeta o modnym podówczas wolteryanizmie, nie mogła więc zaszczepić się w młodocianej duszy jego trucizna wątpienia. W dodatku wypada mieć na uwadze silną jego uczuciowość, którejśmy się przyjrzeli w „Dziadach“, i poetyczną a bujną wyobraźnię. Obie te cechy umysłu spowodowały w nim silny pociąg do mistycyzmu, a zasady religijne tem łatwiejszy znajdowały doń przystęp i tem głębiej i silniej wrażały się w sercu. Wobec tego nie zadziwi nas

ta okoliczność, że pierwszym czynem poety po przyjeździe do Wilna było uklęknąć przed kaplicą Ostrobramską i, stosownie do przyrzeczenia danego matce, prosić Najświętszą Pannę o opiekę. Przypomnienie zaś matki i wrażenie obcego miasta tak go wzruszyły, że się łzami rzewnemi rozpłakał. I owa wszczepiona zamłodu pobożność nie opuszczała i nadal Mickiewicza: takąż samą modlitwą żegnał Ostrą Bramę, gdy w 9 lat później wywożono go wraz z tylu innymi w głąb Rosyi, znacznie zaś później, gdy w 1839 r. starał się w Lozannie o posadę profesora, pisał z tego powodu do żony, aby na intencyą tę odbyła spowiedź. I wiele innych podobnych przykładów dostarcza nam życie wieszcza.

Również korzystnie złożyły się okoliczności zewnętrzne na wyrobienie w duszy wieszcza niezachwianych zasad patryotycznych: jak w rzeczach religijnych, tak też i w sprawach politycznych Nowogródek używał niezakłóconego spokoju; odgłosy wielkich wstrząśnień, przez które społeczeństwo nasze przechodziło wówczas, zaledwie go dolatywały, to też 17-letni Adam przybył do Wilna owiany i przejęty rodzimą atmosferą tradycyj staroszlachetczyzny; tę samę mniej więcej sferę pojęć napotkał i w starej stolicy litewskiej, z tą jednak różnicą, że rozwijała się i występowała wyraźnie reakcya prowadzona w duchu postępowym, ale na rodzimym gruncie osnuta, niezrywająca z przeszłością, dążąca tylko do naprawy złego; na czele ruchu stali znakomitsi z profesorów uniwersytetu, pomiędzy innymi słynny Jędrzej Śniadecki; zawiązali oni byli towarzystwo ochrzczone nazwą humorystyczną szubrawców, organem zaś ich były „Brukowe Wiadomości“, w których karcono z bezwzględną surowością wszystkie ujemne cechy szlachetczyzny — jako to — marnotrawstwo, hulatykę, ucisk chłopów. W tym przeto okresie uniwersytet szedł na czele ruchu postępowego, dając przykład, pociągając za sobą wszystko co było

lepszego i wznioślejszego pośród młodzieży. Nie potrzebował więc ani Mickiewicz, ani inni jego towarzysze, których paliła żądza nauki, prawdy i ideału, szukać rozwiązania zajmujących umysły ich zagadnień, ani w chwytanych na lep zdaniach niedojrzałych kolegów, ani w napotkanych wypadkiem a nieprzetrawionych należycie broszurach, — mieli bowiem światłych, a ufność ku sobie wzbudzających kierowników w osobie profesorów. Obcemi mu były przeto owa chwiejność i owo rozdarcie wewnętrzne, które cechują znaczną część dzisiejszej młodzieży. Mickiewicz znalazł się wkrótce w gronie towarzyszy, pełnych najszlachetniejszych uniesień i dążeń. Najwybitniejszym pomiędzy nimi był Tomasz Zan, natura dziwnie harmonijna; łączył w sobie zapał do nauk i do czynu, najżywszą uczuciowość, jasność i spokój myśli, oraz niepoślednie talenty organizatorskie; w obejściu zaś pełen był serca i ciepła i przez to szczególnie pociągał ku sobie serca młodzieży, która, grupując się koło niego, zgodnie go za moralnego przewodnika uważała. Ogień młodości płonął w ich młodych umysłach, przepełniała je chęć gorąca dopełnienia wielkich rzeczy, nawet dążenia szubrawców nie mogły ich wkrótce zadowolnić, zawiązali więc własne kółko, — przykład dla młodzieży po wieczne czasy — żadne bowiem stowarzyszenie nie odznaczyło się nigdy tak idealną czystością zamiarów. Nauka, cnota, ojczyzna — takie były ich hasła: serca ich przepełniała gorąca wiara w urzeczywistnienie pragnień i nie mniej gorąca chęć samym być czynnikami moralnego odrodzenia społeczeństwa. I ta właśnie wiara i chęć wyrobiły w nich przekonanie, że aby dojść do celu szczytnego, trzeba go być godnym; pod wpływem myśli takich, postanowili już na ławie uniwersyteckiej kształcić się, aby dorość wielkich zadań, które oczekiwały ich w przyszłości, w tym duchu skreślili ustawę obowiązującą członków do pracy i czystości

obyczajów. Wszystkich ożywiał jakiś duch idealistyczny, o czem najwymowniej świadczy poetyczne podanie krążące pomiędzy nimi, że „z oczu i z czoła Tomasza Zana, ilekroć był otoczony swemi kochanemi dziećmi, wychodziły promienie, które przenikały duszę każdego, kto był zdolny do przejęcia się uczuciem cnoty i piękności, a odbijały się w powietrzu lub gasły, ilekroć napotykały zimne i nieczyste serca". Ztąd też zwali się promienistymi. Jednem słowem wzniosły ideał, który Krasiński wskazywał narodowi w „Irydionie" w 1836 r., był już wtedy przeczuty i wypełniony przez szlachetne koło wileńskich filaretów. Owa idealna atmosfera, która otaczała wieszcza naszego w najpiękniejszych latach młodości, podniosła i oskrzydliła mu ducha na zawsze, onato wyrobiła w nim tę miłość i tę wiarę w naród, którą zaznaczyłem wyżej, a która wspólnie ze szczerą religijnością stanowiła podstawę myśli jego i dążeń, a podstawy tej złamać nie zdołały żadne przeciwności losu, bo patryotyzm Mickiewicza nie był tylko instynktem wrodzonym, miał bowiem realne bardzo podstawy; wieszcz nasz znał, żył, kochał i był kochany przez ludzi, którzy dzięki cnotom i podniosłości ducha swego prawdziwie nosili w sobie zadatek odrodzenia ojczyzny. Podniosły nastrój duszy Mickiewicza wyraził się w tak zwanych pieśniach filareckich, najsilniej zaś w nieśmiertelnej „Odzie do młodości". Ile było siły i namiętności w sercach młodzieży wileńskiej przepełnionych nienasyconą żądzą ideału, tyle się jej wylało w ognistych słowach ody. Jestto potęgi pełne wezwanie do sił młodości choć drzemiących ale nieśmiertelnych, które iskra zapału rozniecić może w płomień topiący głazy, kruszce i zatwardziałe serca samolubów. Mickiewicz umiał czuć i kochać za miliony i uczucie to wlał w pieśń swoję, która też rozskrzydli i rozbudzi każdego, w kim tleje choć słaba iskra uczuć podniosłych. Na skrzydłach młodości

wznosi się mistrz ku wysokim krainom ułudy, „kędy zapał tworzy cudy“ i z wyżyn tych spogląda na kulę ziemską, która mu się wydaje obszarem gnuśnym i zaciemnionym mgłą, gdyż pełno w niej istot ludzkich, żyjących życiem chwilowem, co, troszcząc się jedynie o własny dobrobyt, pędzą marnie żywot i przechodzą bez śladu. Młodość tylko dość sił w sobie zawiera, by na łonie swem począć świat nowy i na nowe pchnąć go tory, tylko w sercach młodych miłość zdolna rozniecić się w płomień, tylko w nich zapał rozbudzić może żądzę poświęceń dla dobra ogólnego.

Hej ramię do ramienia! spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej z posad, bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż spleśniałej zbywszy kory,
Zielone przypomnisz lata.

2.

Ale polityka zainaugurowana przez Metternicha dała się czuć i w ziemiach wchodzących w skład cesarstwa rosyjskiego i niewinny związek filaretów popadł wkrótce w podejrzenie, stowarzyszenie rozwiązano, a bardziej wpływowych zpomiędzy przewodników jego zesłano. Podobny, choć lżejszy nieco, los stał się udziałem Mickiewicza i wieszcz spędził 5 lat 1824—29 w Rosyi, przeważnie w Odesie, Moskwie i Petersburgu. Sława poety poprzedzała go wszędzie, wszędzie też serdecznie bywał przyjmowany. W Odesie obracał się przeważnie w kołach bawiącego tam obywatelstwa polskiego z Podola i Ukrainy. W obydwóch zaś stolicach cesarstwa bywał w salonach arystokracyi myśli

i rodu, z wielu zaś słynnymi literatami rosyjskimi zawarł stosunki ściślejszej przyjaźni. Częste rozrywki, obiady, wieczory, gry w karty, nareszcie stosunki miłośne wpłynęły w pewnej mierze na duszę poety i oderwały go od wzniosłej atmosfery, w której przebywał w Wilnie; surowy i ascetyczny Czeczot z głębi Rosyi gorzko mu to wymawiał w liście jednym, na co Mickiewicz odpowiadał, iż miłość ojczyzny tak jest wzniosłem i świętem uczuciem, że niepodobna łączyć z nią szczegółów nieznaczących, że obiady, bale i tańce nie mogą obrazić owej Boskiej kochanki. „Gdybym powrócił — pisał — do Litwy naszej, możebym, jak spuszczona sprężyna, spadł na dawną kwintę i, kiedyby mi nikt zzewnątrz nie dokuczał, tobym sam sobie jaką biedę wynalazł i smucił się, i gryzł znowu. Ja zacząłem być wesół u Ojców Bazylianów, a spokojny i ledwie nie rozumny w Moskwie“. Chociaż nastrój ducha wieszcza obniżył się nieco, talent jego dojrzewał, a świadczą o tem dzieła takiej wagi jak „Sonety Krymskie“ i „Konrad Wallenrod“, ale, że chodzi mi jedynie o charakterystykę wieszcza, pominę je więc milczeniem, a zatrzymam się na utworze mniej może godnym uwagi pod względem artystycznym, ale natomiast doraźne rzucającym światło na umysłowość poety.

Wsłuchajmy się w jednostajny, a rozmarzający plusk fal; zagłębmy się w tęsknotę rozlaną po wrących piaskach pustyń, w odmładzającą świeżość, jaką tchną wierzchołki górskie, zastanówmy się nad najzwyklejszemi obrazami natury nas otaczającemi, nad owemi lazurami nieba, nad tajemniczą mową drzew, nad tym głaszczącym ucho gwarem drobnego światka, zaludniającego roślinki; czyż w tem wszystkiem nie czujemy i nie słyszymy melodyi wzniosłej, cichej a poważnej, jak balsam gojącej rany serca naszego? Jeżeli więc majestat przyrody tak silnie działa na duszę każdego niemal człowieka, — to o ileż silniej działać mogą wraże-

nia podobne na dusze poetyczne z natury i przeto pochopne do cierpień, marzeń i samotnych obcowań z Bogiem i przyrodą! — To też myśl wystawienia bohatera samotnego wielkością swą w samotnem otoczeniu przyrody nęciła niejednego poetę i, nią powodując się, napisał Mickiewicz „Farysa". Na chyżym rumaku pędzi jeździec przez pustynie Arabii. Daremnie wabi go palma zielonowłosa, daremnie ostrzegają głosy pilnujące tych krańców pustyni, poza które rzadko kiedy śmiał zapuszczać się podróżny, — jeździec nasz pędzi, goni go sęp, uwierzywszy w groźby głazów, ale, dogonić nie mogąc, wzlatuje w górę i zatapia się w błękicie, goni go obłok biały, ostrzega i grozi, ale zawsze napróżno, aż rozgniewany i upokorzony chowa się w górach, już go wreszcie ogarnia poczucie dumy i szczęścia na myśl, że on jeden wśród nieskończoności pustyni, gdy nagle wzrok jego uderzają całe zastępy straszliwych szkieletów, są to resztki karawany, którą w tej chwili wiatr z piasku wygrzebał. Wymowna przestroga dla zuchwałych. Puszcza się pomimo to nasz jeździec w nieznane obszary — aż huragan zdumiony, że znalazł się nędznik, co śmie deptać jego lądy, uderza weń całą potęgą skwarnych oddechów pustyni, wznosi go w górę, to bije znów o ziemię, zionie nań ogniem, wali słupy piasku, zasypuje kurzawą, lecz jeździec zwycięsko i cało wychodzi z tej walki.

Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! W pół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nóg mych długim jak wał miejski trupem!

Dopiero po dokonanem złamaniu wszystkich przeszkód Farys daje wyraz szczęśliwości, która rozsadza pierś:

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,

Wszystkie poglądały ku mnie;
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno! szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła, topiąc żądło i serce z niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie.

Po przeczytaniu Farysa mimowoli nasuwają się na myśl pokrewne mu z treści utwory, — „Child Harold“ Byrona (głównie pieśń III), „Alastor“ Shelleya, „Mcyri“ Lermontowa, poniekąd też i „Arab“ Słowackiego. Wszędzie treść zasadnicza taż sama: jednostka przewyższająca ogół, samotna pośród wspaniałości przyrody, ale poza tem zachodzą znaczne różnice. Utwory Byrona, Shelleya, Lermontowa, Słowackiego są wszystkie wyrazem chorobliwego wstrętu do świata rzeczywistego. W pierwszym z nich poeta znużony przeciwnościami życia szuka ulgi w samotności na falach Lemanu i u stóp śnieżnych gór Szwajcaryi. I błękitne tonie wód wraz z lśniącemi śniegami rozjaśniają mu duszę, każą zapomnieć o dolegliwościach losu i uwierzyć, że nie wszyscy ludzie są źli i że ideały, które tak gorąco ukochał, staną się kiedyś rzeczywistością. Mcyri różni się od pieśni Byrona tylko ilościowo: rozpacz, na którą wieszcz angielski umiał znaleść leki, Lermontow posunął w poemacie swoim do krańców ostatnich. Jestto jeden z najpesymi-

styczniejszych utworów, jakie kiedykolwiek były pisane. Dzika miłość do gór i do swobody bez granic pochodz jedynie z beznadziejności, która owładła poetą. W naturze widzi ostatnią deskę zbawienia po piekle życia, to też trzyma się tej deski z rozpaczą tonącego, a, oderwany od swobody gór, umiera z bolu. O Arabie pomówimy obszerniej niżej; dość zaznaczyć, że utwór to schorzałej fantazyi, w porównaniu z którym nawet Mcyri tchnie zdrowiem i świeżością. Większy stosunkowo panuje spokój w Alastorze. Nieukojona niczem tęsknota pędzi młodego bohatera poprzez morza i lądy; na łonie natury, w najskrytszych miejscach, nietkniętych jeszcze stopą ludzką, szuka on rozwiązania tych tajemnic życiowych, których świat ludzki nie umiał mu wytłómaczyć. We wszystkich jednak pomienionych utworach poeci szukają ulgi w naturze wskutek znużenia i zniechęcenia do życia. Całkiem odmienne wrażenie robi Farys; nie leków na cierpienia szuka on w naturze, lecz przestworu i szerokości dla sił i pragnień, które w nim wrą, kipią i buchają; nie hymnem uroczystym i pięknym, a smutnym jak Child Harold, nie jękiem rozpaczy jak Mcyri, nie roztęsknioną, jak wichry pustyni, melodyą, którą tchnie Alastor i nie majaczeniem gorączkowem jak Arab, lecz pieśnią tryumfu i potęgi jest Farys, pieśnią na chwałę tej siły, która łamie, czego rozum nie złamie, pieśnią Pindarów i Sofoklesów, której nie znają smutne natchnienia innych poetów. Farys dobitniej niż inne utwory uwidocznia różnicę pomiędzy Mickiewiczem, a współczesnymi jemu koryfeuszami poezyi europejskiej, również jak pieśni filareckie, jest on wyrazem rozkosznego poczucia sił młodości i szczęścia, które daje wiara, a takich „pieśni tryumfującej młodości“ nie znajdziemy więcej nigdzie.

3.

Ale nuta szczęścia, siły, młodości i wiary, która tak cudnie zabrzmiała w Farysie, nie mogła długo dźwięczeć w lutni mistrza naszego. Pieśń tryumfu była i dziś, niestety, pozostaje rozdźwiękiem w poezyi wieku niedoścignionych dążeń i rozczarowań. Szybkim też krokiem zbliżały się wypadki, które wieszczów naszych pozbawić miały równowagi ducha, a natchnienia ich na całkiem nowe wprowadzić tory. Wypadki 31 roku dokonały stanowczego przewrotu w poezyi polskiej. Treść okresu poprzedniego (1815—30) stanowiła walka zażarta, ale czysto literackiej natury pomiędzy obozami klasyków i romantyków, uświetniona zwycięstwem ostatnich, dzięki krytykom i odczytom Brodzińskiego, a utworom poetycznym Ukraińców oraz Mickiewicza. Po roku 1831, cierpienia ojczyzny natchnęły serca wszystkich jednem uczuciem, a myśl odtąd wyłącznie zaprzątały usiłowania wydźwignięcia kraju z upadku. Ale patryotyzm poprowadził biednych wygnańców na błędne manowce i zpod pióra Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego wyszły na świat utwory łzami i krwią pisane, a pełne potęgi, grozy i natchnienia, jakie dać mogą tylko nieskończona boleść w połączeniu z niezmierną miłością, — wszystkie jednak przesiąknięte nawskróś mesyanizmem, stanowiącym cechę wybitną, jaskrawie wyróżniającą poezyą naszę, od poezyi innych narodów.

Z łatwością daje się wytłómaczyć proces psychologiczny, który ubrał dążenia narodowe w powłokę mistyczną: wystarczało drobnej ilości zmysłu praktycznego, aby pojąć, że nader wątpliwą, jeśli nie zupełnie niemożliwą była pomoc zagraniczna, że również wszelkie spiskowania wewnętrzne do celu doprowadzić nie mogły i jedyna przeto **nadzieja**

i ucieczka była w Bogu, a że sprawiedliwość i miłość to nieodłączne przymioty Bóstwa, poczęto więc upatrywać w nieszczęściach zesłanych przez Opatrzność na ojczyznę nietylko karę za błędy, lecz równocześnie świadectwo przyszłej szczęśliwości: cierpienie bowiem zwraca myśl naszę ku niebu, zbliża ku umęczonemu Zbawicielowi świata, oczyszcza, uzdrawia i uświęca; należy przeto przyjąć w pokorze bolesne próby losu, a, ufając w miłosierdzie Boże, wytężyć wszystkie siły ducha ku pracy nad własnem udoskonaleniem wewnętrznem, albowiem tylko na narodzie złożonym z doskonałych jednostek spocznie łaska Boska a po dniach smutku i zwątpienia, zajaśnieje słońce radości i zwycięstwa. Idąc tą drogą rozumowań, poeci nasi przyszli wkrótce do wiary w opatrznościowe posłannictwo Polski, a opierali ją jedni na gruncie katolickim, drudzy błąkali się po bezdrożach nauki Towiańskiego, ale żaden prawie nie zdołał oprzeć się urokowi mesyanizmu. Wszystkie głębsze i szlachetniejsze umysły prędzej czy później znalazły ukojenie po bolach życia w wierze w umiłowaną przez Chrystusa Polskę; niedołężni tylko krzykacze darli się wzajemnie o formuły polityczne. Fakt jaskrawie mówiący o charakterze narodu polskiego.

Mistycyzm ogarnął Mickiewicza wcześniej niż innych. W 1829 r. udało mu się uzyskać pozwolenie podróży za granicę; wyjechał w najswobodniejszym nastroju ducha, zwiedził Niemcy i Szwajcaryą, zimę spędził w Rzymie w arystokratycznem towarzystwie polskich i rosyjskich turystów; stałym był gościem i przyjacielem księżny Zenaidy Wołkońskiej i pani Chlustin, które znał jeszcze z czasów pobytu w Petersburgu i Moskwie, następnie uczęszczał do salonu hr. Ankwiczów, a wdzięki i wykształcenie ich córki panny Ewy głębokie nań wywarły wrażenie. Poeta zakochał się po raz drugi i ostatni w życiu. Posiadał wzajemność

panny, matka mu sprzyjała, ale miał twardą zaporę do przezwyciężenia w ojcu, marzącym o świetniejszej partyi dla jedynaczki. Aby uniknąć przykrych zajść z poetą, opuścił w maju Rzym wraz z rodziną, ale już w październiku spotkał ich Mickiewicz w Medyolanie i podążył ztamtąd za nimi do Rzymu, gdzie nową spędził zimę w towarzystwie ukochanej, — rozmarzony i w podniesieniu ducha, ale też w ciągłej i bolesnej walce z dumą obrażoną zimnem i odpychającem postępowaniem hrabiego. Do zawodów miłosnych, przyłącza się boleść na wieść o wypadkach krajowych: „mokry arkusz brudnej niemieckiej gazety“ — pisał wtedy — zajmuje go więcej „aniżeli wszyscy Vinci i Rafaele“. Obejmuje go chęć natychmiastowego powrotu do ojczyzny, spowiada się z tego we wszystkich listach, ale nieprzewidziane jakieś przeszkody stają na zawadzie, (może właśnie owa miłość nieszczęśliwa) opuszcza wreszcie Rzym, ale dopiero w kwietniu, z pogrzebioną na wieki nadzieją połączenia się z Ewą Ankwiczówną — i przybywa w Poznańskie, lecz zapóźno, — rewolucya była już stłumioną.

Pod wpływem nieszczęść kraju budzi się w duszy wieszcza i wybucha gorącym płomieniem drzemiące uczucie religijne; zasady wiary wpojone weń w dzieciństwie osłabły pod wpływem lekkiego życia, które pędził w Odesie i Moskwie, dopiero w Petersburgu stłumione popędy poczęły powoli wychodzić na jaw, dzięki znajomości i stosunkom serdecznym z malarzem-mistykiem Oleszkiewiczem. „On broni się przeciw duchowi, jak Jakób, — mawiał o nim Oleszkiewicz — ale to nic nie pomoże. Jest on naczyniem wybranem i prędzej czy później łaska go napełni i przez niego spłynie na drugich“. Dodatni wpływ Oleszkiewicza na umysł poety spotęgowało potem w Rzymie obcowanie ze szlachetnym i zapału pełnym hrabią Montalembert, marzącym o pogodzeniu katolicyzmu z liberalnemi dążeniami

wieku, ze słynnym Lamennais i wreszcie z ks. Chołoniewskim; dzięki im po kilku leciech Mickiewicz przystąpił do komunii św. Teraz zaś nieszczęścia ojczyzny ostatecznie i raz na zawsze ugruntowały w nim przekonania religijne. List pisany do Lelewela z Drezna w grudniu 1832 r., wyraźnie świadczy o nowym zwrocie w pojęciach wieszcza: „Tu powszechne skargi na niezgodę łatwą do przewidzenia, bo wyniesioną z Warszawy i tylko dojrzewającą we Francyi. Mnie się zdaje, że jedni ufają rządowi francuskiemu, drudzy narodowi, albo ludziom du mouvement. Ja oba te stronnictwa francuskie mam za zgraję zdemoralizowanych, i nic na nich nie liczę. Francya, podług mnie, są to Ateny za czasów Demostenesa; będą wrzeszczeć, odmieniać mowców i wodzów, ale się nie uleczą, bo rak toczy ich serca. Ja pokładam wielkie nadzieje w naszym narodzie i w biegu wypadków nieprzewidzianych żadną dyplomacyą. Zresztą więcej masz światła i doświadczenia: radź i rób podług siebie. Myślałbym tylko, że naszemu dążeniu należałoby nadawać charakter religijno-moralny, różny od finansowego liberalizmu Francuzów, i że na katolicyzmie trzeba grunt położyć. Czy znasz dzieła Lamenais? jestto jedyny Francuz, który szczerze płakał nad nami; jego łzy były jedyne, którem widział w Paryżu. Pobyt w Wielkopolsce i to, com słyszał o Szlązku, utwierdziło moje zasady. Może nasz naród jest powołany opowiadać ludom ewangielią narodowości, moralności, religii, wzgardy dla budżetów, jedynej zasady teraźniejszej polityki prawdziwie celniczej. Najuczeńsi Francuzi nie czują patryotyzmu, ani zapału dla wolności i rozumują o nim". — Wypowiedzianych w liście tym słów nie wyrzekł się Mickiewicz nigdy, przebijały się odtąd we wszystkiem, co mówił i pisał.

W 1832 r. jesienią, przeniósł się do Paryża, gdzie przebył do śmierci z wyjątkiem roku 1839—40 spędzo-

nego w Lozannie i ostatnich kilku miesięcy życia w Konstantynopolu. Ujrzał się wieszcz nasz pośród hałaśliwych, a wiecznie waśniących się z sobą kółek emigracyi. Byłto istny Babel nie języków, ale poglądów i dążności. Tysiące ludzi oderwanych od ziemi rodzinnej, a różnych sfer, różnego wychowania, charakteru i rozwoju umysłowego znalazło się nagle na bruku paryskim bez roboty i najczęściej też bez pieniędzy i dachu. Znając odwieczną skłonność Słowian do waśni, o której świadczył Jornand w VI jeszcze wieku, łatwo wyobrazić do jakiego stopnia naprężenia, a wreszcie i nienawiści doszły wkrótce stosunki wzajemne biednych wygnańców. Nie mając czem czasu zabić, kuł sobie każdy od rana do nocy różne projekty polityczne; bliżsi łączyli się pomiędzy sobą, tworzyły się kółka, a te się darły i żarły wzajemnie, obwiniając jedno drugie o zdradę. Zamiast tego by myśleć o sobie samych, o własnem doskonaleniu się, kłócą się o „retorykę polityki, o formy przyszłe, o szkielet jakiegoś narodu przyszłego, nie myśląc, czy się to dziecko urodzi“ — oto było pierwsze wrażenie, jakie wywarła emigracya paryska na Mickiewiczu. Czując, jak mało ogniw wiązało go z ogółem tułaczów, poeta mało wtrącał się w ich sprawy, ale że z dzieł swoich szerokiego już używał rozgłosu, więc stał się przedmiotem uwagi powszechnej, a następnie pokątnych intryg i nienawiści. Jak stan moralny emigracyi głęboko i boleśnie ranić musiał serce wieszcza, który siłą uczucia i namiętną żądzą ideału nieskończenie przewyższał otoczenie swoje, — o tem nie wiele się dowiemy z listów jego; możemy tylko domyśleć się na zasadzie luźnych wzmianek w korespondencyi, rozpaczliwych skarg w improwizacyi, a głównie na zasadzie tej bezgranicznej prawie uczuciowości jego, której przyjrzeliśmy się już w jego dziełach młodzieńczych. Co się zaś listów ówczesnych tyczy, to nie zawierają one ani traktatów filozo

cznych, ani marzeń poetyckich, ani drobnostkowych wynurzeń z myśli i uczuć, jak n. p. listy Krasińskiego lub Słowackiego. Mickiewicz pisywać nie lubił i lenił się, pisał tylko z konieczności i obowiązku, naprędce i niedbale. Domejko słuszną zrobił uwagę, przesyłając Zaleskiemu paczkę listów poety do ogłoszenia drukiem: „Wczytując się dziś w wyrazy Adama, — słowa Domejki — jego zmęczoną pisane ręką, obudzały mi się skrupuły i obawy, czy się godzi ogłaszać tak prędko listy prywatne, dorywcze, senne, których niejedno wyrażenie krótkie, pół wyrazowe, może dać pochop dzisiejszym gadułom do zimnych domysłów i tłómaczeń? Adam nie lubił pisać listów, pisał prawie nie patrząc na pióro – i czem prędzej pieczętował". To też i o emigracyi znajdziemy w nich tylko dorywcze uwagi w rodzaju n. p., że sprawy wygnańców „żrą mu czas i humor psują". Obszerniej nieco maluje poeta boleść i rozpacz swoję tylko w kartce do pani Chlustin, pisanej wkrótce po przyjeździe do Paryża (marzec 32 r.) „Votre maison respirait une telle gaieté enfantine, j'y ai passé des jours si agréables, que le souvenir m'en revient, au milieu des scènes lugubres de l'année passée, comme un rêve doux et léger, contre les spectres du cauchemar... Je ne vous parlerai pas de mon état moral. Vous savez ce qui se passe dans mon pays... Nous nous confions à Dieu; écrivez moi quelques lignes de réponse. Je suis occupé de travaux littéraires, écrivant et imprimant avec une chaleur fiévreuse et des mouvements convulsifs. Cela m'empèche de devenir fou".

Nie jedne tylko nieszczęścia krajowe rozdzierały duszę Mickiewicza; serce jego gorzało miłością do ludzi, a miał pomiędzy tułaczami braci, krewnych i przyjaciół cierpiących niedostatek, pragnął gorąco biec im na pomoc; sam mając niewiele, dzielił się z nimi resztkami. Listy dostarczają kilka odnośnych szczegółów; w kieszeni poety tak było

pusto, że musiał zastawić nawet szpilkę (wiosna 1833 r.), a jednak w tymże czasie oznajmuje bratu, że poezye swoje ma nadzieję sprzedać za pensyą dożywotną 1000 zł. rocznie i że ją całkiem bratu ustąpi, gdyż „sam znajdę sposób do życia“; — wtedy też posyłał parę razy kilkudziesięciofrankowe wsparcia dalekiemu krewnemu Stypułkowskiemu; — dowiedziawszy się zaś, że Kajsiewicz żyje samym chlebem i kasztanami, posłał mu 100 franków z wymówką, że mu odrazu o swych pieniężnych kłopotach nie oznajmił, — tymczasem Kajsiewicz nie należał wcale do najbliższych przyjaciół poety.

Najboleśniej jednak dotknęła wieszcza śmierć ukochanego przezeń Stefana Garczyńskiego. Otrzymawszy wiadomość o groźnym stanie jego suchot, opuszcza Paryż w lipcu 1833 r. i w przeciągu trzech prawie miesięcy do samego jego skonania, spędza dnie i noce przy łóżku chorego. Co się działo wtedy w duszy wieszcza, o tem nie dadzą pojęcia urywkowe ustępy z krótkich listów jego do Domejki i Odyńca, trzeba je całe przeczytać i przetrawić, żeby zrozumieć, w jaką bezdeń smutku pogrążonym był nasz mistrz. Ulgą dlań jedyną była Klaudya Potocka, niewiasta rzadkich cnót i poświęcenia, która czuwała nad Garczyńskim w początku choroby i w ostatnich dniach życia jego. „Ona, jak anioł opiekuńczy — pisze Mickiewicz — utrzymuje duszę w Stefanie. Ta kobieta godzi z rodzajem ludzkim i może nanowo natchnąć wiarę w dobroć i cnotę na ziemi. Zdaje się, że życia ma tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym“. Wkrótce po śmierci Garczyńskiego Mickiewicz, narzekając na nieudolność swą i niewyrozumiałość w pielęgnowaniu chorego przyjaciela, znajduje znów sposobność poświęcić parę wyrazów Potockiej: „Nieraz w czasie jego choroby nie mogłem wstrzymać się, aby coś przykrego nie powiedzieć, albo

milczeniem zagniewanem karciłem dziwactwa słabości, którym trzeba przebaczać. My mężczyźni nigdy nie osiągniemy tej doskonałości moralnej w pobłażaniu i przebaczaniu: Przekonałem się o tem, patrząc na Potocką". Ale posłuchajmy, jak się Potocka o Mickiewiczu wyrażała: „Mickiewicz przybył 8-go do Bex. Dzień i noc nie odstępuje Stefana! Duszę jego w gieniuszu przeczułam; a z podziwieniem i ze łzami na niego patrzę. Wyższy jest od nas wszystkich, sercem, cnotą, duszą, jak jest gieniuszem wyższym od wybranych"... „Śliczny to i budujący, — słusznie powiada Klaczko — widok dwóch dusz wielkich, przyznających jedna drugiej z takiem zaparciem się, pierwszeństwo w cnocie i poświęceniu! Jakże pięknie szczegół ten maluje szlachetne serce wieszcza" [1]).

Mickiewicz pochował przyjaciela we wrześniu 1833 r. Wróciwszy do Paryża wziął się z gorączkowym pośpiechem do pracy nad „Panem Tadeuszem", którego już był wprzódy rozpoczął i ukończył w początku roku następnego. Był to ostatni utwór jego poezyi, potem wydał tylko parę drobnych lirycznych wierszyków. To nagłe zamilknięcie muzy poety, Klaczko przypisuje przeważnie śmierci Garczyńskiego: smutek miał go coraz bardziej opanowywać, więc zamknął się poeta sam w sobie, a szukał pociechy w religii. Czy w rzeczy samej tak daleko miał rozciągać się wpływ wrażeń bolesnych po śmierci przyjaciela, o tem sądzić trudno, ale że zgaśnięcie Garczyńskiego mogło w znacznym stopniu naruszyć równowagę ducha Mickiewicza, zdaje się prawdopodobnem. Choć, jako poeta, Garczyński zajął drugorzędne stanowisko, musiał to jednak być niepospolity umysł, musiał mieć w sobie jakiś dziwny urok magnetyczny, jeżeli Klaudya Potocka mogła o nim pisać, że „jej tej straty nic

[1]) Patrz śliczne studyum J. Klaczki o korespondencyi Mickiewicza.

nie zastąpi — przecież za nagrodę sobie liczy, że jej Bóg pozwolił poznać go, zasłużyć na zupełną przyjaźń jego, i niejednę ciężką osłodzić mu chwilę. Dziś — dodaje — mimowolnie w górę patrzę, kiedy się sądu Jego lękam, w górę za Stefanem, kiedy mi tęskno, zimno między ludźmi".

Jednem słowem, boleść nad upadkiem kraju i nad rozpaczliwym stanem emigracyi, nieutulony smutek po śmierci najukochańszego z przyjaciół, — wreszcie ciągłe utrapienia z powodu braku środków pieniężnych — to wszystko stanowiło szereg wrażeń i trosk wieszcza w okresie po powstaniu. Gdziekolwiekbyśmy spojrzeli, przed okiem ducha jego roztaczał się ciemny widnokrąg; tych rozpacz pogrzebała żywcem, tamci nierozsądnie i bezskutecznie szamotali się z losem, zdawało się, iż nieprzenikniona zasłona z krwi i łez na wieki zakryła słońce nadziei. Smutno też było poecie. Ale natchnienia i uniesienia jego duszy stęsknionej przebijały owę zasłonę i ponad ciemność bez końca poeta wzlatywał myślą ku krainom słonecznym, tam w zdrojowisku uczuć i uciech religijnych, któremi karmił się zamłodu, znajdywał zapomnienie i ukojenie — i, przejęty uczuciem swojem, pragnął wierzyć i uwierzył też wreszcie, że uczucie to natchnie serca współbraci i da im zapał i siłę do osiągnięcia upragnionego celu. Pod wpływem usposobienia takiego czytywał książki mistyczne i szczególnie lubował się w dziełach Saint-Martin'a.

Tyle o okolicznościach życia Mickiewicza, zatrzymałem się nad niemi dłużej nieco, gdyż owato właśnie epoka, mianowicie pierwsze lata tułactwa (1832 – 34) najważniejszą jest i najpłodniejszą w dziejach twórczości literackiej wieszcza. Nie mówiąc już o Księgach Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego i o wielu drobnych artykułach, ogłosił wówczas Mickiewicz dwa główne twory gieniuszu swego —

trzecią część Dziadów i Pana Tadeusza, zostające między sobą w tym samym niemal stosunku co Grażyna i druga część Dziadów, świadczące przeto raz jeszcze o owym tak niepospolitym, a tak wybitnym rysie umysłu poety, że ekstatyczne uniesienia serca umiały w nim iść w parze z przedziwnym spokojem i przedmiotowością epika.

4.

Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego wyszły z druku w 1832 r. Wrażenie w społeczeństwie polskiem wywołały wielkie, w przeciągu bowiem półtora roku rozkupiono ośm wydań. Księgi Narodu zawierają filozofią historyi wogóle, a w szczególności polskiej, zaś Księgi Pielgrzymstwa, to zbiór nauk i przypowieści zastosowanych przez autora do towarzyszy wygnania. Myśl główna dzieła tego da się streścić w następujących kilku słowach: królowie, lękając się, aby narody nie wzrosły w rozum i zamożność i nie zapragnęły wolności, postanowili odprowadzić je od drogi spełniania zakonu chrześciańskiego, a nauczyli natomiast hołdować bałwanowi interesu, ztąd kłótnie, wojny i gwałty nieustanne. Tylko Polska drogą tą nie szła. Zamiast gwałtem zdobywać narody, przyjmowała je do braterstwa, wiążąc je z sobą dobrodziejstwem wiary i wolności. W taki sposób połączyła się Litwa z Polską, — figura przyszłego połączenia się ludów chrześciańskich w imię Chrystusowych przykazań. Nie było nigdzie tyle swobody, co w ziemi polskiej. Wolnymi właściwie byli tylko król i tak zwani rycerze wolności, którzy bracią między sobą się zwali, ale w żadnym narodzie tyle tej braci nie było; aż wreszcie król wspólnie z rycerstwem umyślili 3 maja 1792 r. zrobić wszystkich Polaków bracią, najprzód mieszczan, potem wło-

ścian, otwierając wszystkim drogę do szlachectwa, chcąc przeto dopiąć tego, aby każdy chrześcianin w Polsce nazywał się szlachcicem na znak, iż powinien mieć duszę szlachetną i być zawsze gotowym umrzeć za wolność. Nie zdołała jednak Polska dokonać tej świętej sprawy, która stała się przeto sprawą świata całego; to właśnie stanowi ogólnoludzkie znaczenie ojczyzny wieszcza i daje jej rękojmię świetnej przyszłości. Cierpienia i prześladowania, przez które pielgrzymi polscy przechodzą i przechodzić będą, wyjdą im na dobre, albowiem, bogaci niegdyś, cierpią ubóstwo, aby poznali co jest nędza, — dawniej wolni i stanowiący prawa, wyjęci są na cudzej ziemi zpod opieki prawa, aby poznali, co jest bezprawie. Przeszedłszy przez tę twardą szkołę doświadczenia, uczynią, gdy wrócą do kraju, ubogich i nędzarzy współdziedzicami swymi, cudzoziemców zaś współprawodawcami i urzeczywistnią przez to obietnice Chrystusa.

Jesteśmy już w jaskiniach mesyanizmu, opartego na negacyi zmateryalizowanej cywilizacyi zachodu i na wierze w posłannictwo narodu powiązanej z chrześciańsko socyalnemi dążnościami. Czy mamy zasady te krytykować? Zaiste byłaby to strata czasu. Dowodzić ich niemożliwości dla cudzoziemców niema potrzeby, gdyż to zbyt jasne; wśród Polaków zaś nie liczą również wyznawców z wyjątkiem chyba kilku podeszłych, a zgnębionych nieszczęściem tułactwa wygnańców. Na każdym jednak myślącym i czującym czytelniku historyozofia Mickiewicza wywrze wrażenie niesłychanie smutne. Mesyanizm jego jest protestem, wyrazem niezadowolenia z istniejących form życiowych. Ale protest ów nie wybuchnął na zewnątrz skargą rozpaczy. Takie rozwiązanie tłoczących się w duszy Mickiewicza zagadnień i cierpień nie odpowiadało charakterowi jego. Jak palma słońca, jak orzeł wyżyn górskich i swobody, tak dusza wieszcza

nieskończenie żądną była wiary w ideał. A o skarbach złożonych w jej głębiach opowiedziały już nam Dziady, Oda do młodości, Farys, wreszcie liczne ustępy z korespondencyi. Wiemy już, że poeta więcej i lepiej niż inni mógł nam powiedzieć o tem, co jest szał miłości i rozpacz zawodu, — wiemy, że zapał młodości i pełna szczęśliwości wiara w bezgraniczną potęgę woli porywały i unosiły go w krainy niedostępne dla innych poetów; — wiemy, że w poświęceniu i zaparciu się dla przyjaciół nie wielu miał równych sobie. Otóż właśnie to głębokie jego uczucie nie pozwoliło mu upaść pod brzemieniem nieszczęść; kto kocha dużo, ten nie zwątpi w życie przyszłe, wygłosił Dostojewski w jednym z najpiękniejszych ustępów „Braci Karamazowych“, podobnież Mickiewicz, zanadto kochał naród swój, aby mógł zwątpić w jego żywotność; wiara była organiczną potrzebą jego istoty duchowej — chlebem życia poety, i chociaż cała bezdeń boleści otwarła się przed nim po wypadkach 31 r., mistrz się w niej nie zaprzepaścił, lecz ukorzył się przed Cierpiącym i Ukrzyżowanym za ludzkość, pełen ufności, że łaska Jego zejdzie w ożywczych promieniach światła i miłości, oświeci, oskrzydli i poprowadzi umęczony naród ku prawdzie i ku zwycięstwu. Tą wiarą rozpłomieniony, nauczał współbraci swoich pokory, wyrozumiałości i przebaczenia, pocieszał nadzieją przyszłych dni jasnych, układał powoli i przygotowywał mesyaniczną teoryą Chrystusowego posłannictwa Polski. Lecz próżne były modlitwy i natchnienia poety — Nieba milczały — straszna zasada walki o byt i siły przed prawem nieubłaganie panowała w dziejach i w polityce, nie mogły jej poruszyć ani boleść bezdenna, ani złote marzenia wieszcza. Ta sprzeczność głęboka pomiędzy idealnemi popędami serca poety, a żelaznem prawem społecznem, pełna rozdzierającego duszę tragizmu: szukając ocalenia od pochłaniającej go rozpaczy z przepaści beznadziejności rzu-

cił się mistrz w niemniej ciemną przepaść majaczeń mesyanicznych, a przyczyną obłędu była tylko miłość i wiara, które przepełniały i, że się tak wyrażę, rozsadzały mu pierś, a nie pozwalały zatonąć w boleści, nie pozwalały zwątpić w sprawiedliwość odwieczną... Smutek więc krwawy ściska serce na widok jak na marne iść zaczynały siły olbrzymie ducha tego, myśli poloty śmiałe, tkliwe uniesienia serca, — wszystko zakute w żelazne pęta niewoli i posłuszeństwa ślepego idei szlachetnej, zaiste, lecz niemającej pod sobą żadnej podstawy.

Chociaż beznadziejność i zwątpienie z gruntu przeciwnemi były nastrojowi ducha mistrza, jednak rozpacz nie tak łatwo dała się przeobrazić w spokojną ufność w sprawiedliwość Opatrzności i zanim mistyczna wiara w potęgę uczucia zdołała go ogarnąć, rozpacz wycisnęła niezmazane piętno na poezyi jego, wyrwawszy się raz wprawdzie z piersi poety, ale za to skargą tak silną i namiętną, że bledną wobec niej skargi Faustów i Manfredów. Mamy na myśli trzecią część Dziadów. Napisał ją Mickiewicz w Dreznie 1832 r., jednocześnie albo wnet po wydaniu Ksiąg Pielgrzymstwa. Nazwał zaś niewłaściwie, jakem to już wyżej nadmienił częścią trzecią, ponieważ stanowi właściwie dalszy tylko ciąg czwartej. Mickiewicz szczególnie lubił Dziady, postanowił skreślić w nich wszystkie walki i przeobrażenia duchowe, przez które przechodził i uczynić jedynym czytania godnym utworem swoim. Po wypadkach 31 r., zapomniał poeta o uczuciach osobistych, a wcielił się duszą całą w cierpienia narodu. I nowa część Dziadów jest właśnie wyrazem nowego zwrotu myśli w życiu duchowem poety: Gustaw, zrozpaczony kochanek części czwartej pisze w prologu na ścianie celi więziennej, w której go zamknięto, że tu zmarł Gustaw 1 listopada 1823 r., a narodził się natomiast Konrad, i pod tem imieniem, przypominającem bolejącego nad krajem bohatera

dawniejszego poematu wieszcza, występuje już nadal. Znanym jest dziwny pogląd, wypowiedziany przez Mickiewicza, w wykładach w Collége de France, że w dramacie słowiańskim świat rzeczywisty powinien być wystawiony w stosunku do świata nadprzyrodzonego; że myśl ta nie była mu obcą w 1832 r., o tem świadczy nowa część Dziadów, którą odział mglisto tajemniczą, a dziwnie pociągającą powłoką mistycyzmu. Wszystkie główne osoby dramatu obcują nawpół we śnie, nawpół na jawie z duchami światła i nocy. W prologu, w celi więziennej, w wileńskim klasztorze Bazylianów, staczają duchy owe walkę nad uśpionym bohaterem. Duchy nocy chcą myśli jego ciemne zamącić, zawładnąć głową jego i sercem, aby wstawszy został ich sługą i uległ fatalnej sile snów nieczystych, — ale natomiast anioł stróż roztacza nad nim skrzydła swe i w dziwnie słodkich wyrazach maluje nam duszę jego młodą i szlachetną, ale dumną i nieumiejącą ukorzyć się przed wyrokami Opatrzności. Bóg zesłał na dumnego Konrada cierpienia więzienne, aby mógł wejść na drogę prawdy, albowiem samotność mistrzynią jest mędrców, i, jak prorok na pustyni, tak on w samotności więziennej, zastanawiając się nad swem przeznaczeniem, pozna prawdę i światło nieomylne. Myśl w zupełności licująca z przytoczonemi wyżej słowami Mickiewicza w liście do Czeczota z Moskwy: „Ja zacząłem być wesół u ojców Bazylianów, a spokojny i ledwie nie rozumny w Moskwie“. Śpiący Konrad odczuwa nawpół świadomie wrzącą nad nim walkę duchów, a tajemniczy duch jego zwraca się w pełnych znaczenia głębokiego wyrazach do człowieka, który nie wie, jaką jest władza jego myśli, nie wie z jakiem drżeniem oczekują aniołowie i szatani, czy nią uderzy w piekło, czy zaświeci w niebie: „Ludzie, każdy z was mógłby samotny, więziony, myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony“. W słowach tych zawiera się wyznanie

wiary Mickiewicza, którą w tej części Dziadów rozwinął, a propagował i nadal w epoce towianizmu, — wiary we wszechpotęgę człowieka, gdy zdoła myślą jedną przejąć się do ekstazy.

Dziwny to a niemający nic sobie podobnego w literaturze dramat; poeta przedstawia w nim wypadek świeży podówczas w pamięci wszystkich: areszt filaretów wileńskich, — wyprowadza na scenę osoby żyjące, jednak w mowach ich i czynach zostaje w najdrobniejszych szczegółach wiernym rzeczywistości Otóż w scenie pierwszej więźniowie, koledzy Konrada, zebrani wszyscy w celi jego, prowadzą rozmowę stosowną do okoliczności, smutną w gruncie rzeczy, a z udanym pozorem wesołości i swobody; jeden z nich opowiada ze spokojem i prostotą, jaką nadać może tylko dłuższe obycie się ze zgrozą katuszy więziennych, straszliwe szczegóły wywiezienia kilku z ich grona. Konrad słucha zrazu w milczeniu, lecz staje się coraz bardziej ponury, aż śpiewa wreszcie pieśń pełną dzikiej żądzy zemsty na wroga, której zwrotkę każdą kończy groźny dwuwiersz:

„Tak zemsta, zemsta, zemsta na wroga,
Z Bogiem — i choćby mimo Boga!“

Natchnienie jego, wzrastając stopniowo, pozbawia go przytomności, koledzy zostawują go samego w celi; wtedy wyrywa się z piersi jego owa skarga, tęskna jak jesień, a namiętna, jak oddech huraganu, znana pod nazwą Improwizacyi; napisał ją wieszcz przez noc jednę, w stanie niezwykłego zachwytu, po którym, utraciwszy świadomość, rzucił się na ziemię, i tak śpiącego znaleźli go nazajutrz towarzysze. Przystępując do streszczenia, miejmy na myśli słowa poety, wypowiedziane w jednym z jego utworów młodzieńczych: „miej serce i patrzaj serce“, będące dewizą życia jego i poezyi, a zdołamy dostroić się cokolwiek do wysokości polotu jego. Du-

mnym jest wieszcz z tysiąca natchnień i uczuć, które krążą i palą się we wnętrznościach duszy, ale mowa ludzka nie w stanie ich oddać; ile krwi widzą ludzie w twarzy tylko, tyle też uczuć dostrzegą w pieśni, lecz tej pieśni duszy niepotrzebne są ani oczy ani uszy ludzkie; ta pieśń prowadzi go do Stwórcy, bo Boga tylko i natury godna. Na gwiazdach wyciąga mistrz dłonie swoje i jak na strunach wygrywa swe natchnienia, a śpiew jego, jęcząc żalem i rycząc burzą, przewiewa tonie rodu ludzkiego i wieki wtórzą mu głucho. Zachwyt ogarnia go coraz bardziej — myśli moje, gwiazdy moje, czucia moje, wichry moje — on czuje nieśmiertelność, on ją tworzy: „Cóż ty większego mogłeś zrobić Boże?“ Gdyby wszystkich zebrać poetów i proroków, to wszyscy oni razem na widok całej sławy swej, ozdoby wieńców, muzyki pochwał i oklasków, zebranych z wieków tylu i pokoleń, nie czuliby szczęścia tego i tej siły co on — tak go szczęśliwym i mocnym czyni rozpalające go uczucie, po promieniach którego dochodzi do Boga — „aż tam moje skrzydło sięga“. Ale ta miłość spoczęła nie na jednym człowieku i nie na jednem nawet pokoleniu — on naród kocha, wszystkie jego przeszłe i przyszłe pokolenia, tuli je do łona, jak przyjaciel, kochanek, małżonek — jak ojciec! on chce go ze snu i cierpień przebudzić, uszczęśliwić i świat cały nim zadziwić. Otóż on, najwyższy z czujących na padole ziemskim, zbrojny potęgą uczucia, która silniejszą jest nad władzę myśli, co wydarła niebiosom gromy i wyśledziła bieg planet, zwraca się do Stwórcy i prosi o moc rządzenia duszami, ale nie bronią, nie nauką, nie pieśnią, nawet nie cudami, lecz „chcę czuciem rządzić, które jest we mnie“. Niech ludzie dlań będą „jak myśli i słowa, z których gdy zechcę pieśni wiąże się budowa“. Wówczas poeta cud stworzy większy niźli Bóg, bo zanuci pieśń — ale szczęśliwą. Lecz ponieważ Bóg milczy, zrozpaczony Konrad woła:

„Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością,
Ty jesteś tylko — mądrością!
Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą
Myślą, nie sercem, składy broni Twej wyśledzą".

Nie pozostaje mu nic, jak stanąć do walki z Bogiem, walki straszniejszej niż walki z szatanem, bo ten walczył na rozumy, a on wyzwie Boga na serca! Ma on prawdę za sobą, gdyż kochał i cierpiał dużo, wzrósł w mękach miłości, a gdy Bóg wydarł mu szczęście osobiste, on pięści swej nie podniósł przeciwko Niemu, lecz skrwawił ją na własnej piersi. Wspomnienie ubiegłej niedoli roztkliwia go na chwilę i bohater nasz znów rzewnie błaga Stwórcę o litość i pomoc, błaga w imieniu narodu całego, gdyż on i ojczyzna to jedno — on w niego wcielony, on nazywa się Milion, bo za miliony kocha i cierpi katusze. I jeśli tą razą Bóg go nie usłucha, to Konrad zemści się straszliwie, bo czego nie złamie myśl, to spalić zdoła uczucie, które zakuje w żelazne pęta woli, i, stanąwszy do walki, rzuci przekleństwo, które wstrząśnie całym obszarem natury, a pójdzie z pokoleń w pokolenia... Tu pada bez czucia.

Aż zbyt jest widoczne pokrewieństwo duchowe Konrada z rodziną Prometeuszów, Faustów i Manfredów. Rozpacz, że odwieczny porządek świata nie odpowiada marzeniom idealnym, stanowi ich rys zasadniczy. Ale gdy ludzkość jest przedmiotem myśli Fausta i Manfreda, Konrad boleje wyłącznie nad własnym narodem: napozór widnokrąg jego ciaśniejszy, a jednak współczucie stanowczo zostaje na stronie bohatera Mickiewicza z powodu jednej jego cechy — wielkiej, nieskończonej miłości: Faust myślał więcej, niż czuł, ale, że praca myśli nie zdarła przed nim zasłony z natury i dusza świata została dlań zamkniętą, więc wątpiący i nieszczęśliwy stanął z kielichem trucizny w ręku i namyślał się, czy nie lepiej już raz na zawsze zakończyć marną

komedyą życia. Manfred, gwałtowny i namiętny, czuł dużo, zaciekał się mniej; pragnął ludzi uszczęśliwić, lecz źródłem pragnienia tego było nie tyle współczucie nędzy współbraci, ile szlachetna wprawdzie, ale zawsze egoistyczna ambicya zostania dobroczyńcą, prawodawcą, panem, jednem słowem, dobrym gieniuszem ludzkości. To też, zawiedziony w dążeniach, rzucił przekleństwo na Boga, że go nie wysłuchał i nie dopomógł — przekleństwo z pogardą na ludzi, że nie zrozumieli. Jego uczucie dla bliźnich było więcej lubowaniem się i oddaniem własnemu marzeniu, niż bezinteresowną miłością. Tylko Konrad czuł i cierpiał katusze za miliony, kochał zaś braci pomimo słabości ich i ułomności, a może właśnie dlatego; czuł się od nich nieskończenie wyższym uczuciem swojem, a pragnął przejąć niem i zapalić serca rodaków, albowiem w tem właśnie upatrywał drogę jedyną do dopięcia celu; lecz „rząd dusz" mógł mu dać jedynie Stwórca, który go opuścił, więc rzucił Konrad przekleństwo, ale tylko na Boga — nie na ludzi — i wyzwał go do walki, na serca! Ta walka na serca — pomysł iście Mickiewiczowski! wpaść na myśl taką mógł ten tylko, kto rzeczywiście kochać i czuć umiał za miliony. Jeśli się zapatrywać na wartość człowieka z chrześciańskiego stanowiska zaparcia się i poświęcenia, to wypadnie postawić Konrada na wysokości, której dosiąc nie mogą ani Faust, ani Manfred. Ale nie dość tego: Byron utożsamił się z bohaterem swoim i ubóstwił go; Mickiewicz zaś potępił Konrada; ani poloty tytaniczne ducha, ani nieskończoność cierpień, wypływająca z serca wielkiego, nie zdołały poruszyć w mistrzu tych podstaw życiowych, które utrwalił w sobie w młodości; jak w czwartej części Dziadów Gustawa za samobójstwo, tak tutaj Konrada potępił za bluźnierstwo, chociaż z najczystszych pochodziło źródeł; uznał bowiem, że Opatrzności najlepiej wiadome są potrzeby ludzi i że rozpacz i skargi bezowocne

nie prowadzą do celu wielkiego, więc, gdy Konrad padł bez czucia pod brzemieniem walki, wnet go opanowały duchy nocy, szczęśliwe z nowej ofiary. Jednak przedwczesną okazała się ich radość. Z objęć ciemności wybawiła go modlitwa księdza Piotra, zakonnika prostego, ale pełnego wiary i miłości, uleciały wtedy duchy mroku, a kapłan, przeczuwając, że niepożyte siły ducha młodego bluźniercy pięknie mogą dać się użyć ku chwale Boga i dobru ludzkości, padł krzyżem, błagając Najwyższego, aby nieszczęsnego zapaleńca zrobił sługą Wiary, sam zaś przyjmował na się wszystkie jego winy i kary wszystkie. Wspólnie z księdzem klęczącym wznosił modły swe chór aniołów: „Pan maluczkim objawia — czego wielkim odmawia. Litość, litość! nad synem ziemi — on był między wielkiemi — litość nad synem ziemi". I modlitwa sługi Bożego została wysłuchaną: przebudził się Konrad już z promieniem łaski w duszy, a chóry anielskie śpiewały: „Pokój, pokój prostocie — pokornej, cichej cnocie! — Sługo, sługo pokorny, cichy! — wniosłeś pokój w dom pychy! — Pokój grzesznemu sierocie!"

Ksiądz Piotr dopełnił Konrada. Obydwóch cechowała nieskończona miłość i żądza ulżenia losowi współbraci, lecz zetknięcie się z nieubłaganą rzeczywistością wprawiało Konrada w szał i rozpacz bez granic, a bluźnił wtedy i przeklinał Najwyższego, zaś księdza Piotra chroniła od rozpaczy wiara gorąca i ufność w Bogu; ta mu zapewniała spokój wewnętrzny i przed światłem ducha jego spadała zasłona czarna z przyszłości: w scenie piątej przed zakonnikiem roztacza się obraz przyszłości narodu, łez pełnej i cierpień, lecz we łzach owych i cierpieniach wychowany, zjawia się mąż pocieszyciel: wzrok jego jak słońce i świat drży przed nim, naród swój prowadzi drogą zwycięstwa i niesie wolność wszystkim ludom. A więc Bóg objawia maluczkiem to, czego wielkim odmówił, co było niedostępnem dla Konrada,

stało się możliwem dla księdza Piotra; jednem słowem serce proste, kochające i wierzące więcej może niż rozum i nauka, a z nieskończoną miłością Konrada iść powinna nieskończona wiara księdza Piotra, bo z połączenia tylko tych cnót obojga zrodzić się może zdolność do zaparcia się własnego ja i poświęcenia siebie dla innych. Taką jest myśl zasadnicza jaka wycisnąć się daje z tej części Dziadów, tak z cudnej skargi Konrada, jak i z widzeń księdza Piotra. Otoczyła ona postać Mickiewicza czemś więcej niż chwałą poety, bo aureolą proroka! nie w tym sensie, abyśmy głoszoną przez wieszcza ekstazę uczucia za prawdę bezwzględną przyjąć mieli — nie, natchnienie zapędziło poetę poza sferę myśli, marzeń i czynów ludzkich i stworzył on ideał porywająco piękny, lecz nie z tego świata, bo przeciwny naturze ludzkiej, dążącej do harmonijnego rozwoju władz ducha, nie zaś do wywyższenia jednej kosztem reszty. Uszlachetnia, podnosi, uświęca, cześć i uwielbienie w nas wbudza nie wynik natchnień Mickiewicza, lecz samo źródło ich i początek, ta miłość bez granic, przepełniająca istotę jego całą, ten zachwyt uniesień, ten szał boleści, wreszcie ta moc niezrównana i czystość uczuć, dzięki której mistrz nasz, zamiast pogrążyć się w ślepej negacyi Boga i ludzi, stał się apostołem zaparcia się i poświęcenia. Poznaliśmy ducha wielkiego i coś z promieni jego zaświeciło we wnętrzu duszy naszej i rozbrzmiała się pieśnią pełną tęsknoty tajemniczej, gdyż zdało się, jakby ogarnęła nas nieskończoność oceanu, to wzburzona i rycząca, to błękitna i promienna.

Tej części Dziadów Mickiewicz nie dokończył, zresztą i nie mógł dokończyć, albowiem z postaci bohatera nie dałaby się w żaden sposób wysnuć treść dla dramatu. Konrad nawrócony, święty, asceta, apostoł idei ekstazy uczucia, jako idealnego stanu ducha, pierwiastków dramatycznych nie mógł w sobie zawierać; zrozumiał to Mickiewicz, i nie

myślał więcej o dalszym ciągu ulubionego poematu. Myśl zaś główna nader jest ważną z tego względu, że była zawiązkiem przyszłej nauki wieszcza: myśli i poglądy Mickiewicza w epoce towianizmu są rozwinięciem w szczegółach zawartej w Dziadach idei.

Wnet po napisaniu czwartej części Dziadów poeta, nie ochłonąwszy jeszcze z rozpaczy miłosnej, napisał Grażynę; zwróciłem już wyżej uwagę na tę jedyną w swoim rodzaju przedziwną umiejętność jednoczesnej pracy twórczej w całkiem odmiennych kierunkach. Lecz stokroć jeszcze dziwniejsza, że wieszcz nasz mógł w tym samym czasie tworzyć Improwizacyą i Pana Tadeusza — skargę, która siłą zawartych w niej uczuć nie znajdzie równej sobie w literaturze powszechnej i poemat, odpowiadający wszelkim wymaganiom eposu, pełny spokoju i uderzający przedmiotowością autora w przedstawieniu rzeczy. Jednem słowem prorok biblijny przeobraża się w polskiego Homera, poeta namiętniejszy, a bardziej od losu prześladowany, niźli Byron, staje się również wspaniałym w spokoju swoim jak „olimpijski“ Göthe. Pan Tadeusz to epopeja szlachty polskiej, a nawet dziejów Polski, o ile znalazły wyraz w dziejach szlachty naszej. Poeta stanął, jak się wyraził Krasiński, na przesmyku między znikającem pokoleniem ludzi, a między nami. Pokolenie stare z obyczajami swemi, dążnościami i zapatrywaniami, zeszło do grobu wobec nowych, a rdzennie odmiennych warunków bytu. Lecz tych ludzi, nim jeszcze umarli, widział Mickiewicz, a takiem jest stanowisko epopei — i, uwieczniwszy owo plemię, stworzył epopeję. Poeta przedstawił w niej życie szlachty w całej pełni, a więc i ujemne i dodatnie jego strony: „obok kłótliwości, próżniactwa, bezprawia, zuchwałości, buty szlacheckiej, pychy magnackiej i małpowania obyczajów francuskich, — miłość ojczyzny, męstwo, wierność, grzeczność, gościnność, wierność sług, ludzkość dla włościan, religijność

i surowość obyczajów [1])". Wszystko zaś opromienił jakiemś ciepłem serdecznem, które tak swojskiem było duszy wieszcza, a ogarniało ją zawsze, gdy ustawały i gasły płomienne uniesienia rozszalałego uczucia.

Osią opowiadania jest spór rodowy Horeszków i Soplicówy, kończący się zajazdem dóbr sędziego Soplicy, ale wobec najścia wrogów, miłość ojczyzny bierze górę i zwaśnione rody łączą się, aby odparli wroga wspólnego. Tajną sprężyną akcyi poematu, osobą, na której spoczęły uwaga i współczucie poety, jest bernardyn ks. Robak, zamłodu szlachcic butny i gwałtowny, winowajca krwawego sporu dwóch rodów, — następnie święty pokutnik, odkupujący przewinienie swoje czynną i pełną zaparcia się miłością ojczyzny; będąc przeto upostaciowaniem ekspiacyi za błędy młodości, staje się niejako dalszym ciągiem nawróconego Konrada: z tego powodu poeta nie umie ukryć swego współczucia dla bohatera i w cudnym ustępie spowiedzi Robaka przestaje być bezstronnym epikiem, puszcza wodze uczuciu i utożsamia siebie z osobą pokutującego bernardyna.

Zakres pracy nie pozwala mi wejść w bliższą ocenę utworu, który został jednogłośnie uznany za arcydzieło Mickiewicza. Ale, co się tyczy charakterystyki wieszcza, to nie tyle nas obchodzi wykonanie, ile sam pomysł, tak świetnym uwieńczony skutkiem — pomysł napisania poematu epicznego w wieku naszym, w którym subjektywizm powszechnie zapanował w poezyi, a spokój epiczny stał się udziałem rzadkich wybrańców losu, — właściwie zaś tylko autora „Hermana i Doroty!" Ale równowaga umysłu była cechą znamienną Göthego, który nie znał szatańskich wybuchów namiętności Byrona, Musset'a i Lermontowa, tymczasem Mickiewicz nasz cierpiał, szalał, przeklinał, wpadał w bliski

[1]) Patrz: Biegeleisen „Pan Tadeusz". 1884.

obłąkania zachwyt, rzucał na papier skargi, na które sam Byron, protoplasta rozpaczliwej poezyi stulecia naszego, nie umiałby się zdobyć, a jednak, jak feniks z popiołów, tak powstawał on w boleści swojej, silniejszym niż przedtem, panem uczuć, i demoniczny Byron, jakby za dotknięciem czarodziejskiem, przekształcał się w duszy jego w olimpijskiego twórcę „Ifigenii". Próżnoby szukać w całej literaturze wieku XIX poety, któryby pod tym względem mógł stanąć obok Mickiewicza; owa niezrównana umiejętność panowania nad szalonym prądem uczucia stawia go na samotnej i niedoścignionej wysokości, a, wniknąwszy w źródło i tajniki jego natchnień, przyznamy, że, choć wielkim był Mickiewicz jako poeta, jako charakter był on jeszcze większym.

5.

Niestety, owo cudne połączenie tytanicznych natchnień i polotów Gustawów, Konradów i Farysów z homerowską pogodą i spokojem Grażyny i Pana Tadeusza nie było trwałem. Wielki poeta postradał równowagę ducha i, wychyliwszy do dna kielich goryczy, upadł pod brzemieniem boleści, ale nie oddał się rozpaczy: piekło zwątpienia nie mogło znaleść miejsca w tem sercu płomiennem, a żądnem miłości, tylko miłość i wiara mogły mu dać punkt oparcia: chwilowe przedtem, a wulkaniczne uniesienia przeszły w stan chroniczny, boleść wybuchła w ekstazach mesyanizmu. Wprzódy równowagę w umyśle poety podtrzymywała religijność głęboka, wrodzona i utrwalona wrażeniami lat dziecięcych i niemniej głęboka wiara w naród, rozwinięta pod wpływem stosunków koleżeńskich na wszechnicy wileńskiej; ale nieszczęścia krajowe i ciemny widnokrąg przyszłości zachwiały owo przywiązanie do katolickiego Boga,

a rozdarcie, niesnaski, brak zasad i wyższości moralnej wśród emigracyi nadwerężyły wiarę w naród. Pragnąc jednak przeciwdziałać owładającej nim rozpaczy, zamknął się Mickiewicz w sobie, porzucił swoje pomysły poetyczne, a począł rozmyślać o działalności płodniejszej w następstwa, niźli praca twórcza. Przejęty tem pragnieniem zamarzył o zjednoczeniu jednomyślnych w celu skuteczniejszej pracy w imię zasad religijno-etycznych i w imię pociągnięcia i podniesienia własnym przykładem ogółu społeczeństwa. Myśl ta znalazła urzeczywistnienie w stowarzyszeniu t. z. „Braci zjednoczonych", zawiązanem w Paryżu w 1834 r. Akt założenia podpisali prócz Mickiewicza, Stefan Witwicki, Józef i Bohdan Zalescy, Cezary Plater, Antoni Gorecki, Ignacy Domejko i Bohdan Jański. Z koła tego przypominającego nieco związek filaretów wytworzył się w następstwie zakon zmartwychwstańców. Ale to wszystko nie wystarczało Mickiewiczowi, dzień bowiem każdy przynosił nowe smutki, i boleść coraz go bardziej opanowywała. W „Dziadach" poeta wygłosił niegdyś w chwili zachwytu wiarę w przyjście męża pocieszyciela i zapewne nieraz, przygnębiony bolem, szukał w tej wierze osłody tajemnej i czekał od przyszłości urzeczywistnienia oczekiwań swoich. To też, gdy Towiański poważył się ogłosić siebie za proroka, stęskniony i zbolały wieszcz pierwszy poszedł za nim i zaprzepaścił niepożyte skarby ducha w topielach nauki zagmatwanej i niedorzecznej. Bezgraniczna i bezprzykładna niemal siła uczucia jego zaprowadziła go w labirynty mesyanizmu i wycisnęła niezmazane piętno na ostatniej, a najsmutniejszej epoce jego życia.

JULIUSZ SŁOWACKI

1829—1842.

„Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta".

Słowa te pisał Słowacki w 1833 roku w autobiograficznym poemacie „Godzina Myśli"; malują one dokładnie marzycielskie usposobienie wieszcza, są godłem jego twórczości, oraz dają pojęcie o jej kierunku. W świecie rzeczywistym słyszał poeta tylko „jęki cierpiących i nie szczery śmiech ludzki", tymczasem myśli wieszcze unosiły go w tajemnicze krainy marzenia o kształtach mglistych a gubiące się w nieskończoności, tam karmiły go promienie księżycowe i lilie srebrne, głosy czarowne kołysały go do snu, śpiewając mu o zaświatowych cudach i dziwach, o szczytnych myślach i szczytnych czynach, o świętych uniesieniach miłości, o duchach-aniołach, co światło szerzą i sami, przekształcając się w światło, zostają częścią Bóstwa... nieraz zaś w tym złotym śnie jakieś wspomnienia odległe, jakieś chwile przebyte, pozbawione nagle zabójczego tchnienia powszedniości, przeistaczały się w bajkę tęczową, nęciły poetę jakimś blaskiem i wonią, których nigdy przedtem w nich nie dostrzegał. I owe wędrówki po wiecznie kwitnących obszarach wyobraźni niesłychanie pociągały Słowackiego; wracał z nich do codziennej prozy życia, odurzony i prawie nieprzytomny; melodye nieznane, blaski i barwy nie z tego świata gościły wciąż w jego myśli i nie

dziw przeto, że wszystko na świecie wydawało mu się wtedy podwójnie bezbarwnem, powszedniem, nudnem, nawet rozpaczliwem.

Dowody tego daje nam „Godzina Myśli“, główne źródło co do pierwszej młodości poety. „Gdy dziecię — powiedział o sobie — karmi się marzeniami, jak chlebem powszednim, to smutno patrzy na świat nieznany“. To też w świecie tym jaknajkrócej starał się gościć, teraźniejszość go nie obchodziła, stawiał przed sobą „przyszłości zwierciadło“ i „rzucał w nie chwile obecne“, wnosząc ztąd, jaki blask nadadzą im wspomnienia przyszłe, nawet nieszczęścia przyjmował „półsmutnym“ tylko uśmiechem, patrząc na nie „z przyszłości“. Siedząc na ławie szkolnej, wybiegał myślą z ciemnej sali na szerokie i zieleniące się przestworza, tam starał się dosłuchać „szmeru kwiatów rosnących“ i upajał się „tęskno-dziką“ wonią wierzb, płaczących nad wodą. Rozczytywał się w ciemnych księgach Swedenborga, nie rozumiejąc ich myślą, rozumiał „marzeniem“, budował na nich gmachy „pełne głosów nadziemskich, szaleństwa i blasku“, przejmował się wiarą w przeobrażenia, w zaświatowe wędrówki dusz i w tajemniczo-magnetyczną siłę woli. Złamany przedwcześnie bolem uczuć, krył się od ludzi w ciemnych lasach, kładł się bladą twarzą do ziemi i „uśpionemu myślą wiatr rozwiewał włosy, myśli zaś rosły wielkie, ciemne, tajemnicze“, lub wpatrywał się w niebo i słońce, a wicher odmykał nad głową „bramy gałęziste“ i w myśli ciemne spadały błękity nieba.

Marzycielstwo posunięte do krańców ostatecznych uderza nas w umysłowości Słowackiego, jako jej rys zasadniczy. Istotę marzycielstwa stanowi dążność umysłu do przekształcenia w myśli stosunków rzeczywistych w idealne, wynika ztąd nieprzeparty pociąg do budowania zamków na lodzie, świat chce się widzieć nie takim, jakim jest, lecz

jakim być powinien, podstawą asocyacyi jest kontrast i idąca zatem idealność (Bain). Usposobienie takie, gdy pochłonie umysł, pociąga za sobą nie jedno niebezpieczeństwo; mając bowiem wtedy na oku zawsze i wszędzie przepaść rozdzielającą świat rzeczywisty od świata marzeń, tracimy zdolność do sympatyzowania z dążnościami i czynami ludzi zwykłego poziomu, osłabiamy uczucie; następnie spacza się w nas sam proces myślenia, gdyż zbyt jest ułudną goszcząca w wyobraźni utopia, aby się ją miało porzucić przez wzgląd na sprzeczność jej z rzeczywistością, przeciwnie, mimowoli gotowi jesteśmy naprężać całą władzę rozumowania do na ciągnięcia faktów w ten sposób, iżby usprawiedliwiały dążność oderwaną od świata i bezpodstawną, z pominięciem wyraźnej nawet w oczy bijącej prawdy, — wreszcie marzycielstwo paraliżuje wolę, pozbawiając ją gruntu z powodu zupełnej niemożliwości urzeczywistnienia chwiejnych wytworów wyobraźni, nietrzymanej w karbach rozumu.

Chcąc określenie to zastosować do Słowackiego, należy mieć na uwadze potężną jego, granic nieznającą fantazyą, którą niezaprzeczenie przewyższał wszystkich poetów naszych, a pojmiemy wtedy, jak bezwzględnie rządził jego duszą ów pociąg marzycielski. Marzenia jednak Słowackiego miały nieraz wybitny społeczno-patryotyczny odcień. Poeta, kochając się w nich, chciał je też widzieć wnet urzeczywistnionemi, i właśnie w tem odbiła się jego głęboko-polska dusza, w tem też zasadnicza różnica pomiędzy polskiem i w ogólności słowiańskiem, a niemieckiem zapatrywaniem na świat: jeśli zaprzepaszczanie się w bezdniach zaświatowości, jeśli nurtujące tęsknienie do *dahin* wspólne są obydwom plemionom, to u zachodnich sąsiadów naszych umieją one jednak iść w parze z najtrzeźwiejszym realizmem w życiu codziennem, z rzadkiem, wyjątkowem niemal wyrobieniem zmysłu praktycznego: sprawy powszednie idą jednym torem,

a twórcze marzenia poetów drugim, nie zachodzą sobie w drogę, to też przyjemnie spocząć po całodziennym trudzie nad stronicą poezyi, przenieść się z Goethem lub Schillerem pod pogodne niebo Hellady wiecznie młodej, wiecznie uśmiechniętej i wiecznie wabiącej posągowem pięknem kształtów i rozkoszną pełnią sił i życia, — lub zadumać się z Nowalisem w tajemniczych świątyniach gotyckich, lub śnić ze Szleglem o nadgangesowych otchłaniach nirwany. O jakże inaczej było u nas! Niemożliwość dla nas nie istniała, złote marzenia swe pragnął poeta widzieć przekształconemi w czyn, wieszcze nawoływania jego przenikały w krew społeczeństwa — ztąd donkiszoterya w polityce, a mistyka w filozofii i sztuce.

Marzycielstwo Słowackiego wyszło najpierw na jaw w tych wszystkich jego utworach, nad któremi pracował pod wpływem Byrona, przed opuszczeniem kraju tj. w 1829—30 r. Najbardziej pomiędzy niemi godzien uwagi „Arab".

Pisał go poeta w listopadzie 1830 r. Rzadko się zdarzy spotkać coś równie spaczonego pod względem myśli i uczuć: Arab, serce którego „skamieniało" wśród kamiennych ludzi, bawi się w tępienie radości, gdzieby tylko „błysła niespodzianie". Spotyka np. rybaka zadowolonego swą dolą, rzuca wtedy perłę do morza, starzec rzuca się w wir fal, ale napróżno:

„Wypłynął — była na twarzy zgryzota"
Zawołał z jękiem i płaczem: O Boże!
Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty.

Drugą razą spotyka starca, którego synowie dopieroco polegli w pustyni, otruci wodą ze studni. Schyla się biedny starzec, aby napić się tejże wody i śmierć znaleść, lecz Arab nasz woli chwycić go i unieść daleko:

„Ha, on chciał śmierci, ja mu dałem życie,
Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało".

Ale bohater nie zadowalnia się podobnemi wybrykami, bo kończy na zazdroszczeniu szczęścia nawet roślinom i zasypuje źródlane kryształy, by zeschła i zwiędła palma żyjąca z wilgoci strumienia. Nareszcie, przeczuwając śmierć, pragnie zasnąć w stepach i marzyć o raju, ale:

Nie — nie chcę raju... lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrzące promieniami słońca. i t. d.

Rzecz jasna, że negacya posunięta do tak potwornie dziwacznej przesady, nie mogła wypływać z prawdziwego wniknięcia w nędze społeczne; głębsze zastanowienie się i przejęcie niedolą powszechną nie doprowadzi nigdy do bezwzględności w wątpieniu, nienawiści i w zemście: przeciwnie obok czarnych stron niechybnie ukażą się wtedy i jaśniejsze, a w skardze bolejącego wieszcza zabrzmi cicha nuta przebaczenia i nadziei.

Znać w tym utworze potężny wpływ Byrona. Lecz zkądże pomimo tego tak nieskończona różnica pomiędzy wieszczem angielskim, a jego polskim uczniem? Znajdziemy odpowiedź w różnicy ich usposobień. Umysł Byrona zawierał w sobie nierównie więcej równowagi, rozpacz nie pochłaniała go, miała ona przyczynę osobistą w uczuciu obrażonej dumy i ogólną ludzką w szlachetnym proteście przeciwko panującej w Europie reakcyi, przeciwko uciskowi swobody myśli i przeszkodom w swobodnym rozwoju indywidualności. Wprawdzie, w pierwszych utworach angielskiego wieszcza narzekania jego miały tylko osobiste powody, ztąd też dużo w nich nieszczerości i przesady, lecz umysł Byrona dojrzał prędko. Chociaż niesłychana duma wraz z poczuciem wyższości osobistej usposabiały go sceptycznie i pogardliwie względem ogółu ludzi. jednak w gorącem dążeniu do prawdy, umiał zejść się z nimi, umiał

ocenić szlachetne usiłowania walczących o swobodę narodów, umiał dla nich znaleść nieśmiertelne słowa otuchy, umiał uczcić sztukę i ukorzyć się przed wiecznem pięknem utworów jej mistrzów, umiał wreszcie uwierzyć, że prawda kiedyś zwycięży, że „szczęście na ziemi nie jest snem".

Wprawdzie Byron III i IV pieśni „Child Harolda", rwący się, kochający i cierpiący, pozostał hieroglifem dla naśladowców, natomiast aż zbyt wyraźnie przemówił do umysłów ogółu Byron pierwszych dwóch pieśni, zobojętniały i przesycony używaniem życia, ale i tu go spaczono, przejęto się bowiem jego dandyzmem i arystokratyczną ironią, a zapomniano o pięknych strofach w cześć bohaterów Grecyi i Hiszpanii...

I Słowacki nie pojął Byrona. Płynęło to wprost z jego usposobienia, był on marzycielem i nic więcej: im bardziej się pogrążał w czarodziejskie sny, tem silniej czuł bezdeń całą, co się otwierała pomiędzy nim a światem, nic go z ludźmi nie wiązało, był on równie obcym dla nich, jak oni dla niego! Stan duszy Słowackiego pojmie ten tylko, kto sam doznał zatrutych, lecz nieskończenie ponętnych słodyczy marzenia: z niedościgłej wysokości snów swoich spoglądał on na powszednie krzątania się ludzi koło marnych spraw życia, czuł się wyższym od nich całą potęgą i całym czarem uniesień swoich, rzecz więc jasna, iż nieraz wstrętem i zgrozą przejmował go świat ludzki, do którego pomimo woli czuł się przywiązanym. W takiej chwili powstał „Arab", ztąd ta nieskończona nienawiść do wszystkiego, co ziemskie.

Niemniej wyraźnie maluje owo usposobienie Słowackiego pokrewny Arabowi, a nieco wcześniej wydany poemat „Mnich". Jeśli w Arabie uderza nas przedewszystkiem namiętna negacya rzeczywistości, a powodów jej musimy się dopiero domyślać, to w Mnichu negacya owa, chociaż

z mniejszą występuje siłą, jednak przyczyny jej wskazane są znacznie wyraźniej. Bohatera powieści, który był niegdyś wodzem pokolenia arabskiego, unosiły marzenia po wrzących obszarach pustyni:

„Marzyła dusza. Ileż razy w spiekł,
Ścigałem w stepach znikome obrazy".

Raz go dolatuje odgłos nieznanej, melodyjnej muzyki; był to dźwięk dzwonów; puściwszy wodze koniowi, goni za dźwiękiem i wkrótce wspaniały obraz uderza wyobraźnię jego: kościoł lśniący od złota i świateł, kolumny wysmukłe, jak stepowe palmy, na czołach ich liście złote, u stóp skały z marmuru. Lecz jeszcze piękniejszym wydaje mu się ów anioł odmalowany na szybie jaskrawej, wśród dymu kadzideł zstępuje ku niemu i roztacza nad nim skrzydło swe złote. Wrażenie to rozpala wyobraźnię młodzieńca, zostaje chrześcianinem. Zrywa przeto z rodziną i z narodem. Kochanka umiera ze zgryzoty, brat i ojciec czyhają na jego życie, brata zabija, nie poznawszy go, w pustyni, — ojciec napada na klasztor, lecz umiera ranny w czasie szturmu, — wreszcie sama martwota i chłód życia zakonnego rozczarowują marzyciela. W rzewnej spowiedzi przedśmiertnej błaga, by go poniesiono na stepy, aby mógł umrzeć wśród oaz kwiecistych:

„tam drzewa czują, — tu ludzie jak głazy."

W przezroczu mgły i chmur ukazuje mu się zmarła kochanka, słowy pieszczotliwemi wzywa go do siebie, roztacza przed nim rozkoszne obrazy nieznanych, a przypominających raj Mahometa, krain, w których przebywa, tam mają żyć samotni, szczęśliwi... Ale, niestety, zapóźno.

Mnich cierpi i umiera ofiarą marzeń, świat rzeczywisty o tyle go pociąga, ile daje pokarmu jego fantazyi, staje się chrześcianinem, gdy mistyczna poezya obrządków przema-

wia doń ognistemi wyrazy, rozczarowuje się, zetknąwszy bliżej z nową wiarą, a nęcą go wtedy i dręczą gorące i rozkoszne sny o raju wiernych synów proroka, nieskończenie tęskne i zmysłowe, coś w rodzaju pieśni przeciągłej i melancholicznej, którą wygrywa derwisz, gdy współtowarzysze jego w nieprzytomnej ekstazie rwą sobie włosy i rozraniają ciało oczekując, by bóstwo wstąpiło w ich dusze spragnione. Zatem, gdy bohaterowie byronowscy umierali ofiarami obrażonej dumy i ambicyi, Mnicha prowadzi do grobu niepohamowany prąd marzeń, — rys nader charakterystyczny, a rzucający doraźne światło na stosunek Słowackiego do Byrona.

Pozostaje zapytać, co popchnęło Słowackiego w objęcia byronizmu? Rzecz jasna, iż poezya, której treść polegała na starciu się przewyższającej ogół jednostki ze społeczeństwem, niemogącem dorość do jej ocenienia, szczególnie przekonywająco musiała przemówić do umysłu marzyciela, pojmującego, że mało ogniw wiązało eteryczne jego bujania z dążnościami ogółu ludzi. Dołączyła się do tego niemniej ważna okoliczność, która spowodowała niegdyś zniechęcenie autora Don Juana do społeczeństwa, mianowicie miłość nieszczęśliwa. I Julek miał „anioła snów dziecinnych“ w osobie Ludwiki Śniadeckiej, ale anioł ów znacznie od niego starszy nie brał naseryo namiętnych wynurzeń rozmarzonego młodzieniaszka i upokorzony poeta zerwał z nią, „bo dziecko miało duszę wielkiego człowieka, przeczuciem nakarmioną“, jak się wyraził później o sobie w „Godzinie Myśli“. Stanęło mu w oczach upokorzenie obecne, obok przyszłości dalekiej, pełnej „blasku i sławy i oklasków ludzi“. Jakże więc boleśnie uderzyło go pogardliwe odrzucenie uczuć, w które z taką siłą wylała się młodzieńcza dusza poety, tak namiętnie tęskniąca do istoty, coby uosobiła mgliste jeszcze, ale gorące, ale pożerające już

umysł i ciało marzenia, jakże nieskończenie wzgardy godną wydała mu się ludzkość cała, jeżeli najdoskonalsza na tym świecie istota nie umiała przejąć się i roznamiętnić czarodziejską potęgą marzeń poety! rzucił ją przeto i silił się zapomnieć, duma nie pozwalała mu wyznać powodu cierpień i dopiero, gdy przeszedł szał rozpaczy i gdy zimniej spojrzał na swą przeszłość, wspomniał o minionych już udręczeniach miłośnych i to pobieżnie w dwóch tylko miejscach: w „Godzinie Myśli“ i w pierwszej scenie Kordyana. Lecz ta pierwsza walka uczuć natchnęła rozpaczą i rozczarowaniem byronizmu wszystkie wydane wtedy utwory, „Araba“ przedewszystkiem, następnie „Mnicha“ i inne, które opuszczam, zatrzymując się na chwilę tylko na tragiedyi „Mindowe“, godnej uwagi ze względu na osobistość bohatera. Już w parę lat po napisaniu dramatu tego pojął autor całą jego słabość i wyznał w przedmowie, że w dziecinnej powinien byłby zostać tece, starał się zaś usprawiedliwić wydanie jego „dziecinnem“ przywiązaniem do kilku scen aktu I i do całego aktu III. Otóż tam właśnie głównie występuje Mindowe, przypuszczam więc, że jegoto postać i później nęciła Słowackiego, co się tem bardziej potwierdza tą okolicznością, że w lat kilkanaście potem powtórzył go w „Królu Duchu“. Małecki zwraca uwagę na rażące sprzeczności w charakterze „Mindowego“ i w rzeczy samej trudno przypuścić, aby rzewnie tkliwa miłość do ojczyzny, do błękitnych wód Niemna i do balsamicznych borów litewskich mogła iść w parze z uczuciem, wyrażonem w następującem ustępie:

Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza
Lud podły, ciemny, dziki czołga się pode mną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.

Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie
Uchyla korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny...

A jednak Słowacki nie upatrywał w tem sprzeczności; zdawało mu się, że samby tak postąpił, znajdując się w podobnych warunkach. Takie pojmowanie rzeczy płynęło wprost z połączenia usposobienia ultra marzycielskiego z silnym instynktem społecznym, któryto powodował niepohamowaną chęć natychmiastowego przeprowadzenia ideału w czyn. Marzycielstwo, pochłaniając rozsądek i przytępiając uczucie, objawia się w odpowiedny sposób w dziedzinie czynu: ideał utworzony pieści wyobraźnię, a każe zapomnieć o rzeczywistych pragnieniach i dążnościach społeczeństwa, które się uważa za martwe tylko narzędzie: w danym razie wielki niezawodnie cel przyświeca Mindowemu, lecz, dążąc do urzeczywistnienia potęgi Litwy i do wytępienia Krzyżaków, nie przebiera w środkach: wbrew instynktom własnym przyjmuje znienawidzoną wiarę chrześciańską, następnie przyucza naród do karności okrucieństwem i strachem, „przyciska go całym ogromem ciemnoty“ i w rzeczy samej dosięga celu, bo „ciemny Litwin na jego skinienie uchyla korne czoło“. Niemoralność tych środków nie zastanawia go, nie dba nawet o to, że Litwin nosi już w sercu „chytrość w miejscu cnoty“, daje tylko kiedyniekiedy wolę sentymentalnym nieco narzekaniom nad tem, iż naród nie pojmuje wzniosłych jego dążeń. Idei tej Słowacki nie porzucił, z dwojga złego wybierał mniejsze i w 17 lat później „Król Duch“ mając te same przed sobą cele, używał tychże środków.

Tyle o młodzieńczych utworach Słowackiego; pomimo że treść ich była niedojrzałą i przesadną, wykazały jednak wyraźnie, iż pod względem fantazyi autor ich zdoła

wznieść się na niedościgłe wysokości, żaden bowiem poeta nie stawał dotąd przed publicznością w szatach tak okazałych, nie olśniewał taką rozmaitością i jaskrawością barw, ani upajał tak czarująco słodkim nektarem marzeń.

2.

W październiku 1831 roku, Słowacki opuszcza kraj; od tego czasu pozostaje w ciągłej korespondencyi z matką: mamy przed sobą długi dwutomowy szereg listów jego, w których z dziecinną otwartością wynurza się ze wszystkich myśli, uczuć i wrażeń przed jedyną istotą, którą kochał całą siłą swej duszy; śmieje się w nich i płacze naprzemian, zachwyca czytelnika iskrami błyszczącego humoru, odurza go i upaja wonią sennych jakichś i czarodziejskich majaczeń, rozmarza słodyczą kontemplacyjnych zatapiań się w cudach przyrody, wreszcie zniechęca nieraz wybrykami dziecinnej próżności. Pełne prostoty serdecznej i szczerości, a jednocześnie porywające pięknością obrazów, listy te są cudnym poematem, w którym poeta, nie przeczuwając snać, że staną się kiedyś pastwą publiczności, odmalował siebie, jakim był istotnie, bo obok wysokich polotów ducha wieszczego, nie skrył licznych słabostek i ułomności swoich. Niech więc listy posłużą nam za podstawę do głębszego wniknięcia w tajniki marzącej duszy wieszcza.

„Wszystko mnie znudziło, musiałem wszystko porzucić i jak waryat gonić za urojoną nieśmiertelnością“, pisze Słowacki 24 stycznia 1832 r. Chociaż powód nagłego wyjazdu poety nie jest znanym, ale słowa te wyraźnie malują jego istotną przyczynę. Widzieliśmy, jak niepohamowany prąd marzeń unosił poetę poza krańce rzeczywistości; wobec blasku snów świat wydawał mu się naturalnie nudnym, poeta przewyższał go

całą potęgą polotów fantazyi, czuł się uprawnionym żądać szerokiego pola do działania, aby mógł przekształcać stosunki społeczne na wzór owych uroczych, które wyłaniał jego mózg rozpalony. Obok nieskończonego marzycielstwa królowała w umyśle Słowackiego wypływająca poniekąd z tegoż marzycielstwa próżność bez granic i ambicya. Nie wystarczała mu skromna posada w ministeryum finansów, nie działo się tam wszystko podług myśli jego, więc nie umiejąc poświęcić osobistych zachceń na ołtarzu ojczyzny, wolał porzucić kraj a „gonić... za urojoną nieśmiertelnością".

Poeta znał jednak siebie pod tym względem: „Jestto nieszczęśliwe skierowanie moich myśli w dzieciństwie, — żali się w tym samym ustępie listu: — wiesz, mamo kochana, powiem ci to, czegom nikomu nie mówił: w dzieciństwie, kiedy byłem egzaltowanie nabożnym, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie najnędzniejsze, żebym był pogardzany przez cały wiek mój, tylko za to, żeby mi dał nieśmiertelną sławę po śmierci".

Stosownie do okoliczności przeważały w umyśle poety to marzycielstwo, to ambicya, — to zapominając o świecie, błąkał się po obszarach marzeń, to znów wskutek ciągłych styczności z ludźmi mniej mógł żyć fantazyą, a natomiast podniecona miłość własna zmuszała go do gonienia za sławą i za oklaskami! Ostatecznie jednak brało górę marzycielstwo. Do tych cech zasadniczych umysłowości Słowackiego dołączyły się wkrótce rozbudzone przez wypadki listopadowe, instynkty patryotyczne, które miały z czasem całkowicie opanować duszę poety. Wprawdzie już wnet po wybuchnięciu rewolucyi ułożył wziętą wówczas „Pieśń do Bogarodzicy", następnie: „Pieśń legionu litewskiego" i „Kulika", jednak listy, pisane w pierwszych czasach po wyjeździe z kraju, świadczą, że nie poczuwał się do winy i że mało dbał o to, co się tam dzieje; czasami wprawdzie za-

smuca go myśl, że może już nigdy nie wstąpi w progi ojczyste, że mogą posądzić go o tchórzowstwo, ale są to uczucia przelotne, charakter listów przeważnie wesoły, cieszy się poeta z nowych znajomości, z pięknych okolic Drezna, lecz się więcej jeszcze z tego, że go znają powszechnie i cenią, jako autora popularnych wówczas hymnów. Toż samo w Paryżu. Z radością donosi, iż na jednym z publicznych obchodów wiceprezes upraszał go, w imieniu towarzystwa, jako największego z poetów polskich, o deklamacyą, — że w „Biographie des Contemporains“ figuruje i jego imię umieszczone obok słynnych imion: Śniadeckich, Skrzyneckiego, Smuglewicza i Euzebiusza Słowackiego; po wiadomości o śmierci Göthego przychodzi mu w pierwszej chwili myśl, że Bóg wziął ze świata niemieckiego wieszcza, aby było miejsce dla niego; nie umie znaleść wyrazów dla opisu szczęścia, że już drukuje dwa tomy poezyj swoich, a po wydaniu ich tak go odurzają pochwały niektórych współziomków, że, jak pisze do matki, już go krytyki nic nie obchodzą. W parze z ambicyą poety idzie próżność światowego dandysa: z upodobaniem opisuje powierzchowność swoję i strój: „Pierwszy raz zwróciłem ubiorem oczy dam, — pisze 12 lipca 1832 r., — bo miałem białe szarawarki, kamizelkę białą, kaszmirową, w ogromne różnokolorowe kwiaty i kołnierz od koszuli odłożony, laseczkę z pozłacaną główką“. Pochlebia mu, iż panna Pinard znajduje, że przypomina Oswalda z Korynny, i komiczne nieco wrażenie sprawiają słowa poety z powodu portretu swego: „Cieszę się, że mój portret przypomina mnie mamie, ale muszę tu napisać, że nie mam ani ciężkiego odetchnienia, ani obłąkanych oczu, mam tylko jakąś myśl ciągłą i ponurą, która mi zawsze marszczy lekko czoło i zdaje się wisieć nad oczyma“. Równocześnie dandyzm jego objawia się w kokietowaniu panien; nie kochając, zaleca się pannie

Korze Pinard i w stosunku tym razi nas brak moralnego poczucia ze strony poety, bo żartobliwie potem donosi matce, że „przez grzeczność“ powiedział kiedyś Korze, iż ją kocha, że ta się przyznała mu we wzajemności, że mścił się odtąd na niej za wszystko, co od wietrznic ucierpiał, że dawał jej uczuć, iż ma ją za dziecko, że wreszcie Kora wskutek tego wpadła w gorączkę z delirium. Bawią go więc tylko niewesołe następstwa zawiedzionej miłości. Jednem słowem, mamy dotąd przed sobą rozkapryszonego autora „Araba“.

Lecz chociaż żył poeta prawie wyłącznie życiem zewnętrznem, jednak przemawiały w nim nieraz lepsze i głębsze żądze ducha; czuł doskonale całą pustotę życia swego: „Kochana mamo, — pisze dnia 26 maja 1832 roku — otóż to są szczegóły mego życia w Paryżu; jeżeli się nad niemi zastanowicie, to żałować mnie będziecie, że nie mam żadnych przyjemności uczuć, tylko przyjemności wrażeń“ lub później w grudniu tegoż roku: „Miałem w tym miesiącu kilka zdarzeń pochlebiających mojej dumie, więc doznałem kilka chwil szczęścia, wyznajcie, że nędzne to życie, co w tem szczęścia szuka!“ Przebywał w Paryżu Słowacki jedynie z powodu druku poezyj swoich, miasta nie lubił, uskarżał się nieraz na otoczenie: „Wiele mam teraz znajomych (grudzień 1831), ale żadnego miłego, żadnego, z którymby mi było żyć przyjemnie i chciałbym jaknajprędzej wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojej imaginacyi, bo Paryż bardzo prozaiczny i szkaradny, ani tak świetny, jak był kiedyś, dawniej“. Więc już w początku pobytu tęsknił marzyciel do ciszy, tymczasem dopiero w rok potem mógł opuścić znienawidzone miasto, nieustannie przeto wzrastała w nim tęsknota do samotności, a gwar i szum paryski przejmował go wstrętem. Marząc o zamieszkaniu w Genewie, poeta pisał między innemi: „Może na wiosnę znajdę

sobie mieszkanie nad jeziorem Genewskiem, w jakim wiejskim domku i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowemi: bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność, ale nudną, przerywaną hukiem powozów, rozmową nudnych znajomych, więc mię nie obwiniaj matko, że cichszej samotności szukać będę". To też z radością opuszcza Paryż; w dyliżansie w nocy, nie mogąc zasnąć, przebiega w myśli cały pobyt w tem mieście i nie znajduje żadnych wspomnień przyjemnych z wyjątkiem chwili, kiedy przyniesiono mu z druku pierwsze dwa tomiki poezyj. Po przybyciu do Genewy, pierwsze uczucie, które go przejmuje, i któremu oddaje się z całym zapałem duszy spragnionej, to szczęście z otaczającej go ciszy. „Nie uwierzysz mamo, — pisze wkrótce potem — jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mię dokoła otacza; zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia".

Ludzie obdarzeni żywą wyobraźnią tworzą w myśli na tyle ułudne obrazy świata rzeczywistego, że, podlegając z tego względu nieustannym rozczarowaniom przy zetknięciu z suchą prozą życia, znajdują jedyną pociechę albo w snuciu coraz to nowych marzeń, albo we wspomnieniach zamglonych czasem, a ozłoconych natomiast fantazyą. To właśnie się zdarzyło ze Słowackim; rozczarował się, ujrzawszy Paryż i Londyn, z usposobienia zaś swego zdawał sobie dokładną sprawę, pisząc do matki następujące słowa (Paryż, październik 1831): „Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko okazuje się mniej pięknem, jak było w imaginacyi i potem zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany, drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyą. Kiedyś utworzy się trzeci najpiękniejszy z imaginacyi i z sen-

nego przypomnienia, i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z tych trzech obrazów". Niepodobna dać dokładniejszego określenia marzycielsko nastrojonej wyobraźni. Należałoby więc przypuszczać, że podobne rozczarowanie spotka poetę i w Genewie; stało się jednak przeciwnie. „Pobyt w tem mieście — pisze poeta wkrótce po przyjeździe — utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy" (10 listopada 1833 r.), zdaje mu się, że będzie kiedyś żałował dni spędzonych nad Lemanem (15 listopada 33 r.), listy odbierane z domu lubi odczytywać nad jeziorem, a po przeczytaniu myśli o swoich, „patrząc na rozległe błękity fali. Nie uwierzycie, ile ten obraz ma smutku i myśli; szum jeziora zaledwo słyszeć się daje, cicho, cicho, i słyszałbym głos wasz, gdybyście mię wołali. Tu wszystko cichą przybiera barwę, nawet wspomnienia wielkich ludzi są wspomnieniami cichego życia" (15 marca 33 r.). Jednem słowem, szczęśliwość nieopisana, jaka ogarnęła Słowackiego, po osiągnięciu upragnionego wypoczynku, wśród cudnie uroczej przyrody, nie dała miejsca rozczarowaniu, które w innych warunkach niechybnieby nim owładnęło. Mając pole do bujań eterycznych, poeta zapominał o wszelkich innych dolegliwościach, spokój zaś zewnętrzny i piękna natura były głównym warunkiem do poruszenia w nim struny marzycielskiej. W Genewie miał jedno i drugie. Marzył więc, upajał się otaczającą go ciszą, rad, iż odzwierciedlała się w duszy jego skołatanej i wymęczonej szumem paryskim i nudną drobiazgowością życia towarzyskiego, — myślał nawet o wytworzeniu sobie filozofii życia, którąby mu zapewniła jasność i pogodę myśli. W tym celu począł studyować myślicieli niemieckich, ztąd też zapewne ówczesny zachwyt jego nad poezyą Kochanowskiego, tak pełną heleńskiej prostoty i heleńskiego spokoju: „Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmuszają do tego, abym

w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył; dotąd już tyle w nauce tej postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchnięty przez godność natury człowieka. Zewsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności, próżno się o zewnętrzną starają" (27 kwietnia 1834).

Wobec pogody, która, jak zdawało się, na długo miała zapanować w umyśle poety, warunki pracy jego w twórczo artystycznym kierunku były nader korzystne. Nigdy zewnętrzne okoliczności nie sprzyjały Słowackiemu do takiego stopnia. Natura genewska łączyła w sobie wszystkie cuda, o jakich tylko mogło się zamarzyć — i łagodne niebo, i zieleniące się przez większą część roku błonia, i ginące w nieprzejrzanej dali błękity Lemanu, i alpejskie szczyty śnieżne... a poeta nasz zamieszkał właśnie w najpiękniejszem ustroniu, gdzie dziś wspaniałe hotele Quai des Paquis nęcą podróżnych do dłuższego wypoczynku. Codzień przeto miał przed sobą najśliczniejsze widoki miasta i okolicy, wyobraźmy więc sobie rozkosz, jaka ogarniała młodego marzyciela: rozmarzał się, i rozleniwiał, i ginął w iskrzących się i promieniejących nieskończonościach jeziora, wsłuchiwał się w szelest lubieżny i łagodne podmuchy wiatrów, snuł sobie tęczowe sny, tonąc wzrokiem i duszą w jaskrawych odblaskach, któremi słońce zachodzące ubarwiało powierzchnię wód, a niemasz na jeziorze genewskiem chwili cudowniejszej nad zachód słońca, zwłaszcza, gdy lekki zefir budzi i podnosi senne fale; zwolna wtedy, z pluskiem cichym i jednostajnym rozbijają się leniwie o brzeg, gwar jakiś tajemniczy i ledwie dosłyszany zda się rozlegać w głębi wód wołają ku sobie, mówią o zatopionych miastach, o ukrytych skarbach, o nieznanych krzewach, jest zaś w tym gwarze coś z owej tęsknoty nieskończonej i pożerającej, którą tchną bezbrzeżne obszary pustyń i wód — i coś z romantyki i bajek o zaklętych królewnach, o zaczarowa-

nych kwiatach i drzewach i o wróżkach mściwych... Tymczasem zapada powoli mrok, wraz z ostatniemi odblaskami, co ozłacały starożytne domostwa Genewy, miasto samo zapada w dal i ciemność, tylko księżyc wschodzący znad szczytów Mont Blanc oblewa światłem zimnem, a majestatycznem cały szereg dalekich śnieżnych wierzchołków. Olbrzymie a ciche — jak śpiew skamieniały wieków bohaterskich — podnoszą pierś, świeży potok życia leją w ducha, szepcą hymn wiekuisty o wiecznie czystych błękitach, o orlich potokach i orlej swobodzie... I marmurowy spokój gór zlewa się z tęskliwem łkaniem fal w cudną iście i pełną harmonią, bo nie brak w niej żadnego z tonów, któremi przyroda zwykła przemawiać do duszy, bo nigdzie chyba poezya gór i poezya wód nie roztoczyły wspólnie i w takiej okazałości wszystkich swych wdzięków.

Ale nie koniec na tem. Niema potrzeby dowodzić, jak dodatnio działają na usposobienie wszelkie uczucia sympatyczne, otóż i pod tym względem znalazł się Słowacki w najszczęśliwszych warunkach. Zamieszkał bowiem na pensyi u pani Patteg, której córka Eglantyna uczuła wkrótce ku poecie coś głębszego niż przyjaźń. Listy jego dostarczają dużo szczegółów co do ich stosunku i rzewne współczucie wzbudza w nas śliczna postać Szwajcarki, która tylu staraniami umiała otoczyć i ozłocić smutne życie marzyciela, kochając go, choć beznadziejnie, lecz silnie i trwale. Słowacki od czasów wileńskich nie kochał się nigdy, nie wiele więc mógł dać Eglantynie wzamian za jej poświęcenie, ale umiał ocenić jej przywiązanie, a żywe poczucie tej atmosfery serdecznej i ciepłej, którą oddychał, było jednym z głównych powodów szczęścia i wewnętrznego spokoju poety w tej przykrej zkądinąd epoce: „Spokojne teraz wiodę życie — pisze 30 listopada 1833 r. — sam jestem w domu z matką i córką Patteg; kochają mię jak syna i brata, podzielają

wszystko ze mną, słowem, że mię Bóg do ich domu przyprowadził; kiedyś wróciwszy do mojej krainy nieraz będę tęsknił może za tem cichem teraźniejszem życiem". W czerwcu 1834 r. Eglantyna wyjechała na czas jakiś do Paryża, poeta poczuł wtedy głębiej samotność swoję i wkrótce potem rzewnie opisał w liście do matki chwile rozstania. Powóz miał zajechać o 4-tej zrana, Słowacki obiecał Eglantynie, że ją zbudzi, nie kładł się więc wcale i o 3-ciej zapukał do drzwi. Słońce nie było jeszcze wstało, tylko niebo poczynało na wschodzie rumienić się i złocić, ptaszki budziły się ze snu i na czystem tle powietrza wyswobadzały się powoli z mgły i ciemności śnieżne szczyty Mont-Blanc'u. Oboje stanęli na wzgórku, zkąd mieli przed sobą Genewę całą, jezioro i góry, chłód poranny przejmował poetę dziwnem jakiemś drżeniem: „Eglantyna, płakała, jak dziecię; ja byłem takim, jakim mię często, mamo, widziałaś z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia, każda chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którem całe moje smutne życie widzę w zmieszanych kolorach". Przyjaciółka odjechała, poeta został sam i pełen słodkiego rozrzewnienia, długo nie mógł oderwać wzroku od wschodzącego słońca. W tym opisie odjazdu, w myślach, jakie w nim wzbudził, odbił się rys charakterystyczny fantazyjności Słowackiego: gdy jakie zdarzenie zewnętrzne silniej uderzało myśl jego, wnet kojarzyło mu się w wyobraźni ze stosownym obrazem – najczęściej z natury — pełnym tego smutku i tęsknoty, które się zrosły były z duszą poety. Wskutek tego sam fakt, przybierając barwy idealne i fantastyczne kształty, przeistaczał się całkowicie, pieścił myśl jego, długo zostawał dlań uroczem wspomnieniem. W danym wypadku pogodny majestat budzącej się przyrody nadaje dziwnej uroczystości smutkowi rozstania, smutek obecny wywołuje wspomnienia ubiegłych smutków, a wszystko,

łącząc się razem, tworzy jeden z najpiękniejszych obrazów w listach wieszcza. Podobnież, wkrótce po przyjeździe do Genewy, Słowacki odebrał wiadomość z Paryża o śmierci przyjaciela, który, konając, powtarzał ciągle: „niema Julka“ i płakał: „było to rano, ślicznie słońce świeciło, przeczytałem list“, długo potem płakał poeta, bo gwałtownie mu się zechciało być w tej chwili na cmentarzu Père Lachaise, „bo ranek był tak piękny i cichy“ i usiąść na grobie przyjaciela i rozmyślać. Więc śmierć bliskiej osoby powiązana z wrażeniem pięknego poranku słonecznego budzi w nim tęskną myśl o smutnych, choć pełnych uroku rozmyślaniach na cmentarzach, w cieniu drzew szepcących ciche modlitwy i westchnienia, pod pogodnemi błękitami nieba.

Gdy był dzieckiem, matka zachęcała go do uczenia się pofrancusku tem, że przeczyta wtedy przygody szkockiego rycerza, Wallasa; imię to uderzyło wyobraźnię chłopaka, przedstawił sobie bohatera podobnego do burzy, co wali lasy; wkrótce potem, gdy, nauczywszy się języka, już czytał owe przygody, matka grała razu jednego smutnego walca niemieckiego i odtąd wspomnienie o rycerzu walącym lasy powiązało mu się nazawsze z rozmarzającym dźwiękiem walca, tak, że w 1834 r., gdy pisał niedokończoną, niestety, tragiedyą p. t. „Wallas“, powroty myślą do lat dziecięcych, uprzyjemniały mu pracę i, aby odświeżyć miłe wrażenia, grywał sobie tegoż samego walca. Otrzymawszy raz list od matki, w którym spowiadała się z marzeń swoich o kupieniu domku i o cichem życiu z synem, chodził poeta długo po ogrodzie, rozmyślając o projekcie, księżyc świecił i w ciszy śpiewał słowik żałośnie, jakby płakał. Melancholiczny blask i rzewna pieśń ptaszka dodały dużo smutku, siły i tęsknoty do bolesnych rozmyślań Juliusza nad niepodobieństwem urzeczywistnieniu projektu. Przykładu podobnego dostarcza znacznie już później list z Paryża w 1840 roku: gdy

matka przysłała mu wtedy poduszkę, własną jej ręką robioną, widok poduszki ciągle mu się kojarzył z tęsknotą wspomnień o matce, i z „tych dwojga ściskających się osób — pisał — ułożyłem sobie w myśli jakiś poemat fantastyczny". Ustępy w rodzaju przytoczonych znajdą się w każdym niemal liście, a wszystkie rzucają charakterystyczne światło na marzycielskie usposobienie poety i świadczą o nieprzepartym pociągu jego do przystrajania wrażeń zewnętrznych w kwiaty smutnej jakiejś fantazyi.

Spokój zewnętrzny, pogodne usposobienie ducha, piękna natura, wreszcie ciągły stosunek z osobami, które go kochały, i słodkie poczucie, że był pośród bliskich duchem, wszystko to razem sprzyjało twórczości Słowackiego: i w rzeczy samej poeta nie próżnował w tej epoce, tworzył Kordyana, Balladynę, Lillę Wenedę, Mazepę, w Szwajcaryi itp., wszystko dzieła, stanowiące krok naprzód w porównaniu do niedojrzałych, choć świetnych wybryków epoki wileńskiej; młody autor dał w nich dowód, że już świadomie dążył do harmonii w pracy swej twórczej: „Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrody — (Veytoux), pisał do matki z Genewy 20 października 1835 r., — były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonią, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękiem natury, widziałem ją zbliska błękitną, albo chmurną". Ale, niestety, pomimo niezaprzeczonego postępu, Słowacki ani wtedy, ani potem nie doszedł do zupełnej równowagi ducha; wygórowane marzycielstwo stanowczo mu w tem zawadzało, w przeciągu zaś trzyletniego pobytu w Szwajcaryi poeta rozmarzał się coraz bardziej, znajdując się pod wpływem częstych wędrówek po cudnym kraju i coraz to nowych wrażeń i zachwytów. Latem w 1834 r.

zwiedzał z pp. Wodzińskiemi środkową Szwajcaryą; owocem tej wycieczki było później jedno z arcydzieł wieszcza, poemat „W Szwajcaryi". Pisał też zaraz po powrocie w liście do matki: „Bardzo kontent jestem, żem odbył podróż po górach tego roku; obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci, imaginacya moja, jak salon, ustrojona jest nowemi malowidłami". Do wspomnień tej wycieczki wracał poeta później, rozmarzały go one zawsze i nawet pragnął nieraz zerwać zupełnie z ludźmi, a żyć tylko z naturą: „Za miesiąc — pisał 30 czerwca 1835 r. — myślę wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiej chacie lub oberży, aby widzieć chmury jesienne, łamiące się po skałach, aby się napoić pięknością natury i mieć na długo serce pełne myśli, rozpływających się w Bogu. Nie uwierzysz, mamo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wiele na wewnętrznego mię, a, jak ja często mówię, na wewnętrznego we mnie anioła".

Fantazyjno-marzycielskie usposobienie ogarniało Słowackiego szczególnie jesienią; cisza usypiającej natury działała, jak opium, na duszę poety wiecznie pragnącą cichych marzeń i snów, jesienią też tworzył najwięcej, bywał wtedy w dziwnie uroczystym nastroju ducha, który odbijał się w listach, niemniej jak w dziełach: „Mamo — dodawał po pięknem opisaniu Genewskiej natury w liście 17 października 1833 r. — nie dziw się stylowi tego listu, ani się lękaj o mnie; jestto proste jesienne usposobienie duszy, jestto tylko skierowanie wszystkich władz do przemagającej we mnie teraz imaginacyi. Żyjąc od dni kilkunastu tym chlebem, nie mogę się nagle przemienić, nie mogę wam opisywać płaskich codziennych wypadków, powtarzać słów jakiej panienki, które mi przez jedno ucho weszły, przez drugie wyleciały". W tym samym liście znajdujemy następujące słowa o działaniu wyobraźni na umysł poety: „Mamo, to dziwna, że imaginacya moja jest jedynem źródłem wszystkich moich

nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi... bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę, każdego ranku, kiedy chodzę po suchych liściach ogrodowej alei". Rozegzaltowując siebie w tym kierunku, dochodził Słowacki do pięknych myśli o wielkości swego posłannictwa poetyckiego i o szczytnych zadaniach, z których uiścić się się miał przed narodem, — i myśli takie usprawiedliwiały mu jego pobyt poza krajem, znajdywał w nich wzniosłą pociechę w cierpieniach żywota tułaczego. „Przyrzekłem sobie — pisał 22 września 1833 r. — nigdy za znaczeniem i bogactwem nie gonić; a jeżeli sława łechce czasem moję próżność, to prawdziwie, że jest to szlachetne uczucie, bo sławy nie dla mnie, lecz dla mojej biednej kuzynki pragnę; wierz mi matko, że jestto jedyny cel w mojem życiu. Drogo i poświęceniem własnego szczęścia kupuję możność służenia temu celowi, bo inaczej byłbym przy was, ale, powiedzcie mi, bez książek i bez pióra czemżeby było moje życie?"

Znajdując w marzeniach nietylko osłodę, lecz poniekąd i cel życia, Słowacki w owej epoce jeszcze nie pochłaniał się niemi w zupełności; po całych miesiącach, strawionych na bujaniach w krainach fantazyi, następowała chwilowa reakcya, ujawniająca się w zmęczeniu umysłu. To się dało szczególnie we znaki w ostatnim roku pobytu w Genewie; w liście z 18 grudnia 1834 r. uskarżał się poeta na odrętwiałość, która go ogarnęła po skończeniu prac poetyckich, na obojętność i melancholią, następnie 29 listopada 1835 roku pisał, że nadzieja wyjechania do Włoch i widzenia się z wujem Teofilem Januszewskim, „porwała mu łańcuch marzeń", z tego powodu nudzi się niesłychanie, bo niema męki większej nad czczość myśli, „nie wiem o czem marzyć, a, nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości". W tymże czasie smucił się poeta na

tem, że ciągłem życiem w niedostępnych sferach wyobraźni zabił w sobie dary i dowcip towarzyski i że są osoby, którym nie znajduje nigdy nic do powiedzenia „mimo tortury umysłowej, jaką sobie zadaję". Ale były to tylko chwilowe znużenia; nowe wrażenia, dając nowy pokarm łaknącej wyobraźni poety, uzdrawiały go całkowicie: po samotności szwajcarskiej, ujrzał się nagle Słowacki wśród cudów Rzymu: „Jak dziwnie powietrze działa na moje zmysły — wyrażał się w liście do matki — tego ci opisać nie mogę; mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich polotów do nieba; chciałbym tu był przepędzić moję przeszłość". Na to uniesienie poety wpłynęło w pewnym stopniu obcowanie w Rzymie z Zygmuntem Krasińskim: jego entuzyazm dla wielkich wspomnień Romy, zapał przekonań patryotycznych, wiara w olbrzymie posłannictwo narodu, świetna wymowa nie mogły nie zelektryzować wrażliwego umysłu Słowackiego; jednak zasadnicze popędy jego natury odezwały się prędko, pierwszy zachwyt minął i znowu poczuł poeta potrzebę ciszy i samotności. To też, przybywszy w czerwcu 1836 roku do Neapolu, począł myśleć o przeniesieniu się na czas dłuższy do Sorrento, a w liście do matki wyznawał, że go zmęczyły ciągłe wędrówki i że myśl jego, nawykła do spokojności i do wewnętrznego życia, domagała się spoczynku po tylu odmiennych wrażeniach. Zamiaru swego wkrótce dokonał i, zabawiwszy miesiąc w Sorrento, mile potem czas ten sobie wspominał: zamieszkał był w małym pokoiku, zkąd miał widok tylko na gaj cytrynowy i na morze, dnie całe spędzał z myślami swojemi i z Szekspirem, błąkał się wzdłuż wybrzeży, kąpał się w morzu, dźwięk organu w pobliskim kościele i gra dziewczynek wiejskich na gitarze wprawiały go w rozkoszne zamyślenie, zasypiał owiany gorącemi podmuchami wiatrów, niosących z sobą woń gajów cytrynowych, a patrząc na rozkołysane fale, ginął w słodkiej kontem-

placyi, bo szmerem ich uroczystym przemawiały do marzącej duszy poety tajemnicze istoty, zaludniające głębie oceanowe.

Niezadługo potem udał się Słowacki w podróż na Wschód; zajęła mu ona blisko rok czasu, karmił się więc nowemi wrażeniami: ze szczytów piramid spoglądał na bezbrzeżne pustynie Afryki, po których szybował niegdyś jego tęskniący Arab, płakał u grobu Chrystusa, wśród zwalisk bohaterskiej Grecyi rozmyślał o losach swojej ojczyzny, żył samotnie — z Bogiem i marzeniami w cichym klasztorze Libańskim, a do wspomnień tych wracał i później z tęsknotą. Bliżej jednak wrażeń jego nie znamy, pisał o nich mało, bo nie chciał, jak w którymś liście wspomina, zdjąć z nich przez to czarowny dla siebie urok. Po powrócie ze Wschodu mieszkał półtora roku we Florencyi, przeniósł się potem do Paryża, ale żadna zmiana nie daje się dostrzec w usposobieniu jego, zawsze staje przed nami ten sam oderwany od świata marzyciel. „Jak też mię Bóg wysłuchał! — pisał 3 października 1838 r. — ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie, to też On wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszemi wrażeniami, prowadzi mię po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid. Chwała mu za to i dzięki". Albo posłuchajmy, jak wyrażał się, opisując belweder w mieszkaniu swojem, zkąd widok miał na całą Florencyą: „W tym belwederze często sobie przebywam i dziękuję Bogu, że mi w życiu mojem pozwala ciągle coraz to piękniejszemi obrazami karmić oczy i samotności mojej odbiera tem żądło gorące, albo raczej zamienia ją w słodką melancholią". Owo usposobienie nie opuszcza go i w Paryżu, zkąd pisze w rok potem: „Najwięcej czasu przepędzam sam, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego taka korzyść, że mi życie złocą i różnemi okrywają tęczami". Podobnież i wtedy po rozmarzania

się następowały, niekiedy męczące reakcye; tak n. p. będą jeszcze we Florencyi w maju 1838 r. charakterystycznem malował wyrazy swoje przesycenie w marzeniach, czuł, ja powiada, potrzebę „odhartowania się“ w jakiejś suche nauce, „tęskno mi prawie za najsuchszemi godzinami życia za moją niegdyś biurową pracą“... „moja władza zachce zwaryowała“. Podobne uczucia ogarniały go następnie w Pa ryżu; w niejednym liście uskarżał się na męczące reakcy po powrótach z krain imaginacyi. Ale były to tylko chwi lowe zniechęcenia, po których poeta wracał do zwykłeg usposobienia.

Jak czarowny mazurek szopenowski, co wstrząsa du szą, a wywołuje mgliste jakieś obrazy i wspomnienia, jakie tęskne uniesienia, jakiś rozkoszy pełen niepokój, podobnie działają na umysł i listy Słowackiego, gdy się myślą obej mie ich całość: pod względem wrażenia, jakie po nich zo staje, nie ustępują wielu poetycznym utworom wieszcza postać Słowackiego okazuje się w nich w sympatyczner świetle nieziemskiego marzyciela i na każdym wywiera z teg względu dziwnie słodki urok. O ile pewien pociąg do nie znanego i do marzeń zaświatowych swojskim jest dusz każdego człowieka, o tyle listy poety, budząc tę właśni strunę, podnoszą i oskrzydlają ducha; o tyle każdy, co si przejąć niemi potrafi, przylgnie sercem całem do urocz postaci twórcy „Anhellego“ rozanielonej rozkoszą i blaskier ciągłych polotów w krainy nadgwiazdne.

Wskazaliśmy główną cechę charakteru Słowackieg zwróćmy teraz uwagę na pewien rys, zostający zapewn w stosunku z tą jego potężnie rozwiniętą fantazyą, mianc wicie na władzę przeczucia przyszłych wypadków, któr przykładów kilka znajdziemy w listach poety; tak np. w paź dzierniku 1832 r. otrzymał wiadomość o śmierci małej sio strzenicy, Melanki, co go ogromnie zasmuciło: „Zaglądają

do dziennika, — pisał — patrzyłem, com robił w dniu 28 w niedzielę, kiedyście tracili Melankę i znalazłem słowa: smutno mi, jak gdybym miał jakie przeczucie. Prawdziwie, że to jest coś niepojętego ta magnetyczna władza przeczucia, tak przeczułem był przeszłego roku w Anglii dzień okropny dla nas, kiedy rzeź była. Śniło mi się o tej rzezi i, gdy zszedłem na herbatę, Anglicy mię dopytywali się o przyczynę pomieszania; odpowiedziałem im, że musiało stać się coś dziwnego w mojem domostwie" itd. — 17 października 1833 r., pisze poeta, że niepokój go dręczy, że wstaje z miejsca, nie umiejąc odpędzić się od myśli: „ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki". Dowiedział się potem, że tego właśnie dnia odbywał się pogrzeb jego babki. — W 1838 r., na rodzinę poety spadła klęska, bo wuj zesłanym został do Permu, matka zaś zostawała wskutek tego pod ścisłym nadzorem policyi, tak, iż Słowacki, jako wygnaniec, przerwać musiał korespondencyą, aby nie kompromitować matki. Mógł ją nanowo zawiązać dopiero w 10 miesięcy potem — pisał wtedy, że wiadomość o nieszczęściu rodzinnem przywiózł mu był Zygmunt Krasiński, ale przeczuł ją był wprzódy we śnie, bo widział matkę, wywracającą się z powozu i usuwającą się w przepaść; obudziwszy się, nie mógł przyjść do siebie ze strachu i płakał; odtąd wyczekiwał codziennie złej wiadomości. Rys ten niewytłómaczony dotąd dostatecznie pod względem psychologicznym o tyle zasługuje na uwagę, że musiał go zgóry usposabiać do wszelkich doktryn mistycznych.

Pozostaje zaznaczyć, jakim był marzyciel Słowacki w stosunkach ze światem realnym: ani świat, ani ludzie nie mogli go pociągać, niepohamowana fantazya unosiła go poza krańce zwykłych ludziom myśli i dążeń, w tym wzglę-

dzie nie umiał zejść się z nikim, to też nic nie wiemy o serdecznych przyjaciołach Słowackiego; gdy np. Mickiewicz i Krasiński umieli kochać całą siłą duszy, Słowacki umiał tylko oceniać i trzeba było śmierci przyjaciela, z którym w bliższych nieco pozostawał stosunkach, iżby mógł poczuć głębszy ku niemu pociąg; dziwnem to się wyda napozór, ale tłómaczy się właśnie marzycielstwem poety, bo senne wspomnienie, które pozostawało w umyśle, mógł ubrać w bogate barwy wyobraźni i kochał już wtedy — ale nie przyjaciela, lecz własne marzenie; przypomnijmy, jak piękne poświęcił ustępy pamięci zgasłego Szpicnagla w „Godzinie myśli“ i jak rzewnie wspominał w jednym z listów genewskich o śmierci paryskiego towarzysza; z żyjących głębszą zdawał się zdradzać przyjaźń ku Zygmuntowi Krasińskiemu, matkę zaś kochał namiętnie, zastępowała mu przyjaciół i kochankę, przypuszczam jednak, że w tym wypadku oddalenie niesłychanie potęgowało siłę uczucia, któremu wyobraźnia przychodziła w pomoc.

Również poeta nie kochał się nigdy od czasów wileńskich, pomimo, że tęsknił i że marzył o idealnej kochance, ale żadna z tych, które spotykał, nie odpowiadała marzeniom; zasmucało to poniekąd Słowackiego, ale i bywał ztąd dumnym: „Na drugim wieczorze — pisze z Genewy 5 lutego 1835 r., — tańcowaliśmy w domu jednego z panów włoskich: widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już się nigdy kochać nie będę. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobnej do osiągnienia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami, jak wróble i bawią się; czasem im zazdroszczę, czasem chodzę po alei ogrodu, przy świetle księżyca, mam jakieś uczucie samotnej dumy, które

mię pociesza". Tęsknotę swoję wyraził Słowacki w bardzo poetycznej formie w liście z dnia 30 czerwca tegoż roku: „Pamiętasz, mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilij wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleść taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, mamo moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dzieweczkę, a zrozumiesz moje żądanie". Z równąż tęsknotą pisał o tem z Florencyi w 1838 roku, dręczyła go czcza melancholia, a jedynem żądaniem było zakochać się, już o mało nie porwała mu serca jakaś ładna Amerykanka, lecz jej ciągła wesołość odstręczyła go wkrótce; „Włożyłem więc znowu, jak ptak, głowę pod skrzydło i pogrążyłem się w moje sny melancholiczne". Pod koniec epoki florenckiej zakochała się w nim pewna bogata Polka, rodzice ich życzyli sobie ich związku małżeńskiego, poeta sam długo się wahał, aż na reszcie odjechał do Paryża. Młoda osoba wkrótce umarła, przypuszczano powszechnie, że ze zgryzoty i zwykłym sobie trybem Słowacki począł ją idealizować po śmierci: „Bo choćby to było w niej chwilową myślą, aby mię wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu. Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i, spuszczając oczy przede mną, pyta: dlaczegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach". W podobny sposób miały się rzeczy i z panną Wodzicką; Słowacki mało o nią dbał, póki była w Genewie i póki mógł wędrować po górach z nią i z matką jej, dopiero, gdy odjechała, wspomnienie o cudnej wędrówce, po najpiękniejszych okolicach Szwajcaryi, powiązało się w fantazyi poety z obrazem przyjaciółki i pod wpływem

tym utworzył nasz marzyciel prześliczny poemat „W Szwajcaryi“.

3.

W stosunku do kraju i do społeczeństwa pozostał Słowacki takim samym marzycielem. Rozbujałość marzeń powodowała w młodzieńczych jego utworach tylko wstręt i nienawiść do świata, wkrótce jednak po przybyciu do Paryża odezwała się w duszy poety nowa struna, — struna patryotyczna, która nie zamilkła do końca życia. W listach nie spotkamy żadnych śladów zwrotu tego, bo nie chciał Słowacki kompromitować pozostałej w kraju rodziny, ale tem silniej odbiły się ówczesne jego dążenia na dziełach wieszcza: z 10-ciu utworów napisanych i wydanych pomiędzy 1832—1842 r., cztery nawskróś są przejęte ideą patryotyczną („Lambro“, „Kordyan“, „Podróż Dantyszka po piekle“ i „Anhelli“), dwa zaś („Lilla Weneda“ i „Beniowski“) wyraźne noszą ślady dumań poety o tym najboleśniejszym dla współziomków przedmiocie.

I w tym jednak wypadku nie umiał Słowacki zejść z wysokości marzeń: przedewszystkiem uderzała go przepaść pomiędzy światem marzeń, a światem rzeczywistym; idei wiekowej pracy pokoleń i powolnego dążenia do przekształcenia ideału w czyn nie umiał nigdy zrozumieć, — trzeźwość, wytrwałość, cierpliwość, były pojęcia niedostępne dla rozentuzyazmowanego marzyciela i ztądto pochodził jego radykalizm w poglądach na kwestye polityczne i społeczne, ale radykalizm ten nie był trwałej natury, gdyż niejednokrotnie przeistaczał się w pesymizm, pełny sarkazmu względem ludzi: poeta bowiem przekonywał się, że urzeczywistnienie jego ideałów było zgoła niemożliwem, potępiał wtedy ludzkość całą, a, wywyższając natomiast siebie

samego, dochodził do dziwacznej wiary w nadprzyrodzone swoje posłannictwo; w ostatnich latach życia usposobienie to, jak zobaczymy, pochłonęło go całkowicie.

Myśl tę potwierdzi bliższe wniknięcie w treść utworów poety. Chronologicznie najpierwsze pomiędzy niemi miejsce zajmuje „Lambro“ wydany w 1832 r. Jestto utwór przejściowy w całem znaczeniu tego słowa: fałszywy byronizm idzie tu ręka w rękę z patryotyzmem. Lambro, przesycony życiem, czuje nieskończoną jakąś nudę; dużo popełnił zbrodni i właśnie ogrom owych zbrodni wraz z ogromem nieszczęść pociąga ku niemu serce niewieście; kocha on jednocześnie swoję Grecyą i pragnie ją wybawić, ale własna nieudolność stoi temu wpoprzek, bo od cierpień szuka pociechy w opium i, używszy w stanowczej chwili trunku tego więcej, niźli mógł znieść jego organizm, nagle umiera, nic nie zdziaławszy. Postać Lambry wzbudza w nas żal ze wstrętem, głównie zaś zbłądził Słowacki, że wyobraził, iż tworzy bohatera wówczas, gdy dał tylko karykaturę człowieka. „Jako ideał — powiada Małecki — jestto zero, ladaco, ale właśnie przez to, że, będąc zerem, chce uchodzić za wielkiego człowieka, jestto niewyczerpany materyał dla komika i humorysty“. Ztąd też, zdaniem Małeckiego, figura Lambry to typ stworzony dla Heinego.

Bliższy rozbiór słabego poematu nie wydaje mi się potrzebnym, dość zwrócić uwagę na okoliczność, że we śnie ukazują się Lambrowi duchy kleftów i wymawiają: „dlaczegoś nie skonał, gdy wszyscy konali“. Do myśli tej wracał Słowacki i potem, przeprowadził zaś ją z niezwykłą siłą natchnienia w „Grobie Agamemnona“, daje ona dowód radykalnych i bohaterskich popędów wieszcza w poglądzie na sprawę narodu: albo dojść do celu, albo wszystkim zginąć.

Słowacki pracował nad „Kordyanem“ głównie jesienią w 1833 r. w Genewie, znajdował się przeto w najkorzystniejszych warunkach twórczości, to też i dzieło to należy do rzędu najlepszych w literaturze polskiej; pewnego tylko rozczarowania dozna ten, kto przystępuje do czytania z mniemaniem, iż ma dramat przed sobą, gdyż, pomimo kilku scen napisanych ze znakomitą werwą dramatyczną, utwor ten nie odpowiada wymaganiom dramatu i pozostaje co najwyżej kroniką dramatyczną, przedstawia tu bowiem poeta całe życie bohatera, począwszy od roku 15-go, a kończąc śmiercią.

Prolog p. t. „przygotowanie“ daje pojęcie o tle, na jakiem autor rzecz swą osnuć zamierza. Sceną jego chata Twardowskiego w górach Karpackich, rzecz się zaś dzieje 31 grudnia 1799 r., t. j. w ostatni dzień wieku (podług rachunku poety); zebrali się tu szatan, doradca jego Mefistofel, oraz liczne rzesze dyabłów. Rzecz cała tchnie rozpaczliwą niewiarą we wszystko, co przywykliśmy uważać za najpiękniejsze w myślach i dążeniach ludzkich, potępia poeta poloty myśli badawczej, bo owocem ich wątpienie, kto myślał przez godzinę — mówi szatan — ten jest, lub będzie ze mną; marzenia wieszcze, bo prowadzą do rozczarowania i rozpaczy: „biada im (ludziom), jeśli marzeń ziemią nie określą, kołem widzenia — biada, jeśli je przekroczą“. Czas porównywa szatan z kołem tortury, którego każdy ząb rozdziera, każda śruba ciśnie. O początku zaś świata tak się odzywa:

„Ja widziałem twój początek,
Ta garść gliny powietrzem opasana zgniłem,
Ten trup chaosu w trumnie zamknięty błękitów,
Strawiony zgnilizną czasów,
Okrył się rdzami kruszców i kością granitów.

Porósł mchem kwiatów i lasów;
Potem wydał robaki, co mu łono toczą
I myślą".

Jeśli poeta czuje do kogo sympatyą, to chyba do prostaków, którzy myślą nie sięgają daleko, a zato trzeźwiej umieją sądzić o bliższych rzeczach: gdy szatana znudziły uwodzenia Faustów i Manfredów, to porucza on Mefistofelowi, aby obłąkał jednego żołnierza: „To trudno — odpowiada Mefistofel —

Żołnierz to ryba, która kruczkom nie dowierza
I ma rozsądek zdrowy; przy takiej latarni
Obaczy kurzą nogę dyabła kusiciela".

Wrażliwy i namiętny umysł Słowackiego, nie mógł grzeszyć zbytnią konsekwencyą i w danym też razie, pomimo pełnych pesymizmu skarg, nie ukrywa poeta sympatyi i nawet wiary swej w sprawę narodową:

„Ten naród się podniesie, zwycięży i zginie;
Miecze na wrogach połamie,
A potem wroga myślą zabije,
Bo myśl jego ogniste ma ramię.
Ona jak powróz wrogi uwiąże za szyje
I związanych postawi na takim pręgierzu,
Że wszystkie ludy wzrokiem dosięgną i pławaniem".

Rzesze piekielne zebrały się z tego powodu, że nadchodzi pierwszy dzień wieku, a w dniu tym mają prawo „stwarzać królów i nędzarzy na całą rzekę stuletniego cieku". Złość swą zwraca szatan przedewszystkiem przeciwko narodowi, który przysposabia się do walki na śmierć z ciemiężycielami ojczyzny; otóż, aby udaremnić jego wysiłki, Mefistofel proponuje stworzyć cały szereg dygnitarzy ślepych, głupich, bez charakteru, nawet i nikczemnych; djabli wespół z czarownicami mieszają i warzą w kotle najróżniejsze i najdziwniejsze elementy, i z mieszaniny tej

powstają roje „wymuskanych rycerzy — ospalców“, głupich krzykaczy politycznych, — wreszcie Chłopicki, Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel; wybór świadczący o gmatwaninie pojęć politycznych w głowie poety. Potem dyabli znikają, a ukazują się chóry aniołów, pośród nich archanioł z rzewną modlitwą do Stwórcy o zlitowanie nad nieszczęśliwym narodem. Godnemi uwagi są ostatnie jego wyrazy:

„A jeśli Twoja dłoń ich nie ocali,
Spraw, by krwi więcej niźli łez wylali“.

licują one zupełnie z przytoczonemi wyżej wyrzutami Lambry, że nie zginął sam, gdy inni ginęli.

Takieto są ramy obrazu, na którym mamy ujrzeć bohatera dramatu: świat, w którym pierwiastek złego wydaje się mieć więcej siły od Boga, naród dążący do swobody i tłumy ospałych rycerzy, głupich mowców i nieudolnych przodowników, którzy stoją wpoprzek jego dążeniom. Działający wśród takich okoliczności, marzyciel Kordyan spogląda na świat z niedościgłych wyżyn polotów swoich, ale rwie się do czynu, pragnąc trwałe po sobie zostawić wspomnienie. Sam Słowacki współczuje mu, bo, potępiwszy w „Przygotowaniu“ mędrkujących polityków i salonowych rycerzy, nie wspomina nic o marzycielach, to też otacza Kordyana całym blaskiem poezyi, lecz w walce z przeciwieństwami bohater pada, bo, jako marzyciel, nie umie nagiąć się do rzeczywistych warunków życia, w dążeniu swojem potrzebuje pomocy i zachęty, a tych nie znajdując, pada. To właśnie stanowi głęboką tragiczność jego położenia.

Śliczną jest scena pierwsza, w której skarży się Kordyan, wśród ciszy jesiennej, pod cieniem lipy; skarga ta tchnie i rozpaczą świszczących wichrów jesiennych i przejmującym smutkiem tych pogodnych i przeźroczystych błękitów nieba, tego słońca, co jasnem, ale zimnem, oblewa światłem pola szronem pokryte, — tych trzód żałośnie ryczących na opusto-

szałych pastwiskach... a coż mu dolega? smutno mu, że liście pożółkły, że kwiaty konają, że dzwon wiejskiego kościoła nie rozkołysze odgłosem swym i modlitwą zwiędłych traw i drzemiących lasów, że martwość taka zalega i jego duszę, bo uczucia więdną, jak kwiaty, bo sto w nim żądz, ale żądze te i uniesienia krzepną i unicestwiają się, nie mając wielkiej myśli, coby im przywodziła, — nareszcie zwraca się do Stwórcy:

Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj...
Jednę myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem,
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.

Jednem słowem Kordyan cierpi, jak Mnich, jak Arab, jak wreszcie sam Słowacki, na rozbujałość marzeń, jednak nie zadowalnia się gołosłownem potępieniem świata i ludzi, lecz szuka myśli przewodniej, coby umiała ująć w ramy i nadać kierunek wszystkim marzeniom jego i skarbom ducha.

Ale pragnienia młodzieńca spełzają na niczem, gorącą chęć czynu krzyżuje jedno uczucie — miłość nieszczęśliwa. Pierwiej musi posiąść Laurę, a dopiero potem poczuje w sobie dość sił do walczenia ze złem; gdy opowiadanie starego wiarusa Grzegorza o jednym z bohaterskich epizodów legionów polskich, wzbudza w nim zapał chwilowy, to głos ukochanej przywołuje go nagle do siebie:

„Ten głos rozwiewa złote zapału świtanie,
Zamknięty jestem w kole czarów tajemniczem,
Nie wyjdę z niego. Mogłem być czemś, — będę niczem".

Rozmowa z nierozumiejącą go i zimną Laurą wtrąca go w szał bez granic: świat i pęta cielesne wydają mu się

męczarnią bez końca, rwie się ku błękitom nieba, przeczuwa już i widzi chwilę, gdy, przeistoczony na tamtym świecie w anioła, szybować będzie po drogach nadgwiazdnych, wśród światów i świateł nieskończonych, lecz nagle myśl jedna i bezlitośna, budzi go z obłąkania i, opuszczając ręce, Kordyan woła w rozpaczy: „na jednego anioła dwóch dusz ziemskich trzeba". O tę skałę rozbijają się wszystkie dobre chęci; bez Laury w nicość dlań się obróci świat cały, a ze światem i on sam, postanawia przeto odebrać sobie życie.

W drugim akcie Kordyan, wyleczony już z pierwszej miłości, wędruje po świecie, szukając leków dla przybitego nieszczęściem umysłu, ale i tu spotykają go rozczarowania, bo miłość musi kupować, a wiarę traci „na papieskich progach". Dopiero, wdarłszy się się na szczyt Mont Blanc'u zaczyna czuć ulgę, przejmuje go antyteza cichego majestatu gór i marnych zabiegów i walk ludzi:

„O gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie,
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną..."

Ale i tu nie umie pozbyć się wrośniętej weń niewiary:

Pomyśleć tak — i niechcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie móc? w szmaty podrę łono,
Nie móc? to piekło!

Ostatecznie jednak pragnienie czynów i sławy bierze górę nad nieufnością w siły własne, ożywia go błękit powietrza, ale, aby „rozpłonąć myślą olbrzymią", potrzebuje ognia, więc ma go z gwiazd wszystkich zebrać i uwić sobie koronę i wykąpać się w błękitach i promieniach, aby ciało zajaśniało blaskiem słonecznym; pójdzie wtedy śmiało w świat, myśl wielka będzie mu przewodniczyła, we własnym znaj-

dzie ją narodzie, cierpiącym za ludzkość, wyzwolenie świata od nieszczęść wszelakich zależy od losu jego ojczyzny.

Trzecia część „Dziadów“ pobudziła Słowackiego do napisania „Kordyana“, chcąc postąpić krok dalej od Mickiewicza, postanowił wystawić bohatera działającego, celu jednak nie dopiął, bo w danym wypadku szala pierwszeństwa przechyla się stanowczo na stronę Konrada i nawet „Wacława“ Garczyńskiego Konrada nawracają na drogę patryotyzmu, nieszczęścia ojczyzny, z któremi styka się bardzo blisko, — Wacława, długa praca myśli, — Kordyana tymczasem, chwilowe tylko podniecenie sił ducha pod wpływem świeżego powietrza gór, ale i tu nie opuszcza go zwątpienie, i tu, jakeśmy widzieli, potrzebuje gwałtem niemal wmawiać w siebie konieczność walki; takiemu bohaterowi możemy zgóry przepowiedzieć, że nie zdziała nic. Kordyan pozostaje jednak wiernym sobie, nie mogliśmy nic innego spodziewać się od Kordyana aktu I-go: marzyciel nie z tego świata musi uciekać się do naciągań, aby znaleść most, coby go łączył z ogółem ludzi, ta zaś okoliczność, że Słowacki stosunkowo dość naseryo traktuje swego bohatera, daje dowód nieudolności jego w rzeczach polityki.

W trzecim akcie Kordyan działa; dramatyczność scen niektórych, stawia tę część dramatu pomiędzy pierwszorzędnemi kreacyami poezyi. W scenie IV-tej rzecz się dzieje w podziemnych lochach pięknej katedry warszawskiej, koło grobów królewskich; wśród zebranych tu tajemnie patryotów występują do walki dwie różne zasady, a w imieniu ich dwóch olbrzymich zapaśników, obaj używają wszystkich blasków uczucia i wszystkich czarów wymowy, czytelnik zaś ze wzrastającym coraz ogniem i zajęciem czeka ostatniego wyniku ich zapasu. Kordyan wzywa do walki z wrogiem, na śmierć i życie, bez przebierania w środkach,

w danym wypadku pragnie on tajemnej organizacyi spisku w celu zamordowania króla i rodziny królewskiej; bronią jego w dowodzeniu jest święte imię ojczyzny. Chcąc pociągnąć współtowarzyszy, roztacza on w wyrazach pełnych ognia i natchnienia porywające obrazy przyszłej sławy i potęgi narodu, gdy celu swego dopnie: — ale prezes walczy w imię Boga i moralności, przyzywa na świadectwo dzieje ojczyste niezmazane krwią królów, zwraca się do świętych prochów w myśli, że poruszą zatwardziałe serca spiskowców, zaklina, aby zmienili sztylety na święcone w kościołach pałasze, aby spojrzeli w serca swoje, „by je wiecznej ludów nie przedać ohydzie“. I piękne słowa osiwiałego prezesa działają na tłumy. Jak w akcie pierwszym obojętność kochanki, tak tutaj opór prezesa doprowadza wrażliwego młodzieńca do rozpaczliwej ekstazy, i. zwątpiwszy prawie w skuteczność sprawy i nawet w zdolność własną, woła zrozpaczony:

„Chybam ja Boga jakąś obciążony karą,
Jeśli wyrazy sieję, jak kwiat bezowocny!
Wierzcie mi! wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny“.

Ale wnet potem, nie umiejąc powstrzymać tłoczącej mu serce niewiary, dodaje:

„Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczem,
Robak smutku mię gryzie... tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać, i usiąść, i zalać się łzami“.

Namiętne pragnienie dokonania myśli, w walce z ogarniającą go rozpaczą wskutek oporu i przeciwieństwa mas, doprowadza go nareszcie do krańców ekstazy:

„Dajcie mi się w ręce!
Ani mię duma wstrzyma, ani sny zwierzęce,
Póki długiej wolności nie zaszczepię wieki,
Niechaj się sen do moich powiek nie przybliża.
Lękacie się? więc weźcie, przybijcie do krzyża,

Niechaj mam, jak Regulus, obcięte powieki,
Niechaj, wiecznie bezsenny, na kraj patrzę mrący,
Potem nieście przed sobą godło — krzyż cierpiący,
Nie zgubi was...".

Lecz wszystko to nie skutkuje, okazuje się po głosowaniu, że znaczna większość jest zdania prezesa, zgryziony bohater postanawia sam się poświęcić dla ogółu: w nocy ma wartę na zamku, więc zamorduje króla. Ale powzięte postanowienie odbiera przybitemu i zrozpaczonemu Kordyanowi resztki przytomności, wpada wskutek tego w gorączkę z halucynacyami i w taki przemawia sposób do prezesa:

„Włos mi siwieje i boli,
Włos każdy cierpi, czuję zgon każdego włosa;
To nic... Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I różę... potem spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją"...

Przy takiem usposobieniu Kordyan naturalnie zamiaru swego dokonać nie umie. W następującej scenie widzimy go już na warcie w przedpokoju króla; chwilę tę skreślił Słowacki prawdziwie pomistrzowsku, dał bowiem dowód niezwykłej i głębokiej znajomości stanu duszy, gdy podlega obłędom halucynacyjnym; Kordyan rwie się z gorączkową niecierpliwością do natychmiastowego wykonania myśli, ale rozpacz, płynąca z oporu, jaki spotkał wśród towarzyszy, odbiera mu odwagę. Kolizya tych uczuć pozbawia go przytomności; za każdym krokiem, który robi naprzód, podniecona wyobraźnia przekształca mu przedmioty wszystkie w jakieś widma fantastyczne, jakby żywcem wyjęte z opiatycznych ekstaz; są one, to wspomnieniem dawno ubiegłych dziejów miłości, to jakby przestrogą wobec czynu, który ma dokonać; strach przeistacza wnet owe widma, nadając im potwornie przeraźliwe kształty; nieszczęśliwy Kordyan traci

coraz bardziej równowagę, nagle dolatuje go dzwon na jutrznię, wydaje mu się wtedy, że ktoś przez ucho wbija mu sztylet do mozgu i — niedoszły bohater pada bez zmysłów u progu komnaty carskiej. Poczucie samotności wśród nierozumiejącego ogółu odjęło mu resztki sił.

W scenie następującej przybity i zrozpaczony Kordyan rozpamiętywa w celi więziennej przeszłość swoję — i niewiara wraz ze zniechęceniem pochłaniają go ostatecznie. Słowacki wprowadza tu tajemniczego doktora, coś niby w rodzaju Mefistofelesa, jakby umyślnie na to, aby wypowiedzieć ustami jego parę gorzkich uwag; gdy Kordyan, rozdrażniony jego ironią, pyta nareszcie z uniesieniem, czy nie widział człowieka-anioła, „co swe cierpienia ludom przynosi w ofierze“ i, jak Chrystus, umie umrzeć na krzyżu za lud, — doktor, zamiast odpowiedzi, wskazuje mu na dwóch waryatów: jeden wyobraża, że jest właśnie tym krzyżem, na którym Zbawiciel był przybity, drugiemu zaś wydaje się, że na dłoni swej podtrzymuje niebo, słońce i gwiazdy, które „chcą upaść ludziom na głowy“, i przez to poświęca się i zbawia świat. „To waryaty oba — mówi Kordyan — i tyś sam mózg skręcił“.

Doktor:

A cóż wiesz, że nie jesteś jak ci obłąkani?
Ty chciałeś zabić widmo, poświęcić się za nic.
O złota rybko w kryształowej bani,
Tłócz się o twarde brzegi niewidzialnych granic;
Mały kryształ powietrza, w którym pluszczesz skrzelą
Jest wszystkiem, a świat cały nicości topielą,

Kordyan w rozpaczy.

Pesymistyczny radykalizm cechuje całe dzieło. Wyrazem radykalnych pojęć poety jest właśnie przekonanie jego o konieczności walki z wrogiem bezwzględnej, bezlitośnej, na życie i śmierć; pesymizm zaś uwidocznia się w poglądzie wieszcza na ogół społeczeństwa: słabe, tchórzliwe,

idące naoślep za głosem nieudolnych przewodników nie umie dorość do zapału Kordyana i przeto na marne idą wszystkie szlachetne usiłowania marzyciela.

Niepodobna jednak przypuścić, aby Słowacki przystępował do pisania Kordyana w tak pesymistycznym nastroju; wszak pragnął rozwiązać w nim myśl, z którą Mickiewicz nie umiał sobie dać rady w trzeciej części „Dziadów". Kordyan miał być pierwszą częścią trylogii, otóż zapewne poeta dałby miejsce w dwóch następnych częściach bardziej dodatnim zapatrywaniom na społeczeństwo. Myśl tę nasuwa krótkiuchny prolog „Kordyana", w którym autor wyprowadza, na wzór greckich tragików, trzy osoby, opowiadające, jak sądzimy, myśl główną dramatu, — przynajmniej słowa pierwszej osoby zupełnie licują z entuzyastycznemi mowami Kordyana w scenie w podziemiach: ten sam zapał, graniczący z nieprzytomnością, taż sama chęć poświęcenia się dla narodu i wreszcie taż sama apoteoza siebie samego, jakąśmy widzieli u Kordyana w scenie na szczycie Mont Blanc'u. Trudniej zrozumieć do czego się odnoszą słowa osoby drugiej, mówiącej niby z sarkazmem o pierwszej, gdy w gruncie rzeczy powtarza to samo, ale więcej natrzeźwo, bez wykrzykników i ozdób poetycznych; może chciał Słowacki wystawić w drugiej części trylogii bohatera z więcej rozwiniętym, niż u Kordyana, zmysłem realnym. Natomiast aż nadto wyraźne są słowa osoby trzeciej, która spędza obu „zwaśnionych" ze sceny, z prochu zaś zamkniętego w urnie narodowej ma wskrzesić lud:

> I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
> Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgnily;
> Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
> Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
> Urodzonych nadziei; — aż przejdą przed wami
> Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami.

Otóż słowa te rzucają światło na myśl trylogii: w „Kordyanie“ Słowacki potępił to, co stanowiło dotąd esencyą narodowości polskiej — mianowicie szlachtę, osądził ją niezdolną do czynu i małoduszną; natomiast w częściach następujących miał wprowadzić nowy dodatni czynnik, a tym jest lud polski, mający zastąpić szlachtę. Nie ośmieliłbym się jednak twierdzić tego na pewne, gdyby inne dzieła poety — „Grób Agamemnona“, „Lilla Weneda“ i „List do autora Trzech Psalmów“ — nie potwierdzały zdania mego.

„Grób Agamemnona“ stanowi wyjątek z niewydanej za życia „Podróży na Wschód“. Tak wspaniałej i głębokiej skargi na upadek ojczyzny nie pisał żaden z poetów naszych. Nie rzuca tu Słowacki ślepych przekleństw na los, ani się wdaje w płaczliwe jakie narzekania, lecz jakże wzrusza nasze serca, gdy maluje swój wstyd i upokorzenie, że przeżył skon ojczyzny, że z łańcuchem na szyi, a z piętnem ilota na duszy ujrzał się w Termopilach, u grobu bohaterów Grecyi, którzy woleli polec, niż zhańbić się niewolą. Co powie on, gdy go zapytają: a wielu was było? Czy nie odpędzą go z pogardą duchy rycerzy spartańskich?

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd w każdym Polaku,
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem,
Nie — pierwiej skonam, niż tam iść — z łańcuchem.

I rozmyślania te prowadzą go do energicznych nawoływań do zgody, ale przenika je, niestety, rozpaczliwe jakieś zwątpienie. Znajdujemy tu między innemi parę ustępów, które dadzą się wytłómaczyć tylko zniechęceniem poety do szlachty, np.:

Na Termopilach bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza,

Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza:
I długo płakał lud takiej ofiary
Ognia wonnego i rozbitej czary.

Dalej żąda poeta, aby Polska zrzuciła „płachty ohydne“, „tę Dejaniry palącą koszulę“ i aby wstała „bezwstydna, jak wielkie posągi“, w „styksowym wykąpana mule“, „naga, nagością żelazną bezczelna“. Zkądże mogła wypływać ta nienawiść do kontuszów i do pasów złotych, jeśli nie z żalu nad brakiem łączności pomiędzy szlachtą a ludem, jeśli nie z przekonania, że tylko demokratyczna, ludowa Polska może mieć przyszłość przed sobą [1]).

Tę samę myśl wyraża „Lilla Weneda“. W żadnym innym dramacie nie występuje fantazya Słowackiego w tak ponurym blasku: wichry, pioruny, pola zaległe krwią, jęki konających, płacz harf zaczarowanych, a na tem tle zabójcza walka dwóch plemion, król z wyłupionemi oczyma, groźna i natchniona kapłanka prorokini, rycerz z dwojgiem serc, ale z mieczem jednym, wreszcie cicha postać Lilli poświęcającej się za ojca i za ojczyznę. To wszystko składa się na utworzenie całości pełnej efektów fantastycznych. Treść samę stanowi najazd i podbój przez Lechitów ziemi, w której się potem osiedlili, ale zamieszkanej wówczas przez Wenedów. Poeta idzie tu widocznie za teoryą lelewelowską. W Lechitach widzi protoplastów szlachty, nadaje im wszystkie przypisywane szlachcie naszej przywary, odejmując natomiast wszelkie przymioty; król Lech to „praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i molierowskiej w domu słabości“, żona jego Gwinona tak go charakteryzuje:

Ty dobry w boju i na polowaniu:
Ale gdy trzeba robić to, co nudzi,

---

[1]) Por. Spasowicz: „Historya literatury polskiej“, wydanie 1885.

To ty się wzdrygasz, ty masz lwią naturę,
Albo spać... albo krew pić lubisz ciepłą.

albo: „Ty zawsze ufasz w szczęście i w fortunę,
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwa, a nie myślisz o tem,
Że mamy dzieci, które pójdą z torbą
I miecz ojcowski przedadzą za szeląg".

Jednem słowem Lech, choć odważny, ale leniwy i lekkomyślny. Najdosadniej jednak występują zapatrywania Słowackiego na praojców naszej szlachty w następujących słowach:

Czy ja Lechita? Cóżto? Czy mi z oczu
Patrzy gburowstwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

Przeciwnicy Lechitów Wenedzi uosabiają lud Polski, wypływa to z logiki podboju, wreszcie sami harfiarze wenedyjscy nazywają ziemię swoję „świętą ziemią Polską". Otóż Wenedzi mają za sobą wszystkie pozory zwycięstwa, nietylko liczebną, ale i moralną przewagę: ich król, oślepły i torturowany, wzbudza uwielbienie szlachetną dumą i wytrzymałością w cierpieniach, kapłanka Roza wielką miłością ojczyzny, w braciach Lelum i Polelum uderza niepospolita ich odwaga, a co do samej Lilli, to Słowacki nie poskąpił bogactw fantazyi, aby ją opromienić wszystkiemi blaskami bohaterstwa; jednak Wenedzi giną i wielki to błąd ze strony poety, podług słusznej uwagi Małeckiego, że nie wytłómaczył wiszącego nad nimi fatalizmu. Ale pomimo zwycięstwa, Lechici czują niższość swoję: „Gwinono patrzaj — mówi Lech, wskazując na jeńców — jakito lud rosły! Ja komar — i krew z niego wycedziłem, i wycisnąłem w ręku, jak cytrynę!"... Nadejdzie dla Wenedów dzień zemsty i zmartwychwstania, i groźnie, a pięknie, brzmi przepowiednia Rozy:

Ja ostatnia zostanę żywa;
Ostatnia z czerwoną pochodnią:

I zakocham się w rycerzy popiołach,
I popioły mię zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach,
A łożem ślubnem będzie stan rycerzy.
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny;
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga...

A zatem lud polski zemści się za ucisk wiekowy; w myśli tej jest związek wyraźny ze słowami trzeciej osoby „Prologu", według których wskrzeszony lud ma dać „aktorów wyższych o całe mogiły". Tę samę myśl potwierdza list poety do Krasińskiego, zastępujący miejsce przedmowy do „Lilli", Słowacki podaje w nim krótkie charakterystyki wszystkich osób działających w dramacie, pomiędzy innemi świętego Gwalberta, apostoła ludów lechickich i wenedyjskich; postać to drugorzędna i wystawiona w świetle komicznem, tchórz, który dba jedynie o zysk dla swej wiary, a z głupią apatyą spogląda na rzeź ludu całego, otoż złośliwe o nim uwagi kończy poeta następującemi słowy: „Lecz, o biada! o losy! słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził i jeszcze lud jeden kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę. Cóż mój Galilejczyku?" Ostatnie to zapytanie brzmi pewną ironią; nazwa Galilejczyka zastosowana tu do ostatnich słów „Nieboskiej komedyi", streszczających głęboko-chrześciańską filozofią ich autora i Słowacki widocznie stara się podrażnić przekonania przyjaciela, zwracając uwagę jego na rewolucyjność idei „Lilli". Dalej zasługują na wzmiankę słowa poety o Lechu: „Kontusz ma włożyć i żupan, niechaj panuje bez jutra". Owo „bez jutra" niemniej dobitnie maluje te zapatrywania Słowackiego, wyrazem których miała być „Lilla Weneda". Na tę ideę zasadniczą dramatu Małecki i Tarnowski kładli zbyt słaby nacisk.

Nie należy jednak brać naseryo demokratyzmu autora „Lilli“, nie wypływał bowiem z głębszego zastanowienia, a był tylko kaprysem. Sprawy tego świata nudziły marzyciela, a gdy popęd patryotyczny pchnął go na widownię spraw społecznych, to poeta prędko się przekonywał, że żadną miarą nie mógł zejść się z ogółem i, zniechęcony, szukał pociechy w politycznych fantasmagoryach w rodzaju „Lilli“, albo oddawał się pesymizmowi „Kordyana“.

Ale owe wybryki radykalizmu nie mogły na długo zadowolnić poetę, bo wiązały go z rzeczywistością, z ludźmi takich lub innych odcieni politycznych. Aby wejść do wnętrza duszy wieszcza, trzeba umieć przejąć się niesłychaną potęgą jego fantazyi, trzeba wniknąć i przetrawić jego pomysły poetyczne, trzeba zżyć się z tą tak pociągającą, tak cudowności i muzyki pełną ich tajemniczością, a zdołamy może pojąć wtedy jak go pochłaniało i rozpalało owo nieustanne snucie nieskończonego nigdy kłębka marzeń, jakim wstrętem przejmowało to życie, które zmuszało poetę porzucać nadgwiazdne krainy; nie zdziwimy się wówczas, że ekstaza marzycielska doprowadzała go niekiedy do bezwzględnej negacyi wszystkich zabiegów, dążeń i ideałów ludzkich, a natomiast do wywyższania, nawet do apoteozy siebie samego — swoich polotów niebiańskich — do uważania siebie za „opętanego przez aniołów“, za psalm jakiś odkupienia, za ogniwo łączące i godzące pogrążoną w otchłań głupoty i zepsucia ludzkość z nieskończonością Bóstwa. Anhelli jest właśnie wyrazem takich myśli. Śliczny to poemat, pełny mistycznego uroku, a prozą i stylem biblijnym napisany. Pomimo wielu a wielu niejasności pozyskał sympatye ogółu, Krasiński cenił go na wet najwyżej pomiędzy utworami Słowackiego. „Był snać w owem pokoleniu poetów — mówi Małecki — jakiś dziwny pociąg do tajemniczości w artyzmie, tak, iż mglista zagadkowość dzieł poetyckich nie była poczytywaną za ułomność

lecz raczej przydawała uroku częściom obrazu więcej wydobytym na światło". I w rzeczy samej wszystko tu przybiera ponuro-fantastyczne, ale dziwnie urocze kształty. Rzecz sama dzieje się w Sybirze, wśród równin białych i bezbrzeżnych, pod niebem, to krwawiącem się zorzami, końca niemających nocy, to płonącem blaskami martwego słońca. „Zaprawdę — słowa Krasińskiego — potrzeba potęgi uroczej, gienialnej, nadzwykłej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem, tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się, jakby Eden melancholijny. Wiesz, że mówią, iż czasem duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepce do ucha, i łudzi, i nęci, i porywa. Otóż piekło Sybiru, nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem". Niepodobna odmalować piękniejszemi słowy wrażenia, jakie wywiera Anhelli. Owę ziemię sybirską zamieszkują wygnańcy, żyją zrazu w zgodzie i pracy oprócz tych, co, chcąc, aby ich nazwano mądrymi, zostają w bezczynności pod pozorem myślenia o zbawieniu ojczyzny. Zjawia się pośród nich Szaman, kapłan niby i wódz jakiegoś pokolenia ostyackiego, ale, w gruncie rzeczy, postać tajemnicza, rolą swoją przypominająca Wirgilego w Boskiej Komedyi, „plastyczne uosobienie, powiada Małecki, tego wszystkiego najwznioślejszego, czego brak w tłumie owych tysiąca wygnańców". Szaman znał niegdyś ich ojców, dlatego też współczuje im i pragnie uszczęśliwić, ale „rozpatrzywszy się w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: Zaprawdę, nie znalazłem tu czegom szukał; oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi. Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych". Chcąc winę ich zmniejszyć wobec Boga, postanawia wybrać pomiędzy nimi jednego, któryby ich odkupił: „Wybiorę

dnego z nich i ukocham go, jak syna, a, umierając, oddam mu ciężar mój i większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie". Odtąd począwszy, zachodzi w myśli poety rażąca napozór sprzeczność. Ponieważ Anhelli ma być odkupicielem, szukamy w nim przeto przymiotów Chrystusowych, przypuszczamy, że pracować, poświęcać się i świecić będzie przykładem dla narodu. Ale właśnie tego w nim nie znajdziemy. Zrazu Szaman oprowadza go po piekłach Sybiru, patrzy Anhelli na męki i katusze skazanych, schodzi w podziemia kopalni i wsłuchuje się w jęki pracujących. Spotyka kilku ludzi, niosących trumny, i prosi Szamana, aby wskrzesił umarłych, bo zdaje mu się, że ich znał za życia; i ci, powstawszy z trumien, wyrzucają mu, że ich zbudził, gdy sen śmierci przyniósł im już był zapomnienie bolów życiowych. Wszędzie beznadziejność, rozpacz, śmierć. Po tej ciernistej wędrówce wraca z Szamanem do miejsca, zkąd wyszedł, i tu spotyka go najboleśniejsza niespodzianka: wygnańcy, wczasie ich niebytności, pokłócili się między sobą i na trzy podzielili się gromady, z których każda chciała odmiennym sposobem zbawić ojczyznę: pierwsza z grafem Skirem na czele upatrywała ratunek tylko we wszechmocy szlachty, drugą przewodził chudy żołnierz Skartabella, który chciał ziemię podzielić i wywyższyć chłopów kosztem szlachty, a trzecia szła za głosem księdza Bonifata, podającego, jako sposób do ocalenia ojczyzny, modlitwę, dobrowolne męczeństwo i ciche wyczekiwanie miłosierdzia Bożego. W tej kłótni tak się rozgrzali, że postanowili podać sprawę pod sąd Boga i, wybrawszy w każdej gromadzie jednego rycerza, przybić ich do krzyżów, a kto najdłużej żyć będzie, przy tego sprawie zostanie zwycięstwo. Gdy Szaman z Anhellim nadeszli, wszyscy trzej nieszczęśliwi byli już pomarli na krzyżach, zorza północna rozciągnęła się na niebie, wszystko zdawało się czerwone, nawet krzyże z męczennikami, a prze-

rażony lud rozbiegał się we wszystkie strony. Zrazu w strachu, potem rozzuchwalone, pijane zgraje rzuciły się na upominającego ich Szamana i prorok padł pod ciosami morderców. Umierając na ręku Anhellego i pokutującej zbrodniarki Ellinoi, polecał im udać się na północ: „Cóż ci mówić będę? — zwracał się do Anhellego — oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mię. Ja cię kochałem. Boś czysty był jak lilia, biorąca z wody liście i kolory niewinne: boś mi był jak syn dobry. Nie smuć się aż do śmierci po zgonie ojczyzny twojej, ani płacz, myśląc, że jej nie zobaczysz; wszystko jest snem smutnym". Posłuszni rozkazom starca, udają się oboje na daleką północ i osiedlają wśród śniegów, w chacie z lodu, ale wkrótce Ellinoe żegna się ze światem, a zasmuconego młodziana nawiedzają dwaj cherubini, ci sami, których niegdyś przyjmował Piast kołodziej, zwiastują mu zgon bliski i Anhelli umiera, żegnany przez mewy lecące do ojczyzny jego, a pełen bolu i zgryzoty? „Cóż robiłem na ziemi? Byłże to sen?" Na grobie jego usiada Eloe, anioł tajemniczy z melancholijną gwiazdą na rozpuszczonych włosach. Ale oto w ciemności, która nastąpiła potem, rozwidniała się wielka zorza południowa i pożar chmur, z płomienistej zaś zorzy „wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały i leciał z okropnym tętentem. Śnieg szedł przed nim i przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią. A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się. Rycerz ów budził zmarłe i śpiące pod śniegiem żołnierze i wołał do walki i ognia, w którym rozweselić się mieli: – Oto zmartwychwstają narody! Oto z trupów są bruki miast! Oto lud przeważa! Kto ma duszę, niech wstanie, niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych. – Tak mówił rycerz, a Eloe, powstawszy znad trupa, rzekła: — Rycerzu, nie budź go, bo śpi. On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu leć dalej, nie budź go. To ciało d-

należy i to serce mojem było. Rycerzu koń twój tętni, leć dalej. — I poleciał ów rycerz ognisty z szumem, jakoby burzy wielkiej! A Eloe usiadła nad ciałem martwego. I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza, i że już spoczywał".

Więc w jakiż sposób odkupił Anhelli swój naród? Wszak nie zdziałał nic. Towarzyszył tylko Szamanowi w jego smutnej wędrówce i poznał cały ogrom męki skazanych i całą otchłań nikczemności i ślepoty, w jaką pogrążona była reszta. Jednem słowem żywi albo cierpią, albo szaleją i podlą się, a umarli wyrzucają, że ich budzi ze snu, przynoszącego zapomnienie cierpienia. Więc życie to boleść bez miary, bez końca, a tylko śmierć jest odpocznieniem. Tak rozpaczliwych myśli nie wypowiadał żaden poeta polski. Anhelli patrzy na wszystko, w nic się nie wtrąca, nadziei żadnych nie żywi, po śmierci Szamana uchodzi w bezludną pustynię, nawet nie umie zdać sobie sprawy z posłannictwa swego, bo, umierając, woła: „cóż robiłem na ziemi? Byłżeto tylko sen?" Czasami wyrywa się z piersi jego rzewna skarga: „Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej i wyrosłem z twarzą smutną i przelęknioną. A gdym usiadł dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia, a liść jesienny szumiący z wichrami rozumiałem co szeptał. Nad kołyską moją był przestrach; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci".

Nareszcie, gdy dzień zemsty nastaje, gdy hymn swobody rozlega się po ziemi całej, gdy umarli nawet powstają z grobów, by wziąć udział w uczcie weselnej, Anhelli śpi i wtedy, bo mu tak najlepiej. Niepodobna dać dosadniejszego wyobrażenia o tej przepaści, która go przedziela od reszty świata.

A jednak pomimo tak biernej napozór roli „odkupienie w nim jest". Słowacki kładzie na to wyraźny nacisk i w wielu nawet miejscach. Ta sprzeczność pozorna w myśli poety da się uchylić wtedy tylko, gdy przypuścimy, że Anhelli jest rzeczywiście odkupicielem, ale nieświadomym swego powołania: on jaśniejszy od innych ludzi, on „opętan od anioła", on „czysty jak lilia biorąca z wody liście i kolory niewinne", on jest psalmem z westchnień, cierpień i łez milionów, — a Bóg przebłagany tym psalmem wybacza ludziom ich błędy. Ale Anhelli tego nie wie. Małecki napisał piękny rozbiór Anhellego, ale chciał ztąd wysnuć błędny wniosek o polityczno-społecznych ideałach Słowackiego: „Zarzut — są słowa Małeckiego — możnaby Anhellemu uczynić ze strony wniosku, który z niego wynika. Ziszczenie się pragnień narodowych, a w najgorszym razie odrodzenie innych społeczeństw ma wedle Słowackiego być więc zawisłem od takich cichych ofiar, od takich niekrwawych męczeństw, jakiem był cały zawód Anhellego na ziemi". Tegoż zdania zdaje się być Spasowicz. Ale to ich uogólnienie uważam za błąd stanowczy. Słowacki nie myślał wskazywać w „Anhellim" na drogę wiodącą do zbawienia narodu, nie pragnął wywyższać ponad wszystko cichego i bezczynnego cierpienia. Przeciwnie, on energicznie potępił bezczynność, mówiąc z gorzką ironią w rozdziale pierwszym o tych, co nic nie robili pod pozorem myślenia o zbawieniu ojczyzny, ą w ustępie o księdzu Bonifacie również ironicznie zachował się względem teoryi o pokorze w męczeństwie. Przejęty brakiem wspólności pomiędzy sobą, a ludźmi, następnie rozegzaltowany myślą o tem swojem oddaleniu od świata, Słowacki uidealizował w Anhellim siebie samego, ale nie zrobił i nie chciał zrobić z siebie przykładu dla innych, nie przypuszczał, aby ktokolwiek mógł go kiedy pojąć; Szaman, wybierając Anhellego, wyraźnie

powiedział: „wybiorę jednego z nich“ i Anhelli umarł samotny, niepojęty; potem obudziły się ludy i zrzuciły jarzmo, ale nie obudził się Anhelli, bo co mu było do tego: ludzie szli swoim torem i doszli wreszcie do celu, a on zeszedł ze świata obcy dla wszystkich i wszystkiemu, lecz jego dusza niebiańska, jego myśli tak czyste, tak piękne i tak nieskończenie dalekie od ziemi starczyły za wszystko, odkupując w oczach Boga błędy narodów. Ale Anhelli był tego nieświadom.

W twórczości Słowackiego Anhelli znaczy tyle, co Improwizacya z III części „Dziadów“ w twórczości Mickiewicza: uczucie było górującym pierwiastkiem w umyśle wieszcza litewskiego i doszło do największej ekstazy w owej słynnej scenie z „Dziadów“, podobnież marzyciel Słowacki dobrnął w „Anhellim“ do ostatnich krańców ekstazy marzycielskiej. Jak Mickiewicza uczucie zaprowadziło w labirynty mesyanizmu i wszystko, co wyrzekł w owej epoce, było dalszym rozwojem myśli zawartych w „Improwizacyi“, tak też Słowacki, idąc za niepohamowaną rozsądkiem wyobraźnią, zagubił swój talent w mrzonkach teozoficznych, a pomysły jego z ostatnich lat życia pozostawały w najściślejszym stosunku z „Anhellim“.

Słowacki wydał „Anhellego“ rok przed „Lillą Weneda“. Małecki przypuszcza nawet, że pisał go jeszcze w Genewie: mogliby mi więc zarzucić brak chronologicznej ścisłości w traktowaniu utworów wieszcza. Ale mnie się zdaje, że w latach 1833—1842, tj. po wyjeździe z kraju, a przed poznaniem Towiańskiego, nie może być mowy o żadnej chronologii w dziełach poety, gdyż zawsze ten sam, całą istotą swoją oddany marzeniom, przerzucał się wtedy Słowacki z fantazyjno-ekstatycznych uniesień w pomysły pełne radykalizmu politycznego i naodwrót. Otóż do owej grupy utworów krańcowych pod względem

myśli politycznej należą „Lambro“, „Kordyan“, „Grób Agamemnona“ i „Lilla Weneda“ [1]), które zestawiłem razem, by tem silniej uwydatnić różnicę pomiędzy niemi, a „Anhellim“. Wszakże i „Anhelli“ odosobnionym nie jest; podobne uniesienia spotykamy i w „Beniowskim“, w którym, według trafnej uwagi Małeckiego, podali sobie ręce Don Juan, Child Harold i Ariost, — pierwszego ironia, entuzyazm drugiego i niezrównana fantazya włoskiego poety.

Jeśli niektóre ustępy przypominają radykalizm „Agamemnona“ i „Lilli Wenedy“, to inne pozostają w ścisłym związku z „Anhellim“: poetę porywa rozkiełznana, a cudowna jego fantazya, wprowadza go w szał ekstazy i w szale ekstazy dochodzi wieszcz do apoteozowania siebie samego, dosłowniej mówiąc, swoich boskich marzeń:

„Omdlały jestem, ogniem owionięty
Piekielne rzeczy rzucający, święty“.

Albo któż się nie wzruszy, przeczytawszy następującą powiedź marzyciela:

On wie, On wiedział, nad jakiemi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących... te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.

Bóg sam wie tylko jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia, drogą rozpaczy odludną
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć,
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

[1]) Do tejże grupy może być zaliczony „Poemat Piasta Dantyszka ucie-“, który pomijam, bo nie odznacza się ani polotem myśli, wdziękiem formy.

Słowacki był „opętan od anioła“. Słowa te jego najlepiej określają urocze i rozkoszne uczucia, które wywołują w nas uniesienia i poloty rozpłomienionej jego fantazyi.

Takim więc był Słowacki w przeddzień nieszczęśliwego poznania się z Towiańskim: marzyciel do szpiku kości, nieoderwany jednak od świata, niezapatrzony w gwiazdy, ale kochający kraj, tęskniący do jego złotej przyszłości, gorąco pragnący ujrzeć marzenia swe urzeczywistnionemi. Ztąd wpadał na rozmaite, najdziwaczniejsze pomysły, lecz żaden nie mógł go zadowolnić; poeta nie umiał zejść do ogółu, a ogół nie umiał go pojąć:

I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne.

Nieszczęśliwe połączenie rozkiełznanego marzycielstwa z silnym instynktem patryotycznym powodowało owo ciągłe prawie rozdarcie wewnętrzne. Ale przejęty wieszczą siłą gieniuszu swego, a, nie umiejąc pogodzić się z ludźmi, poczynał wierzyć w jakieś nadprzyrodzone posłannictwo, w jakąś szczególną anielskość swoję. W takich chwilach tworzył „Anhellego“, w takich wołał:

Jeśli wy bez serc! Wy! To moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.

Był więc mistykiem, sam tego nie wiedząc, i wystarczało małej podniety, aby to usposobienie silniej w nim rozwinąć, ponieważ tylko mistycyzm mesyaniczny mógł mu dać spokój wewnętrzny, mógł równocześnie zadowolnić poloty wszechwładnej w jego umyśle fantazyi, oraz dążenia patryotyczne. Mistycyzm dawał rozszalałej wyobraźni poety

niezmierzone pole do bujania i przytem pocieszał myślą, że właśnie owem rozkiełznaniem marzeń pracuje dla wydźwignięcia kraju z przepaści.

Wniknąwszy w charakter Słowackiego, możemy a priori określić działalność jego w kierunku mesyanicznym: fantazya musiała go pchnąć na pole teozoficznych i historyozoficznych zaciekań, ambicya zaś, wiara w potęgę gieniuszu swego i ekstazy marzycielskie kazały mu mniemać, że jest wybrańcem Boga, powołanym do objawienia ludziom myśli Bożych.

MICKIEWICZ i SŁOWACKI

pod wpływem

TOWIAŃSKIEGO.

W szkicach powyższych, zastanawiając się nad duchową istotą obu mistrzów poezyi naszej, starałem się, stosownie do tych zasad i zadań krytyki, na które wskazałem w przedmowie, sprowadzić do jednego mianownika spostrzeżenia moje, tyczące się ich osoby. Wiedzieliśmy wszyscy, że Mickiewicza cechowała olbrzymia siła uczucia, że Słowacki górował wyobraźnią, ale, że rysy te stanowią zasadniczą cechę ich umysłowości, że wobec nich giną niemal wszelkie inne właściwości ich charakteru — na to zwracano za mało dotąd uwagi. Otóż staraliśmy się określić kierunek twórczej działalności obu poetów, ześrodkowując najwybitniejsze objawy myśli Mickiewicza koło niepożytej, a równej sobie w dziejach literatury niemającej uczuciowości jego, wówczas gdy życie i poezyą Słowackiego tłómaczył nam rozszalały, a niehamowany wędzidłem rozsądku, prąd marzeń poety. Jak uczucie poważnego wieszcza Litwy, tak fantazya kapryśnego autora „Araba“, doprowadzały do ekstatycznych uniesień. Pierwszy, przejęty wówczas bolem, a podniesiony świętą miłością, rzucał na papier żałośną skargę Konrada, tamten, rozanielony czarodziejską potęgą marzeń, tworzył Anhellego, a oba te utwory zawierały w sobie wszystkie cechy mistycyzmu. Obłęd jednak przechodził, i, dzięki olbrzymim i wy-

jątkowym siłom ducha, wracał Mickiewicz z szału ekstazy do spokoju i równowagi, Słowacki zaś, pojmując niemożliwość urzeczywistnienia mglisto-powiewnych pomysłów fantazyi swej, szukał ukojenia tęsknot i żalów poetyckich w twórczości czysto artystycznej. Ale wobec usposobienia przyrodzonego i rozpaczliwych warunków wygnania, stosunkowa równowaga ducha nie mogła być trwałą, pociąg mistyczny wzrastał w miarę lat i lada okoliczność mogła na zawsze zapędzić ich na bezdroża egzaltacyi. Takim nieszczęśliwym, a w smutne następstwa brzemiennym wypadkiem było spotkanie z Andrzejem Towiańskim.

Przenikniony apostolską gorliwością dla nowej nauki, Mickiewicz zginął na zawsze dla literatury; — zpod pióra zaś Słowackiego wytrysły utwory niepośledniej wprawdzie wartości, ale spaczone pod względem myśli i formy. Smutny to okres w dziejach ich twórczości, a że Mickiewicz kręcił się tylko w kołowrocie pojęć wypowiedzianych w Improwizacyi, Słowacki zaś nie dodał nic szczególnie godnego uwagi do myśli, wyrażonych w Anhellim, — postaramy się zbyć go jaknajkrócej, oszczędzając nudy czytelnikom, a próżnej pracy sobie.

1.

Syn [illegible] do łąk i do lasów nadniemeńskich, z serc[illegible] się pod naciskiem nieszczęść krajowych, [illegible] domowych, przejęty nadto myślą o wysoko[illegible] i odpowiedzialności poetów, którym na[illegible] do świętości i do mocy tworzenia cu[illegible] Mickiewicz halucynacyom wywoływanym nie[illegible] uczucia i wyobraźni. Odziedziczywszy [illegible] organizm fizyczny, wychowany w poszu-

nowaniu zdrowej spuścizny przeszłości ojczystej i rzymskich wzorów w literaturze, a rzymskiej cnoty w życiu społecznem, licował poeta polski pod względem usposobienia umysłu bardziej z tą rodzimą, a zdrową atmosferą, którą żyły i oddychały mężne i rycerskie pokolenia ojców, niż z chorobliwem rozmazaniem współczesnej już jemu choroby wieku. Ten jego nastrój odbijał się i na pracy twórczej; lubował się przeto wieszcz, jak słusznie twierdzi Chmielowski, w prostocie i jasności, w formach ścisłych i określonych, a obcemi mu były wszelkie powiewne, niepochwytne i bezkształtne pomysły fantazyi, myślał obrazami plastycznemi i barwnemi, a zdolność ta wobec anormalnych warunków, w których się znajdował, doprowadzała do halucynacyj, gdyż mary wyobraźni, które tworzyły się w duszy poety — cierpiącej, a podniesionej smutkiem, modlitwą i miłością, przyjmował za widma istotne, z krwi i kości, dzięki właśnie tej ich żywości. W grudniu 1840 r., po przywiezieniu zwłok Napoleona, a w czasie przygotowań do egzekwij znajdował się poeta w szczególnie podniosłym nastroju. Myślał o wielkim bogu wojny, o tragicznych kolejach wyprawy 1812 r., która niegdyś tak uderzyła jego wyobraźnię dziecięcą, o nadziejach niezniszczonych i pogrzebanych, o smutku obecnym, a zdało mu się wtedy nagle w biały dzień, że widział człowieka, jadącego z głębi ukochanej Litwy, wózkiem jednokonnym, po błocie i mgle, w biedzie, ale uczuł, że człowiek ten, „wiezie wielkość, wielkie rzeczy". Widzenie to powiązało mu się w myśli zapewne z przepowiednią, którą włożył niegdyś w chwili ekstazy w usta ks. Piotra, w trzeciej części Dziadów, a świadczy o rozstroju, w jaki wprawiała go ta wielka boleść, której nie był w stanie zwyciężyć. Wówczas też na jednej ze wspólnych uczt emigrantów, czuł się Mickiewicz w wielkiem podniesieniu ducha i improwizował; mówił między innemi, że wszyscy

są na złych drogach, a zabiegi ich nie doprowadzą do niczego, jeśli Bóg nie ulituje się i nie przyszle człowieka, „który będzie dla nas prawem żywem, którego słowa, czyny i giesta będą artykułami“.

W kilka miesięcy potem, latem, w chwili gdy się rozpoczynały wakacye, i gdy wieszcz, wymęczony wykładami w Collége de France, marzył o odpoczynku, żona jego wpadła w stan obłąkania; musiał ją Mickiewicz umieścić w domu zdrowia w Vanvres, sam zaś pozostał w Paryżu, mając opiekę dziatek na głowie, wówczas, gdy kosztowna kuracya żony pochłaniała wszystkie szczupłe jego dochody. Otóż tylko co był wrócił do mieszkania, odwiózłszy żonę do Vanvres, zgryziony, w stanie bliskim rozpaczy i zwątpienia, gdy zapukano do drzwi jego i wszedł mężczyzna 43 letni, w długim, brunatnym surducie, zapiętym do góry, z twarzą poważną i energiczną, przypominającą nieco Napoleona I-go. Byłto Andrzej Towiański, pozdrowił poetę imieniem Chrystusa, zarekomendował się, przypomniał, że przed 20 laty spotykali się w Wilnie, i, jak zwykle, zapytał, jak się powodzi. Poeta, będąc pod świeżem wrażeniem biedy domowej, opowiedział nieszczęście, które spotkało żonę; Towiański, wysłuchawszy uważnie, wytłómaczył, coto za choroba, dał radę jakąś niewiadomą i polecił spełnić ją natychmiast. Mickiewicz też udał się wnet do domu zdrowia, gdzie znalazł żonę w stanie niezwykłego podniecenia, lecz, wywiązawszy się sumiennie z tajemniczego polecenia, uleczył ją niemal cudownie i przywiózł zdrową do mieszkania. Wtedyto Towiański wytłómaczył Mickiewiczowi, że radę dał mu nie z doświadczenia własnego, ale z rozkazu Boga, jako znak, aby uwierzył weń i dał drugim świadectwo o misyi jego do wychodźców polskich. Poeta, owiany mistyczną atmosferą marzeń własnych, uwierzył w męża Bożego, utożsamiwszy go z owym smętnym wychodźcą z halucynacyi

zimowej, który doń jechał na spotkanie z Litwy, wózkiem jednokonnym, po błocie i mgle.

Wkrótce potem pozyskał Towiański dla siebie dwóch jeszcze wychodźców, Izydora Sobańskiego i Antoniego Goreckiego, i na podstawie zdania ewangielicznego, że gdzie trzech się zbierze w imię Chrystusa, tam znajdzie się Duch Boży, poświęcił ich uroczyście 7 sierpnia 1841 r. na apostołów sprawy Bożej ogłosił początek „sprawy". Mickiewicz podniesiony duchem, uszczęśliwiony i pełen nadziei różanych, gorliwie jął pracować koło pozyskiwania nowych adeptów, a że go uważano za głowę tęgą i nie dającą się byle czem obałamucić, więc słuchano z uwagą i wielu poszło za jego przykładem. Zachęcony pomyślnym początkiem, rozesłał Towiański 26 września listy drukowane, zapraszające na nabożeństwo uroczyste, mające się odbyć nazajutrz w katedrze paryskiej. Wezwani, zebrawszy się, znaleźli ołtarz umyślnie urządzony pośrodku świątyni, mszę odprawiał kanonik katedralny w asystencyi dwóch innych kanoników, Towiański zaś i Mickiewicz przyjęli podczas nabożeństwa komunią świętą. Po mszy przemówił Towiański do zgromadzonych rodaków z prostotą, pokorą i podniesieniem, oświadczył, że „wybiła godzina miłosierdzia Pańskiego"; bo nadeszła chwila, kiedy mu z wyżej rozkazano objawić, że zaczyna się nowa epoka, epoka łaski; niech nie dziwi ich, dodawał, wyrażenie „z wyżej", albowiem wszystko na świecie dzieje się tym samym odwiecznym trybem, że gdy złe na ziemi przebiera miarę, wtedy zsyła Opatrzność zbawienne środki zaradcze w postaci mężów natchnionych, głoszących wolę Bożą. Dzieje całe są tego świadectwem, zarówno stary testament jak i nowy: „To samo i dzisiaj odbyć się ma w naszej społeczności, z tą tylko różnicą, że co dawniej odbywało się długą koleją czasu i w zawiłych re-

wolucyach, to teraz nagle i rychło się dokona. A dzień dzisiejszy, kiedyście się tu zebrali, dniem jest wielkim i znaczącym w rozwoju dzieła olbrzymiego, w którem naród nasz ukochany znajdzie dla siebie byt niepodległy i szczęśliwy. Przychodzę więc uwiadomić was, że wkrótce wszystkie cierpienia nasze ustaną, wszystkie cierpienia ludzkości z przemocy i siły materyalnej pochodzące przeminą; Ewangielia zapanuje powszechnie, zajaśnieje nie w słowach i formach, ale w sercach wszystkich i ludy pocieszone będą wolnością... Przychodzę wzywać was do uczestnictwa w tem dziele wielkiem, was pierwszych w niem urzędników, dają wam do tego niezaprzeczone prawa cierpienia wasze, trudy i poświęcenia". Ofiarował następnie zgromadzonym usługi swe i doświadczenie życia całego, upraszał, aby nie szukano w nim nauk, ani talentów, których nie posiadał on, prostaczek, ale powołany niezgłębionym wyrokiem Opatrzności do spełnienia misyi wielkiej; — oświadczał, że nie przekroczy zakresu przewodnictwa duchowego, ale, zostając na właściwem stanowisku, nie ustanie w pracy, i poświęceniu dla nich, — wreszcie, głosem drżącym, a uroczystym, zawołał, że „już dzieło Pańskie rozpoczęte zostało", a słów tych domawiając, upadł wzruszony czołem do ziemi. Zgromadzeni płakali. Wiosna wstępowała w serca biednych tułaczy stęsknionych do progów ojczystych, mąż Boży roztwierał podwoje przyszłości, uśmiechał im się świat nowy, pełen słońca, kwiatów i pieśni, marzenia ukochane, stać się miały ciałem... lecz bardziej od innych poruszonym i natchnionym czuł się Mickiewicz i raz jeszcze, raz ostatni, pieśń cudna wyrywa się z piersi jego, dyszącej szczęśliwością bez końca, pieśń w której oznajmuje Zaleskiemu o tem szczęściu swojem:

Słowiczku mój! a leć, a piej!
Na pożegnanie piej

Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce twej!
Słowiczku mój! twe pióra zzuj,
Sokole skrzydła weź,
I w ostrzu szpon zołoto-stron
Dawidzki hymn tu nieś!

Bo wyszedł głos, i padł już los!
I tajne brzemię lat
Wydało płód! i stał się cud!
I rozraduje świat!

2.

Nastręcza się tu pytanie, kim właściwie był Towiański, i czy w dobrej działał wierze? Już w chwili, gdy się zjawił, zdania o nim były podzielone: jedni mieli go za proroka, inni za marzyciela nawpół obłąkanego, inni wreszcie za oszusta. Chmielowski i Małecki, szczególnie ostatni, przejęci zgrozą na widok jego zgubnej działalności, skłonni w nim upatrywać dużą dozę szarlataneryi. Trudną jest w tej kwestyi decyzya stanowcza z powodu szczupłej ilości źródeł, ze szczegółów zaś znanych dadzą się przytoczyć takie, co mówią i za, i przeciw niemu. Otóż, co do pierwszych, to ważne są zdania świadków współczesnych, którzy się całkiem bezstronnie zachowywali względem proroka i jego nauki, i oto, np. jenerał Skrzynecki, katolik gorliwy, którego Towiański napróżno usiłował pociągnąć ku sobie, oddawał mu słuszność, że w życiu potocznem dobry był i łatwy, potulny i poczciwy, a z zetknięcia się z nim sam skorzystał dużo, albowiem udzielił mu wiele rzeczy głębokich, przedewszystkiem zaś odkrył siłę i skuteczność modlitwy. Nierównie głębsze wrażenie wywarł Towiański na literacie szwajcarskim, Adolfie Lébre, współpracowniku „Revue des deux mondes“; podaję w pobieżnem streszczeniu

ustępy z jego dziennika, tyczące się osoby mistrza Andrzeja: Poznałem Towiańskiego. Nie mogę o nim sądzić bezstronnie, bo człowiek to niezwykły; wszystkie tęsknoty i dążenia epoki naszej znalazły miejsce w sercu jego; on jest duchem wcielonym wieku. Jego wiedza, jego bystrość, potęga jego ducha są nadludzkie, wskazują w nim człowieka w stanie ekstazy, albo raczej podniesienia pełnego słodyczy i siły, — siły, która daje mu skrzydła do wspaniałego polotu w sfery nadgwiazdne. Myśl jego jest natchnioną dobrocią i miłosierdziem bez granic, hymn radości i tryumfu dźwięczy w jego sercu. To anioł, nie człowiek! Ta wspaniałość monarsza, ten wzrok pełen słodyczy, ten spokój, ta siła, ta miłość, ta skromność, ten wyraz dziewiczy i to czoło cesarskie, coza człowiek! Jeśli on nie jest chrześcianinem, to obudzi w sercach ludzi takie wątpienie o prawdzie chrześciaństwa, jakiego nie budziły dotąd żadne systemy filozoficzne. On odwróci miliony od krzyża. Nastanie koniec panowaniu krzyża, skoro przekonają się ludzie, że sprawiedliwość i miłość mogą być poza krzyżem.

Chociaż nie sprawdziła się przepowiednia myśliciela szwajcarskiego, żaden jednak z wyznawców mistrza Andrzeja nie mógł z większem przejęciem się i zapałem mówić o uroku magnetycznym, jaki wywierał Towiański na otaczających. Z wpływem tym tajemniczym walczył długo, wytrwale i skutecznie, ksiądz Edward Duński, ale dla duszy jego gorącej katolicyzm zdawał się zanadto zimnym i martwym, i z tego powodu uległ on, po kilkuletniem wahaniu, Towiańskiemu. Ale, że nie poszedł za nim odrazu, że opierał się przez lat kilka, że badał przeto i rozmyślał nad osobistością proroka i nad nauką jego, więc świadectwo jego uważać możemy za bezstronne: otóż w wyznaniu nowej wiary swojej, które posyłał arcybiskupowi paryskiemu, pisał między innemi: „W zbliżeniu mojem powtórnem, w poznaniu więcej

osoby Andrzeja Towiańskiego i sprawy, jaką czyni i podaje, każdodziennie jaśniej przekonywam się o miłosierdziu Bożem, jakie przez organ ten za dni naszych schodzi na człowieka", zachwycał się dalej nad tem mianowicie, że mistrz przedziwnie zastosowywał prawdy religii do najdrobniejszych szczegółów życia prywatnego i publicznego. Wyznaję, dodawał — że, na drodze żywota mojego, nie napotkałem człowieka, w żadnej nie czytałem księdze, któraby pokazała tak wysokie i wielkie pojęcie o ofierze Jezusa Chrystusa, jak ją pokazuje Andrzej Towiański, a ofiary tej nauczа słowem, życiem całem i przykładem".

Tej to ostatniej okoliczności, — cnocie nieposzlakowanej i wierności, w życiu prywatnem, głoszonym zasadom, Towiański zawdzięczał poniekąd wpływ swój i urok; szczególnie zaś pociągał ku sobie serca prostaczków: w której np. oberży noc jednę spędzał, w czasie licznych wędrówek swoich, wszędzie ze łzami bywał nazajutrz żegnany przez gospodarzy. Jeszcze przed opuszczeniem kraju, odziedziczywszy po ojcu wieś, wnet w niej zaprowadził narady gminne, a nie przedsiębrał nic bez umówienia się poprzedniego z włościanami, starał się też usilnie o polepszenie bytu ich i moralności; zaskarbił sobie przez to zaufanie włościan całej okolicy, oraz Żydów, dla religii których okazywał zawsze uszanowanie.

Wreszcie wypada mieć na uwadze warunki zewnętrzne, które mogły się przyczynić do rozwinięcia skłonności mistycznych w umyśle Towiańskiego, — przedewszystkiem popęd ogólny ku mistycyzmowi, który zapanował w Europie już w drugiej połowie wieku zeszłego, jako reakcya przeciwko powszechnemu zepsuciu obyczajów, a znalazł szeroki odgłos w społeczeństwie polskiem, od przyrodzenia skłonnem do mglisto tajemniczych i nieokreślonych zaciekań. Przedstawiciele ruchu nowego, Tadeusz Grabianka, malarz

Oleszkiewicz, Poszman, Studziński, używali niemałej wziętości, Wilno zaś, przez czas niejaki, było siedliskiem mesmeryanizmu i magnetyzmu zwierzęcego; wydawano tam nawet pismo poświęcone tym sprawom p. n. „Pamiętnik magnetyczny". Wszystko to musiało się obić o uszy Towiańskiego i uderzało zapewne wyobraźnię jego, tem bardziej, że, będąc dotknięty ciężką chorobą oczu, nie mógł poświęcić się żadnej pracy, a trawił natomiast czas na marzeniach samotnych; słusznie więc uważa Chmielowski, że owe „przymusowe przez dnie i lata ciągnące się rekolekcye przyzwyczaiły żywą wyobraźnią obdarzonego młodzieńca do życia sennego, do podsłuchiwania głosów wewnętrznych, do widzeń i uznawania tych widzeń duchowych, za przedmioty i zjawiska zewnątrz istniejące". Bogatym wreszcie pokarmem dla mistycznie usposobionego umysłu jego były pisma filozofa, albo raczej marzyciela, Hoene-Wrońskiego, jeszcze zaś więcej „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego", oraz trzecia część „Dziadów", z której zapożyczył zapewne Towiański swoję propagandę ekstazy.

Ale jest okoliczność, przeważająca szalę na niekorzyść Towiańskiego, mianowicie brak wiary dostatecznej w świętość i siłę zasad, których był apostołem. Chętnie przypuszczam, że był głęboko przekonany w możliwości tajemniczych obcowań ludzi z Bóstwem i z duchami, że w dobrej wierze miał siebie za szczególnie umiłowanego przez Boga, że w rozszerzeniu i przejściu w życie głoszonej przez się idei konieczności podniesienia ducha do ekstazy upatrywał jedyne zbawienie i narodu własnego i ludzkości całej; wszystko to jednak nie miało potęgi tej wiary, która tylko rodzi zdolność do czynów wielkich i do poświęceń oraz ufność w Bogu, pewność w sobie, stałość i wytrwanie w walce w imię ideału: tego właśnie brakowało Towiańskiemu. Nie posiadał w sobie owego ognia wewnętrznego, który

rozpalał proroków i świętych, a dawał im moc ducha, jakiej nie mogą dać żadne przekonania, chociażby najmozolniejszą i najsumienniejszą pracą wyrobione; przeciwnie, widzimy naszego mistyka nieraz chwiejnym i niedołężnym, zanadto się starał przystosować do otoczenia, szczególnie do tych zpomiędzy wyznawców swoich, których miał za zdolniejszych i mędrszych od siebie; chcąc pociągnąć ich za sobą, schlebiał ich pojęciom, a wyrzekał się przezto nieraz artykułów wiary własnej, które sam przedtem propagował. Naprzykład, podług świadectwa jenerała Skrzyneckiego, Towiański nigdy nie przyznawał wyraźnie Bóstwa Chrystusa, dwadzieścia zaś lat przeszło nie był u spowiedzi; nakłaniany zaś do przystąpienia do Stołu Pańskiego, powstał z takiem oburzeniem na pobożnego jenerała, że nie dał mu przyjść do słowa i, poróżnieni, rozstali się odtąd na zawsze. Tymczasem, niezadługo potem Towiański, pragnąć pozyskać sobie Mickiewicza, a widząc gorące jego przywiązanie do wiary katolickiej, pierwszy porzucił dawne swe uprzedzenia, spowiadał się, uczniów swoich zachęcał do spełniania wszystkich obrządków religijnych, a naukę swoję i posłannictwo starał się powiązać z nauką Kościoła. Podobnież w epoce, gdy pracował jeszcze około przekonania Skrzyneckiego o prawdziwości nauki własnej, napisał dlań t. z. „Biesiadę“, w której wyłożył zasadnicze podstawy wiary nowej. Następnie, przypuszczając zapewne, że wypowiedziane tam poglądy będą w sprzeczności z zapatrywaniami Mickiewicza, nie napomknął nawet przed nim o broszurze swej, a zapytany o nią przez poetę, który o istnieniu jej dowiedział się zkądinąd, odpowiedział, iż „mało pamięta, co pisał Skrzyneckiemu“; później zaś, gdy „Biesiada“ zyskała uznanie Mickiewicza, żądał już prorok od niego, aby prelekcye w „Collège de France“ poświęcił wykładowi zawartych w „Biesiadzie“ myśli.

Brak ufności w siły własne wyszedł na jaw u Towiańskiego najpierw wówczas, gdy Semenenko otwarcie, a namiętnie wystąpił przeciwko nauce jego: wtedyto pisał do Mickiewicza, że pora już przyszła działać zaczepnie, ale jak — co do tego nie umiał dać wskazówek żadnych, a spuszczał się na natchnienie poety: „natchnieniu twemu oddaję ten śmielszy ruch na drodze służby naszej". Omijam dużo innych analogicznych przykładów, wskazując jeszcze na jeden tylko, mianowicie na zawiłość stylu proroka, wskutek której niepodobna nieraz dorozumieć się sensu; że nie pochodziła ona z nieumiejętności pisania, o tem świadczą notaty i listy jego z początku „sprawy" (r. 1841), oraz z lat 1849—55 i przemówienia w języku francuskim, wszystkie stosunkowo dość zrozumiałe; wynikała więc niejasność owa tylko z niepewności siebie: biedny prorok starał się przykryć jałowość myśli potokiem zagmatwanych, a niepowiązanych z sobą okresów.

Zestawiwszy powyższe szczegóły, z jednej strony cnotliwość w życiu i niezaprzeczony urok osoby proroka, mogący wypływać chyba tylko z ducha czystego, z drugiej zaś chwiejność ciągłą i brak otwartości w postępowaniu, da się tylko ten wniosek zrobić, że chociaż Towiański mógł w dobrej wierze głosić zbawienność zasad swoich, pobudką jednak działalności jego była nie tyle miłość ku ludziom, ile ambicya, żądza, bądźcobądź, przewodniczenia całym zastępom wyznawców posłusznych na każde skinienie.

Zasady nauki swej wyłożył Towiański w „Biesiadzie"; treść się jej cała obraca koło tezy, że pełno jest na kuli ziemskiej duchów dobrych i złych, które pośrednio wpływają na postępki ludzkie, a im bliżej ziemi, tem są gorsze i tem przeto zgubniej działają. Ale Bóg, ulitowawszy się nad niedolą ludzi, zesłał Chrystusa, który, zapaliwszy w ich sercach światło prawdy, rozpędził siły piekielne, tylko świa-

tło owo zgasło wkrótce i duchy nocy znów zawładnęły ziemią. Odtąd Bóg miłosierny ma zsyłać, po upływie każdych mniej więcej dwóch tysięcy lat, mężów natchnionych, aby, niosąc ulgę ludzkości, rozwijali dzieło rozpoczęte przez Chrystusa; wysłańców takich ma być siedmiu, ostatni zaś z nich rozpędzi na wieki duchów ciemności, złe zniknie wtedy z powierzchni ziemi, która stanie się niebem, Towiański ma być właśnie owym drugim zkolei wysłańcem, ale dano mu władzę przyśpieszyć panowanie światła tylko w niektórych miejscach kuli ziemskiej, przedewszystkiem zaś we Francyi, którą do przyjęcia prawdy przygotował Napoleon, największy z ludzi, jakich widział świat po zejściu Chrystusa. Duchy nocy wytężają wszystką moc swoję przeciwko owym mężom Bożym, ale ci pracą wewnętrzną i skupieniem tworzą w sobie kolumnę światła, niszczącą wszelkie wysiłki piekieł, każdy jednak śmiertelnik prosty może w sobie wyrobić kolumnę podobną, jeśli rozpłomieni serce miłością Boga, kilka zaś kolumn tworzy atmosferę światła, od której stronią duchy ciemności.

Naukę tę przyjął Mickiewicz z uznaniem, jak wszystko zresztą, co pochodziło z ust proroka, ale nie przypadła mu ona do serca; mając umysł praktyczny, nie mógł się lubować w mglistych jakichś majaczeniach o tajemniczym stosunku duchów do ludzi. Zrozumiał to doskonale Towiański. I tu mamy jaskrawy przykład chwiejności jego i oportunizmu, względem własnych przekonań: W długim szeregu listów jego i przemówień z lat 1841—55, gdzie często mowa o innych zasadach wiary proroka, nie spotykamy żadnej prawie wzmianki o duchach; ustęp zaś jeden świadczy, że pod wpływem Mickiewicza przeinaczył naukę swą niby nieznacznie, a jednak w gruncie rzeczy całkowicie, poprawką niewinną z pozoru, ale bardzo ważną, zmie-

niając w słowie „duch“ liczbę mnogą na pojedyńczą: gdy bowiem jeden z nowych adeptów, uderzony sprzecznością pomiędzy nauką o duchach, a zasadami chrześciaństwa, wyraził wątpliwość swą przed mistrzem Towiańskim w następującej notatce: „wzbijanie się w krainę nikomu nieznaną duchów, odrywanie się od ziemi, od której śmierć tylko człowieka uwalnia, robi nas niepraktycznymi, dalekimi od prostoty tej, szczerości, łatwości i błogości pierwszych chrześcian, którzy mało o duchach i widzeniach mówili“, mistrz odpowiedział, że „po przebiciu duchem ciała, pracą 18-tu wieków, epoka niniejsza jest epoką ducha, po epoce ziemi; łączność bowiem z krainą ducha większa, gdyż nie śmierć sama, jak pierwiej, ale praca ducha za życia łączyć ma człowieka z krainą ducha. Duch oswobodzony, w sprawach życia powinności życia pełniący, praktykować będzie Słowo Boże, jak Chrystus dał tego przykład“. Do odpowiedzi powyższej mistrza Mickiewicz dodał własne objaśnienie w tym sensie, że pytanie ucznia zawiera w sobie błąd historyczny, ponieważ „właśnie u pierwszych chrześcian nic się inaczej nie działo, jak z ducha i cała ewangielia prawie o niczem innem nie mówi, jak o spółce z krainą ducha“. Obaj więc, i uczeń, i mistrz mieli racyą ze stanowiska swego: pierwszy pojął słowa Towiańskiego dosłownie, ten zaś, zrobiwszy zmianę nieznaczną w tekscie, udał, że stoi na gruncie ewangielii: łatwo jednak pojąć, że cała przepaść leży pomiędzy pojęciem obcowania z duchami jakiemiś, o których wiara katolicka nic nie wie, a pojęciem wznoszenia się od cielesności rzeczy ziemskich ku krainie ducha t. j. stopniowego uduchowniania się, zalecanego przez ascetów wszystkich religij.

Inne natomiast punkty „Biesiady“, tyczące się stosunku Towiańskiego do Chrystusa, kultu Napoleona i propagowa-

nia ekstazy ducha, trafiły do serca Mickiewica i były przeto nadal rozwijane, a, właściwie mówiąc, powtarzane i rozwodniane przez mistrza Andrzeja. O posłannictwie swojem boskiem rozprawiał bez końca, powiadał, że Chrystus „sam Syn, prawdziwy rys Ojca", odkrył tylko część słowa, reszta zaś ma być odsłonioną w kolei wieków, w miarę dojrzewania człowieka, dowodził dalej, że Słowo Boże, które żyło w Chrystusie, ze śmiercią Jego umarło dla świata, ztąd 18 wieków bolesnych dziejów ludzkości, ale Bóg zechciał, aby słowo Jego zmartwychwstało za pośrednictwem człowieka i dziś właśnie ma być początek nowej wyższej epoki uchrześcianienia stosunków ziemskich, gdyż przez usta człowieka (t. j. Towiańskiego), wskazywaną jest droga do urzeczywistnienia obietnic Boskich. Co do kultu Napoleona, to ze zdań Towiańskiego o nim, tu i ówdzie rozsianych, dałaby się ułożyć spora dość broszurka, ale dorozumieć się w nich jakiej myśli przewodniej niema podobieństwa żadnego. Dowiemy się conajwięcej, że cesarz Francuzów był jutrzenką poprzedzającą wschód, że przeznaczony był do zrealizowania Słowa Bożego na ziemi, że życiem swojem wskazał, jak wielką jest siła słowa i energia miłości, że, nie umiejąc odczuć i wejść w ducha Napoleona, niepodobna pojąć Chrystusa, ale, że bohater nie wytrwał, niestety, „w tonie", zwątpił we wszechmoc ducha, zerwał z duchami wyższymi, pozostał przeto sam o własnych siłach i upadł, zadaniem przeto „koła" (t. j. uczniów Towiańskiego), zrobić to, czego Napoleon nie dopełnił i t. d. — Słów dużo, a myśli mało.

Natomiast zaczerpniętą z trzeciej części „Dziadów" naukę o ekstazie, jako idealnym stanie ducha człowieczego, przeprowadzał Towiański z większą stosunkowo ścisłością, uformułował ją nawet poniekąd, nakładając trojaki obowią-

zek na człowieka: podnieść ducha, zdobyć ciało i podnieść ciało do wysokości ducha. Tłómaczył to mniej więcej w ten sposób, iż treść historyi stanowi walka ducha z ciałem; celem zaś jej sprowadzenie ducha i ciała do jedności, za pomocą uświęcenia ciała przez ciągłe podnoszenie go siłą ducha ku Bogu. Zadaniem pojedyńczego człowieka stać się wielkim, „wielkim zaś w epoce dzisiejszej jest duch czysty, oswobodzony, ciałem władnący“. W ogóle Towiański był niezmordowany w nieustannem nawoływaniu uczniów do rozpłomieniania serc miłością Boga; przedmiot ten stanowił prawie wyłączną treść korespondencyi jego z Mickiewiczem; poeta składał sprawozdania o stanie koła, mistrz zaś zawsze był niezadowolony, wymagał od wyznawców coraz większych wysileń w celu egzaltacyi ducha, żądał, aby uczucia wszystkie i myśli mogli zestrzelić w jednę iskrę, albowiem wtedy tylko koło stanie u szczytu, a mistrz będzie panem na ziemi.

Do tych rysów dołączył Towiański pod wpływem Mickiewicza, a może też i Słowackiego, jeden nowy, mianowicie tendencye słowiańskie, zabarwione mocną dozą demokratyzmu w sensie, że chłopek, jako pełen prostoty w wierze, a niezepsuty w obyczajach, bliższym jest poznania prawdy, niż klasy wykształcone: już w pierwszej notatce swej urzędowej, wystosowanej w sierpniu 1841 r. do trzech pierwszych wyznawców nowej nauki, powiada, że Bóg kładzie kres niedoli ludów słowiańskich, które szczególnie umiłował, wolę zaś swą objawia najpierw wychodźcom polskim, albowiem oni najwięcej cierpieli i przeto stali się najbliższymi Boga. Później nieco ogłasza, że Polska istnieje nie przez klasy wyższe, które stanowią małą garstkę, ale przez lud, który już się ruszać zaczyna, „westchnienie zaś wieśniaka słowiańskiego, czystego, bo zamiłowaniem mamony niezbrudzonego, prostego, bo śpiącego, a dróg

krzywych nieznającego, większej jest ceny, jak wszystkie płody gieniuszów". Na tę jednak stronę nauki swojej Towiański nacisku szczególnego nie położył.

Wreszcie działalność Towiańskiego da się podzielić na okresy, które jednak trudno rozgraniczyć, pod względem daty: lecz w każdym razie jest rzeczą bijącą, że w pierwszych 4—5 leciech nauczania, szczególnie zaś w samym początku, prorok kładł wielki nacisk na to, że cierpienia ludzkości mają już wkrótce ustać na ziemi, a ewangielia zapanować; przepowiedniom tym należy przypisać dużą stosunkowo ilość zwolenników, jaką pociągał wówczas mistrz ku sobie, ale ponieważ proroctwa nie sprawdziły się, a niecierpliwość wyznawców wzrastała, więc Towiański tym razem, jak zwykle, począł cofać się powoli, to składając winę na brak świętości i zapału do sprawy w uczniach, to znów, ograniczając misyą swoję tylko do przygotowania ludzi do nowej wyższej epoki, która miała nastąpić w nieokreślonej przyszłości, — i do dania im przykładu życiem własnem i czynem, jak Słowo Boże należało wypełniać.

3.

„Avant d'écrire des vers, il faudrait faire des miracles", myśl ta Saint Martin'a uderzyła Mickiewicza jeszcze w r. 1834, gdy zaczynał dopiero skłaniać się ku mistycyzmowi, poznawszy zaś Towiańskiego, przejął się nią ostatecznie, porzucił też świat poezyi, by się tem zupełniej oddać pracy wewnętrznej nad sobą: marzył poeta o rozkazywaniu zarówno siłom przyrody, jak i duszom ludzkim, o rozpaleniu świata całego tym ogniem, który mu gorzał w piersiach, o poruszeniu serc ludzi z nizin ziemskich w górę — do

spółki i jedności z Synem Człowieczym. Na drodze zaś tej nowej i ciężkiej znalazł w osobie Towiańskiego wzór doskonały, człowieka Bożego, owoc krwawej pracy pokoleń, tajnych westchnień i tęsknień ludzkości w przeciągu 18-tu stuleci. Rzecz godna uwagi, że nietyle pociągnęła Mickiewicza nauka, ile osobistość proroka. Bo cóż zresztą mogło go nęcić w mrzonkach owych? strona teoretyczna, tycząca się obcowania ludzi ze światem duchów, nie przemawiała mu wcale do przekonania, pomimo, iż ubóstwiwszy mistrza, poeta skłonnym był widocznie wyznać w pokorze ducha, że nie był godzien pojąć owych boskich objawień proroka, stronę zaś praktyczną, nauczającą podniesienia ducha do stanu ekstazy, przeczuł już sam wprzódy i wyraził w trzeciej części „Dziadów“ stokroć doskonalej, niż Towiański w swoich zawiłych, a nieraz niedorzecznych listach i przemówieniach; natomiast osoba proroka wywarła na Mickiewiczu jakiś urok czarowny, którego do śmierci nie umiał się pozbyć. Nawet zdawał sobie z tego sprawę i zeznawał publicznie: „Mistrz nasz — mówił on na jednem z zebrań koła w 1842 r., - nic nowego nam nie przyniósł, boć i przed Chrystusem wielu rzeczy już się doław o i Chrystus nic nowego nie przyniósł, ale przyniósł ducha nowego, ukazał w sobie to życie, Słowo Boże, którem świat od początku żył i powoli zatracał. Świat cały potrzebował, pragnął czegoś, a nikt mu nic dać nie umiał“. Otóż w takiem położeniu i wówczas miał się świat znajdować, a Towiański przyniósł z sobą takież światło i życie, jakie Chrystus niegdyś. „Minęła już pora nauczania, — mówił dalej poeta — działać, stawiać, czynu trzeba i mistrz nam tę drogę wskazał. Życie od czasów Chrystusa rozpraszane on koncentrował, nie marnotrawił. I oto ukazał się, jako człowiek doskonały. Trzeba było człowieka koniecznie i on przyszedł, jako wzór, który mamy realizować“. Owo apoteo-

zowanie osoby Towiańskiego posuwał Mickiewicz do krańców ostatecznych: „Czyn, jako owoc ofiary ducha, — mówił na zebraniu koła w wielką środę 1845, — jest najwyższą rzeczą, do której każdy z nas powołany. Tej ofiary nie mogliśmy spełnić bez pana naszego (t. j. bez Towiańskiego). Jego życie bowiem jest ciągłą ofiarą. Żyje on w Bogu, ciągnie siłę z Boga, zawsze i wszędzie stoi przy prawdzie. Choć tułacz i wygnaniec, w duchu przecie jest panem ziemi i każdy z nas poczuć powinien, że jest sługą takiego pana". Zachęcając zaś do rozpamiętywania męki Chrystusa, dodawał, iż rozważanie wiadomych dziejów mistrza, „uczucie" wszystkiego, czego się przeciw niemu dopuszczono, ułatwić powinno poczucie męki, którą Chrystus Pan cierpiał.

Stosunek ów do Towiańskiego, jak całe w ogóle życie i poezya Mickiewicza, wypływał z gorącego serca poety: w stosunku do Boga, uczuciowość, potęgując wiarę, nie dawała miejsca zwątpieniu, w stosunku zaś do ludzi, przepełniała go żądzą służenia współbraciom, powodowała surowe pojmowanie obowiązku, a w dalszym ciągu wyradzała poczucie własnej nieudolności wobec ideału, który sobie w bił. To też pomimo owych chwil natchnienia, któreśmy widzieli, a w których, rozpłomieniony uczuciem, porównywał siebie do Boga i rozpaczał, że tym ogniem miłości nie umiał natchnąć serc bliźnich, niezdolnym był jednak wielki poeta spocząć w objęciach marzeń o jakiejś wyższości swojej, o jakiemś szczególnem posłannictwie od Boga, ale natomiast, pełen ufności w Opatrzność, a cierpiący nad upadkiem ludzkości, budował nadzieję dni lepszych na zesłaniu męża doskonałego, który świętością swoją pociągnąłby narody i dał początek erze nowej. Spotkawszy Towiańskiego, uznał w nim wysłańca Bożego.

Poświęciwszy się sprawie, dwojakie nakreślił sobie zadanie: przedewszystkiem skupić się, przejąć nauką i czy-

nami mistrza, podnieść ducha do spółki i jedności z nim, a przezeń ze Zbawcą świata, następnie rozpalić ogniem własnym dusze bliźnich; a to ostatnie zostało mu właśnie poruczone przez Towiańskiego, który, będąc zmuszony przez władze policyjne opuścić Francyą, polecił Mickiewiczowi opiekę nad kołem współwyznawców w Paryżu, oraz dbałość o dalszy jego rozwój. I jedno i drugie spełniał poeta z właściwym sobie zapałem i poświęceniem; smutek ściska serce na widok całej tej jego działalności: jestto stopniowe spadanie ducha wielkiego do ciemnych przepaści mistycyzmu z wyżyn wiary, wiedzy i sztuki, na jakie się wznosili rzadcy wybrańcy, upadek tem tragiczniejszy, że dokonywany z całą świadomością, a w dobrej wierze, iż krokiem jest naprzód w drodze ku urzeczywistnieniu ideałów, w imię których walczył poeta i cierpiał przez lat przeszło 20, od chwili pierwszych uniesień młodości, gdy wspólnie z Zanem wzlatywał w „rajską krainę ułudy“, marząc o porwaniu narodu za sobą świętością uczuć i potęgą zapału, aż do złowieszczego spotkania się z Towiańskim.

„Usiłujmy skupić, — przemawiał Mickiewicz na solennem zgromadzeniu koła 3 czerwca 1843, — rozlać wewnątrz siebie święty płomień udzielony nam przez mistrza, a, zamieniwszy w pałającą gwiazdę, rozszerzajmy go na zewnątrz“; w taki sposób pojmował poeta pracę wewnętrzną i tak ją wypełniał. Nie dziw więc, że, łożąc wszystkie siły ducha na podtrzymanie w sobie anormalnego podniesienia, częstszym, niż wprzódy, podlegał halucynacyom; we snach, jak donosił Towiańskiemu, dręczyły go walki z duchami przeciwnymi, ciężkie i częste, a nigdy mu się nie śniło, ażeby ich zwyciężył; chociaż stał walecznie, siły go jednak opuszczały i zgnębiony wołał o ratunek; wierząc zaś głęboko w tajemniczy związek świata snów i widzeń ze światem rzeczywistym, upatrywał w walkach swych sennych obraz pra-

wdziwego stanu duszy własnej i smucił się nad jej niedoskonałością. Podobnież, przed każdym niemal krokiem ważniejszym, zdawało mu się, że miewał natchnienia zgóry, jak działać wypadało, a z przeczuć tych spowiadał się mistrzowi i podług nich starał się postępować. W chwili zaś szczególnego podniesienia zstępował nań promień łaski, poeta czuł wtedy niezwykłą moc i swobodę, ten stan rozkoszy pełen, znał on i wprzódy, tylko dawniej użytkował te chwile szczęśliwe dla poezyi, tworzył Odę do młodości i Farysa, wtedy zaś modlił się i czekał kierunku zgóry, a, rozskrzydlony miłością i pragnieniem rzeczy nieziemskich, wchodził w bezpośrednie obcowanie z duchem Chrystusa, Napoleona, jak również z duchem nieobecnego mistrza: „W przeszły poniedziałek — pisał on do Towiańskiego 15 marca 1844 r. — wieczorem modliłem się i duchem przeniosłem się do kościoła St. Louis, aby tam duchem przyjąć komunią i poczułem nagle i mocno, iż ją mam duchem ducha z rąk twoich przyjąć. Co w duchu dopełniłem". Inną razą po modlitwie do Najświętszej Panny, poczuł blisko siebie Chrystusa w postaci *Ecce homo,* a wkrótce ujrzał przed sobą gwiazdeczkę, — był to duch Napoleona, wtedy zaczęły mu się składać słowa, które wnet zapisał i posłał Towiańskiemu, jako owoc natchnienia zgóry, tyczyły się zaś one posłannictwa Napoleona do narodu francuskiego, które mistrz miał dopełnić.

Działalność Mickiewicza, jako przewodnika koła towiańczyków, znaną jest z przemówień, których treść zawsze taż sama: pracujcie nad sobą, skupiajcie się, starajcie się myśli wasze i uczucia zestrzelić w jednę iskrę, a wtedy staniecie u szczytu; — znamy też ją i ze sprawozdań, które posyłał Towiańskiemu; opisywał w nich wspólne ich zebrania, modlitwy i posty, donosił obszernie o tonie t. j. o stanie ducha i o stopniu doskonałości pojedyńczych braci. Mniej to

nas wszystko obchodzi, ale natomiast znajdzie się inny rys, który niezawodnie zwróci na się uwagi i do głębi poruszyć czytelnika; jest nim głęboka pokora poety, objawiająca się w nieustannych ubolewaniach nad oschłością i nieudolnością ducha własnego. Ukochawszy i ubóstwiwszy mistrza, Mickiewicz stałym był w uczuciu swojem, a niepomyślny obrót sprawy, senny i żółwim krokiem posuwający się naprzód rozwój koła nie nadwerężył w niczem dziecinnej ufności w Towiańskim; wszystko przypisywał poeta winie braci, lecz najwięcej własnej. „Drogi nasz mistrzu — skarżył się w liście jednym z 1842 r. — zasilaj koło nasze i mnie pożyw. Koło trzyma się w całości, ale mało ruchu i słabo. Ja więcej kruszę się, niż podnoszę, dałeś mi jęk do Pana, ale moc nie schodzi. Często zdaje mi się, że już jestem duchem stojącym i pokutującym w nieruchomości, tak przeszłość moja ciemna i kręte dawne drogi porywają ducha mego wstecz na rozmyślanie. Lotu nie mam dotąd". Co za brak miłości własnej! Ile tu zaparcia się! George Sand trafnie oceniła stosunek Mickiewicza do Towiańskiego: „Ktokolwiek zna tę skromność, czystość i ten duch zaparcia się u Mickiewicza, który czyni go człowiekiem zupełnie osobliwym w naszym wieku egoizmu i próżności, postacią niemającą podobnej do siebie pomiędzy nami... ktokolwiek usłyszy, że ten człowiek, wielki, a naiwny, znalazł sobie mistrza i przewodnika, ten odpowie z rozrzewnieniem: o! do tego on był zdolny".

Gdy w mroźny poranek zimowy nieskończoność błękitów zajaśnieje i uśmiechnie się melancholicznym blaskiem wschodzącego słońca, i tysiącami brylantów roziskrzą się skrzepłe i białe równiny, z błękitów tych jednak, blasków i promieni nie ciepło wionie i życie, lecz chłód śmierci, podobnież Mickiewicz, olśniony zrazu blaskiem słów, czynów i postaci proroka, porwany i roztęskniony, rozczarował się

bardzo prędko i smutek weń wstąpił, bo blask ów równie, jak blask słońca zimowego, nie przynosił z sobą życia, a choć opromienił nadzieją serca współwyznawców, nie dał im siły kruszącej zapory; rzeczy ziemskie szły torem zwyczajnym, a nic nie przepowiadało, aby w przyszłości miało być lepiej. Więc żałość bez końca opanowała wieszcza i tem bardziej skupiał się, aby wyrobić w sobie tę gorącość ducha, którąby wionęła ciepłem życiodawczem na dusze braci i sprowadziła z sobą jutrzenkę dni szczęśliwych.

Ale działalność zewnętrzna Mickiewicza nie kończyła się na pracy w kole, miał on drugie, a stokroć wdzięczniejsze pole, katedrę w Collége de France. Otóż, stosownie do polecenia mistrza, poświęcił on kurs trzech lat ostatnich przygotowaniu Francyi do przyjęcia objawienia nowego. Dzięki zaś wrodzonemu Francuzom zapałowi, oraz żądzy natychmiastowego wcielenia ideału w czyn, którą Mickiewicz nazywał duchem rewolucyjnym, miał on ich za jedyny w cywilizowanej Europie naród zdolny do zapalenia się nauką mistrza i mający przeto ważne przed sobą posłannictwo w przyszłości. Tą myślą przejęty, wygłosił z niezwykłym ogniem prelekcyą wstępną w początku kursu czwartego roku, 22 grudnia 1843 r. „To miejsce“ (t. j. katedra w Collége de France) — mówił on — „uznałem najprzód za emblematyczną arkę przyszłego zjednoczenia się ludów słowiańskich; zmieniło się później w mównicę do objawienia prawdy historycznej; dzisiaj staje się już stanowiskiem wojennem, basztą powierzoną od gieniuszu Francyi duchowi słowiańskiemu, sprzymierzeńcowi narodu francuskiego“. Zadanie to pojmował profesor w ten sposób, iż miał objawić Francyi, co Słowianie przynoszą nowego na świat i tem nowem ich słowem zapalić naród francuski. Ale, aby słuchacze pojąć

go mogli, żądał od nich natchnienia, albowiem sam miał mówić z natchnienia, które miało być jedynym dowodem prawdziwości jego słów: „Ile zdołałem nasączyć w moję duszę zapału, miłości, siły, powołany jestem tu wylać... Chociażby mi przyszło obrazić nawyknienia moich słuchaczy, chociażbym musiał wreszcie na gwałt krzyczeć, będę krzyczał. Krzyki te nie będą mojemi własnemi: ja osobistość moję poświęciłem na ofiarę: wydzierają się one z głębi ducha wielkiego ludu. Od samego dna jego wszystkich podań, przebiwszy się przez duch mój, upadną tu pomiędzy wami, jak strzały dymiące się jeszcze krwią i znojem". Poeta był więc ściśle konsekwentnym w twierdzeniach swoich: uczucie, stopień jego i kierunek, stanowiło o moralnej wartości osobnika, odpowiednio rozwinięte uczucie dawało początek natchnieniu, to miało za owoc egzaltacyą, która prowadziła znów za sobą zdolność do poświęcenia — najwyższy stopień doskonałości. W stanie natchnienia posuniętym do ekstazy wchodził człowiek w obcowanie z Bóstwem, wszystko przeto, co wypowiadał, było jakby podszeptem ducha Bożego; otóż w takim stanie mienił się być poeta, gdy wygłaszał wyżej przytoczone słowa, wierzył, iż wcielał się weń i przemawiał przez niego duch ludów słowiańskich. Z tegoto powodu do prelekcyj swych nie przygotowywał się, a uzasadniał to nader wymownie w następujących wyrazach: „Jestem chrześcianinem, przypomniało mi się, że w Ewangielii zakazano temu, kto ma ogłaszać wielkie prawdy, układać pierwiej w głowie, co będzie mówił. Wszyscy znają to prawo duchowe i razem literackie, a gdzież się go trzymano? Co do mnie, wziąłem sobie za prawidło nie przychodzić tu z mowami przygotowanemi. Jako chrześcianin, chciałem przez to dowieść wiary w obietnice Ewangielii; jako Polak, powinienem rachować na pomoc Tego, czyj duch ją dyktował, po-

moc jedyną, która nigdy nie zawiodła mojego narodu, ilekroć do niej się udawał i nigdy go nie zawiedzie".

Stanąwszy na tem stanowisku, że natchnienie i wypływająca ztąd pochopność do poświęceń są najwyższym szczeblem, na jaki wznieść się mogą zarówno osobniki, jak i narody, rozpatrywał Mickiewicz i osądzał w wykładach swoich współczesną zachodnio-europejską cywilizacyą, aby tem wyraźniej przedstawić w umysłach słuchaczy nowego ducha, jakiego przynosili Słowianie i tem dobitniej zaznaczyć potrzebę poznania go i przejęcia się nim. Otóż na zachodzie uderzała go przedewszystkiem negacya natchnienia, natomiast zaś kult rozsądku i idący za tem racyonalizm; uważał to za objaw ujemny, świadczący o głębokim upadku ducha, co ze szczególnym naciskiem wygłaszał ze swej katedry. Do tegoż samego wniosku dochodzili równocześnie ojcowie słowianofilstwa w Rosyi: Kirejewski, Konstanty Aksakow i Chomiakow, ale ci sumiennie badali Europę, starając się jaknajściślej poglądy swe ugruntować, wówczas gdy Mickiewicz, zarzuciwszy badanie, a słuchając jedynie głosu wewnętrznego, rzucał poglądy gienialne nieraz, ale ładu i ścisłości dopatrzeć się w nich niepodobna. Wszystkie wyniki cywilizacyi Zachodu w dziedzinach religii, filozofii i polityki, stanowiły przedmiot namiętnych wycieczek poety. Jeśli się powszechnie zgodzono, rozumował on, że natchnienie jest głównym pierwiastkiem twórczości artystycznej, jeśli potęgę jego przyjęto za kryteryum wielkości dzieła sztuki, to dlaczegoż wyganiają je ze świątyń modlitwy i z izb prawodawczych? Tymczasem religia powstała z cudów i cudami powinna się utrzymać: „Jakże się więc to dzieje, — zapytywał natchniony profesor — że mniemanie pospolite z trudnością przypuszcza, aby ten dar miał być kiedykolwiek w chrześciaństwie, a księża go uważają za znikniony, niepotrzebny, albo niepodobny do odzyskania?" Dlaczegoż go

dzisiaj niemasz w kościele urzędowym?' Bo zwierzchność duchowna — odpowiadał — nie poddała się warunkom niezbędnym do poznania prawdy: „Klasa ta opuściła drogę krzyża, nie chciała cierpieć, starała się zawsze uniknąć boleści i zamknęła się w książkach, w teologii, w doktrynach; bo to wiadomo wszystkim, że daleko mniej kosztuje pisać i rozprawiać, niżeli szczerze mówić prawdę i narażać się w jej obronie. Siła rodzi się tylko z bolu". To też nieubłaganym był względem racyonalizmu w religii, który wzniosłe prawdy chrześciańskie wtłoczył w ciasne pęta formuł, wmawiając, iż niema potrzeby pracować nadal, gdyż wszystko już zdobyte, pozostaje tylko cieszyć się skarbem, chodzi jedynie o wydoskonalenie szczegółów specyalności. „Zwodnicza ta myśl — dodawał — ujmowała ludzi, albowiem nie narażała ducha na żaden koszt, nie wymagając po nim żadnej ofiary z miłości własnej; w taki sposób po apostołach i cudotwórcach następowali teologowie i kazuiści". Z równem oburzeniem powstawał poeta przeciwko nauce współczesnej, stawiąc jej tenże zarzut zasadniczy, tenże brak natchnienia. Aby mieć natchnienie, trzeba na nie życiem zasłużyć: „tylko duch, który pracuje, który się podnosi, który bezustanku szuka Boga, otrzymuje światło wyższe zwane słowem i staje się objawicielem". Otóż zapomnieli o tem wszyscy filozofowie, zapomnieli, że, pisząc książki i ogłaszając systemy, należy prawdziwość tych systemów życiem uzasadnić. „Gdyby zamiast opisywania społeczeństwa nowego — mówił Mickiewicz o teologu i marzycielu polskim Ludwiku Królikowskim — począł był społeczeństwo to tworzyć, gdyby zamiast gadania, jak je zjednoczyć, postawił nam na wzór choć kilku zjednoczonych przez się, mogąc wtenczas ze skutków sądzić o zasadach, uwolnilibyśmy go łatwo od rozpraw teologicznych". Ale jeśli myśliciele polscy pracowali nad utworzeniem jakichkolwiek ideałów społecznych, któreby

mogły przyświecać i kierować rzeczywistością, to mistrzyni ich, panująca wszechwładnie w Europie, filozofia niemiecka odrzucała wszelką myśl o przyszłości, dążąc jedynie do wytłómaczenia i usprawiedliwienia stosunków istniejących. „Na tym pewniku Hegla, — powiadał poeta — że wszystko, co słuszne, to ma byt, a, co ma byt, to słuszne, polegają wszystkie systemy niemieckie. Bardzo to łatwo i przyjemnie wykładać historycznie bieg wyobrażeń politycznych, wyłuszczać zawilsze miejsca prawodawstwa albo konstytucyi i siedzieć sobie spokojnie wśród porządku rzeczy, postawionego cudzym kosztem. Z tego błogiego stanu rzeczy nie chce się filozofom niemieckim ani na krok wyruszyć". Ta apatya względem krzyczących niesprawiedliwości w ustroju społeczeństw, ten zimny racyonalizm w religii i filozofii, prowadzący do apoteozowania rzeczywistości, były najjaskrawszym dowodem rozkładu cywilizacyi zachodnio-europejskiej i konieczności nowego słowa, które miały przynieść narody świeże jeszcze, a niedotknięte przez raka, toczącego Europę: „Wszystko, co się teraz dzieje w duszach ludzkich, omdlałość, zwątpienie, niepokój, tęsknota, boleść, jakie dają się postrzegać ogólnie, są dowodem przeświadczającym nas wewnętrznie, że zbliżamy się do zmiany powszechnej".

W kilku prelekcyach, poświęconych rozbiorowi wyników filozofii niemieckiej i polskiej, Mickiewicz zatrzymał się ze szczególnem zajęciem i sympatyą na nauce Cieszkowskiego, szukającej w intuicyi źródeł wszelkiego poznania. Takie rozwiązanie jednego z głównych zagadnień filozoficznych uważał poeta za wypływ ducha słowiańskiego nieobałamuconego teoryami niemieckiemi, zasadniczym zaś pierwiastkiem ducha owego było, zdaniem jego, uczucie, które wycisnęło już znamię swe we wszystkich dziedzinach ich życia historycznego, a miało natchnąć ich w bliskiej przyszłości siłą do wydobycia świata z otchłani racyonalizmu

i do wprowadzenia go na drogę zupełniejszego urzeczywistnienia ideałów chrześciaństwa. Dowodów dla tej tezy swojej szukał Mickiewicz w historyi i w literaturze Słowian. Otóż co się tyczy czasów zamierzchłych, to uderzała wieszcza prostota wierzeń pierwotnych, brak niemal zupełny baśni mitologicznych. Dogmatem zasadniczym wszystkich religij jest jedność Boga, prawda, którą ludzie otrzymali przez objawienie się Boga żywym głosem w duszach ludzi natchnionych; ale, z biegiem czasu, imaginacya i rozum, sztuka i doktryna spaczyły to pierwotne, a czyste pojęcie i dały początek wszystkim dziwactwom mitologicznym. Jedni tylko Słowianie stanowią w tej mierze wyjątek, zachowali bowiem czystą tradycyą pierwotną, prostackie uczucie Boga, nie roztrwoniwszy świętego składu na zdrożne roboty fantazyi i rozumu. Dla tegoto „nie będąc wplątani w żaden system, nie obałamuceni przez sztukmistrzów i sofistów, z łatwością przyjęli chrystyanizm, a, przyjąwszy go, nie spoczęli na laurach, zadowoleni z prawd nabytych, nie wcisnęli go w ciasne formuły szkolarskie, lecz zachowali nieskażonym w czystości uczucia swego, to też do dziś dnia osobne noszą piętno na sobie, piętnem tem jest o c z e k i w a n i e;“ Słowianie c z e k a j ą wypełnienia obietnic Chrystusowych, bliżsi więc są przyjęcia prawdy, tj. słowa nowego, któreby stanowiło krok naprzód we wcieleniu chrześciańskiej idei na ziemi. Ostatnie to twierdzenie nie poparte żadnym dowodem, zastosowywał poeta przedewszystkiem do ludu słowiańskiego, albowiem klasy cywilizowane uważał za zbyt przesiąknięte doktrynerstwem zachodnio-europejskiem.

W historyi poetę wprawiał w zachwyt ustrój państwowy Polski, wymagający od obywateli ciągłego wznoszenia się ponad obręb interesów osobistych oraz poświęcania ich dla dobra kraju: państwo, najwolniejsze w świecie, niemające ani wojska, ani policyi, ani skarbu, pozbawione nadto gra-

nic naturalnych, oparte tylko na dobrej woli i rycersko patryotycznych uczuciach szlachty, umiało jednak wznieść się i na długo utrzymać znaczenie pierwszorzędne. Nigdzie miłość ojczyzny nie wymagała takich ofiar, nigdzie też nie rozkwitnęła tak wspaniale, „celem wszystkich instytucyj polskich było rozwijać ducha ludzkiego, trzymać go ciągle w podniesieniu, zmuszać, żeby coraz bardziej czuł własną godność, coraz lepiej rozumiał obowiązki swoje". Jądrem państwa polskiego był sejmik, czyli zgromadzenie obradowe obywateli powiatu, lub województwa; cała historya polska składa się z uchwał tych zjazdów, które swoją koleją miały ognisko moralne w zjeździe walnym czyli sejmie. Sejm polski zasadniczo się różnił od wszystkich znanych zgromadzeń politycznych, nie stanowił bowiem praw, ani miał mocy wykonawczej, natomiast miał raczej naturę soboru Kościoła, gdyż zbierał się tylko dla rozstrzygnięcia jakiej kwestyi i zawyrokowania o jej słuszności. Uchwała sejmu wymagała bezwzględnej jednomyślności posłów, z których każdy miał prawo zerwać czynność jego, kładąc swoje veto, jednak prawa tego przez wiele wieków nikt nie śmiał użyć. Co do wykonania uchwały sejmowej, to przymusu zewnętrznego nie było wcale: zależało to od dobrej woli obywateli; tem przeto silniejszym był przymus moralny, albowiem, nie stosując się do wyroku sejmu, szlachcic padał wobec opinii powszechnej. Sejm, uważany, według mniemania powszechnego, za opatrzony Duchem Świętym, wybierał króla, który miał uosabiać powagę i majestat rzeczypospolitej; charakter przeto jego był święty, stawał jako ogniwo między polityką a religią, przez niego spływało błogosławieństwo na naród cały, dlategoto świątobliwość była warunkiem jego głównym, inne zaś przymioty, jak czynność, tęgość, zręczność uważano za podrzędne. Sejm wyrokował w kwestyach wojny; jeśli słuszność jej uznawał, to król, albo hetmani wyruszali z pocztem

swoim i objeżdżali domy panów, oznajmując o postanowieniu sejmowem. Kto chciał, zaciągał się wtenczas pod chorągiew, rzecz cała polegała na dobrej woli. Podobnież się miało i w sprawie skarbu: podatków stałych w Polsce nie znano, sejm uchwalał tylko pewne opłaty dobrowolne i na czas określony, po zapadnięciu zaś uchwały takiej, ludzie bogatsi opłacali nieraz za ziemie całe i powiaty i, wziąwszy kwit, mogli się upominać u ziemian o zwrot ilości na każdego przypadającej. Podobnież możne domy brały na się kosztowne poselstwa zagraniczne, z tego powodu przychodziły nieraz do ubóstwa. Na tej samej zasadzie dobrej woli odbywało się sądownictwo. Po rozstrzygnięciu sprawy przez sejmik lub trybunał, woźny ogłaszał o tem, komu wiedzieć należało, wzywając stronę obżałowaną do posłuszeństwa wyrokowi, szlachcic zaś, któryby uciekł przed karą sądową, uważany był za infamisa, za człowieka bez czci i odwagi. Opinia publiczna ścigała go, jak teraz ściga tchórzów uciekających od pojedynku. „Jednem słowem — kończył poeta uwagi swe o Polsce — konstytucya jej miała w sobie niezmierną trudność: wymagała po obywatelach nieustannych i niesłychanych wysileń moralnych, zdawała się nie przypuszczać ludzi innych, jak zawsze wspaniałomyślnych, albo chcących być takimi, zawsze mądrych, albo starających się o mądrość, zawsze poświęcających się, albo gotowych do poświęceń". Te wymagania były za ciężkie na Polaków i konstytucya ta nie mogła wytrwać. Ale nie wnosił ztąd Mickiewicz, aby podniosły nastrój ducha, który podyktował współziomkom tak piękne ustawy, miał już zniknąć z ich serc.

Zupełnem przeciwieństwem Polski była Rosya; tam do krańców posunięta wolność, tu bezwzględny despotyzm. W zastosowaniu do Rosyi, podniósł poeta bogatą i płodną myśl o ogromnym wpływie, jaki wywiera przymieszka obcych żywiołów na ukształtowanie charakteru narodowego: w prze-

ciwstawieniu do przeważnie słowiańskiej Polski, Rosya powstała ze zlania się słowiańskiego pierwiastku z mongolskim; duch pokonanych i ujarzmionych przez nią plemion fińskich, duch ślepego posłuszeństwa i niszczenia, wcielił się w nią, a wielcy kniaziowie moskiewscy z niezrównaną umiejętnością potrafili go wyzyskiwać dla dopięcia celów swoich, ugruntowali bowiem przedewszystkiem jedynowładztwo, następnie rozszerzyli Rosyą do tych rozmiarów, jakie dziś ma. „Despotyzmu Moskwy — mówił Mickiewicz — użyła Opatrzność za narzędzie kary i udoskonalenia poddanej mu ludności; zmusiła ją tym sposobem czuwać ciągle, być zawsze w pracy wewnętrznej, zgadywać myśli swego monarchy i stosować się do nich. Przeto też zpomiędzy wszystkich Słowian północnych żołnierz rosyjski jest najbardziej dociągnięty, najlepiej wyrobiony, najwięcej zdolny pojmować i wykonywać wielkie rzeczy". A zatem, posiadając wspólnie z Polską zdolność do poświęcenia się w imię wyższych celów, nadto wyrobiwszy w sobie ducha jedności i karności, którego brakowało zawsze ojczyźnie poety, Rosya jest powołaną do wielkich rzeczy w przyszłości, byle tylko użyła bogatych darów ducha swego ku piękniejszym niż dotąd celom.

Punktem jednak kulminacyjnym w wykładach Mickiewicza była ocena literatury. Dzielił on ją na trzy grupy: pierwsza ludowa, albo k o p a l n a wynikała i odpowiadała wierzeniom pierwotnym ludu, o których mowa była już wyżej: druga n a n o ś n a była wypływem ducha obcych literatur; nie lubił jej poeta; trzecia zaś m e s y a n i c z n a, rozwinęła się najbujniej w Polsce dopiero w najnowszych czasach; w niej znalazł duch polski swój wyraz, a objawy tego ducha mesyanicznego badał natchniony profesor ze szczególnem współczuciem, nawet z zapałem. Jednolitego i zupełnego określenia mesyanizmu w literaturze Mickiewicz nie dał, ale z licznych jego w tym przedmiocie uwag da się wywnio-

skować, iż rozumiał przezeń przedewszystkiem odwołanie się do natchnienia, jako do źródła poznania, następnie wiarę w to, iż Opatrzność czuwa i kieruje losami świata, że do wykonania zamiarów swych powołuje ludzi ducha wyższego i powierza im prowadzić mniejszych braci, że wysokości tej można doścignąć drogą ciągłego szukania Boga, doskonalenia się moralnego i podnoszenia uczucia do egzaltacyi, że poezya ma olbrzymie etyczne posłannictwo, że ściśle przeto związana z religią i polityką, a powinnością poetów stać się przez usilną pracę wewnętrzną godnymi zadania swego. Otóż tak właśnie pojęli powołanie swoje poeci polscy, najżywszym tego dowodem był sam Mickiewicz, ale, nie mogąc przytoczyć samego siebie, powoływał się na Goszczyńskiego, Bohdana Zaleskiego, Garczyńskiego i Krasińskiego, o najzapaleńszym tylko mistyku, o Słowackim, nie wspomniał nigdy poeta-profesor, ponieważ zupełnie odmiennym poszedł torem — i, nie współczując mu ani rozumiejąc go, wolał Mickiewicz całkiem o nim zamilczeć. „U nas — mówił on — każde znakomite dzieło literackie jest dziełem religijnem i politycznem. Niejeden płód pióra słowiańskiego może uchodzić również za poemat, jak za pamflet, za kazanie i za artykuł dziennikarski“. Tak też było w starożytności: „U Greków, dzieci, filozofowie, ludzie stanu słuchali i uczyli się pieśni rapsodów, jak dziś u nas uczą się katechizmu, historyi, prawa i jeografii Wszystko to znajdowało się w Homerze. W jednem zajściu narodów sąsiedzkich o granicę ich krajów rozsądzono spór, odwołując się do powagi wierszy Homera“. Taka powszechność jest ideałem poezyi, powinna ona być razem religią i polityką, siłą i czynem. Otóż brak tego poezyi europejskiej, nawet słowiańskiej, bo Czech Kollar obniżył ideał, do którego wzdychają ludy słowiańskie, do tego poziomu, iż marzył tylko o potędze materyalnej, a Puszkin, chociaż był bliskim prawdy, o czem świadczy wysokie pojęcie o powo-

łaniu wieszcza, jakie wyraził w „Proroku“, nie miał dość sił, by pójść tą drogą dalej, tylko z wierszy Chomiakowa wnosił Mickiewicz o nowem drgnięciu poezyi rosyjskiej, ale nie wdawał się w bliższy ich rozbiór. Jedna tylko poezya polska stanęła na tym szczeblu idealnym, a to dzięki właściwościom charakteru słowiańskiego, o których wspominał wieszcz, mówiąc o starożytnych podaniach i o życiu historycznem plemienia, ale najwięcej dzięki straszliwym cierpieniom, przez które naród przechodził. Droga krzyża jest drogą prawdy, siła rodzi się tylko z bolu, to też po niesłychanych boleściach urodziła się w Polsce literatura, nosząca w sobie słowo epoki przyszłej. „Niech więc ludy słowiańskie nie zazdroszczą narodowi polskiemu, że powziął i wyraził prawdy najwyższe; opłacił on to strasznemi ofiarami“.

W takito sposób, malując z jednej strony rozprzężenie moralne i umysłowe Europy, z drugiej zaś świeżość i potęgę uczucia, gorącość miłości i wiary w narodzie polskim, przygotowywał Mickiewicz słuchaczy do objawienia im, że z łona tego narodu miał wyjść mąż-zwiastun nowej epoki. Wspomnieliśmy wyżej, że nie nauka, lecz osoba Towiańskiego pociągnęła wieszcza, z tego powodu trudne miał on nadzwyczaj wobec słuchaczy zadanie: o nauce nie wiele mógł powiedzieć, osobą zaś mistrza, jak mógł przejąć i rozpalić tych, co go ani znali, ani widzieli? Wprawdzie już na drugiej prelekcyi kursu czwartego roku, zapowiedział Mickiewicz rozbiór „Biesiady“, dla zrozumienia jej żądał od słuchaczy natchnienia, a miał ich przygotować przez zastanowienie się i roztrząsanie życia religijnego i działalności Kościoła w Europie zachodniej i w Słowiańszczyźnie. Otóż na tem czas zeszedł; do rozbioru „Biesiady“ nie przyszło, dopiero pod koniec kursu, gdy rozkład życia kościelnego i marność nauki na zachodzie zostały wyłożone,

a o mesyanizmie poezyi polskiej dano pojęcie dostateczne, począł poeta coraz wyraźniej napomykać o mężu-pocieszycielu, którego świat cały z upragnieniem wygląda, który ma wyjść z łona narodu polskiego, a nawet już wyszedł: „żarliwość apostołów, poświęcenie się męczenników, prostota mnichów, śmiałość rewolucyonistów 93 roku, męstwo niezachwiane i piorunująca odwaga żołnierzy wielkiej armii francuskiej, a gieniusz ich wodza“, takie są cechy jego; pozostawało tylko wyraźniej nań wskazać. W ciągu ostatniej prelekcyi, mianej 21 maja 1844 r., znajdował się wieszcz w większem niż zazwyczaj podniesieniu ducha, to też i w słowach jego mało było ścisłości, starał się streścić wyniki badań własnych w ten sposób, że przeznaczeniem Polski wielkie objawienie nowe, — Francyi zaś przyjąć je najpierwiej, na zakończenie przytoczył piękny ustęp Garczyńskiego o ogólno-ludzkiem znaczeniu cierpień narodu polskiego:

Jak krwią twarz Zbawcy na chuście świętej
W wieczne się czasy odbiła,
Tak i wam ludy, cud niepojęty,
Tajemna krwi naszej siła;
W pamięci nasze męczeńskie życie
Obraz mąk naszych wytłoczy;
Każda myśl nasza mieć będzie oczy,
I każdą na nas spojrzycie.

Słowa te mówił z uczuciem i siłą; wzruszenie i zachwyt ogarnęły słuchaczy, co widząc, mowca ciągnął dalej ze wzrastającym coraz zapałem: „W tym obrazie istotnie zamyka się cała historya nasza; jestto emblemat, sztandar ludów. Ale obraz ten nie pokazuje już mi się w duszach gieneracyi, mającej przeznaczenie zbawić ludy, choć przecież odbyła ona ostatni dzień swojej męki. Do tej gieneracyi należą wszystkie duchy, które już podniosły swój grobowy kamień przeszłości, które we wnętrzu swojem poczuły

drgnięcie Chrystusa zmartwychwstałego. Wielka ta i silna gieneracya jest przeznaczona na to, aby z jej łona wyszedł i był przez nią ukazany Chrystus, już nie stojący przed Piłatem, ale zmartwychwstały, przemieniony, zbrojny we wszystkie znamiona potęgi, Chrystus mściciel i odpłatca, Chrystus dnia sądnego, Chrystus Apokalipsy i Michała Anioła. To Ecce-Homo naszej epoki".

Następnie ogłosił poeta, że kurs już skończony i prosił słuchaczy raz jeszcze się zebrać. Tę ostatnią schadzkę poświęcił pełnym liryzmu rozpamiętywaniom o Napoleonie. Rzecz dziwna, że nietylko Towiański, zawsze ciemny i mało zrozumiały, ale nawet lubujący się w ścisłości Mickiewicz, nie umiał bliżej określić, na czem polegał kult jego dla cesarza Francuzów. W gruncie rzeczy byłto podniesiony do egzaltacyi zapał, jaki blask świetnych zwycięstw Napoleona zwykł wzbudzać w każdym żywiej czującym osobniku. I w danym wypadku rozpalał się wieszcz sam i rozpalał słuchaczy opowiadaniem o wielkich czynach bohatera bitew i o tragicznym losie jego, który uważał za karę Opatrzności za niewypełnienie przeznaczonej nań z góry misyi (ale co to za misya — niewiadomo). Lecz z błędu cesarza wynikało, że miał się zjawić mąż wyższy, który dzieło jego dopełnić miał i nową rozpocząć epokę w urzeczywistnieniu słowa Bożego na ziemi. Tego męża musieli poznać słuchacze, dlatego żądał od nich poeta wzniesienia się do stanu ekstazy, bo „w takich chwilach poznaje się ludzi powołanych, poznaje się także i męża, mającego posłannictwo prowadzić dalej dzieło człowieka przeznaczenia (tj. Napoleona), zbawić świat, stać się wielkim, jak świat. Szukajcie, gdzie ten mąż! Wezwijcie ducha waszego bohatera. Tylko sam duch jego doprowadzić was może do męża naznaczonego". To mówiąc, ukazał słuchaczom portret Towiańskiego w pozie i z wyrazem Napoleona, — uosobienie tajemnego związku,

który ich łączył: „ten obraz — ciągnął dalej — jest znakiem, po którym go poznacie. Składam go w pamięci waszej. Będzie on mi służył za świadectwo spełnienia mego obowiązku; przyjdzie czas, że będziecie musieli zdać rachunek, jak wasz spełnicie".

Taki był koniec wykładów w „Collége de France": rozpoczęte świetnie, pełne gienialnych rzutów myśli co do charakteru ludów słowiańskich i ducha celniejszych płodów ich literatury, pod tym względem nieprześcignione dotąd, uległy z biegiem czasu spaczeniu, pod wpływem Towiańskiego, aż stały się niczem więcej, jak szczegółowem rozwinięciem tych myśli, które wieszcz wygłosił był niegdyś w szale natchnienia przez usta Konrada i księdza Piotra — myśli wielkich zaiste i świętych, ale zbyt sprzecznych ze zwyłym poziomem naszych pragnień i dążeń. Rażą one nas, jak w prześlicznym poemacie Byrona, raził promień słońca, nieszczęsnego więźnia z Chillonu, gdy ten się zżył z ciemnością swojej celi podziemnej.

Od drugiego półrocza 1844 r. Mickiewicz zaprzestał wykładać. Odjęto mu katedrę, bo zmienił ją na kazalnicę. Byłato strata dotkliwa dla sprawy Towiańskiego; prorok sam najgłębiej ją uczuł. Zachęcony stopniowem wzrastaniem liczby wyznawców, wzbity w pychę, że osoba jego i nauka były przedmiotem natchnionych wykładów wielkiego poety wobec licznej publiczności, marzył Towiański o coraz silniejszem rozszerzaniu zasad swoich na zewnątrz za pośrednictwem Mickiewicza, wierzył naiwnie, że znajdą odgłos w szerokich kołach społecznych, co więcej, wierzył, że uda mu się pozyskać dla sprawy cesarza Mikołaja i Rotszylda i pilnie koło tego się krzątał. Ale Mickiewicz inaczej zapatrywał się na rzeczy; obcą mu była wszelka miłość własna

lub fałszywa ambicya, natomiast, aż zbyt dobrze rozumiał, co jest poświęcenie siebie dla idei: uznawszy w Towiańskim następcę Chrystusa, żądał od uczniów jego, a przedewszystkiem od siebie, żarliwości ducha pierwszych głosicieli nauki Zbawiciela; ci, przejęci świętością zadania, a rozpłomienieni wiarą i miłością, mieli moc cudów, dar języków, piorunującą siłę wymowy z siły wiary pochodzącą i ludy całe porwane potęgą ich słowa, szły za nimi. Otóż tę moc chciał posiąść poeta, a drogę jedyną widział w pracy wewnętrznej w celu przeniknienia istoty całej jednem uczuciem, jedną bezgraniczną miłością; aby głosić Francuzom i emigracyi polskiej słowo mistrza, trzeba wprzódy być godnym swej misyi. Póki Mickiewicz miał okoliczność rozpowszechniania z katedry nauki Towiańskiego, nie omijał sposobności, ale, straciwszy ją, nie starał się o nową, lecz wszystkie siły wytężył ku pracy nad doskonaleniem własnem oraz braci w kole, pieczy jego powierzonych. „Módlmy się dzisiaj, — mówił Mickiewicz na zebraniu koła w wielką sobotę 1847 roku — o to, co jest źródłem i podstawą wszystkiego, co nam najpotrzebniejsze, jako początek i pomoc w każdym razie. Prośmy Boga, aby nam spuścił światło i siłę dla zdobycia kapłaństwa na ziemi. Bo kapłaństwo jest stosowaniem łaski do wszelkiego ruchu i czynności w życiu... Módlmy się, pracujmy, wołajmy wszyscy, aby Bóg dał nam, wskazał kapłana, czy ten jest pomiędzy nami, czy go mamy mieć zpoza nas, ale opatrzonego tą sankcyą, bez której nic od świata nie może być przyjęte... Mistrz pokazał taką sankcyą danej mu mocy, przywracając przytomność mojej żonie, — ktoby chciał przywracać pokój duchowi zamąconemu grzechem, powinienby mieć charakter swego kapłaństwa upoważniony twierdzeniem“.

Takie myśli trapiły wtedy poetę. Żądał, aby wyzna-

wcy Towiańskiego wznieśli się pracą ducha do łaski kapłaństwa, którą miała potwierdzić moc czynienia cudów. Wobec takiej różnicy w zapatrywaniach i dążeniach, nie mogło być zgody pomiędzy Towiańskim a Mickiewiczem, to też pierwszy nie przestawał strofować wieszcza: egzaltacyą jego nazywał próżnem łechtaniem się, rozmazaniem ducha, brakowało mu „tonu“ Chrystusowego, tj. „ucieleśnienia ducha“, chęci do wprowadzenia w czyn zasad swoich, poeta opanowany był „duchem ziemi“, tj. skrzydeł nie miał do lotu, — jednem słowem, sprawa zatrzymaną została z winy pierwszych jej sług i już w 1845 r. dał Towiański do pomocy Mickiewiczowi Karola Różyckiego. W pokorze słuchał wieszcz wymówek mistrza, jeździł nawet do niego, aby się usprawiedliwić, czas jakiś zdawała się panować pomiędzy nimi zgoda (sierpień 1845 r.), lecz trwałą nie była; do różnicy w zapatrywaniach dołączyły się rozterki wewnątrz koła: niewielu z braci mogło podnieść się do pojęcia ducha ekstazy propagowanego przez Mickiewicza, większość, ludzie pospolici stali się wspólnikami sprawy, pociągnięci obietnicą Towiańskiego rychłego urzeczywistnienia ich pragnień i dążeń patryotycznych; ale lata upływały, a proroctwo nie spełniało się, ogarniało ich zwątpienie, żądali czynu; tymczasem w 1846 r., włościanie galicyjscy poduszczeni przez rząd, wyrzynali szlachtę, a na widnokręgu europejskim zbierały się chmury, przepowiadające bliskość wielkich przewrotów; wtedy towiańczycy, znudzeni próżnem wyczekiwaniem, zapragnęli wystąpienia czynnego, mniejsza gdzie, kiedy i w jakiej formie. Lecz tu wyszedł na jaw charakter Towiańskiego marzycielski, a tchórzliwy i ruchów gwałtowniejszych unikający; żądał propagandy słowem, ale strach go przejmował na myśl o działaniu rewolucyjnem, to też potępił dążenia koła, chociaż na czele ich stał sam naznaczony przezeń Karol Różycki; uważał je za „wylew

ducha przyśpieszony, bez zgromadzania ofiarą chrześciańską potrzebnej siły ducha na czyny, na wylewy ducha". Ale Mickiewicza porwał prąd ogólny: choć oddany pracy nad rozegzaltowaniem ducha własnego, aby móc „zgłupieć" dla Chrystusa (wyrażenie Towiańskiego), nie umiał jednak poskromić wrodzonej żądzy czynu; podobnie, jak dawniej, mając ku temu sposobność, wykładał z katedry i starał się porwać słuchaczy nauką mistrza, tak też i teraz, wobec nadarzającej się okoliczności wytoczenia sprawy ukochanej przed Europą, poeta uważał milczenie za grzech. Okoliczności wywoływał nie on, przychodziły same, musiał więc wystąpić nie jako wyznawca nauki Towiańskiego, ale jako patryota.

W takito sposób rozprzężenie koła, rozczarowanie po tylu leciech pracy, odmienne zapatrywania na zadanie koła i na obowiązki względem ojczyzny otworzyły pomiędzy poetą a Towiańskim przepaść, której już nic zapełnić nie mogło. 12 maja 1847 r. wystosował Mickiewicz list do mistrza, malował w nim smutek swój po tyloletniej a bezowocnej pracy. List ten był pełen pokory, bo winę całą, jak zwykle, sobie przypisywał, krew z każdego sączyła się słowa: „Mistrzu i Panie! — dodawał na końcu — Po tem wszystkiem, co zaszło, trudno nam wrócić do tego zaufania, do tej szczerości, z jakąśmy się zeszli przed laty, a bez niej niema płomienia, niema czynu!" Od tego listu uważać można stosunki Mickiewicza z Towiańskim prawie za zerwane; koło powoli zaczęło się rozwiązywać, poeta korespondował z mistrzem bardzo rzadko; zdania jego nie zasięgał, poszedł własną drogą, biorąc czynny udział w ruchach politycznych aż do samej śmierci w 1855 r. Ta strona działalności wieszcza w zakres pracy naszej nie wchodzi, ze jeszcze to tylko, że, pomimo pozornego zerwania kim, nie umiał Mickiewicz otrząsnąć się

uroku jego, miał go zawsze za „męża Bożego“, za „naczynie łask dziwnych“. Świadczą o tem nieliczne listy jego.

4.

Ciągła i ciężka praca wewnętrzna w celu podniesienia ducha do ekstazy, nieustanne a bolesne poczucie braku sił w sobie i we współwyznawcach do osiągnięcia zamierzonej doskonałości i wskutek tego aż zbyt częste zapadanie w rozpacz na myśl o bezskuteczności nauk i wysiłków uwielbianego przezeń mistrza, — tak da się streścić stan duchowy Mickiewicza w epoce, którejśmy się dopiero przyjrzeli; smutną więc i ciężką odbyliśmy wędrówkę, tem przeto przyjemniejszem będzie dla nas odpocznieniem przenieść się z ciemnych obszarów krwawych udręczeń, w których przez tyle lat przebywał wielki mistrz poezyi, w krainę tęsknych uniesień i nadziei wiosennych, którą stworzył sobie Słowacki pod wpływem tegoż Towiańskiego. Na dwóch zasadniczo sprzecznych pomiędzy sobą umysłach wywarła taż sama nauka wręcz przeciwny skutek: nadwerężyła wprawdzie i u Słowackiego swobodę i potęgę polotów poetycznych, ale przywróciła mu natomiast spokój wewnętrzny, którego szukał tak długo i tak namiętnie.

W pierwszym liście do matki z r. 1842 (bez daty ściślejszej), opisywał Słowacki śliczny sen, jaki miał [1]): zdawało mu się, że widział Ludwikę Śniadecką, kochankę lat dziecinnych i młodości, u stóp olbrzymich schodów, w przysionku pałacu jakiegoś. Twarz już miała zmienioną przez lata, chciał do niej mówić, ale zaledwie wyrzekł pierwsze słowa, buchnął mu z serca płacz gwałtowny i padł na

[1]) Ustęp ten opowiadamy przeważnie słowami samego Słowackiego.

wschody, jak Dante przed Franceską. Wtedy ona giestem zadziwiająco cudnym zdjęła z twarzy tę niby maskę mglistą, którą lata i smutki wyryły, i piękniejsza, niż dawniej, patrzała z niewymowną boleścią na łkającego kochanka. Potem zaczęła iść zwolna po schodach i słyszał poeta echo jej chodu coraz wyżej, aż zupełnie znikło, — i tęsknota ścisnęła mu serce. W tym śnie życie Słowackiego ujęte w cudny obraz: wspomnienia przeszłości w dziwnie poetyczny sposób powiązały się w nim z przeczuciem bliskiej przyszłości. U progu życia, gdy, zapatrzony w tajemniczo ponętną dal krainy snów, wstępował z lat chłopięcych w wiek młodzieńczych uniesień, spotkał Ludwikę Śniadecką; rozkochany opromienił ją blaskiem marzeń i zechciało mu się porwać ją nieskończonością pragnień swoich i unieść z sobą daleko gdzieś i śnić z nią złote sny lilii, drzemiącej pod blaskiem księżyca w miłośnych objęciach topieli jeziornych... lecz odrzucono go z pogardą. Poeta roztoczył wtedy skarby wyobraźni na pieśni, któremi zadziwił rodaków, pełne, to zgrozy i krwi, to żalu i tęsknoty, a zawsze nieskończenie fantastyczne, — płód natchnień jakichś zaświatowych, nieznających, co skończoność rzeczy ziemskich. Nieświadomie więc wprowadziła go kochanka w świat poezyi, — teraz, po latach wielu, gdy już ochłonął z pierwszych udręczeń miłośnych, znów ją zobaczył, ale we śnie — piękniejszą jednak niż dawniej, zamiast zaś wzgardy lub politowania patrzała nań z miłością, i zdało się poecie, że echo kroków jej ginących w mglistej dali wołało go ku sobie w jakiś świat nieznany i senny, gdzie miały go ukołysać wejrzenia nieziemskiej oblubienicy, a wśród woni konwalij i róż zapomnieć mógł o dolegliwościach życia, „owiany cichym szelestem aniołów unoszących go ponad przepaściami nieskończoności“. Widzenie poety miało niebawem się spełnić: poznał on Towiańskiego i odtąd zerwały się luźne ogniwa

wiążące go ze światem; zatopił się na zawsze w bezdniach kontemplacyj mistycznych.

Pod wpływem jednego mistrza i jednej nauki, poszli dwaj wielcy poeci w całkiem przeciwnych kierunkach: „Bóg zesłał nam — pisał Mickiewicz do bawiącego w Chili Domejki wnet po zapoznaniu się z Towiańskim — człowieka nadzwyczajnego, naczynie łask dziwnych. To, co już wiem od niego, jest tak wielkie, że wartoby do Ameryki jechać i z Ameryki wracać, żeby podobne rzeczy słyszeć. O części cudownej jego postaci nic teraz pisać nie mogę i niepodobna w liście wytłómaczyć się. Od chwili kiedy z nim spotkałem się, dla mnie emigracya już skończona, tak pełen jestem nadziei, że Bóg wkrótce i dziwną sprawą nas podźwignie". Osoba więc Towiańskiego uderzyła przedewszystkiem Mickiewicza: uznał w nim wysłańca Bożego, powołanego do pociągnięcia ludzi za sobą ku spełnianiu zakonu Chrystusa. Wytłómaczyliśmy to wyżej uczuciowością poety, stanowiącą główną cechę charakteru jego, wówczas gdy takąż cechą zasadniczą Słowackiego było marzycielstwo i z tegoto powodu wcale nie osoba ale tylko nauka mistrza wywarła na nim wrażenie, otworzywszy wyobraźni jego obszary nowe i nieskończone. „Wiedz, że jest człowiek, — pisał do Krasińskiego pod wrażeniem świeżego spotkania z Towiańskim — który rozwiązuje duchy i stawia je nad ciałami, wkładając im wszelkomożne korony, wpajając w nie królewskość mocy, łącząc z Bogiem; a to wszystko prostą, ożywczą, bożą siłą, jednem słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności Bożej". Świat materyalny snem się staje — otóż to właśnie w nauce Towiańskiego pociągnęło nienasyconego nigdy marzyciela. Marzenia stanowiły treść życia jego — szczęście i nieszczęście: — szczęście, ponieważ znajdywał w nich nieprzebrane źródło rozkoszy i czuł

się niemi wyższym od ogółu ludzi — nieszczęście zaś, gdyż, kochając kraj i chcąc dla niego coś zdziałać, aż zbyt dobrze pojmował przepaść całą pomiędzy niepochwytnemi ideałami, które się tworzyły w rozpalonym mozgu jego, a rzeczywistą prozą życia; ztąd ciągła skłonność jego do krwawo radykalnych wybryków, tchnących rozpaczą i pesymizmem (Kordyan, Lilla Weneda), po których rzucał się w nieprzytomne wywyższanie siebie samego, marzeń swoich, czyniących go niby aniołem jakimś szczególnie przez Boga umiłowanym (Anhelli). Nauka zaś Towiańskiego zupełnie zadowalniała wszystkie popędy natury Słowackiego: mówiąc o doskonaleniu dusz, o przeobrażeniu i o nadprzyrodzonem obcowaniu ludzi ze światem duchów, dawała obszerne pole dla wyobraźni poety, z drugiej zaś strony czyniła zadość jego instynktom patryotyczno-społecznym: przedtem czuł się Słowacki samotnym w myślach swoich, marzeniach i dążeniach, a samotność ta ciążyła mu, teraz spotykał nagle cały zastęp ludzi, jak on, marzących o odbudowaniu ojczyzny, a mających natchnienie za kryteryum prawdy, za świadectwo łaski Bożej. Dziwnie więc trafiły do serca marzyciela te ich przekonania, bo któż pod względem natchnień mógł mu dorównać? gorąco dziękował Najwyższemu za udzielone sobie szczęście znalezienia jednomyślnych w ciężkiej pracy życia i w pokorze ducha zaprzągł się zrazu do wozu, którym kierował Towiański, lecz po dwóch niespełna leciech wystąpił z koła; powody wystąpienia nie są bliżej znane, pochodziły w każdym razie z różnicy w zapatrywaniach na niektóre kwestye polityczne, przyczynę zaś upatrują krytycy we wrodzonej Słowackiemu ambicyi i niezawisłości, ale mnie się zdaje, że i w tym wypadku główną rolę odegrał marzycielski temperament poety. „Co do ducha waszego, bracia moi — zarzut Słowackiego przeciwko kołu, — uznaję, że ten czysty jest i najpiękniejszy na ziemi. Ale wy go już przyprowa-

cie do form, już obumiera, już stało się u was rozkazem: przyjść w duchu, mówić z ducha, uderzyć kogo duchem, być w wielkiem podniesieniu, czuciu, gdy tymczasem ja, który znam, choć niedoskonale, stan natchnienia i działanie na drugich ludzi, będących w natchnieniu, nie słyszałem nigdy w kole naszem tego głosu". Otóż zasadnicza różnica w pojmowaniu natchnienia była główną przyczyną nieporozumień pomiędzy Słowackim, a resztą towiańczyków: fantazya miała stanowczą w nim przewagę nad religijnością i za lada pobudką (nauka zaś Towiańskiego była bardzo silną pobudką) tworzyły się w wyobraźni jego całe masy obrazów powiewnych, mglistych, niepochwytnych, w których lubował się bez końca, w danym zaś wypadku, będąc podniesionym religijnie, uważał ową grę fantazyi za natchnienie z góry, za podszept Ducha Świętego, jednem słowem nauka nowa była dlań źródłem nieopisanego szczęścia, wówczas gdy inni współwyznawcy, nie wyłączając Mickiewicza, więcej uczuciowi i religijni, lecz z mniejszą siłą wyobraźni, przez ciężką musieli przechodzić pracę wewnętrzną i ciężkie umartwienia, chcąc się podnieść do jedności z duchem mistrza i z Bogiem, a nigdy z siebie nie byli zadowoleni. Na tej pracy polegało życie wewnętrzne koła, ona była celem zebrań siódemek, na które dzielił się zastęp towiańczyków (po siedmiu członków w każdej siódemce), do jednej z takich siódemek należał Słowacki, tegoż więc wymagano i od niego. Ale marzyciel nieziemski, ogarnięty zachwytem religijnym, bujał sobie po krainach nadgwiazdnych, zaglądał w tajemnice stworzenia i przeznaczeń Boskich; szczęśliwy ze światła, jakie nauka mistrza wlała w łaknącą duszę jego, kochał świat, ludzi i przyrodzenie całe, a, owiany czarodziejskim urokiem eterycznych snów swoich i widzeń, z wysokości ich spoglądał na pracę koła; czyż mogło więc być porozumienie jakie pomiędzy nim, a Mickiewiczem, wy-

razicielem i kierownikiem dążności koła? Surowy wieszcz, przejęty posłannictwem mistrza i ważnością zadania swego, surowe, jakeśmy widzieli, i ascetyczne miał pojęcie o powinnościach członków koła; wymagał modlitw, postów, skupienia w sobie, namaszczenia kapłańskiego, jednem słowem zestrzelenia, jak się wyrażał, myśli wszystkich i uczuć w jeden płomień miłości Bożej, — a nie rozproszenia ich na bujania zaświatowe; uczucie musiało trzymać w karbach poloty fantazyi nie zaś naodwrót, jak to było u Słowackiego. Ten w marzeniach swoich upatrywał owoc natchnień Ducha, oznakę łaski Bożej, Mickiewicz nie widział w nich nic, chyba tylko zabawkę dziecinną i próżną. Nie mogli przeto obaj wielcy współzawodnicy działać wspólnie, i Słowacki odstrychnął się od koła, ale szedł dalej, choć samotnie, w kierunku, jaki mu dało zapoznanie się z nauką Towiańskiego, i wkrótce, porwany rozszalałym prądem uniesień fantazyjnych, wrócił do myśli wypowiedzianej niegdyś w Anhellim, począł uważać siebie za wysłannika Bożego, i wypowiadając w cudnych wierszach natchnienie swoje zaświatowe, pełen był wiary, że jeśli nie teraz, to kiedyś już po śmierci jego da się uczuć fatalna siła, spoczywająca w jego boskich strofach i ludzie porwani myślami zmarłego wieszcza, wypełnią jego marzenia niebiańskie.

Zaznaczywszy, że nauka Towiańskiego nie na uczucie, jak u Mickiewicza, ale podziałała na wyobraźnię Słowackiego, poszukamy poparcia twierdzenia naszego w listach, które poeta pisywał wtedy do matki. Przedewszystkiem nie posiadał się on z radości, że nie był więcej samotny wśród ludzi, fantazyjny kierunek umysłu jego zyskiwał jakby namaszczenie z góry, Bóg, ulitowawszy się wreszcie nad skołatanym samotnością wygnańcem, ozłacał mu serce promieniem miłości swej i otwierał podwoje cudnych krain słonecznych, niedostępnych dla ogółu śmiertelnych; szczęśliwy i zachwycony

bujał po nich poeta i to mu wystarczało zupełnie. Odznaczając się, jak wszyscy marzyciele, biernem usposobieniem umysłu, nie myślał wcale o stronie praktycznej nauki mistrza, o wprowadzeniu jej w czyn. „Żądza prawdy — pisał on do matki d. 18 marca 1843 r. — sprawiedliwości i wiary zawsze trwała w sercu mojem, ztąd moje nieraz gorzkie urąganie światowi, ztąd rozpacz i samotność serca, albowiem sądziłem, że daleką jest epoka, w którejby tłum cały lub garstka ludzi mogła się zebrać w imię Boże i otrzymać od Niego obietnicę, że w pracy mi dopomoże, wydrzeć, że tak powiem, nowe przymierze z Panem Panu samemu. Otóż Bóg przyśpieszył tę porę, ludzie stanęli. Opieka Boża pokazuje im się widocznie, a oni według myśli Pańskiej, tworzą w sercach swoich nową ojczyznę, gotowi na wszystko... lecz Bóg pokazuje im tylko pracę dnia każdego, a na każde jutro zamyka zasłonę". Realniej więc, niż inni współwyznawcy, zapatrywał się Słowacki, dzięki właśnie bierności swej, na naukę mistrza, nie wierząc w zbyt rychłe jej urzeczywistnienie, ale to dobrowolne „zapuszczenie zasłony na jutro" oburzało Mickiewicza: namiętny, kochający, żądny czynu, gorąco on wierzył w pierwszych szczególnie latach towianizmu, że słowa mistrza wkrótce staną się ciałem i w tym kierunku działał z właściwym sobie zapałem i zaparciem się, tymczasem Słowacki zamykał się w uroczych snach swoich, dawniej chwiejny i z jednej ostateczności przenoszący się w drugą, zyskiwał teraz pewność siebie i spokój wewnętrzny, dawniej „narzędzie wichrów i tęcz niewidzialnych", rządzony był teraz przez „najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa", i ta wiara czyniła go nad miarę szczęśliwym: „Zazdroszczę ci tej podróży do Julinek, pisał do matki 14 maja 44 r., zazdroszczę i tych kwiatów ukraińskich, i tych lasów, dębowych, i tej cichości, która was owionie na stepie, zazdroszczę wam... Nie sądzę jednak, abyście wy byli szczę-

śliwsi ode mnie, bo ja często w duchu mam takie szerokie, męskie uczucia, jak gdybym szedł na słońce". I któżby się na jego miejscu nie czuł szczęśliwym: zatopiony w marzeniach, upatrywał w tem swojem życiu sennem jedyną drogę, do poznania wszelkich tajemnic żywota, do obcowania z Bogiem, a że nikt nie umiał śnić tak cudnie, jak on, więc nie dziw, iż Bóg nauczał go lepiej, niż innych, jak pełnić ma powinność swą, aby nie wracać po śmierci i nie przyoblekać nowych lepszych lub gorszych ciał, lecz by pójść mógł pomiędzy anioły i ztamtąd miłością i natchnieniami dopomagać tym, co za nim idą (28 lipca 43 r.). Uczucie szczęśliwości, które w nim wrzało, wyrywało się nieraz w listach nazewnątrz ślicznym potokiem z tęcz i promieni. Kogoż nie porwie ten ustęp i kto nie pozazdrości marzycielowi obłędu jego? „Droga moja! Dawnom nie pisał, bo pisać teraz do ciebie jest to dla mnie rzeczą wielkiej wagi... chciałbym bowiem w każdym liście dać ci uczuć prostą wóń ducha mego, głąb' myśli moich... a na to potrzebaby nam rozmowy długiej, potrzebaby, abyś ty uczuła ciepło moje ludzkie i razem spokojność anielską ducha, miłość wielką, która się we mnie rozwinęła, tę wiarę nareszcie, która mi odkryła wszystkie tajemnice, wszystkie, mówię ci — bo już dla mnie zasłona grobu uchyloną jest zupełnie. A oto ty daleko, przeczytawszy te wyrazy, weźmiesz je za jakąś nową poezyą i marzenie, gotowaś je wziąć za udział poematu, a mnie za jakąś nową osobę fantastyczną, która już żadnego związku nie ma ze światem... Tymczasem ja, prosty teraz człowiek, odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec, czar, który dawniej zostawiony był instynktowi i rozwijał się lub gasnął w człowieku, jak lampa. Teraz ja budzę się rano i wraz rozweselony jestem wnętrznie i już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego, co się przybliży, oblać jasnością ducha i rozradować go, aż się do har-

monii ze mną ułoży. Zdobywcą jestem duchowym... i ty myślisz, że mi się długo opierać będziesz, że wkrótce nie porwę ciebie mimowolnie samym tylko szumem i wiatrem lotu lecących ze mną aniołów"... Ale najszczęśliwszym był poeta, gdy samnasam mógł obcować z przyrodą. I dawniej szukał on schronienia od gwaru życia w samotnych chatach alpejskich lub w rozkosznych ustroniach Sorrento, i dawniej ogarniało go w takich chwilach szczęście, ale szczęście zbyt często przerywane odgłosem walk światowych, które go teraz już nie obchodziły: zdobywca dusz, wypieszczone dziecię niebios, nie patrzał on więcej na nudną kolej rzeczy ziemskich, bo pocóż miał dręczyć i krwawić się, jak Mickiewicz, w uciążliwej pracy koło doskonalenia dusz, gdy mógł przebywać w cudnych zaświatowych krainach, gdy zwyżej wiedział, że zawarta w jego wieszczych rymach siła fatalna prędzej, czy później, skruszy najzatwardzialsze serca! szczęśliwość wielka podnosiła mu pierś i wyradzała się w miłość, którą czuł dla stworzenia całego, dla ludzi i dla natury, lecz dla tej ostatniej nierównie więcej, bo beznamiętne jej i senne życie dziwnie odpowiadało biernemu usposobieniu marzyciela; to też, gdy latem wyrywał się z Paryża, bywał w ciągłem niemal upojeniu szczęśliwy z harmonii, którą czuł pomiędzy sobą a przyrodzeniem całem; otaczała go skrzydłami kochająca matka przyroda, ciepła i wonna, zapraszała do odpoczynku, wyrzucała, że tak długo oddawał się myślom gorączkowym, a o niej zapominał, zabraniała myśleć o nieuchronnych smutkach życiowych (słowa z listu 2 października 1833 r.), drzewa tłómaczyły mu się z tajemnic, kwiaty za piękność swoję dziękowały duchowi jego, a wszystko odzywało się nową jakąś i dziwną mową, którą nie prędko inni ludzie posłyszą (15 października 1845 r.). Ale z oceanem łączyła go szczególnie głęboka sympatya: prawie co lata używał on kąpieli morskich w Pornik, w Trouville lub Ostendzie

i dziwna zachodziła odpowiedność pomiędzy rytmem cichym, tęsknym, tajemniczym fal, co oblewały stopy samotnego marzyciela, a modlitwą, którą rozbrzmiewał duch jego rozpływający się w zachwycie nieskończoności, ginął wtedy poeta wzrokiem w szerokich horyzontach i zdawało mu się, że widział jak znikały w dali błękitnej okręty Kolumba, szukające światów nowych; jak dawniej uciekał na brzegi Lemanu, aby czytać listy z domu, tak i teraz szedł na „wietrzne pola stepom ukraińskim podobne, tęczą bladych nadmorskich kwiatów malowane, szerokim morza błękitem obwiedzione, gdzie wszystko smętne i miłe i szeroko błękitne listom ukochanej matki wtórowało“ (12 sierpnia 1344 r.). Przez okienko mieszkania w Pornik, budziły go corana „strzały brylantowe słońca“, szczęśliwy wtedy i wesoły, jak gdyby nie miał na barkach 12-tu lat wygnania, biegł na brzeg, „tam skały osypane złotą i srebrną miką paliły się na słońcu, niby tarcze ogromne, albo trony oceanid; dalej chatka celnika morskiego, zamieszkana przez jednego żołnierza, zupełnie jak chata Norny, pusta, biedna, kamienna, otoczona wałem z czarnej darni, sama jedna na szerokiem polu, czarna na błękicie niebieskim; dalej wielkie piaszczyste wybrzeża, gdzie morze rzucało swoje srebrne pletwy z szumem miłym i rytmicznym. Rzucałem się w wodę, kładłem się na falach i dobrze mi było“... (2 października 1843 r.). To uszczęśliwiające go uczucie rozlewał na ludzi, którzy go otaczali, nieraz, jak donosił matce, rzucał w serca ich myśl błękitną i starsi wiekiem przyjmowali go za nauczyciela, bo czuli, że ich kochał. Otoż nad brzegiem oceanu, w takim stanie ducha, przy uśpieniu władz rozumu, podyktowaną mu została z wyżej „Genezis z Ducha“, rozjaśniająca tajemnice istnienia.

Coś pośredniego pomiędzy modlitwą, a rozprawą z dziedziny filozofii przyrody, właściwie ni to, ni owo, skaleczona z tego powodu, co do formy zewnętrznej, zawiera jednak Genezis ustępy niezrównanej piękności, w których poeta-marzyciel wyraził tę mistyczną miłość, która go wiązała z przyrodą, obdarzył ją bowiem tęsknieniem do ideału i mocą ofiary, ożywiając ją duchem dążącym ku wieczystej doskonałości poprzez nieskończone odmiany kształtów. „Wszystko dla ducha i przez ducha, a nic dla cielesnego celu nie istnieje", takim jest punkt wyjścia dla natchnień i rozumowań poety. Myśl tę wcale nie nową uformułował w sposób powyższy Towiański, upodobał ją bez miary Słowacki, zapożyczył i powielekroć razy powtarzał w listach i pismach z ostatnich lat, uważając ją za największe odkrycie w świecie duchowym, równej wagi co prawo powszechnego ciążenia w świecie zjawisk fizycznych. Ale, wyszedłszy z założenia mającego poniekąd usprawiedliwienie swoje, puścił następnie Słowacki wodze fantazyi i utworzył dziwaczną i niedorzeczną teoryą rozwoju ducha, z którego ciągłej pracy twórczej wyprowadzał wszechświat cały. Otóż duch ów, wolą obdarzony, a poruszany przez miłość, przemieniał się w trójce rodzone jedna z drugiej, aż do przemiany piątej. Porządek tych trójc miał być następujący: ruch, magnetyzm, elektryczność, cieplik, światło; na trójcę ruchu składały się: duch woli, wola miłość, wola siła; na trójcę magnetyzmu, duch w ruchu, ruch miłość, ruch siła itd.; jednem słowem gmatwanina dla nikogo niezrozumiała, a zapewne nie wiele lepiej pojmowana przez samego autora. Otóż duch, doszedłszy do formy czwartej (cieplik) i rozcieplwszy się w sobie, zgnuśniał, nie chcąc łożyć nadal pracy dla doskonalenia swej formy, z tego powodu zatrzymane na drodze twórczości, wszystkie cztery trójce zaczęły się ruszać w sobie, rozbratniać i uderzać na siebie i bój

zaczęty w najniższej poszedł w górę, tak, iż wola powstała przeciwko miłości i owocem walki było nie światło, lecz ogień, pierwiastek niszczący. Odtąd pragnąc wrócić na drogę, którą utracił, duch musiał iść pasmem boleści i pracy, aby ściągnąć tem prędszą pomoc Odkupiciela. Praca ta polegała na ciągłem doskonaleniu się, na zmienianiu dawnych form na nowe doskonalsze. W skałach zrazu leżał duch w uśpieniu, ale już w bezkształcie tego pierwszego zawiązku była myśl i uczucie, albowiem przemyśliwał o formach nowych, uczuciem zaś i ogniem miłości rozpalony, prosił o nie Ojca niebieskiego. Żądanie jego zostało wysłuchane i na łonie Oceanu zadrgały pierwsze istoty organiczne, o kształtach dziwotwornych i nieumiejętnych, zmazane już dziś z oblicza ziemi; ale w każdej formie cierpiał i jęczał duch, niewygodą jej doczesną dręczony i w bolu i tęsknocie bez końca błagał Ojca o polepszenie losu, ofiarując zawsze coś z przeszłych wygód i skarbów swoich, aby wziąć więcej dla ducha wedle potrzeby jego. Zawsze Bóg wysłuchiwał i w taki sposób po zoofitach oceanowych następowało królestwo drzew, następnie wężów, następnie owadów itd. Ale, jakie mianowicie duch składał ofiary w ciągłem tem pasmie przeobrażeń, co tracił, co brał, a co napowrót odzyskiwał, o tem dawał poeta tylko wspomnienia niejasne, natomiast roztaczał wszystkie skarby fantazyi na opisy tajemnic oceanowych, „roślinności przedpotowej, smętnych księżycowych nocy pierwszej natury, bezładów wężowego królestwa“, a w opisach tych mielibyśmy istne perły poezyi, gdyby nie grzeszyły zbyt nieumiarkowanem szafowaniem wyrazów, zaczerpniętych z terminologii nauk przyrodniczych. W kształcie każdym miało być wspomnienie przeszłej, a przeczucie następnej formy, a we wszystkich razem ciemne śnicie ludzkości, tęsknienie do doskonałej formy człowieka gdyż człowiek był ostatecznym celem twórczości ducha; tak więc

wszystkie cnoty i przymioty ludzkie miały pierwowzory swe w królestwach roślin i zwierząt, stosownie zaś do ich rzadkości lub pospolitości liczba form przygotowawczych była mniejszą lub większą: „na cnotę pracowitości w ludziach pracował duch w mrówkach, w pszczołach i w całej niezliczonej gromadzie zwierząt domowych, gdy przeciwnie rzadki bohaterski duch szlachetności i mocy rzadką miał lwa formę, lub pierś orła rozkochaną w burzach i w piorunach". Bóg uszanował krwawą pracę natury, albowiem zachował większość form jej, położywszy na nich pieczęć trwałości, z całych zaś dziejów stworzenia, polegających na nieustannem dążeniu tworów ku doskonałości, t. j. ku uduchownieniu drogą modlitwy i ofiarowania znikomych kształtów cielesnych w celu pozyskania nowych bardziej odpowiednych duchowemu przeznaczeniu świata, wynika dla człowieka jedna wzniosła nauka, a tą jest ofiara, ona jest warunkiem i prawem zdobycia sobie formy doskonalszej, w niej wyzwolenie ducha, moc jego przyszła i zwycięstwo i wyswobodzenie wreszcie zpod jarzma fałszu i nocy wolność. „O Panie, — woła poeta — skoroć oddamy to wszystko, co nas niepodobnymi Chrystusowi uczyniło, do jakiejże godności i potęgi zostaniemy podniesieni w świętej hierarchii Słowa Twego".

Po długiem pasmie wieków cierpień i modlitw, przyszedł duch pracujący w naturze do formy człowieka, ostatniej i najdoskonalszej w łańcuchu przeobrażeń, przez które przechodził, pokutując. Bóg nadał prarodzicom obraz i podobieństwo swoje, uwolniwszy ich ciała od żrącej potęgi ognia, a napełniwszy je niebieskim pierwiastkiem światła. To też szczęśliwi byli w raju, od pracy i boleści wolni, blaskiem zaś ciała i świętością ducha, niby wonią jakąś niebieską owiani, pełni powagi boskiej, nadzy, bezbronni mogli lwom rozkazywać. Ale nastąpił upadek, który Sło-

wacki wytłómaczył we właściwy sobie a dziwaczny sposób: według poety mąż i niewiasta, nie uciekając się do pomocy wzajemnej, mieli w samych sobie siłę tworzenia podobnych sobie istot przez przepełnienie się duchem Bożym, ale zły duch, w postaci węża, skusił Ewę, wskazując na niższe organizmy, które „uderzając na siebie, stają się odtwarzańcami form podobnych". Zostali więc wygnani z raju, odtąd potomkowie ich przychodzą na świat ze zmazą grzechu na duszy i ludzkość tylko przez pracę ciężką może odzyskać szczęśliwość i doskonałość, które były udziałem prarodziców w raju; praca powinna się uzewnętrznić czynem, treścią czynu musi być ofiara. Bóg zaś miłosierny, przychodząc w pomoc ludziom, zesłał Syna własnego Zbawiciela świata, który, będąc ideałem dla człowieka po wszystkie czasy i wieki, przyświeca mu świętością swoją na drodze ciernistej, wiodącej ku przemienieniu ziemi w „raj słoneczny". Ponieważ ofiara jest miarą zasług, więc „błogosławieństwo Boże spocznie na tych tylko narodach, które najwięcej ruchu duchowego czynem wyobrażą", a naród polski jest jednym z takich; dlaczego, tego poeta nie wytłómaczył?

Takim jest całokształt mistycznej filozofii Słowackiego, którą przedstawiliśmy w szczególniejszych zarysach, nie dotykając szczegółów, bo zbyt w nich dużo krzyczących nielogiczności, których wytykanie byłoby próżną stratą czasu, albowiem cała nauka poety — owoc, nie pracy myśli, lecz sennych mrzonek — w żadnej mierze na krytykę, lecz tylko na politowanie może zasłużyć, politowanie pełne współczucia, jakie niezawodnie w nas wzbudzi postać poety, zapatrzonego w tajemniczą dal marzeń i widzeń apokaliptycznych. Marzycielska dusza Słowackiego znalazła wyraz w filozofii powyższej, fantastycznej i niejasnej, co do treści i formy, ale, jeżeli zapatrywać się na nią z etycznego stanowiska,

to nie dziw, że, przeprowadzona w niej w tak cudnych nieraz obrazach, idea stopniowego uduchowniania się wszechświata drogą trudu i ofiary mogła wlać w smucące się dusze wygnańców, ów życiodawczy pierwiastek światła, do którego tęknił poeta. Słowacki, wierząc gorąco w moc, zbawienność i świętość nauki swej, zakończył ją rzewną modlitwą: „O Panie! który kazałeś szumowi morskiemu i szelestowi wietrznych pól, bladym kwiatkiem okrytych, aby mię uczyły słów tej księgi... a wiedzę na dnie ducha mego uśpioną obudziły. Spraw, aby te słowa, westchnieniem pisane, przeszły jak wiatr i szum morski; a przechodząc i mijając, moce duchowe w ojczyźnie mojej uśpione z nieświadomości własnej na światło wiedzy wywiodły".

Powyższe mistyczno-filozoficzne marzenia Słowackiego, wydane dopiero w 1884 r., przez Biegeleisena, z papierów pośmiertnych poety, powstały najprawdopodobniej w ostatnich czterech latach życia jego (1845—49), wówczas, gdy, odstrychnąwszy się od Towiańskiego, przestał weń wierzyć, a natomiast zachwycony i uniesiony własnemi marzeniami, poczuł w sobie jakby namaszczenie i rozkaz zgóry do opowiadania Słowa Bożego. Tę wiarę w posłannictwo swoje poeta niejednokrotnie zaznaczał jak w „Genezie z ducha", tak też i w innych przez Biegeleisena wydrukowanych urywkach. Gdy, pisząc dyalog pomiędzy tłómaczem Słowa a Helionem i Heliozą, wahał się wydać go, został nagle w nocy oświecony ogniami niebieskiemi i, szelestem ogniów tych, niby wichrem Bożym, owiany i prawie umarły, poczuł w sobie powołanie i siłę do głoszenia słowa Chrystusa, już na świat ten nadchodzącego. Pod urokiem to natchnień podobnych pisał Słowacki „Króla Ducha", w którym kusił się przyoblec w szatę poezyi, wiarę i naukę

swoję. Jestto przeto najznaczniejszy, najbardziej opracowany i najgodniejszy zastanowienia utwór Słowackiego z doby mistycznej, poświęcimy też jemu całą uwagę naszę, omijając inne dzieła, które, jak np.: „Ksiądz Marek“ i „Sen srebrny Salomei“, jednogłośnie przez krytykę i przez ogół czytający uznane zostały za płody poronione, albo też nie mają żadnej prawie styczności z mesyanizmem, jak dalszy ciąg Beniowskiego, lub „Makryna Mieczysławska“.

Punktem wyjścia w „Królu Duchu“ jest wiara w stopniowe doskonalenie się dusz, za pomocą przeobrażeń i w stosunek ludzi z duchami, które stosownie do doskonałości i świętości swojej mogą mieć królewską moc kierowania nietylko osobnikami, ale nawet narodami. Otóż poemat opowiada przeobrażenia jednego z takich królów duchów, w którym znalazły swój wyraz dzieje całe Polski, a który, stopniowo zmieniając w ciągu stuleci kształty swe, wcielił się nareszcie w postać Słowackiego, mającego prowadzić naród potęgą słowa, walcząc orężem poezyi.

„Król Duch“ miał się składać z wielu rapsodów, ale, za życia poety ukazał się tylko pierwszy w 1846 roku, przeszedł on prawie niepostrzeżony. Naród uprzednio zraził się do Słowackiego, z powodu pierwszych jego utworów z doby mistycyzmu „Księdza Marka“ i „Snu Salomei“, to też i nowe dzieło czytano z uprzedzeniem, które zwiększała mglistość wielu szczegółów; zapomnijmy jednak o matempsychozach „Króla Ducha“, o dziwacznem utożsamieniu się poety z duchem dziejów ojczystych, o mistycznej wierze jego w boskie posłannictwo swoje, spojrzmy zaś na poemat Słowackiego, jako na wylew osobistych uczuć jego, na takąż spowiedź, jako była w swoim czasie „Godzina myśli“, a wstanie przed nami tenże sam Słowacki, który zachwycał nas w „Mnichu“ polotem fantazyi, ale już wzbo-

gacony 16-letniem pasmem myśli, marzeń i cierpień, podniesiony i święty nowem uczuciem — miłością dla kraju. Jako artysta nie ustępował Słowacki Byronowi, jako charakter, nierównie mniej harmonijny, chory na bezgraniczną wybujałość marzeń, należał jednak do najniepospolitszych, to też i „Król Duch“ najsubjektywniejszy z jego utworów ostatniej doby, może stanąć w jednym rzędzie z najsubjektywniejszemi utworami Byrona, z Child-Haroldem i z Don Juanem pomimo zasadniczo odmiennej treści. Ale, aby pojąć Słowackiego mistyka, wskrześmy i porównajmy go ze Słowackim-byronistą, autorem „Araba“ i „Mindowego“: marzycielstwo stanowiło rys zasadniczy jego umysłu, marzenia były treścią życia poety, oczarowany niemi sądził on z tego stanowiska świat i ludzi, mienił się wyższym od ogółu, nawet wybrańcem Boga, odzywały się w nim jednak nieraz popędy społeczne, czuł wtedy Słowacki przepaść całą pomiędzy sobą a ludźmi, nienawidział ich, że się do niego wznieść nie umieli, a, nie mogąc sam sobie wyrobić ideałów określonych i choć cokolwiek pokrewnych dążeniom ludzkości, winę własnej nieudolności składał na świat i potępiał go bez miłosierdzia i z zapamiętałością, która się i śnić nie mogła Byronowi; nie zawsze jednak zadowalniała go sama negacya: gdy się zechciało Mindowemu myśl swoję wprowadzić w czyn, a ludzie go pojąć nie umieli, więc, nie pytając ich zdania, postanowił uczynić z nich ślepe narzędzie w ręku swoich, a, jako drogę, wybrał teroryzm, chciał „przydusić ich ogromem ciemnoty“,

Te same rysy napotykamy i w „Królu Duchu“: pierwszą postacią, w którą się wcielił mistyczny kierownik dziejów Polski, jest bajeczny król Popiel. Utożsamiając siebie z bohaterem poematu, poeta opowiadał od własnej osoby, to też i starał się otoczyć siebie całym blaskiem poezyi, wyprowadzając się od Hera Armeńczyka, przez którego usta wykła-

dał boski Platon, w jednym z dyalogów swoich, tajemnice życia zagrobowego. Otóż w ciele Hera poległego w walce za ojczyznę leżał na pobojowisku, wśród gór Kaukazu, w przeciągu dni dziesięciu; potem, gdy obyczajem pogańskim spalono ciało na stosie, dusza jego uleciała w płomieniach w tajemniczy świat duchów, gdzie miała utracić w wodach letejskich pamięć rzeczy ludzkich. Ale, kiedy poeta przykładał do ran ową cudowną wodę zapomnienia, zasłoniły mu duchy na wieki „różaną pogodę jutrzenek greckich", a natomiast ujrzał w dali prześliczną postać kobiety, rozpływającą się w blasku i woni słońc, tęcz i kwiatów. Umiłował ją odtąd na zawsze. Przez tę kochankę mistyczną rozumiał Słowacki, jakto cały układ poematu przypuścić każe, idealną polską ojczyznę, do której w niezliczonym ciągu przeobrażeń swoich miał tęsknić i dążyć, ale nie prędko sądzono mu było ujrzeć i wcielić się w nią... Wtedy jednak zjawisko nieziemskie wlało życie w błądzącą po świecie cieniów duszę poety, wzmogła się ona na nowe loty i znów wróciwszy na ziemię, przebudziła się w krainie wenedyjskiej, w jakiejś puszczy odludnej; tam nad uwitym w pieluchy dzieciakiem śpiewała, pamiętna nam z dawniejszego dramatu poety, prorokini Róża Weneda, opłakiwała ojczyznę zabitą, objawiała, że wydała go zapłodniona popiołem poległych i spalonych na stosie rycerzy, dlatego na imię mu będzie Popiel, a zemsta ma mu być celem żywota. I w rzeczy samej od dzieciństwa zemsta była mu karmią duszy, a nauką zdrada, taki go zaś smutek przepełniał, że:

„radbym własne wyrywał wnętrzności!
Albo u bolów swych prosił litości!"

W taki sposób opowiedziane narodzenie bohatera mogłoby nasunąć przypuszczenie, że „Król Duch" ma być dalszym ciągiem „Lilli Wenedy", t. j. opowieścią o zemście Wenedów nad Lechitami, czyli o powstaniu uciemiężonego

ludu przeciwko ciemiężycielce-szlachcie; przypuszczenie to potwierdzałaby z pozoru i ta okoliczność, że Słowacki pisał równocześnie (1846 r.). słynny w swoim czasie „List do autora trzech psalmów“ (t j. do Krasińskiego), tchnący tymże radykalizmem, tąż wiarą w lud a niechęcią ku szlachcie, co „Grób Agememnona“ lub „Lilla Weneda“, a jednak przypuszczenie to upada, albowiem rozsnuta w następnych strofach rapsodu działalność Popiela nie ma nic wspólnego ani z antylechickiemi dążeniami Wenedów, ani z żadną w ogóle krwawo-demokratyczną mrzonką. Słowacki powiązał „Króla Ducha“ z „Lillą Wenedą“ chyba dlatego tylko, aby przyoblec w poetyczniejszą szatę bohatera swego, lecz wpadł przeto w błąd psychologiczny, nadawszy Popielowi od urodzenia pociąg do zemsty i zdrady, najniepotrzebniej w świecie, gdyż dalsze krwawe czyny jego nie wypływały ani z żądzy zemsty, ani ze szczególnego zamiłowania w zdradzie, lecz tylko z owego smutku głębokiego, który mu „wyrywał wnętrzności“. Źródłem tego smutku były uniesienia namiętne, lecz mgliste i nieokreślone, wiecznie wrzące mu w piersi. I Byron, zawsze obecny przed nami, gdy mowa o Słowackim, wzbijał się ponad ogół ludzkości wielkością pragnień, ale poeta angielski wiedział zawsze, czego chciał, to też i umiał w rozpaczy swej zachować miarę, tymczasem żądze Słowackiego pochodziły z chorobliwej rozbujałości marzeń: rozhukany potok fantazyi unosił go na falach ognistych daleko, poza krańce możliwości i osamotniony w marzeniach i dążeniach swoich poeta pogrążał się w bezdeń smutku, duszę jego przepełniała tęsknota bez końca, podobna do tej, którą dyszą blade noce nadnewskie, lub skwarne piaski pustyni, wówczas gdy z piersi autora Child-Harolda wyrywał się wicher łamiący i niszczący wszystko, co po drodze spotykał; czuć było w poezyi tej siłę, stanowiącą źródło jej czaru, a siły tej

brakowało właśnie Słowackiemu, jak wszystkim prawie byronistom: muza poety naszego tęskniła i płakała tylko, niekiedy strzeliła w górę potokiem iskr czerwonym i olśniewającym, ale również prędko gasnącym.

W cudnych strofach opisał Słowacki ten smutek Popiela: znudzony i cierpiący nad jednostajnością biegu rzeczy ziemskich, żądny jakiejkolwiek zmiany, przeklinał dręczącą go obecność i zazdrościł losu umarłym, palonym na stosach; smętne śpiewy, towarzyszące obrządkowi, unosiły go w nieznane krainy śmierci, powiewy zaświatowe ogarniały go, ginął w marzeniach rozkosznych... a świat tymczasem „urągał mu cichością; biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi". Rozpacz wgryzała mu się w serce i rozlewała jadem żółci i nienawiści przeciwko ludziom, których marne sprawy i dążenia były winą wstrętnych dla marzyciela rzeczywistych warunków życia, pałał wtedy żądzą zemsty nad ludzkością — mimowolną winowajczynią smutków jego, a miał właśnie sposobność zadosyćuczynienia popędom swoim krwiożerczym: będąc ulubieńcem króla Lecha, bronił on na czele hufców jego granic państwa, zwyciężał więc i tępił z rozkoszą wrogie legiony, nie widząc w nich nic innego, jak tylko „las do wycięcia".

Tem się też przez długi czas zadowalniał, lecz los zastawił nań wkrótce straszliwe a ponętne zarazem sidła, z których nie umiał się rozplątać; miała królewna Wanda, córa Lecha, sen proroczy, że orły, lecące na koniach, zerwą jej kiedyś koronę z głowy. W tymże czasie młody Popiel, wracając z wyprawy zwycięskiej, przypiął sobie i rycerzom swoim skrzydła zabitych orłów do pancerzy, jako symbol sławy, którą zdobyli. Tak stanęli radośni i dumni przed tronem Lecha. Pobladł stary król, wspomniawszy o widzeniu córy i berłem zwalił zwycięskiego wojownika; wzięto i wrzucono go w ciemny loch, lecz tajemnie wybawiła go

ztamtąd młoda królewna, wyrzucająca sobie, że sen jej był powodem nieszczęścia bohaterskiego wodza. Rozpalony żądzą zemsty, wściekły nieszczęściem, a tem wścieklejszy, że samotny był i bezsilny, uciekał Popiel na zachód, ale przed myślą swoją uciekał więcej, niż przed goniącą go strażą. Wśród dzikiej puszczy napotkał oddział Germanów; miał więc pole do wywarcia na zewnątrz buchających mu w duszy płomieni wściekłości; jak huragan rzucał się i drużgotał, sam jeden, zastępy barbarzyńców, i ci, przerażeni jego mocą nieziemską, padli przed wielkim bojownikiem, i ukochali, i „kiejzarem“ swoim obrali“. A więc głęboko zrozumiał Słowacki zwierzęce popędy natury ludzkiej. Na czele oddanych mu odtąd ślepo hufców popędził Popiel do ziemi ojczystej; nie żył już stary Lech, panowała Wanda; niszcząc po drodze sioła i grody, młody wódz dotarł do stolicy królestwa; tam, pijany szałem zwycięstw, zażądał, aby złotowłosa królewna przyszła mu nalewać wina do puharów. W nurtach Wisły szukała Wanda schronienia od grożącej jej hańby. Wdzięki jej rozpalały zawsze wyobraźnię Popiela, ale dopiero po śmierci królewny pojął cały ogrom straty. Boleść bez granic krwawiła mu duszę; szałem miotany, potrzebował znów swą wściekłość wylać, a mógł, bo był już panem samowładnym narodu. Począł więc pastwić się nad nim. Takieto właśnie były sidła, które nań los zastawił. Lecz okrucieństwa jego miały inną, głębszą przyczynę: porwany i trawiony ogniem własnej fantazyi, czuł, że go żadne nie łączyły ogniwa z ludźmi, panem był woli poddanych swoich, a wiedział, że jej nagiąć do żądz ducha swego nie zdoła, bo nie znajdował w nich struny żadnej, któraby odpowiadała pragnieniom jego nienasyconym, nieskończonym..... Zrozpaczony, postanowił wyzwać niebo, — jeśli Bóg istniał, postanowił gwałtem go zmusić, aby się wmieszał do rzeczy ziemskich, aby prze-

rwał, choć cudem, jednostajną, nużącą, wstrętną kolej wypadków. Drogę do celu swego widział jednę: przerazić niebiosa swemi okrucieństwy:

Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak, jak w tarczę z miedzi,
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach blady.

Nie szczędził poeta barw, aby uderzyć wyobraźnię czytelnika opisami najwyszukańszych męczarni zadawanych nieszczęsnemu narodowi, żadne też streszczenie nie zdoła dać pojęcia o tem mnóstwie krwawo ponurych obrazów, które za każdym niemal pociągiem pióra, wytryskując z rozszalałej fantazyi poety, odurzają nas, jak opium, upajają, przenoszą w świat jakiś smętny, pełen widm sennych, płaczący szumem wichrów i odgłosami piorunów, dyszący śmiercią, a tajemniczy i powabny; królestwo całe stało się fabryką palów, kołowrotów, obcęgów i wszystkich narzędzi tortur; na kurhanach otaczających zamek zapalano stosy, prowadzono tam tłumy skazanych i lubił Popiel, jak sęp krwiożerczy, spoglądać z wieży na „ruchome w ogniach mrówniki", — ale błękitne framugi niebios patrzały na to ciche i obojętne, jakby nie słyszały jęków ludu; rozpacz opanowywała Popiela coraz gwałtowniej; więc niema Boga, więc prochem są ludzie — myślał — i prochem ja jestem, ale tem straszniejszym, że nie duchy mię wydały, lecz własne siły. Ale może Bóg istniał, lecz gardził nim? na tę myśl pienił się z wściekłości, i, nie umiejąc straszniejszych mąk stworzyć, postanowił upokorzyć naturę, gwałcąc najświętsze jej prawa: rozkazał wyprowadzić matkę swoję z lasu i palił ją na wolnych ogniach. Lecz nieba zawsze milczały, a lud męczony kochał go za męczarnie, za strach,

za siłę. Rozpacz i wściekłość przechodziły w szaleństwo, od trawiących go płomieni psuła mu się twarz, zczerniał jak trup, a jednak próchniejący tak, upadły i zużyty, czuł się nieraz jak „anioł gorący, gotów ukochać świat i nieść w błękity ziemię".

Miłość ta jest rysem zupełnie nowym. Dotąd nie wyróżniał się Król-Duch od Araba. I jeden, i drugi, zdawali się pałać równą nienawiścią ku Bogu, ludziom i naturze, ale w uzewnętrznieniu nienawiści tej Popiel bardziej był okrutny i wyrafinowany, niż bohater młodzieńczego utworu Słowackiego. Teraz dowiadujemy się, że groźny władca kochał jednak świat, a uczucia tego nie znał Arab. Dziwną napozór i nieprawdopodobną wyda się miłość ujawniająca się w okrucieństwach, a jednak autor „Araba" był tu wiernym sobie, bo miłość jego miała źródło tylko w wyobraźni. Nigdzie nie uwydatniła się tak wyraźnie sprzeczność zasadnicza pomiędzy poetą uczucia, a poetą marzeń, — pomiędzy Mickiewiczem a Słowackim. I twórca „Dziadów" wyzywał Boga na walkę, ale na serca, bo kochał ludzi takimi, jakimi są, współczuł ich nędzy, pragnął przyjść im w pomoc, podnieść i uszczęśliwić, — Słowacki zaś chciał zwalczyć Boga zbrodniami, bo jeśli kochał ludzi, to nie rzeczywistych, lecz wymarzonych, marzenia te tak go upajały, że widział w ludziach tylko narzędzie bierne do urzeczywistniania pomysłów fantazyi swojej, rozczarowawszy się zaś i zwątpiwszy począł być okrutnym, chcąc okrucieństwy zmusić Stwórcę, aby dał znać o sobie, aby przerwał tę wstrętną jednostajność życia, aby pokazał, że jest Opatrzność czuwająca nad śmiertelnymi. Ale okrucieństwom jego przyświecał inny jeszcze cel: Popiel kochał, albo, właściwiej mówiąc, opromieniał czarem snów swoich nie ludzkość całą, lecz tylko naród swój: gdyby chodziło mu, aby Bóg się wmieszał w sprawy świata wogóle, aby na czele hufców

swoich tępił wrogów kraju i na nich wymierzał gwałty, tymczasem pastwił się nad własnymi poddanymi, bo tylko naród własny dawał mu pochop do snucia marzeń o złotej erze ludzkości; ale pomiędzy marzeniem a rzeczywistością, pomiędzy Bogiem milczącym i obojętnym, a cierpiącą ludzkością leżała bezdeń cała, otóż zechciało mu się przerzucić przez nią most, aby popchnąć naród na drugi brzeg, w krainę ideału; tym mostem były okrucieństwa jego, miały one zahartować naród, skałę zeń zrobić na krew i na bole, uczynić zdolnym do przejęcia się myślą Bożą, która musiała nareszcie zstąpić na świat, poruszona wstrząsającemi kulę ziemską zbrodniami króla. I przeczucia jego ziściły się. Gdy, syt już mordów i gwałtów, ucztował raz z oprawcami swymi, przybiegł giermek zadyszany, oznajmując, że zjawiła się na niebie miotła płomienista; byłto znak zgóry, że nastał już koniec bezprawiom króla, a Bóg ulitował się nad nieszczęśliwym narodem. Wpił groźny król oczy swe w kometę, długo z nią się mocował, chcąc przepalić ją jadem swego ducha, lecz padł nareszcie, a zdało mu się wtedy, że widział w gwiaździe jakby mgnięcie powiek i błysk oka, i uczuł, że mu łamie ducha moc jakaś straszna, niezgłębiona. Osłabły i konający żegnał naród, tłómacząc mu słowy urwanemi ciemne posłannictwo swoje; wyznawał, że biczem był dla nich, ale wyższym był od Neronów i Herodów, bo, choć okrutny i zbrodniami obarczony, chciał jednak „nieść w błękity ziemię“, jaśniała nad nim myśl słoneczna, która wprawdzie przez schody okrwawione, ale prowadziła go w progi ideału. „Idźcie, -- dodawał — już więcej nie jesteście sługi mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi. Kupiłem naród krwią, i nad jej strugi podniosłem ducha, który śmiercią gardzi“. Naród jego odtąd iść będzie pchnięciem jego „skrwawionego wiosła“ i Polska „na ból skała“, na krew twarda i nieczuła, wyjdzie

zwycięsko z zapasów wiekowych. Taką była misya Króla-Ducha i takim jego koniec: przeniósł się w świat duchów pokutować za zbrodnie i pokutą przysposabiać się do przyjęcia nowych kształtów, aby dalej prowadzić naród ku celom jego istnienia.

Nie znają dzieje literatury żadnego poety, któryby marzycielstwo do takich krańców posuwał, to też i typ stworzony przez Słowackiego, przeczuty w Arabie, w Mnichu i w Mindowem, ale w cudnej formie i z olbrzymią potęgą fantazyi wyrażony dopiero w pierwszym rapsodzie Króla-Ducha, pozostanie unikatem w poezyi. Gdy Arab rzucał się i miotał bez celu, parodyując Byrona, rozumiano Słowackiego, ale, gdy Popiel silił się usprawiedliwić okrucieństwa swe myślą wyższą, ogół odstrychnął się od niego, bo aby go pojąć, trzeba zadać gwałt wyobraźni. Nadmierne bujania i poloty w krainy dostępne tylko fantazyi nie mogły pozostać bezkarne, nawet dla Słowackiego. Nastąpiło pewne zużycie umysłu, które doprowadzało go do lubowania się w odtwarzaniu tych wyrafinowanych charakterów i obrazów, które przejmą zgrozą każdego, w kim władze ducha znajdują się w stanie normalnym.

Jeśliśmy zaliczyli pierwszy rapsod Króla-Ducha do najsubjektywniejszych utworów Słowackiego, to nie w tej jednak myśli, aby wieszcz nasz miał naseryo propagować krew i żelazo, jako najwłaściwsze środki do urzeczywistnienia celów wielkich, ale tylko jako jaskrawy przykład krańcowości autora „Araba“, gdy, rozmyślając o biegu rzeczy światowych, puszczał wodze szalonym a rozkiełznanym marzeniom swoim. Jednocześnie, w liście do matki z dnia 10 grudnia 1845 roku, pisał poeta następujące śliczne słowa, znajdujące się w rażącej sprzeczności ze wspaniałą pogardą Króla-Ducha ku rodzajowi ludzkiemu: „Na odmianę ludzi dany nam jest jeden tylko sposób, — wzbudzenie

w nas wiary, że ci ludzie są nieśmiertelnymi aniołami, a zbrudzili się jak dzieci — i przelanie tej wiary w nich samych. Ile razy krytykujemy, albo skarżymy się na świat, albo wyrzucamy mu z gniewem wady jego, tworzymy sami wiarę w brud i w niedoskonałość, a każda wiara zamienia się w ciało i spełnia się. Czy ty wiesz, droga moja, że prawdziwymi zabójcami czasowymi nas dawniej byli tacy prorocy z kazalnic i z wysokich miejsc, od kilku wieków trąbiący: śmierć wam (z dodatkiem: jeżeli się nie poprawicie). Wszak, gdybyś ty słudze twemu ciągle mówiła przez lat dziesięć, że kradnie, to na końcu by kradł, — że chory, to nareszcie by zachorował. Przekonaj wszystkich około siebie, że są aniołami, ale wprzód uwierz w to, bo fałszywie mówiona rzecz, byłaby pochlebstwem". Czytając piękny ten ustęp, zapominamy o autorze Araba, Mnicha, i pierwszego rapsodu „Króla-Ducha", a staje nam natomiast przed oczyma Słowacki z Godziny myśli i z Anhellego. Otóż właśnie tę drugą „anhelliczną" stronę ducha wyrazi Słowacki w rapsodzie czwartym Króla-Ducha. Za życia został wydany tylko pierwszy rapsod; poeta chciał w dziele powyższem wyrazić swoję wiarę w poetycznej formie i uczynić przeto Króla-Ducha najgodniejszym czytania utworem swoim, pracował też nad nim z nadzwyczajną sumiennością i, umierając, zostawił mnóstwo urywków, które Małecki starał się z ogromnym mozołem przyprowadzić do ładu aż ułożył z nich ostatecznie cztery rapsody; ale ponieważ każda niemal pieśń posiada po kilka waryantów, nieraz sprzecznych pomiędzy sobą w szczegółach zasadniczych, ponieważ niektóre z nich nie mają końca, inne zaś całkiem niezrozumiałe, więc trzeba być bardzo ostrożnym, chcąc na podstawie ich wnioskować o duchu i kierunku dzieła, to też i my omijamy rapsody drugi i trzeci, w których Popiel pokutuje w piekle za zbrodnie swoje i jako duch, przypa-

truje się zrazu bezprawiom popełnianym w imię jego przez jego następców, potem znów cichym i błogim rządom Piasta, pozbawionym jednak świetności Popielowej, — a zatrzymamy się tylko na chwilę nad czwartym, w którym Król-Duch powtórnie zjawia się na ziemi w postaci Mieczysława I, działa w kierunku wręcz przeciwnym dawniejszemu i dopełnia przeto Popiela, wyrażając właśnie tę stronę ducha Słowackiego, którą przecudnie niegdyś opisał w „Anhellim".

Gorąca żądza ideału cechowała obydwóch poprzedników duchowych Słowackiego: Popiela i Mieczysława, ale, gdy u pierwszego ujawniała się w działalności gorączkowej, treścią której były gwałty i okrucieństwa, drugi żył życiem najzupełniej biernem, w ciągłej, tęsknej zadumie o szczęśliwości zaświatowej, w modlitwach i w marzeniach. Wierny podaniu, kazał mu poeta przyjść na świat ślepym; dlategoto, będąc pozbawionym tak ważnej spójni ze światem, przepędził Mieczysław pierwsze lata życia, zamknięty w sobie, zatopiony duszą całą w krainie mar sennych, to strasznych, to rozkosznych, lecz zawsze ponętnych; przy słuchaniu opowiadań piastunek, śnił mu się świat jakiś tajemniczy i ponury, blasków dziwnych pełny, łun pożarnych i piorunów; ale też czasem promień z nieba oświecał mu duszę i marzyciel przenosił się wtedy w cudną krainę, gdzie drzewa kwieciste strzelały wierzchołkami ku gwiazdom, a przelatujące ptaki rajskie i feniksy barwiły słoneczne błękity szlakami różnokolorowemi, gdzie płynęły ruczaje z perłami świecącemi na dnie, gdzie wodospady tryskały kwiatami, a rośliny te wszystkie i ptaki, i ruczaje, śpiewały hozannę Panu na wysokościach; jakże błogo tam było ślepemu chłopięciu! Wkrótce, w czasie obrzędu postrzyżyn, odzyskał sposobem cudownym wzrok, wraz ze ślepotą odbiegły go sny, ale natomiast objęła go nieukojona tęsknota za niemi. Lecz bardziej jeszcze tęsknił

do kochanki tajemniczej, zjawionej mu w błękitach niegdyś przed przyjściem na świat (mowa była o niej w początku pierwszego rapsodu), a której wspomnienie odległe i mgliste, ale urocze, stało mu zawsze w głębiach ducha. Ulitował się Bóg nad tęskniącym młodzianem i, w osobie Dubrawki, królewny czeskiej, zesłał jemu towarzyszkę żywota; zamieniła ona zaginioną w krainach zaświatowych kochankę niebieską, a, przynosząc z sobą światło wiary chrześciańskiej, zdjęła mężowi z serca żal, trwogę i tęsknotę, albowiem wiara nowa uczyła, jak przez zabijanie ciała wzbijał się duch ponad znikomość rzeczy ziemskich i przybliżał chwilę, gdy, oswobodzony z pęt przeobrażeń, dostąpi na wieki szczęśliwości aniołów, a do szczęśliwości tej wzdychał z upragnieniem młodociany król. Nieopisany ogarnął go zapał i zachwyt, widział się przeznaczonym sprowadzić na ziemię „Jeruzalem słoneczną", duch jego rozsadzał więzienie cielesne i szybował do nieskończoności:

„Uczucia moje ludzkie podruzgotam,
Serce rozbiję, miecz, jak drzazgę, złamię,
Sławą rycerza od siebie pomiotam,
Koronę zrzucę, krzyż wezmę na ramię,
Tylko niech sobie tym dniem zarobotam
Wieczyste światło i to złote znamię,
Które się w Bożem królestwie pokaże,
Zmartwychwstającym kościom złocąc twarze".

Jednak przez ciężkie próby musiał przechodzić świątobliwy król: ze wschodu, z zachodu i z północy napadali wrogowie na państwo jego, a zapatrzony w niebo władca nie umiał bronić ziem swych i musiał patrzeć jak zabierali mu nieprzyjaciele duże i piękne obszary. Boleść ogarniała go wielka; lecz szczęście zależy nie na pomyślności doczesnej, ale na spokoju ducha płynącym z czystości myśli i uczuć, i Bóg miłosierny pocieszał bogobojną parę królewską snami proroczemi, w których widzieli się aniołami prowadzącymi

narody ku krainom słonecznym; widzenia te swoje opowiadali sobie wzajemnie i „któżby zrozumiał!... Gdy my tak do siebie gadali snami żywota królowie“. Ale sny te wlewały błogą otuchę w ich dusze tęskniące, gdyż czuli w sobie wtedy siłę zdolną porwać ich, skruszonych i modlących się i postawić przed Panem, siłę zdolną pociągnąć za nimi naród, zwróciwszy serca jego ku panom jego, światłem łaski Bożej owioniętym.

Dziwnie słodki urok zawierają w sobie urywki odnoszące się do rapsodu powyższego i żal nami owłada, że poeta nie miał czasu powiązać ich w całość harmonijną. Czytając strofy te, pełne mistycyzmu rozpływającego się w jakichś widzeniach bezcielesnych, odbieramy wrażenie, jak gdyby duch świetlany zleciał na chwilę z topieli słońc i błękitów i w mowie aniołów, w obrazach zaczerpniętych nie z tego świata, skreślił, ku pociesze i zbudowaniu strapionych, te chwile przelotne, które spędził niegdyś na ziemi w formie cielesnej, a w ustawicznej tęsknocie ku światłu i miłości wiekuistej.

Bo też w ostatnich latach życia żył Słowacki w niebie więcej niż na ziemi. Oderwany od gwaru światowego, starał się przeniknąć natchnieniem tajemnice mianych przeobrażeń swoich, a zdobycze z wycieczek tych w krainę duchów opisywał w „Królu-Duchu“. Praca nad ulubionym poematem pochłaniała go w całości; niedługo jednak przed śmiercią, jakby przeczuwając bliskość jej, znalazł czas, by przekazać w poetycznej formie nielicznym przyjaciołom testament swój. Śliczny to wiersz, w którym z niezwykłą siłą wyraził mistyczną wiarę w boskie posłannictwo swoje; zakończył go następującemi cudnemi słowy:

.... Zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co żywemu mi na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi.

Ten czterowiersz streszcza w sobie zasadniczą różnicę pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem: pieszczoch fantazyi, duszą zatopiony w krainie jakichś apokaliptycznych marzeń, wierzył w cudowne i uświęcające działanie ich na ludzi, gdy je w szatę poezyi przyodzieje; — ale surowy twórca „Dziadów“, płomieniejący uczuciem i żądzą czynu, odrzucał płonną grę wyobraźni i płonne kwiaty poezyi, a żądał natomiast krwi trudów i poświęceń.

Określiliśmy w przedmowie mesyanizm, czyli patryotyzm mistyczny jako wiarę w łaskę i miłość Bożą, spoczywającą na narodzie. Psychologia nie jest matematyką, trudno też ściśle określić, gdzie się kończy poetyczność, a zaczyna mistycyzm, to tylko jasna, że czynniki niezbędne do wytworzenia umysłu poetycznego — uczucie i fantazya — spotęgowane do ostatnich krańców stanowią podstawę mistycznego poglądu na świat. Religijność podniesiona do ekstazy, rodzi wiarę w nadprzyrodzone obcowanie jednostki z Bogiem, — połączona nadto z również namiętnym patryotyzmem, wywołuje już wiarę w boskie powołanie narodu; — w sposób podobny z fantazyi pochłaniającej całą istotę człowieka, a na nutę patryotyczną nastrojonej, wynika wiara w rzeczywiste istnienie powiewnych mar wyobraźni rozpłomienionych ogniem miłości do kraju. Stosownie do tego, który z obu czynników — uczucie czy fantazya — bierze górę w umyśle danej jednostki, mistycyzm dwojaki może mieć charakter. Rozbiór powyższy wykazał nam, że Mickiewicza cechowała bezgraniczna siła uczucia, a Słowackiego, takaż potęga fantazyi. Twórca Króla-Ducha zapatrywał się ze stanowiska fantazyi na świat i porwany czarem marzeń własnych, a czując, że nikt mu pod tym względem nie mógł dorównać, wywyższył siebie

ponad ogół ludzi, i, porzuciwszy Towiańskiego, sam się mienił być wybrańcem Boga, wówczas gdy Mickiewicz zanadto czuł i zanadto kochał, aby mógł uwierzyć w boskość swoję; przeciwnie, miłość ku ojczyźnie rodziła w nim zbyt wygórowane pojęcie o cnocie i obowiązku — i surowy dla innych, surowszym jeszcze był dla siebie, cech zaś proroka i głosiciela słowa Bożego nigdy nie szukał w sobie, lecz tylko w Towiańskim; podobnież, opromieniając miłością swoją cały naród, starał się wynaleść w nim właściwości, mające mu zapewnić przodownictwo w dziejach i w taki sposób tworzył całą teoryą mesyanizmu polskiego. Słowacki zaś wiary swojej w Polskę nigdzie nie wyjaśnił bliżej, zasadzał ją bowiem na tem tylko, że on, anioł i ulubieniec Boży, należał do tej narodowości.

Mickiewicz i Słowacki, stojąc na dwóch przeciwległych krańcach mesyanizmu, stanowią dwa odmienne, ale równie wykończone i doskonałe typy kierunku wzniosłego i przeto sympatycznego, ale, niestety, bezpodstawnego. Ta zaś okoliczność, że dwaj najwięksi poeci polscy byli zarazem najzapaleńszymi wyznawcami mesyanizmu, rzuca jaskrawe światło na charakter narodu, z łona którego wyszli, i pozostaje w smutnej zgodności z całą jego historyą polityczną, uczącą, że umiał zawsze powodować się szlachetnemi popędami serca i gwałtownemi wybrykami fantazyi, ale nie zawsze umiał iść za głosem rozsądku.

ALEKSY CHOMIAKOW

I SŁOWIANOFILSTWO ROSYJSKIE.

Jakkolwiek dziwnem mogłoby się komu wydać stawianie fantazyjnych, a bezpodstawnych marzeń wielkich poetów naszych na jednym poziomie z poglądami mającemi adeptów swoich nawet wpośród pierwszorzędnych mężów stanu rosyjskich, zauważyć należy, że w obydwu wypadkach tkwi w osnowie taż sama wiara w mistyczne posłannictwo słowiańszczyzny, mającej odrodzić zestarzałą ludzkość. (Przez mistycyzm rozumiemy wiarę w nadprzyrodzone obcowanie jednostki z Bóstwem; źródłem tej wiary jest spotęgowana do ekstazy religijność; zespólmy ją z zapałem i zachwytem uczuć patryotycznych, a będziemy mieli pojęcie o mistycyzmie patryotycznym, czyli, krócej mówiąc, o m e s y a n i z m i e. Cała nasza poezya emigracyjna była wyrazem głębokiej wiary, że właśnie naród polski jest tym mesyaszem, który cierpieniami swemi ma odkupić przewinienia ludzkości całej, podobnież słowianofile rosyjscy utożsamiali zadania Rosyi z biblijnem posłannictwem mesyasza, wierząc, że ona dopiero urzeczywistni i nada realne kształty bytu przykazaniom Chrystusa. Obydwa nadto kierunki wypływały ze źródeł sobie pokrewnych, gdyż zarówno mesyanizm, jak słowianofilstwo, były protestami wystosowywanemi przeciwko rzeczy-

wistości, ale protest poetów naszych to jęk narodu ujarzmionego, który, mając przed sobą zamknięte wszystkie drogi rozwoju, rzucił się z rozpaczy w objęcia mistycyzmu i szukał w zachwytach modlitw i marzeń ucieczki i pociechy w nieszczęściu, gdy tymczasem protest słowianofilów miał źródło swoje pośród narodu niezawisłego, pełnego wiary w swe siły, a wzdychającego do swobody i do szerokiego pola działania, których go pozbawiał bezlitośny biurokratyzm, rozpościerający swe skrzydła opiekuńcze nad wszystkiemi objawami życia społecznego: to też przeciwko niemu głównie skierowali działalność swoję pierwsi słowianofile, a dopiero potem na drugim planie, stawiali walkę z przesadnem ze strony inteligientnych warstw społecznych naśladownictwem Zachodu. Nie mając powodu do uginania się pod ciężarem nieszczęść, które poetów polskich zaprowadziły na manowce mistyki, Chomiakow i jego współwyznawcy zachowali w większym stopniu równowagę sił duchowych i wypowiadali myśli swoje nie w formie poetycznej, a nacechowanej bolem i namiętnością, jak natchnieni cierpieniami ojczyzny Mickiewicz i Słowacki, ale przeważnie prozą, dokładając wszelkich starań, aby mieć zawsze na zawołanie dowody naukowe. W pracach ich dał się słyszeć głos rozsądku, któregobyśmy napróżno się doszukiwali zarówno w rozpaczliwych skargach Konrada, jak i w fantazyjno-sennych marzeniach Króla-Ducha: to właśnie stanowi rdzeń różnicy, zachodzącej między rosyjskim a polskim kierunkiem: z Mickiewiczem i ze Słowackim spór niemożliwy, pozostaje albo poddać się potędze uczucia twórcy „Dziadów“ i czarownej fantazyi Anhellego — i wraz z nimi podążyć w krainy zaświatowe, niemające nic z rzeczywistością wspólnego, albo też odwrócić się od olbrzymów naszych z przykrem uczuciem żalu, że tyle ognia i natchnienia poszło na usługi idei sympatycznej wprawdzie, ale nie mającej gruntu pod sobą. Nato-

miast dość ściśle określone i oparte na faktach historycznych twierdzenia słowianofilów dają bogate pole do roztrząsań. W dziełach ich występuje na jaw pierwiastek krytyczny, a obecność jego, jak się z dalszego toku rzeczy przekonamy, stanowi zarówno silną, jak i słabą stronę kierunku rosyjskiego.

Zkąd wynikły i jak powstały dążenia słowianofilów? Jeśli mamy je uważać za reakcyą wywołaną przez zbytnie naśladownictwo Zachodu, to w takim razie musielibyśmy szukać poprzedników ich w bardzo odległej przeszłości: Rosya rozwijała się w inny zupełnie sposób i inną drogą, aniżeli cała Europa, a kiedy Piotr Wielki siłą narzucił jej formy życia, wypracowane przez społeczeństwa zachodnio-europejskie, reakcya stała się logiczną koniecznością; pierwszy Stefan Jaworski, metropolita rjazański, przerażony i oślepiony blaskiem reform wielkiego cara, począł dość otwarcie wyrażać obawę swą i przestrach. Czyn bezowocny, ale bohaterski, jeśli wziąć na uwagę samowolę i okrucieństwo Piotra. Nie znajdziemy jednak w kazaniach odważnego metropolity uzasadnienia jego opozycyi i protestu, powodował się bowiem tylko nierozumującem uczuciem wstrętu do wszelkich nowości i instynktowem, a ślepem przywiązaniem do tego co było, co przekazała tradycya.

Nierównie energiczniej wystąpiła opozycya przeciwko Zachodowi za panowania Aleksandra I. Wojny napoleońskie, zakończone zwycięskim pogromem niezwyciężonych dotąd legionów i przywróceniem pokoju w Europie, dzięki potężnej woli cara rosyjskiego, wpłynęły na rozbudzenie w narodzie dumnego poczucia własnych sił, a zarazem nienawiści do tego Zachodu, a szczególnie do tej Francyi, którą dotąd we wszystkiem musiano naśladować, jako jedyny wzór wszelkich doskonałości. I oto już w roku 1808 pod redakcyą

Glinki zaczyna wychodzić „Ruskij Wiestnik“, bezwzględnie ganiący cudzoziemszczyznę i również bezwzględnie podnoszący do niebios wszystko co swojskie. Niespodziewanie dowiadujemy się ztąd, że Ruś święta nie ma po co zwracać się ku Zachodowi, gdyż posiada sama własnych domorosłych Wolterów, Rousseau i Condillaców w osobach Zotowa, nauczyciela Piotra Wielkiego, i Szymona Połockiego; (pisarza 18 wieku bardzo podrzędnej wartości) w tymże duchu pracuje i Szyszkow, gorliwy obrońca t. z. „Słowianorosyjskiego stylu“, t. j. wzorowania się cerkiewną słowiańszczyzną wbrew nowatorstwom językowym i stylistycznym Karamzina i Puszkina, którzy stworzyli dzisiejszy język literacki w Rosyi. Wkrótce potem w ich ślady wstępuje Zagoskin i jego naśladowcy w belletrystyce, a Szewyrew i Pogodin, profesorowie uniwersytetu moskiewskiego, w nauce i publicystyce. Z niewyczerpanej skarbnicy cnót „Russkawo czełowieka“ w największy zachwyt wprawiała ich jego pokora; pragnąc zaś złożyć w praktyce dowody swej konsekwencyi, poczęli „pokornie“ zachwycać się nad istniejącemi warunkami bytu. Krytycy powierzchownie tylko na rzeczy patrzący, nie umieli odróżnić przedstawicieli Szewyrewo - Pogodińskiego, zacofanego patryotyzmu od Słowianofilów, wówczas gdy przedzielała ich wzajemnie przepaść nieprzebyta: pierwsi stronili od poważniejszych badań i zastanawiań się nad Rosyą, bo i pocóż mieli tracić czas na bezowocne rozmyślania, gdy w mniemaniu ich stokroć łatwiej i przyjemniej było wydeptywać ścieżki, utorowane czterowiekowemi przeszło dziejami Rosyi i niewolniczo rozrzewniać się na samę myśl o ideałach, którym z g ó r y zalecano im hołdować; — tymczasem słowianofile s z u k a l i prawdy: szczerze i sumiennie badali oni życie współczesne Rosyi i jej przeszłość, gorąco pragnęli znaleść te wytyczne zasady, które mogłyby zapewnić ukochanej ojczyźnie trwały i na własnych siłach oparty rozwój w przyszło-

ści; ich przeto poglądy i twierdzenia były owocem pracy szczerej i niezłomnego przekonania; więc nie bierzmy im za złe, że pod niektóremi względami szli przypadkowo ręka w rękę z Pogodinem i Szewyrewem.

Nie obskurantyzm patryotyczny, propagowany przez pisma „Ruskij Wiestnik“ i „Majak [1])“, był punktem wyjścia dla słowianofilów, ale owe szlachetne dążenia, które zapanowały wśród młodzieży uniwersytetu moskiewskiego w końcu czwartego i na początku piątego lat dziesiątka bieżącego stulecia.

Dążenia owe pochodziły w prostej linii od dekabrystów: wypadki 1812-go i lat następnych wywołały w Rosyi ruch umysłowy nietylko w pobożnych życzeniach powrotu do starych cnót rosyjskich i zupełnego wykorzenienia liberalnych nowinek cesarza Aleksandra I; młodzi i wykształceni oficerowie gwardyi, przyjrzawszy się zbliska Europie, zostali wprawieni w zachwyt jej świetną cywilizacyą, i rzecz naturalna, że po powrocie do domu, tem boleśniej uderzeni zostali zacofaniem własnego społeczeństwa. Uczucie niezadowolenia z istniejącego porządku rzeczy i wspólność wrażeń z pobytu na Zachodzie zbliżały ich wzajemnie do siebie i prowadziły do rozmyślań nad sposobami zniesienia niewoli włościan, dzikiego postępowania z żołnierzami, powszechnego przekupstwa i t. d. Potok marzeń o lepszej przyszłości uniósł ich poza granice możliwości i doprowadził do smutnych pod względem następstw wypadków grudniowych w 1825 r. Praca ich jednak nie poszła na marne. Owocem jej były zrazu dążenia członków kółka Sungurowa w Moskwie, do którego należeli Hercen i Ogarew. Ale i ci poszli na Sybir lub wygnanie. Wówczasto wśród zdolniejszych przedstawicieli młodego pokolenia powstały i rozwinęły się zarody reakcyi przeciwko dążeniom politycznym. Przejęli się

[1]) Były to właśnie organy stronnictwa bezwzględnie apoteozującego pokorę „russkawo czełowieka“.

oni myślą, że cicha a wytrwała praca naukowa więcej przyniesie pożytku Rosyi, aniżeli niedające się urzeczywistnić marzenia. Przewodnikiem nowego kółka, w którem działali krytyk Bieliński, historyk Granowski, Chomiakow, Konstanty Aksakow i świeżo uwolniony po kilkoletnim przymusowym pobycie w oddalonych guberniach Rosyi Hercen, był Stankiewicz, który w Moskwie odegrał taką samę rolę, jak przedtem Tomasz Zan w Wilnie. Filozofia niemiecka była głównym przedmiotem ich zajęć, i idea narodowości, odgrywająca w niej pierwszorzędną rolę, stanowiła przeto treść roztrząsań i sporów młodych teoretyków. W ten sposób, nie bacząc na różnicę form zewnętrznych, pod jakiemi występowały niegdyś dążenia dekabrystów i sungurowców, a później działalność współtowarzyszów Stankiewicza, treść w obu wypadkach była jednaką, gdyż i ci i tamci przedewszystkiem protestowali przeciwko istniejącym warunkom życia społecznego, i ci i tamci równie gorąco pragnęli reform w duchu postępowym, różnicę stanowiły odmienne drogi, któremi dążyli do celu. Już w pierwszych chwilach działalności kółka Stankiewicza, ukazał się w druku płodny w następstwa i rozchwytywany wówczas artykuł Czaadajewa: Rosya nie jest zdolną do samoistnego rozwoju — dowodził ponury i pesymistyczny autor — jeśli nie chce zatonąć na wieki w grubem barbarzyństwie, to pozostaje jej jedno: wstąpić w ślady Zachodu i kroczyć utorowanemi przez historyą jego ścieżkami, a ponieważ treść cywilizacyi zachodnio-europejskiej stanowi katolicyzm, Rosya przeto powinna stać się katolicką. Śmiały autor został ogłoszony z rozkazu władzy najwyższej za waryata i oddany pod dozór lekarsko-policyjny. Pomimo to jednak słowa pseudo-waryata sprawiły głębokie wrażenie: pod wpływem ich poczęto w kółkach moskiewskich żywiej i namiętniej rozprawiać i spierać się o znaczeniu narodowości, i w wyobrażeniach o niej odrazu dały się rozróżnić dwa

kierunki, które prędko i wyraźnie się zarysowały, tak, że w roku 1840 najlepsza i najbardziej wykształcona część inteligencyi rosyjskiej dzieliła się już na dwa obozy: na „zapadników“, tj. zachodowców i słowianofilów, pierwsi, na czele których stali Hercen, Bieliński i Granowski, odrzucali przeszłość ojczyzny i domagali się, aby Rosya przyswoiła sobie zasady cywilizacyi zachodniej, z tym wszakże koniecznym warunkiem, aby je uprzednio przejrzano, krytycznie oceniono i do samodzielnego użytku przystosowano; drudzy doszukiwali się w dziejach Rosyi zasad wytycznych i haseł dla jej dalszego rozwoju. Pierwszorzędne stanowisko w obozie tym zajmowali Iwan i Piotr Kirejewscy, Konstanty Aksakow, ale słońcem kółka całego, od którego wszyscy inni czerpali zasoby wiedzy, ciepło uczucia i głębię przekonań, był Aleksy Chomiakow.

2.

Nie wahamy się twierdzić, że Chomiakow jest jednym z najznakomitszych mężów, jakich wydała Rosya. Pomijając już dziedzinę poezyi, ale w teologii i w metafizyce, w historyi i w polityce, w krytyce literackiej i w filologii, – wszędzie pozostawił on ślady potężnego umysłu swego: siła analizy krytycznej i niezrównane zdolności dyalektyczne stanowiły główną zaletę wielkiego protoplasty Słowianofilów.

Zaznaczę tu nawiasem, że, uogólniając najważniejsze objawy z dziejów umysłowego rozwoju Rosyi, wypada przyjść do wniosku, iż właśnie zdolności krytyczne wyróżniają narodowość rosyjską wpośród innych słowiańskich. O ile we wszystkiem co tylko dotyczy siły i głębi uczucia, bogactwa fantazyi i innych niezbędnych w poezyi przymiotów, Polacy bezwarunkowo zajmują pierwsze miejsce w rodzinie ludów słowiańskich o tyle w krytyce, rozumiejąc pod tym wyrazem

nie jednę tylko ciasną dziedzinę krytyki literackiej, o wiele wyprzedzili nas Rosyanie: podobnie jak wielką trójcę wieszczów — Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego — słusznie możemy uważać za najozdobniejszy wykwit gieniuszu polskiego, tak chlubę literatury rosyjskiej stanowi trójca powieściopisarzy: Turgenjew, Dostojewski, Tołstoj, a wszyscy trzej wzbudzają podziw nie tyle artyzmem, ile niezrównanie subtelną spostrzegawczością, wszechstronną analizą i głęboką znajomością tajników duszy ludzkiej. Słowem, nie świetne barwy poezyi, lecz przenikliwość i siła analizy psychologicznej ozdobiły najlepsze płody gieniuszu rosyjskiego. Spróbujmy jednak bliżej określić rodzaj i kierunek krytyki w Rosyi: wówczas gdy bezamiętny uniwersalizm, mający źródło swe wyłącznie w pragnieniu wiedzy, stanowi cechę charakterystyczną krytyki niemieckiej, która stworzyła w estetyce teoryą sztuki dla sztuki; gdy zimno na rzeczy patrzący Anglik zgłębia zjawiska życiowe jedynie w celu wyciągnięcia z nich korzyści praktycznej, — umysł myśliciela Rosyanina nie umie się uwolnić od trawiącej go żądzy natychmiastowego urzeczywistnienia ideału, — rys wspólny zresztą wszystkim ludom słowiańskim i przyjrzeliśmy się już wyżej, jak wieszcze nasi, odrzucając i gardząc rozsądkiem, zabrnęli w otchłanie mistycyzmu. Niesłychanie trudne połączenie zmysłu krytycznego z niedającą się zagłuszyć żądzą przekształcenia ideału w czyn doprowadza, stosownie do temperamentu jednostki, do dwóch wręcz sobie przeciwnych ostateczności: ponieważ świat rzeczywisty nas zadowolnić nie może, pozostaje przeto albo bezwarunkowe przeczenie, prowadzące za sobą pesymistyczne rozpaczania, któremi zapełnili niwę literatury rosyjskiej pisarze obozu zachodniego, albo też szukanie pociechy w dziedzinie religii, która stała się kotwicą zbawienia dla słowianofilów. Lew Tołstoj w słynnym romansie swoim „Anna Karenina“

z właściwym sobie talentem przedstawił w osobie Lewina ten typ wiecznie badającego, wiecznie przerzucającego się z jednej ostateczności w drugą i wiecznie rozczarowanego Rosyanina: Konstanty Lewin szukał prawdy w młodości, marzył i płonął zapałem, potem jednak, gdy wziąwszy się do pracy rolniczej, zetknął się bezpośrednio z rzeczywistością, wnet się rozczarował, począł wątpić o skuteczności swej pracy i wkrótce przestał nawet brać udział w zgromadzeniach i pracach ziemstwa. Nader charakterystycznym jest spór jego ze znakomitym literatem moskiewskim: dowody Koznyszewa, obstającego przy braniu udziału w pracach ziemstwa, są proste, zrozumiałe i przekonywające. Zdaniem Koznyszewa, jestto jedyny sposób pracy dla dobra ludu. Lewin, wprawdzie nieśmiało, stara się jednak obalić twierdzenia Koznyszewa, ale bez skutku: albo unosi się i dowodzi, że działalność w ziemstwie, nie dotycząc osobistych korzyści obywatela, nie jest zdolną przykuć go całkowicie do siebie i pochłonąć, a więc nie ma trwałej podstawy, albo też, jak gdyby pojmując słabą stronę dowodów swoich, rumieni się i wstydzi: spór kończy się zupełnem zwycięstwem Koznyszewa, a jednak czytelnik pomimowoli trzyma stronę Lewina. Dlaczego? Lewin sam pojmował, że uczony publicysta albo nie mógł, albo poprostu nie chciał go zrozumieć. W rzeczywistości i jedno i drugie przypuszczenie zawierało pewną dozę prawdy: Lewin szanował Koznyszewa za szlachetny sposób myślenia i zdolność do pracy dla dobra ogólnego, której sam czuł się zupełnie pozbawionym, powoli jednak doszedł do przekonania, że zdolność ta wcale nie była przymiotem, ale raczej brakiem czegoś; „nie brakiem dobrych, zacnych i szlachetnych chęci, ale brakiem prawdziwej siły żywotnej, brakiem tego, co nazywamy sercem“. Im bliżej zaś poznawał Koznyszewa, tem bardziej przekonywał się, że nietylko ten ostatni, ale

„wszyscy inni zacni pracownicy na niwie społecznej nie drogą serca doszli do tej miłości dobra ogólnego, ale jedynie rozumem rozważyli, że dobrze tem się zająć i dlatego tylko tem się zajęli". Lewin zaś miał serce gorące, umiał kochać i szczerze pragnął pracować dla ludzkości, ale jednocześnie posiadał umysł śmiały i badawczy, który zmuszał go do poddawania nieubłaganej krytyce, zarówno siebie samego, — myśli swoje, popędy i czyny, — jak również wszystko, co go otaczało i z tegoto powodu, przerzucał się Lewin z jednej wątpliwości w drugą: nie ufał ani w siły swe, ani w możność przyniesienia jakiejkolwiek korzyści ludziom, marzył nawet o samobójstwie, aż wreszcie religia wybawiła go z jarzma wątpienia i rozpaczy. Podobnież najstarszy ze słowianofilów Iwan Kirejewski zrazu zachwycony, następnie rozczarowany cywilizacyą zachodnio-europejską, znalazł spokój i szczęście w objęciach prawosławia. Do Chomiakowa wszakże nie da się to w zupełności zastosować; wskazane powyżej właściwości duchowe nie wyczerpują całkowicie jego osobistości; ażeby go pojąć, należy zwrócić uwagę na jednę jeszcze cechę umysłu, mianowicie, na wrodzoną mu miłość i przywiązanie do tradycyi i do podań ojczystych, do całej przeszłością przekazanej spuścizny, na to żywe i silne poczucie wspólności i jedności z myślami, uczuciami i dążeniami przodków, które zawsze zapełniało mu duszę. Uczucie to natchnęło takich pisarzy, jak Chateaubriand i Montalambert we Francyi, a Krasiński w Polsce: podobnież i u Chomiakowa było ono podstawą wszystkich rozumowań jego i przekonań. Nie wiele posiadamy szczegółów o jego życiu prywatnem, ale i to, co doszło do naszej wiadomości, świadczy wymownie o sile tego uczucia. Naprzykład, gdy go przywieziono w 11 roku życia (1815) z Moskwy do Petersburga, stolica nadnewska odrazu niemile go uderzyła; zdało mu się, że to

miasto jakieś obce, pogańskie. W siedm lat potem, rozpalony opowiadaniami o cierpieniach prawosławnej Grecyi, próbował uciec z domu, aby wstąpić do szeregu obrońców uciśnionego ludu. W r. 1826, gdy cała Słowiańszczyzna była jeszcze terra incognita dla społeczeństwa rosyjskiego, Chomiakow pragnął już bliżej poznać się z losem pobratymców, w tym celu podróżował po całej słowiańszczyźnie zachodniej. W r. 1829 uważając wojnę turecką za zwiastuna poczynającej spełniać się, zdaniem jego, historycznej misyi Rosyi, dobrowolnie przyjął w niej udział, wstąpiwszy do pułku huzarów. Podobnież w życiu prywatnem, chcąc pozostać wiernym tradycyi, ściśle zachowywał wszystkie posty nietylko w Rosyi, ale nawet za granicą, wskutek czego posądzano go nieraz o faryzeuszowstwo. Otóż potężne zasoby umysłu swego użył Chomiakow na wynalezienie niewzruszonych podstaw naukowych dla zasad dziejowego życia Rosyi, następnie na wyjaśnienie, utwierdzenie i rozpowszechnienie tych zapatrywań, które się wyrobiły w nim pod wpływem głęboko patryotycznych uczuć. Bądźmy bezstronni i oddajmy słuszność wielkiemu myślicielowi, że na śliskim gruncie kierunku, wypływającego z popędów uczucia, umiał — a rzecz to niełatwa — połączyć głębię uczucia z siłą analizy, i, jakkolwiek dalekim był od ideału, w każdym jednak razie w porównaniu z współwyznawcami swoimi, stanął na wyżynie niedoścignionej: Iwan Kirejewski stał się słowianofilem, dopiero po długiej walce i po wielu rozczarowaniach, ztąd też nigdy nie umiał utaić resztek sceptycyzmu. Konstanty Aksakow, rozkochany w swej Moskwie aż do nierozsądnej przesady, był zawsze ślepy i głuchy na wszystko, co pozostawało w jakiejkolwiek sprzeczności z uczuciami jego, a jednostronność ta nader ujemnie wpłynęła na dzieła młodego historyka, — tylko jeden Chomiakow, pomimo że niemniej głęboko kochał i wierzył w posłan-

nictwo swej ojczyzny, umiał jednocześnie widzieć i wynajdywać złe strony społeczeństwa rosyjskiego, umiał je smagać niemiłosiernie, a do tej tak rzadkiej i godnej podziwu przedmiotowości nie zdołał wznieść się, niestety, żaden z tych, którzy się zaliczyli do zastępu jego uczniów.

Wielki i sympatyczny umysł Chomiakowa najpiękniej się odźwierciedlił w jego poezyach. Są one bez zarzutu pod względem formy, ale niemasz w nich ani subtelnego artyzmu Puszkina, ani też wściekłych uniesień namiętności, któremi porywa nas Lermontow, natomiast dyszą wyniosłym a wlewającym otuchę w duszę czytelnika spokojem, czuć, że ten kto je pisał, głębokie miał, trwałe i szlachetne przekonania. Miłość obfitem bywa źródłem dla wylewów uczuć lirycznych, dla duszy jednak Chomiakowa, zmężniałej w walce obcemi były, jak sam się wyraża (Elegia, 1834), „miłości żądze bezsilne"; wolał on znosić w samotności udręczenia dumnego smutku, niż skarżyć się przed światem i, wbrew zwyczajowi liryków wszystkich niemal czasów i narodów, poświęcił erosowi zaledwo kilka drobnych utworów, wówczas, gdy zwykłą treść poezyi jego stanowi najpierw silne poczucie natury (Naturgefühl), następnie głęboka religijność i wreszcie miłość ojczyzny w związku ze wzniosłem pojęciem o obowiązkach obywatela. I Lermontow niemniej namiętnie kochał naturę, niepożyte siły gieniuszu swego poświęcił on opiewaniu jej cudów, ale młody i wrzący autor „Mcyri" szukał natury, aby móc na chwilę zagłuszyć pochłaniającą go rozpacz: dlatęgoto cudne jego wiersze są nieraz wytworem chorej i rozgorączkowanej fantazyi: poeta albo marzył o czarnookich huryskach, czarnogrzywych pegazach i niezmierzonych okiem przestrzeniach wód morskich, pociągających tajemniczym urokiem fal kapryśnych, albo uśmiechały mu mu się cuda Wschodu, odurzające aromaty kwiatów i ciche a lubieżne szmery wodotrysków: słowem z my-

ślą o naturze kojarzyło się w duszy Lermontowa szalone pragnienie swobody bez granic: uczucia i namiętności, które buchały mu w piersi, chciał on uwolnić ze wstrętnych dlań więzów życia społecznego. Poważniej i szlachetniej myślał i czuł Chomiakow. „Chciałbym rozpłynąć się we wszechświecie, — pisał on w „Pragnieniu“ 1827 r., — chciałbym, jako promień jutrzenki rumianej muskać rozkołysane fale, chciałbym tułać się z chmurami, jak mgła wić się dokoła wzgórzy, i „jakby to błogo było rozszerzać w naturze i życie i radość“. Razu jednego znajdował się Chomiakow nad brzegiem morza, w chwili zmierzchu: łagodne odblaski słońca, które zaszło, ozłacały powietrze i niebo, a w niezmierzonej okiem przestrzeni panowały „miłość, cisza i spokój“. Otóż do miłości tej, spokoju i ciszy zatęsknił poeta i prześliczny wiersz, w którym opisał wrażenie swoje, zakończył następującym zwrotem:

O, gdyby cisza do duszy wstąpiła,
O, gdyby rzadziej trwożyć się mogła
Marzeniami ziemskiemi!
Piękniej wtedy, niż w łonie mórz lazurowych,
Pełne tajemnic i promieni pełne,
Odzwierciedliłyby się w niej wieczne błękity
Ze wszystkiemi gwiazdami! [1])

A więc całkiem odmiennie niż na autora „Mcyri“ działała natura na Chomiakowa; samotne z nią obcowanie nastrajało go na nutę uroczystego spokoju: wówczas podwójnie wstrętną wydawała mu się „senna zniewieściałość rozkoszy życiowych i dni bezczynnych martwy spokój“, „nie chcę — pisał on — tułać się po ziemi, bez woli i bez nadziei, jako starzec przedwczesny, nie chcę patrzeć, jak nudnym i śmiesznym jest dzień każdy, jak ciągle te same nuci nam bajki i jak pogrąża powoli duszę w jakiś sen bezro-

[1]) „Zmierzch wieczorny“ 1841, przekład dosłowny.

zumny". Odpocząwszy zaś w objęciach natury, poeta rwał się do czynu, pragnął widzieć owoce jego; pod świeżem wrażeniem cudów przyrody bałkańskiej, Chomiakow opisywał prześliczny swój „Sen": „Śniło mi się, żem wieszcz, że wieszcz jest cudem wszechświata i że, w osobie wieszcza, Najwyższy ukoronował swe dzieło". Śniło mu się dalej, że pod ręką jego struny wydawały dźwięki roznoszące błyskawice, które zapalały serca ludzkie, potem umierał poeta, ale zpod mogiły pieśń jego grzmiała nieustannie... Wieki mijały, a zawsze dźwięczał głos jego słodki, wyrażał on tajemnicze poloty myśli ludzkich i unosił je w nieskończoność.

Celem zaś życia i działalności, której tak gorąco pragnął poeta, było rozbudzenie w społeczeństwie rosyjskiem światłych zasad patryotycznych, opartych na chrześciańsko-prawosławnym gruncie. Ztąd też religijność i miłość ojczyzny, któreśmy wskazali jako zasadnicze, narówni z poczuciem natury, pierwiastki poezyi Chomiakowa tak ściśle się ze sobą splatają, że rozłączenie ich i badanie zosobna staje się niepodobieństwem; treścią bowiem religijności Chomiakowa jest szczere i głękokie przywiązanie do prawosławia, które znowu uważał za najlepszą i nawet jedyną rękojmię wielkiej przyszłości Rosyi. Do takich zapatrywań musiała go zniewolić wspomniana przez nas wyżej wrodzona miłość do wszystkiego, cokolwiek przekazała tradycya. Myśli swoje Chomiakow rozwinął przeważnie w rozprawach teologicznych i historycznych, o których mowa niżej, co się zaś tyczy utworów poetycznych, to godna uwagi, że znajdą się między niemi zaledwie dwa, albo, co najwyżej, trzy, w których poeta wyraził wiarę swoję w opatrznościowe posłannictwo Rosyi; znacznie zaś częściej dźwięczy w nich nuta smutku i zwątpienia, spowodowanego przez te niezliczone a ujemne objawy społeczne w Rosyi, które zagradzały drogę do krainy

ideału. Wsłuchując się razu pewnego w cichy szmer źródła, poeta marzył o ojczyźnie ukochanej (Źródło, 1835), we wnętrzu której również tryska źródło przeczyste, sączące życiodajną wodę — nieznane dotąd, ale potężne. Nadejdzie jednak chwila, a źródło to wystąpi z ciasnych brzegów swoich rzeką szeroką rozleje się wokoło, spojrzy na błękity nieba, odbije je w sobie i świat cały zajaśnieje promieniami „zgody, miłości i ciszy". Ale, aby dojść do tego celu upragnionego, Rosya powinna korzyć się i szczerze błagać u Najwyższego przebaczenia za wołające o pomstę błędy przeszłości swej i teraźniejszości, „za sen umysłów, za chłód serc, za dumę bezrozumu, za niewolę ludu...", albowiem Bóg nie z tymi, którzy mówią: „my solą ziemi, my podporą świątyni", ale „On z tym, kto dumy chytrej nie ubierał w wyrazy pokory, nie chełpił się ze sławy płonnej wśród ludzi, siebie bożyszczem nie czynił". Z boleścią jednak zeznawał poeta, że ukochana ojczyzna nieskończenie jest daleką od pokory i pokuty za grzechy, bo „w sądach zapanowało bezprawie czarne, piętnują ją nadto jarzmo niewoli, bezbożne pochlebstwo i płaszczenie się, fałsz wstrętny, apatya martwa, a haniebna i wszelkie inne szkaradzieństwa".

Bolesne te rozmyślania nieraz wtrącały go w rozpacz; widząc bezowocność usiłowań swoich, Chomiakow wskazywał współtowarzyszom swoim na sen głęboki, w jaki pogrążoną była Rosya cała, a rady swe zamykał w wyrazach, w których obok gorzkiej ironii, dźwięczała boleść bez nadziei (1853): „Żałuję was ludzie bezsenni, czyż nie lepiej wam zasnąć i od myśli burzliwych na chwilę odpocząć".

Nieraz poeta oskarżał samego siebie, uważając się za niegodnego ogłaszać ludziom prawdę: wtedyto „pogrążony w smutku głębokim i ciężkim" błagał Najwyższego, niech zeszle proroka „z duchem gorącym i mocnym", a ludziom

niech da uszy i serce, aby mogli przejąć się świętemi słowy wysłannika Bożego. Modlitwy z jednej strony, a spokojna kontemplacya natury z drugiej przywracały równowagę kochającej a zbolałej duszy poety: godził się z rzeczywistością i pisał, porównywając siebie do oracza, następujące strofy w utworze „Pracownik“:

Idę ja spełniać w pracy i pocie
Los mi przez Ciebie wyznaczony,
I nie zamknę oczu,
Nie osłabi mię walka.

Nie porzucę pługa, jak niewolnik leniwy,
Nie odejdę od niego,
Dopóki nie zaorzę niwy,
O Panie, dla siewu Twojego [1]).

Znów wstępowała weń nadzieja i pokornie błagał Pana nad pany, aby nie opuszczał Rosyi:

Broń ją od niewolniczej pokory
Broń ją od dumy ślepej,
A miasto śmierci i wątpienia
Duchem życia ją ożyw [2]).

Ostatni ten czterowiersz zapisał Chomiakow w czasie bytności swej w Pradze czeskiej w albumie Hanki; na wierszu tym zakończymy rozbiór poezyj mistrza słowianofilów, gdyż słowa te, wybornie streszczając pogląd Chomiakowa na główną wadę społeczeństwa swojego, mogą być najzupełniej zastosowane do Rosyi i dzisiaj.

Chomiakow umarł nagle z cholery w 1860 r., licząc wieku lat 56, w pełni rozwoju działalności pisarskiej. Nieznany autor jednego z pośmiertnych wspomnień o Chomiakowie. (O losach przekonań. O sud'bie ubieżdienij, w „Russkiej

[1]) Przekład dosłowny.
[2]) Przekład dosłowny.

Biesiedzie“ 1860), zwrócił słuszną uwagę na to, że wszyscy najznakomitsi pisarze rosyjscy zeszli ze świata w pełnej sile wieku, a nieraz nawet w kwiecie młodości. Rzecz to łatwa do zrozumienia: — mówił ów autor — człowiek pełen talentu nie może znaleść w Rosyi stosownego pola do działania, albowiem trzebaby zbyt olbrzymich sił i środków na to, aby zwalczyć sen narodu. Jakkolwiek roślina sama działa na otaczającą ją atmosferę, w każdym jednak razie wymaga dla rozkwitnięcia swego, nietylko gruntu właściwego, ale też odpowiednej atmosfery, którejto właśnie brakowało zarówno Chomiakowowi, jak i innym działaczom; nie dziw przeto, że wyżyć nie mogli. Słuszne te wówczas uwagi dziś z większą jeszcze słusznością mogą być zastosowane do rzeczywistości: większość społeczeństwa nie pojmowała Chomiakowa, miał on wszakże nieliczne grono przyjaciół, który rozumieli i współczuli mu; obecnie liczba jego pseudowielbicieli i pseudonaśladowców jest nader poważną, ale przeklęłby ich wielki mistrz, gdyby powstał z grobu, bo spaczyli myśl jego i nauka miłości stała się w ustach ich nauką i propagandą nienawiści.

3.

Wszakże nie Chomiakow, lecz Iwan Kirejewski był autorem artykułu, w którym po raz pierwszy zostały wyłożone zasadnicze podstawy nauki słowianofilów. Artykuł ten ukazał się w „Moskwitianinie“ w r. 1845, p. t. „Przegląd współczesnego stanu literatury“. Autor powstawał w nim zarówno przeciwko ciasnemu patryotyzmowi „Majaka“ organu Szewyrewa i Pogodina, który wywyższał istniejące polityczne i społeczne warunki Rosyi, jako też przeciwko jednostronnym wielbicielom Zachodu. Określając współcze-

sny stan umysłów w Europie, Kirejewski upatrywał w nim przedewszystkiem chwiejność przekonań, zapuszczanie się w wątpliwości, rozdwojenie wewnętrzne. Wiek XVIII — dowodził autor — odrzucał wprawdzie religią, ale pomimo to miał pewne ideały, w które wierzył gorąco; w wieku zaś XIX po wielkiej rewolucyi i wojnach napoleońskich całą Europę zachodnią ogarnęło rozczarowanie, które znalazło dosadny wyraz w poezyi Byrona. Wobec tych smutnych okoliczności jedni szukają zapomnienia i uspokojenia w dobrach doczesnych, inni, w poczuciu konieczności zasad wyższych, starają się pogodzić rozum z wiarą, zmuszając albo naukę do ustępstw na rzecz wiary lub naodwrót. Co temu przyczyną, jeśli nie suchy racyonalizm, który oddawna zapanował w dziejach Europy, zrazu pod postacią scholastyki średniowiecznej, później zaś filozofii nowożytnej! racyonalizm ten kazał zapomnieć o tych wyższych zasadach, które nie dały się uwięzić w formułach logiki Obecnie doszedł do krańców ostatecznych i ludzie poczynają pojmować jego jednostronność i, pomimowoli, prawie bezwiednie szukają nowej, prawdziwszej drogi. Ale by ją odnaleść, — kończył autor — należy zwrócić się do Wschodu i do Rosyi, która samodzielnie się rozwinęła i samodzielne wypracowała sobie zasady życia. Główną więc kwestyą współczesności, od rozwiązania której zależą dalsze losy rozwoju ludzkości, ma być stosunek Zachodu do Wschodu.

Rozwiązaniu tej właśnie kwestyi poświęcił Chomiakow wszystkie siły umysłu swego; owocem rozmyślań jego były „Notatki o dziejach powszechnych“, wydane dopiero po śmierci autora przez Hilferdinga. Za życia Chomiakow nie miał zamiaru ogłaszać ich drukiem, chociaż opracowywał je z wielką pilnością i staraniem od 1830 roku aż do samej śmierci. Ufając w olbrzymią rzeczywiście pamięć swoję, Chomiakow nie miał nigdy ani chęci ani cierpliwości pisa-

nia notat o setkach książek, które przeczytywał; z tegoto powodu nie mógł opatrzyć dzieła swego w niezbędne cytaty, a to właśnie stanowi — jak słusznie zauważył Hilferding — największą jego wadę. Praca Chomiakowa to pamiętnik treści naukowej, w którym autor zapisywał myśli swe, tyczące się dziejów ludzkości; umiał jednak ująć je w harmonijny całokształt, przeprowadzając w „Notatkach" nader konsekwentnie i samodzielnie myśl o pierwszorzędnem dziejowem znaczeniu religii, która wyciska piętno swoje na ustroju społeczeństw i na dążeniach narodów.

Trzy czynniki, podług Chomiakowa, złożyły się na utworzenie nowożytnych państw zachodnio-europejskich: Rzym, chrześciaństwo i barbarzyńcy; każdy z czynników tych autor rozbiera szczegółowo.

Najważniejszym ma być czynnik pierwszy — Rzym; nietylko bowiem ustrój państw i społeczeństw, ale nawet sposób w jaki pojętą została i przeprowadzoną w praktyce na Zachodzie sama religia chrześciańska są wypływem ducha rzymskiego — ducha jednostronnego racyonalizmu, który, pod postacią nienaturalnego rozwoju prawa i kazuistyki prawniczej, stanowił główną cechę cywilizacyi rzymskiej. Dla wyjaśnienia cechy tej zwraca się autor do początków Rzymu: miasto to założone przez pozbawionych dachu własnego, a odważnych awanturników stało się wkrótce przytułkiem dla zbiegów ze świata całego. Po niedługim upływie czasu spotkały się tam cztery żywioły: albański, sabiński, etruski i grecki. Nie wiązały mieszkańców ani zasady religijne, ani wspólne obyczaje, ale jedna tylko konieczność obrony od licznych wrogów. Nie mogły się więc pośród nich rozwinąć te formy życia społecznego, które mają źródło swe we wspólności pojęć, przekazanych tradycyą, nie mogło również być mowy o pierwiastku religijnym, odegrywającym pierwszorzędną rolę w ustroju państw, ale t e m p r z e t o s i l n i e j s z ą m u-

siała być zewnętrzna feruła prawa, któraby utrzymać zdołała wrogie sobie żywioły w niezbędnej jedności. Wcześnie też zrozumieli Rzymianie, będąc zewsząd otoczeni nieprzyjaciołmi, konieczność jedności państwowej, oraz bezwzględnego dla prawa szacunku (salus reipublicae suprema lex esto) i chociaż walka na śmierć pomiędzy niższą, a wyższą klasą ludności wszczęła się już w pierwszych wiekach Rzymu, chociaż nieustannie, a zwycięsko posuwali się plebejusze po drodze, wiodącej ich do równouprawnienia z patrycyuszami, jednak ani gniew i oburzenie tych ostatnich, gdy zmuszeni byli ustępować, ani znów radość plebejuszów z wygranej nie doprowadziły ich nigdy do wojen domowych; wyrobili już w sobie poczucie konieczności zgody wobec nacisku, czyhających na zgubę Rzymu wrogów; długotrwałość zaś walki zawsze zawartej w granicach prawa, tem trwalej i silniej rozwinęła zasady prawa cywilnego, które tkwiły już w zarodku w pierwotnym ustroju rzeczypospolitej rzymskiej. Wobec takich warunków miasto założone przez awanturników, wzmacniane stopniowo domieszką różnorodnych obcych żywiołów, wyzute wskutek tego z ducha religijnego mogło żyć, jak się wyraża Chomiakow, tylko życiem zewnętrznem, nie znajdywało bowiem w sobie samem ani celu dostatecznego, ani żadnych podstaw duchowych, na których mogłoby spokojnie siły swe rozwijać. Pozostawała droga wojen i zawojowań. I w rzeczy samej Rzymianie podbijali pod swoje panowanie wszystkie sąsiednie narody, z zimnem wyrachowaniem wysysali ich siły na korzyść własną i narzucali im jednostronną kulturę swoję, bogatą wprawdzie w paragrafy prawa państwowego i cywilnego, ale pozbawioną natomiast religii — tego głównego, zdaniem autora, czynnika dziejowego — tej skarbnicy wszelkich uczuć wzniosłych, które powinny przyświecać ludzkości na drodze ciągłego dosko-

nalenia się. Jednem słowem państwowość pochłaniała religią. Chomiakow przytacza zdania rozmaitych pisarzy rzymskich, świadczące nietylko o ich bezreligijności, ale również o ciasnych zapatrywaniach Rzymian w ogólności, którzy uważali religią za obrząd państwowy; oto przykłady: „wiara w bogów jest rzeczą pożyteczną, albowiem utwierdza przysięgi, wzmacnia umowy, przestrasza przestępców, ochrania nietykalność cywilną obywateli“, albo — „oddając uszanowanie zewnętrzne głupiej hałastrze bożków, których stworzyły przesądy, nie zapominajmy, że hołdy te osnute są tylko na zwyczaju, ale nie na rozumie“ — albo — „istnieją trzy religie: bajeczna, państwowa i naturalna“. „Słowem — wymownie zamyka rzecz swoję Chomiakow: — Rzym dał Zachodowi nową religią, religią umowy społecznej, uważanej za bezwarunkową świętość, niepotrzebującą żadnego potwierdzenia z zewnątrz, religią prawa, a przed świętością tą, pozbawioną wszelkich wyższych zadań, lecz zabezpieczającą byt materyalny, ukorzył się świat, straciwszy inną szlachetniejszą i lepszą wiarę“.

Drugim czynnikiem w dziejach rozwoju narodów zachodnio-europejskich było chrześciaństwo: wskutek racyonalizmu stanowiącego treść duchową cywilizacyi rzymskiej, Rzym nie umiał pojąć nauki Chrystusa. Cesarz Konstanty uroczyście przyjął nową religią w nadziei, że wróci ona życie rozpadającemu się państwu, nie mogło jednak chrześciaństwo przynieść błogich owoców; wprawdzie chrześcianie wzrośli liczebnie, ale prędzej jeszcze ulegli zepsuciu; gorącą wiarę zastąpiło zimne przyzwyczajenie lub obojętne naśladowanie przykładu z góry: uszy niedostępne dla słów ewangelii stanęły otworem, gdy imperator raczył przemówić za nową wiarą i dawniejsi chrześcianie-męczennicy zginęli w tłumie chrześcian-pochlebców. Ale najzgubniejsze, zdaniem Chomiakowa, skutki pociągnęła za sobą fatalna omyłka

cesarza Teodozego, który ogłosił chrystyanizm jako religią państwową: „albowiem nie to państwo — dowodzi autor „Notatek", zgodnie z poglądem swoim na pierwszorzędne dziejowe znaczenie religii i na wypływające ztąd pierwszeństwo kościoła przed państwem — nie to państwo jest chrześciańskie, które wyznaje chrystyanizm, ale to, które chrystyanizm za takie uzna: ponieważ nie państwo uświęca kościoł, ale kościoł państwo". Ale Teodozy, powiada autor, jako prawdziwy Rzymianin, nie umiał wznieść się do pojęcia indywidualnej, swobodnej wiary, która bez zewnętrznego przymusu stwarza świętą społeczność, opartą na jedności zasad religijnych. Zdało mu się, że dla rozwoju i rozkwitu wiary chrześciańskiej, musiała ona być urzędownie uznaną i zalecaną przez państwo. Stosunek więc między kościołem a państwem pozostał ten sam, co za czasów rzymskich i wiara została w ten sposób czemś w rodzaju widzialnego poręczyciela całego ustroju państwowego, a ustrój ten, jak wiemy, przekazany przez świat pogański, obcym był całkowicie duchowi chrześciaństwa. Rozporządzenie podnoszące państwo, które nie miało wewnętrznej świętości, zaczęło powoli zacierać w sercach chrześcian wielkie wymagania ich od sfery stosunków społecznych i „idea państwa prawdziwie chrześciańskiego zniknęła ze świadomości, z wyobrażeń, z nadziei i, jeżeli tak wyrazić się można, z instynktów ludzkich". Gorliwość wielkiego imperatora — kończy Chomiakow — wprowadziła go w błąd, skutki którego, niestety, dają się widzieć w przeciągu czternastu stuleci aż do dnia dzisiejszego. Błąd ten ma polegać na tem, że Zachód pojął chrześciaństwo w duchu państwowości rzymskiej, wskutek czego kościoł był zrazu całkiem zawisłym od państwa, potem zaś, gdy, dążąc do niepodległości, wzmógł się w siłę i w potęgę, to postawił sobie, jako kres dążeń, stać się państwem samowładnem, z papieżem, jako nieograniczonym panem

nad narodami wszystkiemi i duchowieństwem — ślepem narzędziem jego woli; tymczasem nieskończenie wyższym, a wręcz przeciwnym jest ideał ludzkości, albowiem nie kościoł powinien stać się podobnym do państwa, ale państwo powinno się przekształcić w kościoł.

Z poglądu Chomiakowa na Rzym i na chrześciaństwo wynika jego pogląd na trzeci czynnik nowożytnej kultury: ponieważ barbarzyńcy, zagarnąwszy ziemie cesarstwa rzymskiego, przejęli się zupełnie racyonalistycznym duchem zachodnio rzymskiej cywilizacyi i prócz tego wszystkie państwa współczesne utworzyły się drogą podbojów, ustrój przeto polityczno-społeczny, jaki wyrobiły, znamionuje się nietylko przez rozbrat kościoła i państwa, lecz także państwa i narodu, dalej przez podział narodu na kasty, wrogo względem siebie usposobione. Wynikiem zaś tego wszystkiego są, zdaniem Chomiakowa, ciągłe wewnętrzne zatargi, kończące się nieraz krwawemi rewolucyami, które się powtarzają przez całą historyą średniowieczną i nowożytną do czasów ostatnich.

Przejdźmy teraz zkolei do poglądów Chomiakowa na Słowiańszczyznę wogóle, w szczególności zaś na Rosyą: otóż, zdaniem jego, narody słowiańskie rozwijały się odrębnie. Myśliciel rosyjski kładł główny nacisk na okoliczność poświadczoną przez starożytnych greckich i rzymskich pisarzy, że Słowianie nie lubili wojen, a, poświęcając się przeważnie pracy około roli, nie wyrobili z tego powodu pośród siebie arystokracyi[1]). Łagodny i pokojowy charakter Słowian i demokratyczne ich usposobienie mają zapewnić im w przyszłości przodownictwo wśród innych narodów europejskich. „Jeżeli braterstwo ludów, — mówi Chomiaków — jeżeli

[1]) Konstanty Aksakow starał się nawet dowieść, wbrew twierdzeniom Sergiusza Sołowjewa i Kawelina, że byt Słowian opierał się na gminowładztwie, a nie był rodowym. Spór ten dotąd rozwiązanym nie jest, choć szala zwycięstwa przeważa się na stronę Aksakowa.

uczucia prawdy i dobra nie są marą, lecz siłą żywą i nieumierającą, to zaczątki przyszłej cywilizacyi tkwią nie w plemieniu germańskiem, arystokratycznem i zdobywczem, lecz w Słowianach. Słowianin, rolnik i demokrata, ma przed sobą szczytne zadania i świetną przyszłość".

Ale narody zachodnio-słowiańskie, naturalnym porządkiem rzeczy, weszły potem w stosunki i podlegały wpływom narodów romano-germańskich, wskutek czego jedne, jak Pomorzanie, wyginęły w nierównej walce, inne, jak Czesi, zbyt prędko utraciły niezależność polityczną, — jedna Polska używała przez długi, stosunkowo, przeciąg czasu pewnej potęgi i wpływu. Tylko Słowianie wschodni, szczególnie zaś Rosyanie, rozwijając się niezależnie od wyżej wymienionych czynników zachodnio-europejskiej kultury, mogli wiernie przechować pierwotny swój charakter. Zamiast cywilizacyi rzymskiej podlegli Rosyanie wpływowi bizantyńskiej; zamiast chrześciaństwa rzymskiego przyjęli prawosławie, a podstawą i początkiem ich państwa nie był podbój, lecz dobrowolne wezwanie władzy w osobie Ruryka. Szczegółowemu rozbiorowi tych trzech nowych czynników (szczególnie dwóch pierwszych) poświęca Chomiakow następne części swej pracy.

Co do Bizancyi, to pogląd na nią Chomiakowa pełen oryginalności i wielce się różni od zwykłych zapatrywań historyków europejskich. Bizancya to dalszy ciąg greckiej historyi, Grecy zaś byli w posiadaniu samoistnej, głębokiej i wszechstronnej oświaty; żadna dziedzina umysłu ludzkiego nie była im obcą; choć państwa, stworzone przez nich, były słabemi, ale ludzie byli silni i mężni duchem, — tymczasem w Rzymie idea państwowości pochłonęła wszystko i, wobec silnego państwa, człowiek stanął na nader niskim poziomie moralnym i umysłowym. Dlatego choć cesarstwo Wschodnie bardziej zagrożonem było od Zachodniego, bo z północy musiało się opierać licznym plemionom gockim i sło-

wiańskim, wypartym przez Hunnów z siedzib pierwotnych, z południa Arabom, którzy po Mahomecie rozszerzyli się we wszystkich prawie pogranicznych z cesarstwem ziemiach, ze wschodu Persom, przetrwało jednak dziesięć wieków, gdy rzymskie upadło po 80 latach. Grek wolał umrzeć, niż podpaść pod jarzmo barbarzyńca. Stosownie do tego całkiem inaczej zrozumiano chrześciaństwo w obydwóch częściach cesarstwa: narody zachodnio-europejskie odziedziczyły w spuściznie po Rzymie jednostronny kierunek umysłu, wytężony jedynie ku wynajdywaniu najodpowiedniejszych środków do prawidłowego ustroju społeczeństwa, oraz policyi państwowej, to też treść całą ubogiej ich działalności umysłowej stanowiło przedewszystkiem prawnictwo i niema się czego dziwić, że wcześnie poczęto dążyć na Zachodzie do nadania kościołowi form państwowych, a dążenie to miało, niestety, powodzenie, które skaziło pierwotną czystość kościoła. Wówczas gdy racyonalistyczny i jednostronny Rzym nie umiał pojąć wzniosłych zasad nauki Chrystusowej, Grecy przyjęli chrześciaństwo duszą całą. Nowa wiara była dla nich ostatnim ich czynem bohaterskim, a źródeł tego czynu należałoby się doszukiwać w najgłębszych tajnikach ich ducha: zażądali też Grecy od wiary swojej logiczności i jasności, zkąd nieskończone spory teologiczne, sekty i sobory powszechne — a we wszystkiem tem upatrywał Chomiakow wspaniałe świadectwo wysokiej godności ducha ludzkiego, nieumiejącego czcić, czego nie rozumie.

Badawcze, śmiałe a zajęte jedynie teoretycznemi kwestyami wiary umysły Hellenów nie umiały, zdaniem autora „Notatek“, na tyle obniżyć polotu swego, aby pojąć dążenia biskupów rzymskich, marzących o nieograniczonej władzy; ale ci trzeźwo patrzyli na rzeczy i nie uszło ich baczności, że wobec licznych, a wrogich sobie państw zachodnio-europejskich niezbędną była silna władza kościelna w celu podtrzymania

jedności religijnej. Dzięki politycznemu znaczeniu Rzymu wywierali papieże zawsze poważny wpływ wśród reszty biskupów zachodnich, jednak we wszystkich kwestyach spornych musieli się odwoływać do soborów powszechnych; ale było rzeczą niełatwą zwoływać je, gdy okoliczności nagliły o jaknajrychlejsze rozwiązanie kwestyi. Z tegoto powodu biskupi rzymscy poczęli dążyć do niepodległości. Wschód zamiarom ich sprzeciwiał się wytrwale, broniąc tradycyi soborów. Wynikły ztąd nieporozumienia i waśnie pomiędzy papieżami a patryarchami, aż wreszcie słynny spór Mikołaja I-go z Focyuszem spowodował rozpadnięcie się obu kościołów. Fakt ten bolesny, a doniosły, bogatym był w smutne następstwa, gdyż Zachód, utraciwszy odtąd tradycyą soborów, przechowaną do dziś dnia w kościele wschodnim, pogrążał się coraz bardziej w najjednostronniejszym racyonalizmie. Oto, w paru słowach, oryginalny, ale nadzwyczaj jednostronny pogląd Chomiakowa na podstawy dziejowe cywilizacyi wschodniej i zachodniej; ze wstrętu jego do Rzymu i z przywiązania do Bizancyi wypływa nie mniej stronnicze wywyższanie prawosławia.

W pracach teologicznych Chomiakowa odrazu czytelnika każdego uderzy metoda polemiki autora; onto bowiem pierwszy z teologów rosyjskich spojrzał na katolicyzm i na protestantyzm z góry, jako na odstępstwa, które spaczyły ducha nauki Chrystusa i apostołów, i z głęboką wiarą w słuszność swej sprawy i w niewątpliwe zwycięstwo prawosławia, począł w czambuł potępiać wyznania zachodnie. Chomiakow, uważając prawosławie za jedyną, prawdziwą religią, pierwszy nazwał kościoł prawosławny wprost „kościołem“, nie dodając zwykłych epitetów wschodniego, greckiego lub prawosławnego. Okoliczność napozór nie wielkiej wagi, ale jaskrawo charakteryzująca duch i kierunek teologicznych pism Chomiakowa.

Teologia Chomiakowa wypływa z określenia kościoła, który, zdaniem jego, „nie jest zbiorem osobno wziętych jednostek, lecz jednością łaski Bożej, przebywającej w całości wyznających jedyną i prawdziwą wiarę“. Duch Boży rządzi kościołem, kieruje, i mądrości udziela; dlategoto kościoł prawdziwy wyróżnia się od innych wyznań „świętością wewnętrzną, niedopuszczającą obecności jakiegobądź fałszu i niezmiennością zewnętrzną, ponieważ niezmiennym jest, głowa jego, Chrystus“. Do tego pojęcia nie dorósł, zdaniem Chomiakowa, katolicyzm, który zagrzązł w odziedziczonym od Rzymu racyonalizmie; i z zewnątrz i wewnątrz przypomina on nie kościoł, dzieło Boże, ale państwo, wytwór usiłowań ludzkich, albowiem pomiędzy ludźmi a Bogiem ma pośrednika, papieża, jedynego niby i nieomylnego tłómacza nauki Chrystusowej; katolicy są to jego poddani, pozbawieni prawa głosu, duchowni zaś, to urzędnicy ślepo spełniający rozkazy najwyższego kapłana. Jednem słowem, dla jedności katolicyzm poświęca swobodę jednostek, odejmuje ludziom pismo święte, pod tym pozorem, że powagę pisma uświęca dopiero tradycya, że samo przez się pismo jest niezupełnem, ciemnem, i że daje powód do niezgodnych z nauką kościoła tłómaczeń.

Taki wykład nauki Chrystusa musiał prędzej czy później wywołać reakcyą i oto zjawia się protestantyzm, który dla swobody zrzeka się jedności, odrzuca tradycyą, opiera się tylko na piśmie i pismo to daje do rąk każdemu, pozwalając wykładać je podług własnego widzimisię. Żywotności Chomiakow nie uznaje w nim żadnej; całą treść jego, znaczenie i siłę stanowi negowanie katolicyzmu: „odbierzcie protestantyzmowi ten drugi, odrzucany przezeń świat a zginie dzieło Lutra, gdyż żyje tylko przeczeniem. Kodeks tej nauki, którą wyznaje protestantyzm do dziś dnia jeszcze, jest owocem dowolnej pracy kilku uczonych; przy-

jęły i przyjmują go z idiotyczną lekkomyślnością miliony głupców, a nauce tej powodzi się dotąd pozornie dlatego tylko, że potrzebną jest dla przeciwdziałania naciskowi katolicyzmu. Jak skoro poczucie potrzeby tej schodzi na drugi plan, natychmiast protestantyzm rozkłada się na tyle zapatrywań religijnych, ile osobników, a zapatrywania te nie mają nic pomiędzy sobą wspólnego". Dlategoto zamarł on u progu świata prawosławnego. Jeden Wschód zrozumiał, że „uznając wyłącznie pismo i na niem tylko opierając kościoł, my go odrzucamy, albowiem kusimy się wtedy o zbudowanie go nanowo siłą własnego rozumu, uznając zaś tylko tradycyą, również odrzucamy kościoł, gdyż stajemy się przez to jakby sędziami ducha Bożego, przemawiającego przez pismo". Z tegoto powodu prawosławie uznaje zarówno tradycyą i pismo i wraz z jednością zachowuje wolność. Bliżej tłómaczy to Chomiakow mniej więcej w sposób następujący: „wiara, według pojęć kościoła wschodniego, jest czemś znacznie większem, niż wiedza osnuta na wnioskach rozumowych, wiara bowiem jest aktem wszystkich sił ducha, rozpalonego i przejętego do głębi żywą prawdą objawienia. Wiara pojąć się da nie rozumem wyłącznie, ani też wyłącznie uczuciem, ale rozumem i uczuciem jednocześnie; słowem, wiara nie jest wiedzą, ale wiedzą i życiem zarazem". Wskutek tego badanie rzeczy tyczących się wiary głęboko i rdzennie się różni od badania w zwykłem znaczeniu wyrazu, wymaga bowiem nietylko wszystkich sił umysłu, ale równoczesnego natężenia i wzajemnej zgody umysłowych i moralnych sił ducha, rozumu i serca [1]). Na to właśnie Chomiakow kładzie szczególny nacisk: jednostronny a suchy racyonalizm na Zachodzie, równowaga ducha, dzięki

[1]) Użyliśmy zwrotu całego dla oddania nieistniejącego w mowie polskiej wyrazu celnost', celostnost'.

uszlachetniającemu działaniu pierwiastku uczuciowego na Wschodzie, na tem, zdaniem jego, polega zasadnicze przeciwieństwo obu cywilizacyj, i to jego twierdzenie stanowi główny punkt styczności t. zw. „słowianofilstwa“ z poglądami Mickiewicza w dobie mistycznej, który, wywyższając również pierwiastek uczucia u Słowian i wypływającą ztąd skłonność do zapału, opierał na tem wiarę w posłannictwo słowiańszczyzny. W danym wypadku wyrazem tej równowagi ma być pokorne poczucie własnej niemocy: „już jeden cień grzechu pociąga za sobą możliwość błędu, a możliwość staje się koniecznością, gdy człowiek bezwarunkowo zaufa we własne siły (protestantyzm), albo w dary łaski Bożej osobiście nań zesłanej (katolicyzm); dlategoto, ten tylko mógłby mieć prawo bezwzględnej swobody w badaniu rzeczy wiary, ktoby czuł w sobie nietylko zdolność do poznania prawdy, ale też doskonałość moralną“. Ale ponieważ ideał ten nie da się urzeczywistnić, przeto prawosławny chrześcianin przystępuje do badania rzeczy wiary, nie z chełpliwą dumą kapłana katolickiego, głoszącego, że badanie i nauczanie są to konieczne przywileje jego urzędu i nie z obojętną ciekawością protestanta, pragnącego wznieść gmach wiary na podstawach wywodów rozumowych, ale z pokornem poczuciem własnej niemocy; wie on dobrze, że prawda tam tylko, gdzie łaska Boża i świętość niepokalana, łaska zaś i wypływająca z niej świętość są udziałem nie jednostek, ale powszechnej jedności kościoła (por. wyżej określenie kościoła), której znakiem widzialnym są sobory powszechne. Wielkie i święte znaczenie soborów, na których każdy chrześcianin powinien mieć głos, wybornie, zdaniem Chomiakowa, określili patryarchowie wschodni w r. 1848 w odpowiedzi na okólnik papieża Piusa IX: „nieomylność — słowa ich — jest udziałem powszechności kościoła, zjednoczonego więzami miłości wzajemnej i niezmien-

ność dogmatu i obrządku została powierzoną pieczy nie jednej tylko hierarchii, lecz całej społeczności kościelnej, która jest ciałem Chrystusa". Tymczasem katolicyzm odebrał ludziom świeckim pismo, nie dopuścił ich do swobody badania, a ogłosiwszy wykład pisma i nauczanie, jako wyłączny przywilej duchowieństwa, stworzył przez to, zdaniem Chomiakowa, nowy niepojęty i bezpodstawny sakrament wiedzy logicznej. Wschód tylko — kończy autor — rozwiązał kwestyą, której nie umiał rozwiązać pogrążony w racyonalizmie Zachód. Wschód bowiem umiał zachować w kościele jedność razem ze swobodą. Wyrazem jedności są sobory powszechne, swoboda zaś chrześcianina prawosławnego nieskończenie jest wyższą od swobody protestanta, którą ten ostatni pojmuje nader powierzchownie, bo w duchu racyonalistycznym; wolność będąca udziałem członków kościoła prawosławnego, wymaga od nich na tyle wyższego poziomu moralnego, aby umieli pojąć, że prawda i że łaska Boża spoczywa nie w grzesznych jednostkach, ale w świętej powszechności soborów.

W takito sposób pojmował słynny Chomiakow i wykładał zasadnicze podstawy kościoła wschodniego. Prawosławie nie miało nigdy wymowniejszego apologety, ale, rzecz dziwna, cenzura duchowna rosyjska przez długi czas nie przepuszczała pism teologicznych autora, tak iż zmuszony był wydawać je za granicą.

Dużo miejsca w pracach swoich poświęcił Chomiakow polemice z pisarzami zachodnio-europejskimi w różnych kwestyach specyalnych. Zpośród wielu zwrócimy tu uwagę na jednę. Teologowie katoliccy zarzucali i zarzucają kościołowi prawosławnemu, że monarcha ma w nim tę samę władzę, co papież w kościele katolickim. Chomiakow starał się zarzut ten obalić. dowodząc, że naród rosyjski, powołując Michała Romanowa na tron dziedziczny, wręczył mu całą

władzę, którą sam posiadał, i w ten sposób monarcha stał się głową narodu w sprawach kościelnych, ale tylko głową narodu. Władza narodu ograniczała się tem tylko, że miał głos przy wyborze biskupów i że miał prawo, właściwie obowiązek, strzeżenia, aby dekrety synodów były wypełniane. Tę więc tylko władzę ma panujący.

Trzeci czynnik dziejowego rozwoju Rosyi tkwi, zdaniem słowianofilów, w samym początku państwa rosyjskiego. Chomiakow, którego uwagę całkowicie pochłaniało olbrzymie i wyłączne, jak sądził, znaczenie prawosławia, zaledwo potrącił o tę część nauki słowianofilów; obszerniej ją opracował Konstanty Aksakow: wszystkie państwa europejskie — nauczał młody historyk — powstały drogą podbojów. Początkiem ich jest nienawiść. Jeden naród, czasem nawet jedna drużyna podbijała drugi naród i tworzyło się państwo, którego podstawę stanowiły w ten sposób: gwałt, niewola i nienawiść. Zwycięzcy narzucali zwyciężonym swoje prawa i naród tracił tym sposobem możność wszelkiej inicyatywy w sprawach państwowych i społecznych, ale zato w następstwie, gdy przychodził do świadomości praw swoich i siły, żądał również władzy i ztąd to pochodziły i pochodzą nieustanne zatargi wewnętrzne, rewolucye i krwawe przewroty. Państwo zaś rosyjskie powstało nie drogą podboju, ale drogą dobrowolnego wezwania władzy; książęta waregscy przybyli i utrzymali się dzięki woli narodu, który pojął konieczność władzy państwowej. Słowem, podstawę państwa rosyjskiego stanowią: zgoda, wolność i pokój. Wskutek tego naród i władza, albo, jak lubił się wyrażać K. Aksakow, „ziemia“ i państwo znalazły się wobec siebie w dziwnych stosunkach, niemających nic wspólnego ze stosunkami zachodnio-europejskiemi. Miłość wzajemna i wzajemna ufność, oto główny ich rys; naród, zachowując gminny pierwiastek swego ustroju, praco-

wał koło roli, zajmował się przemysłem i handlem, utrzymywał państwo pieniędzmi, a w razie potrzeby stawał pod sztandarami. Stanowił on całość olbrzymią, która nagwałt potrzebowała silnej władzy państwowej, aby móc żyć własnem życiem i nienaruszenie utrzymać religią i obyczaje, przekazane przez przodków; otóż monarcha był przedewszystkiem pierwszym obrońcą i stróżem „ziemi", musiał więc podtrzymywać oparty na gminowładztwie ustrój społeczny. naród zaś, zostając pod najwyższą władzą cara, rządził się sam, wybierał bowiem starostów i innych urzędników. Panujący zwoływał niekiedy przedstawicieli narodu na wspólną naradę. Takie zgromadzenie w epoce księstwa kijowskiego nosiło nazwę wiecu, w epoce zaś moskiewskiej, soboru ziemskiego. Monarcha pytał o zdania posłów, wszyscy je wypowiadali otwarcie, dodając: taką jest myśl nasza, zresztą, niech się stanie według woli monarszej. Słowem, i tu panowały miłość i ufność wzajemna. Obie strony znajdowały najwyższą rozkosz w staraniach o prześcignięcie się wzajemne pod względem grzeczności i ustępstw. Parlamentaryzm zachodnio europejski, osnuty na rękojmiach i umowach, był obcym Rosyi: zresztą ona go nie potrzebowała: „Rękojmia nie powinna istnieć — wołał młody i namiętny wielbiciel moskiewszczyzny — rękojmia jest złem. Gdzie ona potrzebna, tam niema dobra; niech lepiej zniszczonym zostanie ustrój, w którym dobra niema, niż miałby istnieć za pomocą zła. Cała siła w przekonaniu moralnem. Skarb ten jest w Rosyi, która nigdy nie zwracała się do umów".

Zaiste, podziwu godną jest dziewicza naiwność autora, który, mówiąc nawiasem, umarł w dziewictwie! Zresztą wyznać należy, że źródło naiwności tej wypływać mogło tylko z serca szlachetnego. Poglądy Aksakowa nie wytrzymują krytyki; dążenie do władzy i panowania zanadto głęboko wkorzenionem jest w duszę ludzką, ażebyśmy nawet

przypuszczać mogli, że kiedykolwiek, lub gdziekolwiek mogły panować te idealne stosunki, które młody i naiwny historyk chciał widzieć w księstwie moskiewskiem. W Rosyi naród i państwo dążyły do władzy i to ostatnie odniosło zwycięstwo z nierównie większą łatwością, niźli to się działo w innych mocarstwach: dowiodły już tego prace Sergiejewicza, Sołowjewa i Ditiatina, — i wynaleziona przez Konstantego Aksakowa, a głoszona przez brata jego Iwana teorya soborów ziemskich została pozbawioną podstaw naukowych. Teorya ta o tyle nas obchodzi, że ma pewne podobieństwo z poglądem Mickiewicza na *liberum veto:* obaj pisarze, pod wpływem mistyczno-humanitarnego patryotyzmu, wytłómaczyli obie instytucye w sposób nader idealny, ponieważ i tu, i tam nieodzownym warunkiem miała być, według ich zdania, wyższość moralna społeczeństwa, którego jednostki umiałyby się zrzekać osobistej korzyści na rzecz dobra ogólnego. Na pochwałę Aksakowa możemy dodać, że umiał on zachować pewną miarę w apoteozowaniu dziejów ojczystych; oto przykład jego oględności w tym względzie: „a więc, zapytają nas, panowała w Rosyi zupełna szczęśliwość? Ma się rozumieć, że nie. Niema na ziemi doskonałej szczęśliwości, ale można znaleść podstawy doskonałe. Żadne społeczeństwo nie jest prawdziwie chrześciańskiem, a jednak chrześciaństwo jest jedyną, prawdziwą drogą do doskonałości. A zatem powinniśmy iść tą jedyną, prawdziwą drogą. Rzecz cała w tem, co społeczeństwo obrało za prawo, za podstawę. Naród zaś rosyjski obrał doskonałe podstawy".

Starałem się wyłożyć naukę słowianofilów jaknajkrócej i najtreściwiej. Tym, którzy życzą dokładniej z nią się zaznajomić, a nie mają czasu lub chęci do czytania dzieł

Chomiakowa i Konstantego Aksakowa, zalecalibyśmy książkę Pypina[1]), p. t.: „Charakterystyki poglądów literackich w Rosyi pom. 1820—1850 r.“. Jestto najlepsze dzieło najznakomitszego ze znawców literatury rosyjskiej. Pypin wyłożył w niem prądy słowianofilskie w stosunku do innych prądów, które nurtowały podówczas społeczeństwo rosyjskie, z nadzwyczajną bezstronnością, jeśli weźmiemy na uwagę, że autor sam należy do obozu wręcz przeciwnego. Następnie zasługują na wzmiankę artykuły prof. Oresta Millera („Podstawy nauki pierwszych słowianofilów“, „Ruska myśl“ 1880 roku), z tego względu, że autor ich jest jedynym z wyznawców słowianofilstwa, który do dziś dnia przechował zasady Chomiakowa w pierwotnej ich czystości i wyraźnie zaznaczył opozycyą swoję względem skrajnego szowinizmu, który ogarnął resztę pseudo-spadkobierców myśli autora „Notatek o dziejach powszechnych“.

Przywołajmy teraz na pomoc sztukę, ażeby szkic nasz uzupełnić i wyrazistsze w oczach czytelników nadać kontury zapatrywaniom słowianofilów, szczególnie we wszystkiem, co się tyczy teologii, która niewątpliwie najmniej jest dostępną dla ogółu polskiego.

W dziedzinie twórczości artystycznej największym i najzapaleńszym wielbicielem Chomiakowa był Dostojewski. W jednym z ustępów powieści swej „Bracia Karamazowy“ odmalował świetnemi barwami przeciwieństwo dwóch światów, wschodu i zachodu, jak je pojmowali słowianofile. Tytuł tego ustępu: „Wielki inkwizytor“. Treść nadzwyczaj oryginalna i fantastyczna. Rzecz się dzieje w Sewilli, w owej ponurej epoce, gdy wszechwładnie panowała tam święta

---

[1]) Publiczność polska zna Pypina z zajmującej i bezstronnej jego pracy „Kwestya Polska w lit. ros.“, przełożonej i wydanej w dodatkach do „Prawdy“ w 1881 r.

inkwizycya i codziennie na chwałę Bożą „po wspaniałych *auto da fé* palono złych heretyków“. Wówczasto zstępuje na ziemię Chrystus-Zbawiciel. Chociaż zwolna stąpa i prawie niepostrzeżenie, jednak lud poznaje Go, otacza, idzie za Nim, słońce miłości płonie w Jego sercu, promienie światła, życia i siły płyną z oczu, i, rozpalając serca ludzkie, napełniają je świętą ku Niemu miłością. Chrystus ręce swe wyciąga ku tłumom, błogosławi je; dotknięcie się do szaty jego, ożywia i uzdrawia chorych i słabych. Ujrzał to wreszcie stary inkwizytor, brwi siwe marszczy, złowieszczy ogień błyska mu w oczach; wskazuje nań ręką, każe go schwytać. I Zbawiciela świętego skazują na spalenie! W nocy, wśród mroku i ciszy głębokiej otwierają się nagle drzwi celi więziennej, w której więźnia Boskiego zamknięto i z kagańcem w ręku wchodzi powoli surowy inkwizytor i długi czas wpatruje się w twarz Chrystusa, następnie, jak gdyby pragnąc zagłuszyć głos sumienia swego, w długiej przemowie wyłuszcza powody, dla których Go na śmierć skazał. Chrystus cały czas milczy, łagodnie utkwiwszy wzrok swój w oczach sędziego. Treść mowy inkwizytora stanowi myśl, że wielkie i święte są zasady wygłoszone przez Chrystusa, ale zastosowane tylko do jednostek z umysłem i sercem wyższem, a nie do mas słabych, nędznych i występnych. Chrystus pragnął dla ludzi zupełnej swobody duchowej, chciał, aby przekonano się o boskości Jego i głoszonej przezeń nauki jedynie tylko na mocy olbrzymiej moralnej jej wartości, odrzucał zaś bardziej namacalne dowody, jakoto: cuda, jawniejsze i donioślejsze od tych, które czynił, i potęgę materyalną, tymczasem cuda tylko mogły podbić słabe umysły śmiertelnych. „Tyś odrzucił radę szatana, który cię kusił na pustyni, abyś kamienie w chleby przemienił — mówi inkwizytor — a wiedziałeś przecie, że ludzkość cała ukorzyłaby się wówczas przed Tobą, jako stado posłuszne

i wdzięczne, chociaż wiecznie drżące, że się od niego odwrócisz i że chleba mu zabraknie. Ale Tyś chciał, aby ludzie byli wolni i odegnałeś szatana, albowiem cóżto za wolność — była myśl Twoja — gdy posłuszeństwo kupię za chleb? W zamian za ziemski, obiecałeś ludziom chleb niebieski, ale czyż może on zastąpić w oczach wiecznie występnej i wiecznie ułomnej ludzkości chleb ziemski? Jeśli drogą przez Ciebie wskazaną pójdą w imię chleba niebieskiego tysiące i tysiąców dziesiątki, to cóż się stanie z milionami i z dziesiątkami tysięcy milionów istot, które nie będą posiadały dość sił, aby chleb ziemski poświęcić dla niebieskiego? Czyś ukochał tylko dziesiątki tysięcy mężnych i wielkich, a niezliczone, jak piasek morski, miliony słabych mają być jedynie materyałem dla wielkich i mężnych? Tyś nie zstąpił z krzyża, gdy wołano: zstąp, a uwierzymy, żeś Bogiem; nie zstąpiłeś, boś i w tym razie nie chciał cudem pokonać wolnej woli ludzkiej, pragnąłeś wiary wolnej, nieprzymuszonej, a nieopartej na cudach, — pragnąłeś miłości wolnej, a nie płaskich zachwytów niewolnika wobec potęgi, która go raz na zawsze przeraziła i ujarzmiła. Ale jakże przesadne pojęcie miałeś o człowieku! Poważając go tak wysoce, postąpiłeś, jak gdybyś mu wcale nie współczuł, albowiem za wieleś od niego zażądał; mniej go poważając, mniejbyś od niego żądał, i lżejszym byłby ciężar jego. Człowiek zaś jest słaby i podły. Nie złożyłeś hołdu szatanowi, gdy ten obiecywał ci zato królestwa ziemskie, a gdybyś się zgodził na to, spełniłbyś wszystko, czego ludzie pragną; gdyż wiedzieliby wtedy, komu się kłaniać i wspólnie się połączywszy, utworzyliby zgodne i jednolite mrówisko, zgoda zaś i jedność powszechna jest, w pojęciu ich, kresem ich dążeń. Ale my — ciągnął dalej inkwizytor, mając na myśli siebie i kościoł katolicki, — myśmy pojęli i ukochali ludzi więcej, niż Ty, i dlatego złożyliśmy hołd jemu (szatanowi). Nie z Tobą

jesteśmy, ale z nim; oto tajemnica nasza. Z nim jesteśmy od ośmiu wieków, od chwili, gdyśmy wzięli u niego Rzym i miecz Cezarów, i ogłosili siebie królami ziemi. Jeszcześmy dzieła naszego nie dokonali i długo na to czekać, nadejdzie jednak chwila, a zostaniemy cezarami, los ludzi spocznie w ręku naszych i wtedy uszczęśliwimy ich. Zbadaliśmy naturę ludzką, wiemy, że skoro ludzie zyskują wolność, natychmiast ogarnia ich dręczące pragnienie wyszukania kogoś lub czegoś takiego, przed czem mogliby się ukorzyć. I hołdy te koniecznie muszą być powszechne. To poczucie potrzeby wspólności w oddawaniu czci i hołdu najsroższą jest od początku wieków męczarnią zarówno dla jednostki każdej, jako też dla całej ludzkości. Aby dopiąć tej wspólności, ludzie zabijali się i niszczyli nawzajem. Myśmy jedni to pojęli. Ty zaś dałeś im wolność, ale podli niewolnicy nie umieli wznieść się, ażeby Cię pojąć i w Ciebie uwierzyć, wolność zaś, rozum wolny i nauka zaprowadziły już ich i zaprowadzą jeszcze w takie zasadzki, i postawią wobec takich nierozwikłanych zagadek, że opanuje ich rozpacz i zwątpienie, i umęczeni walką bezpłodną, nieposłuszni i mężniejsi zpomiędzy nich sami sobie odbiorą życie, nieposłuszni lecz słabi pozabijają się wzajemnie, — reszta zaś, bezsilni i nieszczęśliwi, sami przyczołgną się do nóg naszych i zawołają: „mieliście słuszność, byliście jedni w posiadaniu tajemnicy Jego, rządźcie więc i panujcie nad nami, a dajcie nam natomiast spokój".

Jednem słowem katolicyzm dąży do poprawy dzieła Chrystusa, chcąc zastosować naukę Boskiego mistrza do nędznego poziomu moralnego ludzi. O Wschodzie i prawosławiu autor zamilczał, ale duch utworu daje do zrozumienia, że, według przekonania Dostojewskiego, tylko kościół Wschodni nie wzgardził ludźmi i wierzy, że jeżeli nie dziś,

to kiedyś ludzkość duszą całą przejmie się nauką Zbawcy, i urzeczywistni przykazania Chrystusa. Pierwszą w tej świętej sprawie ma być, zdaniem chorobliwego autora „Braci Karamazowów“ — Rosya.

4.

Starałem się tylko wyłożyć, a nie krytykować, główne zasady nauki słowianofilów, chodzi mi bowiem jedynie o wykazanie i wyjaśnienie pokrewnych sobie rysów w prądach mesyanicznych, które zapanowały w literaturach słowiańskich w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Wypada jednak zaznaczyć, że nie wszystkie twierdzenia Chomiakowa i Konstantego Aksakowa zdołają się ostać pod ciosami krytyki: badania naukowe obaliły już poglądy słowianofilów na stosunek soborów ziemskich do władzy monarszej; Chomiakow zaś w rozdziałach, które poświęcił porównawczemu zestawieniu cywilizacyi rzymskiej i bizatyńskiej, rzucił niejedno bezpodstawne twierdzenie: potępił naprzykład scholastykę średniowieczną, upatrując w niej właśnie wyraz owego racyonalizmu suchego i jednostronnego, który miał stanowić cechę zasadniczą dziejów myśli europejskiej, natomiast spory teologiczne i teologiczną literaturę Greków, pod względem ducha i treści pokrewną scholastyce łacińskiej, Chomiakow wywyższył pod niebiosa, ponieważ miała świadczyć, zdaniem jego, o wysokim rozwoju duchowym i o szlachetnych dążnościach Greków; wreszcie w samych nawet dziełach teologicznych Chomiakowa wykrył za dni naszych zasadnicze błędy znakomity teolog i głęboki myśliciel rosyjski, Włodzimierz Sołowjew. Jeśli postawić obok siebie marzenia mistyczne Mickiewicza i Słowackiego i naukę słowianofilów, to przedewszystkiem uderzy nas wspólny

w obu razach punkt wyjścia: obie szkoły mając chrześcijaństwo za jedyną, prawdziwą i objawioną wiarę, zgadzają się w tem, iż Zachód (tj. narody romano-germańskie) spaczył ducha przykazań Chrystusowych; hołdując bowiem ciasnemu racyonalizmowi, wyrobił ideały oraz formy życia, które doprowadziły w praktyce do zabójczej i nieustannej walki, nietylko narodów, ale i klas społecznych pomiędzy sobą; wówczas jednak, gdy poeci nasi zadowolnili się jedynie wskazaniem błędnej drogi, którą obrał Zachód, słowianofile poświęcili dużo czasu i pracy na wszechstronne zbadanie stosunków europejskich i na ugruntowanie poglądów swoich. Z jednej zasady i ci, i tamci, wyprowadzili jeden wniosek, polegający na tem, że w przyszłości Słowianie mają przodować w dziejach świata; przechowawszy bowiem w sobie pierwiastek uczucia i zabezpieczeni, dzięki temu, od zgubnych krańcowości racyonalizmu, zdołają się przejąć, a w następstwie urzeczywistnić święte zasady nauki Chrystusa; ale, rządząc się bardzo naturalnemi pobudkami, Mickiewicz i Słowacki oddawali pierwszeństwo Polsce, słowianofile zaś Rosyi. Otóż wiara ta w opatrznościowe posłannictwo narodu, oparta nie na zdolnościach umysłowych i nie na wyższości jego pod względem oświaty i poloru cywilizacyi, ale tylko na uczuciu i na wypływającej ztąd zdolności pojmowania i przejmowania się ideałami religijnemi i społecznemi, stanowi osnowę mistycyzmu patryotycznego, czyli mesyanizmu, i, zdaniem mojem, może być uważaną zarazem za właściwość charakterystyczną szczepu słowiańskiego, jaskrawie go odróżniającą od innych plemion. Stosownie jednak do warunków wewnętrznych, oraz zewnętrznych, dziwaczny ten kierunek uczuć patryotycznych objawiał się różnemi sposobami wśród różnych narodów słowiańskich. Podobnież rzecz się miała i w danym wypadku: Mickiewicz i Słowacki, powstając przeciwko racyo-

nalizmowi wiary katolickiej i szukając rozwiązania dręczących ich wątpliwości, zabrnęli w topiele mistycyzmu, który nie miał nic z rzeczywistością wspólnego. Pierwszy dał się unieść polotowi rozpalonego uczucia, drugi granic nieznającej fantazyi; Mickiewicz pogrążony w zachwyty ekstatyczne stał się apostołem ekstazy uczucia, Słowacki marzył, upajał się marzeniami i wylewał je w czarownych wierszach. Wypowiedziane przez nich myśli pozbawione są podstawy, roz wiewa je jedno lekkie dotknięcie krytyki, natomiast jakże potężnie na nas działają te szlachetne i święte uczucia, które dały początek owym myślom mistycznym, ten ogień ich przekonań, ta mglista a urocza tajemniczość marzeń! w wyobraźni naszej powstaje cudowny obraz obu tytanów poezyi polskiej i, chociaż rozsądek bezwarunkowo odrzuci twierdzenia ich, jednak ich wielkie cierpienia i gorąca miłość podnoszą i uszlachetniają serce.

Pierwiastek krytyczny, którego niema w zachwytach i natchnieniach wieszczów naszych, dość wyraźnie zaznaczył obecność swoję u słowianofilów i właśnie na tem polega zasadnicza różnica obu prądów: słowianofile, odrzuciwszy racyonalizm zachodniej Europy, przeciwstawiali mu nie marzenia mgliste a pozbawione związku z życiem, jak Mickiewicz i Słowacki, ale rzeczywiste czynniki rozwoju dziejowego Rosyi, prawosławie i samowładną formę rządu, które miały być wyrazem wywyższanego przez nich pierwiastku uczucia. Zdążono dowieść, że nauka ich we wszystkiem co się tyczy jasności, dokładności i związku logicznego o wiele przewyższa [illegible] mowy polskiej, ale, jeśli zapatrywać się na rzecz tę [illegible] ze stanowiska etycznego, okaże się wówczas, że właśnie ta jasność i dokładność są słabą stroną słowianofilstwa. Nieskończona odległość [illegible] obrazów [illegible] od rzeczywistej prozy życia [illegible] ich wielkości nie może być [illegible]

o możliwości urzeczywistnienia marzeń twórców „Dziadów“ i „Anhellego“, ale tem silniej i wyłączniej porywają nas szczytne poloty ich myśli z tem większą rozkoszą poddajemy się uszlachetniającemu działaniu tych pierwiastków etycznych, tej czystości i świętości, które wieją z utworów mistrzów naszych. Słowianofile zaś, podniosłszy do ideału istniejące już w Rosyi warunki polityczne i społeczne, dali niebezpieczną broń następcom swoim. Chociaż Chomiakow wzniosłe i piękne miał pojęcie o kościele i zadaniach jego, ale nie da się to zastosować w żadnym razie do uczniów jego.

Każdemu, kto czytał „Irydiona“, wraziła się w pamięć złowieszcza postać Massynissy, pragnącego zmieszać z błotem piękne zasady nauki Chrystusa. Pracę jego wieńczy skutek pomyślny: już liczne zastępy chrześcian postanawiają porzucić drogę męczeństw, którą szli dotąd, a, chwyciwszy się noża, wyrznąć w nocy spoczywającą we śnie ludność Rzymu, — inni znów trwożliwsi wolą milczeć i wyczekiwać z założonemi rękami, i pośród tych tłumów zepchniętych z drogi prawdy, dzięki podszeptom zdradzieckiego mistrza, grzmi tryumfujący głos nieugiętego wroga chrześciaństwa: „W imieniu Twojem — zwraca się Massynissa do Zbawiciela świata — będą zabijać i palić. W imieniu Twojem, gnić i milczeć. W imieniu Twojem, uciskać. W Imieniu Twojem, powstawać i burzyć! Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szałach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!“ Jakże smutne, ale zarazem jakże prawdziwe słowa! W imieniu Chrystusa zapalano stosy inkwizycyjne, podobnież płaszczem niejednej wielkiej idei starano się okryć najbrudniejsze dążenia; dziś w imieniu nauki Chomiakowa, który, rządząc się najszlachetniejszemi pobudkami, wygłaszał poglądy swoje o moralnem odrodzeniu świata zapomocą Rosyi, wyznawcy jego rozpoczęli zażartą

wojnę przeciwko tym wszystkim religijnym i politycznym systemom, które nie odpowiadają ich dążeniom. Na tem właśnie, że słowianofilstwo od założenia swego zawierało w sobie tak silne zarody spaczeń tego rodzaju, na tem polega jego słaba strona. Smutne to zjawisko, należące już do współczesności nie będzie przedmiotem rozbioru naszego, zwrócimy tylko uwagę na mało znaną, ale wielce charakterystyczną polemikę dwóch wyznawców nauki Chomiakowa, Emanuela Mamonowa i Iwana Aksakowa. Stoczyła się ona w r. 1873, na szpaltach miesięcznika „Ruskij Archiw“ i dała jaskrawy dowód szybkiego rozkładu „słowianofilstwa“.

Emanuel Dmitriew-Mamonow, potomek Ruryka, a wnuk czy prawnuk znakomitego za czasów Katarzyny wice-kanclerza, z powołania będąc artystą, odznaczał się usposobieniem zapalnem i szczególnie gorącą miłością swobody; demokratycznym zasadom swoim tak szczerze był oddany, że nie wahał się starać urzędownie o pozbawienie tytułu hrabiowskiego siebie, rodziny swojej i potomków, co też z łatwością uzyskał. Otóż w młodości należał do zapalonych stronników słowianofilów, ale z biegiem czasu szlachetny druh Chomiakowa zraził się do dzikiego fanatyzmu, który wykazywali współwyznawcy jego, ilekroć mieli możność urzeczywistniania ideałów swoich w życiu społecznem. Odstrychnąwszy się od nich, Mamonow umieścił w „Ruskim Archiwie“ szkic o słowianofilach. „Po śmierci Kirejewskich, Chomiakowa i Konstantego Aksakowa, — pisał on na samym wstępie — następcy ich i współwyznawcy zapomnieli o głównych ich zasadach. Zeszli ze stanowiska poprzedników swoich, zaplątali się w tysiącach sprzecznych twierdzeń i kierunek zapewniający każdemu zupełną swobodę myśli przeobrazili w jakąś doktrynę patryotyczno-lojalną, która na gwałt rusi wszystko i wszystkich, a zniża prawosła-

wie do poziomu jakiegoś wyznania wiary policyjnego". „Pierwotne, życiem tchnące, słowianofilstwo — pisał dalej Mamonow — nie istnieje więcej, stało się jakimś drobnym, zanikłym, soków żywotnych pozbawionym katechizmem sentencyj klerykalno-policyjnych. Dlatego na początku szóstego lat dziesiątka propagowane przez słowianofilów ideje tak prędko się rozpowszechniły w całem państwie rosyjskiem, odrazu zyskały aprobatę wszystkich mamuń i jenerałów i stały się hasłem wszystkich pieszczoszków, pragnących zrobić karyerę". Przechodząc następnie do wykładu zasad nauki słowianofilów, Mamonow położył szczególny nacisk na to, że słowianofilstwo było protestem skierowanym przeciwko apatyi społecznej: wówczas, gdy przedstawiciele obozu zachodniego, starali się zawsze działać i wpływać na rząd (!), i dopiero przez rząd na naród, słowianofile postanowili zwrócić się wprost do społeczeństwa, podnieść jego poziom moralny i umysłowy, uszlachetnić je, a wszystko to osiągnąć pragnęli drogą rozbudzenia uczuć patryotycznych wraz z miłością wolności i oświaty. Pierwiastek uczucia, który wywyższali, miał przyczynić się do wytworzenia w społeczeństwie szlachetnych, altruistycznych ideałów, wbrew przeciwnych racyonalizmowi europejskiemu, który usprawiedliwiał zgubne skutki walki o byt, a ponieważ intuicya artystyczna miała być najlepszym dowodem obecności ożywczego pierwiastku uczucia, starali się przeto, aby utwory ich były nacechowane pewnym artyzmem: „Wszystkie myśli swoje i wrażenia nietylko polityczne i historyczne, ale nawet filologiczne Konstanty Aksakow wyrażał w utworach poetycznych, które skutkiem tego często były podobne do rozpraw wierszowanych, ale natomiast rozprawy Aksakowa miały w sobie coś z dziedziny poezyi". Na tem mianowicie polega — sądził Mamonow — cała tajemnica tego ruchu umysłowego, jakim zawrzała

Moskwa po 1830 roku; artykuły słowianofilów były zawsze głównym wypadkiem dnia, czytano je, roztrząsano, spierano się, były one ogniwem umysłowem, łączącem literaturę, uniwersytet i miasto.

Według wykładu Mamonowa, osnowę politycznych i społecznych dążności słowianofilów stanowiła propaganda gminy: słowianofile odrzucali zapożyczony z Europy i głoszony przez t. z. zachodowców (zapadników) indywidualizm i przeciwstawiali mu gminę, która miała być właśnie rękojmią świetnej przyszłości Rosyi; nie zgadzali się również z zachodowcami w poglądach na Piotra Wielkiego, potępiali bowiem reformy jego za gwałtowny i despotyczny ich charakter, twierdząc, że z tegoto właśnie powodu oświatą w Rosyi kierował nie uczony, ale komisarz policyjny i wobec tego — wnioskowali słowianofile — czyż mogła być mowa o umysłowym i moralnym rozwoju jednostki w zreformowanej przez Piotra Rosyi, w „której wszystko działo się za pośrednictwem grubej siły — chociażbyśmy nawet przypuścili, że siła ta pełną była miłości dla narodu". Gdyby nawet rozwój taki był możliwym, to niechybnieby doprowadził do proletaryatu pieniężnego, umysłowego i moralnego, co się już stało, niestety, w Europie, bo takie zawsze są skutki nadmiernej wybujałości jednostki w społeczeństwie. Należy wszechstronnie rozwijać w ludziach poczucie łączności ich ze społeczeństwem; w przeciwnym razie zasklepią się w egoizmie, „a pojęcia ich o prawdzie o moralności i o prawie będą tylko zmyśleniami dowolnemi w celu wytłómaczenia i uniewinnienia własnego egoizmu;" wobec takich warunków wytworzy się społeczeństwo, „którego członkowie wszyscy, będąc w nieustannej ze sobą walce, wytężą wszystkie starania, aby wzajemnie się wyzyskiwać". Takim jest los Europy, ale gmina, będąca osnową rosyjskiego bytu społecznego, uchroni Rosyą od tego.

Czytając te rozmyślania Mamonowa, któreśmy pokrótce przytoczyli, mimowoli zapytujemy, co się stało z soborami ziemskiemi, co z prawosławiem, które przecie stanowiły punkt wyjścia oraz treść poglądów pierwszych słowianofilów? O soborach autor nie wspomina wcale, prawosławie zaś Chomiakowa i jego towarzyszy tłómaczy w sposób nader naciągany: „Słowianofile — powiada — pragnęli zaszczepić oświatę wśród ludu, pragnęli przeto, aby była dlań dostępną i zrozumiałą; z tego powodu byli zmuszeni powiązać oświatę samę z odwiecznemi zapatrywaniami ludu, — zgłębili więc zbadali i nawet przejęli się poniekąd wiarą ludową, o ile to było możliwem dla ludzi oderwanych od ludu. W tem właśnie tkwi przyczyna wszystkich ich zwrotów od filozofii do prawosławia i to nadawało szkole ich pewien odcień romantyczny". Jeśli tak, to chyba za świętoszka i faryzeusza mamy uważać Chomiakowa, który zachowywał posty nawet w Paryżu i z tak żarliwem przekonaniem głosił prawosławie? Mamonow do tego doszedł; w każdym jednak razie dziwnym każdemu się wyda jego pogląd na mistrza słowianofilów: „Chomiaków zapatrywał się na wszystkie zadania słowianofilstwa, jako na kwestye wymagające jeszcze sprawdzenia i swobodnego, samodzielnego rozwiązania. Sam je co chwila rozwiązywał wedle sił własnych i wyniki swe zapisywał; ale zapisywał je tak, jak mierniczy rozstawia wiechy, oznaczając niemi przebytą drogę; nic więcej". Znany Iwan Aksakow, umieścił w tem samem piśmie odpowiedź na artykuł Mamonowa, oburzył się głównie na ten pogląd na Chomiakowa: „I wszystko to wypowiada się o człowieku, — pisał Aksakow — w którym treść całą, osnowę duchowej istoty stanowiła wiara! — wiara ta była atmosferą, w której żył i oddychał od kolebki do mogiły, źródłem, z którego jako całokształt harmonijny wypłynęły poglądy jego na świat i na życie. Takie zdanie o Chomiakowie,

którego słowianofilstwo prawie wyłącznie polegało na prawosławiu, to herkulesowe słupy zuchwałości moralnej!“ Wogóle wszystkie zarzuty swoje Aksakow skierował przeciwko tłómaczeniom Mamonowa prawosławnych dążeń słowianofilów“. Jeśli słowianofile — mówił Aksakow — zwrócili się do prawosławia dlatego tylko, żeby się zbliżyć do narodu, a nie dlatego, że prawosławie uważali za prawdę najwyższą, więc gdyby naród rosyjski wyznawał religią lamajską, to i wówczas słowianofile, zadając gwałt rozumowi i sercu, mieliby oddać cześć Dalajlamie!“ „Słowianofile — ciągnął dalej Aksakow — uważali prawosławie za źródło narodowości rosyjskiej, pod wpływem prawosławia ułożyła się Rosya w pewną całość duchową; prawosławie zawierało w sobie początki zasad jej życia dziejowego — zasad wyższych pod względem cywilizacyjnym, aniżeli te, jakie posiadała Europa zachodnia. A więc nie dlatego uznali słowianofile prawosławie za religią prawdziwą, że było „podaniem krajowem“, według wyrażenia Mamonowa, narodową właściwością, ale samę tę narodowość rosyjską podnieśli do godności czynnika oświaty powszechnej tylko dlatego i o tyle, o ile była prawosławną“. Umyślne w artykule Mamonowa ignorowanie głównych zasad nauki Chomiakowa i K. Aksakowa — Iwan Aksakow złośliwie tłómaczył tem, iż autor zapragnął pogodzić słowianofilstwo z poglądami zachodowców i pozyskać dlań względy liberalnej publiczności.

Podstawę wyłożonej i przekazanej przez Chomiakowa następcom jego nauki stanowi prawosławie, dlategoto zupełną słuszność miał Iwan Aksakow w zarzutach swoich przeciwko Mamonowowi, ale takąż słuszność miał i Mamonow, albowiem duchem był on bez porównania bliższym do Chomiakowa: skłonnego do uniesień artystę pociągnęły w słowianofilstwie zapał, śmiałość i gorące przekonania jego mistrzów, ich wielka miłość i wiara w posłannictwo

Rosyi, ich pełne demokratyzmu dążenia ku wolności. Dążenia te wyprowadzali oni z prawosławia, które uważali za jedyną prawdziwą formę chrześciaństwa — przykazania zaś Chrystusa pragnęli urzeczywistnić w sferze nietylko społecznych, ale i międzynarodowych stosunków. Tego właśnie nie zrozumieli ich pseudo-wyznawcy i pseudo-spadkobiercy, użyli oni prawosławia jedynie jako narzędzia do walki skierowanej przeciwko Zachodowi wogóle, w szczególności zaś przeciwko słowiańszczyźnie zachodniej. „Słowianofilstwo stało się słowianofagią“ dowcipnie się wyraził znakomity slawista serbski w rozmowie z autorem tego szkicu. I w rzeczy samej słowianofile, alias słowianofagowie, zapomnieli o następujących pięknych słowach Chomiakowa, któreby powinni byli ognistemi głoskami wyryć w swych sercach: „Będziemy, jakeśmy zawsze byli, demokratami wśród innych ludów Europy i głosicielami humanitarnych zasad, które popierają swobodny i samoistny rozwój każdego plemienia. Prawa mogą u nas wytworzyć na czas jakiś szlachtę lub rodowe bojarstwo, mogą u nas ustanowić ordynacye i prawo starszeństwa w rodzinie; fałszywy, pseudonarodowy kierunek w literaturze może rozżarzyć w nas słabą iskrę pychy i możemy oddać się wtedy nierozsądnym marzeniom o pierwszeństwie wśród naszych braci Słowian. Wszystko to być może. Ale niepodobna wlać w nas takich uczuć i takiego nastroju duszy, które dają początek majoratom, i arystokracyi, i pyszałkowatości, i pogardzie ku ludziom i narodom To rzecz niemożliwa, tego nigdy nie będzie“. Ale, niestety, nie ziściły się słowa szlachetnego mistrza: okazało się, że właśnie wszystko to jest możliwe. Nie dziw przeto, że Mamonow przejęty gorącem i szlachetnem oburzeniem odrzucił w słowianofilstwie samę podstawę jego — prawosławie, że tak szczery i gorący wyznawca nauki Chomiakowa jak prof. Orest Miller musiał wyznać, że bliżsi są

ducha pierwszych słowianofilów przedstawiciele obozu zachodniego, aniżeli t. z. neosłowianofile czyli narodowcy, najlepiej zaś słowianofagowie (wogóle nazwy określonej dotąd nie mają:) „Z zachodowcami, — słowa prof. Millera — którzy zamiast siły, zręcznie się skrywającej pod maską prawa, szukają w życiu prawdy i dlatego nie wyłączają z liczby mających wziąć udział w przyszłej uczcie międzynarodowej nikogo, nawet ilotów Europy, Słowian, możemy się zgodzić. Ale nie może być mowy o żadnem porozumieniu z narodowcami, którzy gotowi są wszystko poświęcić, dla zwiększenia siły, a siły tej chcą użyć w nieskończonej nigdy walce międzynarodowej o byt jedynie w celu utrzymania przy sobie na czas jak najdłuższy zupełnej przewagi".

W takito sposób słowianofilstwo nadzwyczaj prędko uległo rozkładowi i podzieliło się na dwa obozy: pierwszy zasadza poglądy swoje na prawosławiu, ale wbrew zamiarom i nawoływaniom Chomiakowa, uczynił zeń nie religią miłości, ale religią nienawiści; drugi, nierównie sympatyczniejszy, odziedziczył po pierwszych słowianofilach ich miłość i wiarę w posłannictwo Rosyi oraz szlachetną tolerancyą względem innych narodowości, ale odrzuca prawosławie, tak przecie nierozerwalnie z nauką ich mistrza związane. Obie szkoły, nie mając między sobą nic wspólnego, zarówno odstąpiły od idei Chomiakowa. Ten rozkład słowianofilstwa [illegible] dowodem braku w nim żywotności: słowianofilstwo [illegible] bezwzględnie idealizowało [illegible] podstawy, na których rozwijała się [illegible] i powściągliwie wskazywała [illegible] ich w rzeczywistości. [illegible] raz jeszcze powtórzymy wniosek, [illegible] porównania mesyanizmu polskiego [illegible] ostatni ma za sobą pierwszeństwo we

wszystkiem co się tyczy jasności, dokładności i związku logicznego, o tyle ideały Mickiewicza i Słowackiego wyższemi są pod względem etycznym. Poezya nasza unosi nas ponad rzeczywistość w idealną krainę miłości i poświęceń i nie daje przeto powodu do fałszywych wykładów, które skaziły naukę Chomiakowa.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Dopiero teraz, po rozpatrzeniu prądów mesyanicznych w Rosyi, przystępujemy do ostatniego z naszej wielkiej trójcy poetów; do takiego uplanowania całości powodowała nas chęć jaknajwyraźniejszego zestawienia podobieństw i różnic pokrewnych prądów myśli słowiańskiej. Krasiński zaś pod jednym ale bardzo ważnym względem bliższym był słowianofilów moskiewskich niż Mickiewicza i Słowackiego: gdy bowiem Mickiewicz w ostatniej fazie działalności swojej zapatrywał się na rzeczy przez pryzmat ekstatycznych uniesień serca, gdy Słowacki od urodzenia niemal aż do śmierci żył i upajał się trucizną marzeń, a wszystkie poglądy jego na sprawy społeczne są tylko wybrykami posuniętego do krańców marzycielstwa, — u Krasińskiego, w rozumowaniach jego zarówno jak w natchnieniach, daje się uczuć pierwiastek trzeźwego krytycyzmu, który go chronił zawsze od bujania po bezdrożach nieokiełznanej rozsądkiem uczuciowości lub wyobraźni. Krytycyzm to ów właśnie jest cechą wspólną Krasińskiemu i mistykom-patryotom rosyjskim; do jak różnych jednak i sprzecznych doprowadził tu i tam wyników i jaka przepaść leży pomiędzy poglądami wieszcza naszego a Chomiakowa lub Aksakowa, — postaramy się to wytłómaczyć w rozdziale niniejszym.

Zdolność i upodobanie do analizy wypływały z usposobienia, jakie Krasiński przyniósł z sobą na świat: odznaczał się niesłychaną wrażliwością nerwów, nie wyróżniając się pod tym względem od typu ludzi najpospolitszego w naszej epoce, tak, iż życie jego było nieustannym ciągiem uniesień namiętnych, po których wnet następowały rozpaczliwe zwątpienia i naodwrót. Należy jednak mieć na uwadze, że zachodziła znaczna różnica ilościowa pomiędzy usposobieniem wieszcza naszego, a temperamentem nerwowym zwykłego poziomu, gdyż szał zachwytu i beznadziejność rozpaczy opanowywały duszę jego nierównie głębiej i silniej, niż u ogółu ludzi: na skrzydłach zapału śmiał Krasiński wznosić się w sfery niedościgłe dla śmiertelników, ale też lada podmuch nieprzyjazny gasił iskrę zapału i z wyżyn ekstazy spadał wieszcz do szarej, bezbarwnej i nudnej powszedniości życia; co go unosiło wprzódy – stawało się przedmiotem krytyki, pociski analizy pozbawiały ideał do reszty z uroczych, acz mglistych, kształtów jego; i z sercem zbolałem i skrzepłem pod zabójczo mroźnem tchnieniem niewiary wykrzykiwał poeta, że „wszystko mi niczem, a nic mi jest wszystkiem“. W miarę lat to smutne usposobienie jego wzmagało się, coraz rzadsze bywały chwile zachwytu, a gorycz rozczarowania stawała się niemal stanem normalnym, tylko nieustanna, trawiąca go żądza ideału, dobra i piękna wyrywała go z odrętwiałości rozpaczy, zmuszając do szukania jakiejś idei życiodawczej, któraby choć cokolwiek rozświetlała ciemny widnokrąg życia, zapewniając w chwilach przesileń rozpaczy cichą przystań dla zbolałej duszy poety. Dzieła poety, a szczególnie listy, z tych ostatnich niemal każdy, dają moc niezliczoną dowodów tego nieszczęśliwego charakteru Zygmunta, w którym szały ekstazy szły ręka w rękę z wybuchami rozpaczy, wypływającemi z analizy zabarwionej pesymizmem. Nie zwrócono, o ile wiem, dotąd uwagi, że owa wrażliwość Zygmunta docho-

[illegible] mu zupełnem prawie rozstrojem nerwów i za chorobą odziedziczoną po matce. W rodzie matki poety spoty-kamy [illegible] się [illegible] przykładów obłąkania. Na pomieszanie zmysłów cierpiała babka Zygmunta ks. Radziwiłłowa, następnie rodzona siostra jego matki wraz z synem i dwiema córkami, wreszcie brat stryjeczny Wilhelm Radziwiłł, podobnież [illegible] z [illegible] i inni członkowie rodziny, do których [illegible] się zaliczyć i [illegible] poety.

Nadzwyczajna wrażliwość systemu nerwowego i wypływające zeń, nader częste zmiany w stanie duchowym poety odrywały go od wyżyn uniesień zapału i wyobraźni, nad któremi nie umiał panować ani Mickiewicz, ani Słowacki, — rodziły w umyśle wieszcza skłonność do krytyki, nawet do sceptycznego usposobienia nietylko względem otaczającej go rzeczywistości, ale nawet względem porywów własnego uczucia. Następnie do rozwoju i spotęgowania tego ducha analizy przyczyniły się w znacznej części warunki pochodzenia i wychowania poety. Potomek po mieczu i po kądzieli rodzin znanych w dziejach Polski, gorąco się przejął za młodu tradycyami rodu. Wyobraźnię wrażliwego a gienialnego dziecka mocno uderzały portrety przodków o twarzach butnych, wąsach zawiesistych i w bogatych kontuszach, niemniej przejmowały go opowiadania, które nieraz musiał słyszeć, o znaczeniu ich i dostojeństwach w Rzeczypospolitej, oraz o czynach ich znakomitych, pomiędzy któremi niepoślednie miejsce zajmowało bohaterskie zachowanie się rodzonego ojca poety, Wincentego, pod Saragossą na czele ułanów polskich. Okazałe postawy i szumne tytuły naddziadów wydawały mu się miarą ich zasług i pod wpływem wrażeń podobnych ugruntowywało się powoli w umyśle chłopaka przekonanie o wyjątkowem znaczeniu i wyjątkowem posłannictwie arystokracyi w ogóle, w dziejach zaś Polski w szczególności, oraz o czynach wielkich, które mu-

siał spełnić on sam, aby stać się godnym przodków. Myśli te nie opuszczały go nigdy przez cały ciąg życia; pojęcia arystokratyczne, w najszlachetniejszem znaczeniu wyrazu, stanowiły podstawę wszystkich jego rozumowań, przekonań, dążeń i natchnień. W listach znajdziemy liczne tego przykłady: „Kraj, który stał przez arystokracyą, gdy ta arystokracya ginie, musi przejść przez długie lata poniżenia i podłości“ (tom II, str. 16, r. 1836). „Historya bez szlachty! Polityczne życie narodu bez szlachty, ciekawym, gdzie i kiedy było dotąd? Owszem, w szlachcie jest zwykle potęga, hart, to co składa pierwiastek bohaterski narodu. Nie w prawnikach, nie w kupcach, nie w izbach, sądach, nie w sejmach, ale w szlachcie jest bohaterskość, w szlachcie albo w prostym ludzie. Ale też z prostego ludu po wszystkie czasy z lemiesza i roli, nie zaś z bruku i rzemienia wywijała się szlachta. W prostem wieśniaczem plemieniu zaród wszystkich wielkości narodu. Ten zaród, gdy się z błota otrząśnie, a zachowa twardość i połysk żelaza, szlachtą mianowany bywa. Jeśli gdzie poezya, to w niej... U nas chłopem w ostatnich czasach i szlachtą, w dawniejszych samą szlachtą wszystko się stało; coś w tym składzie rzeczy jest starożytnego, rzymskiego, greckiego, coś, że tak powiem, wielkiego. Dziś, jeśli stare rody wygasną i znikczemnieją, zostaną piaski polskie, ale Polska już nie powstanie... Wyrośliśmy szlachtą i upadliśmy szlachtą; przez nią się podźwigniem, przez to, co jest nami samymi“. 1837 l. 40. Ale, aby szlachta była godną przewodniczenia narodowi, wymagał od niej męstwa i poświęcenia:

„My tu wszyscy jedną bracią,
A kto ofiar spełni wiele,
Ten na ofiar pała czele
I to — arystokracyą!

Aby „panować, panować gminowi trzeba zawsze być gotowym na ofiarę życia; ten kto w myśli swojej umrzeó w każdej chwili gotów, ten dopiero żyje, a kto chce żyć i boi się zgonu, ten przez całe życie umarły“ 1838 II, 52. Żywiąc takie pojęcia o posłannictwie szlachty, pałał Krasiński żądzą władzy i czynu, chciało mu się mieć możność rozkazywać tysiącom i, podobnie jak przodkowie, prowadzić naród naprzód. Usposobienie to przebiło się w nader poetyczny sposób w liście pisanym do Adama Sołtana z Salzbrunu 1838 r.; zwiedził tam poeta stary zamek Fürstenstein, położony na wyniosłej górze w pięknej miejscowości. Poetyczna gotyka zwalisk pogrążyła go w zadumę o przeszłości zamierzchłej i zaginionej, żal mu się jej stało, zatęsknił do średniowiecznych rycerzy zakutych w żelazo, którzy byli samowładnymi panami wszystkich włości, jakie tylko ich oko z wierzchołków góry ogarnąć mogło: „zazdroszczę im, zazdroszczę! Wiem i wierzę, że świat, że ludzkość musiała się wydobyć zpod tych mostów zwodzonych, musiała się rozsypać i ziemię pokrajać na małe zagony, by kiedyś każdy był wolny i pełen godności; ale kiedy cała godność tysiąców skupiała się w jednego wodza, jakżeż ten wódz mógł być wielkim i dumnym“. Uczucia podobne mogą wydać się wstrętnemi niejednemu z sentymentalnych demokratów, trzeba jednak wyznać, że wynikały ze szlachetnych pobudek. Wobec marzeń podobnych, które ciągle zaprzątały mu umysł, naukę i sztukę uważał za przedmioty drugorzędne, za rozrywkę tylko w próżnowaniu; wówczas, gdy Słowacki od dzieciństwa marzył o życiu i o sławie poetycznej, gdy Mickiewicz przejęty był posłannictwem swem jako wieszcza i profesora, Krasińskiego zawód poety nie zadowalniał, nierównie więcej pociągała go polityka: „Czas nadchodzi, pisze on w 1832 (I, 3), — by wziąść się do poezyi czynów, a poezya pióra niechaj mi służy tylko za

piosnkę nuconą przez mamkę". Myślą tą przepełnione są i późniejsze jego utwory np. „Psalm Nadziei". Marząc o bezpośrednim udziale w sprawach polityki, szczególnie dużo zastanawiał się nad niemi i zmysł jego krytyczny ciągle się w tym kierunku rozwijał, nabywając coraz większej sprężystości. Sfery też, w których żył poeta, dużo się przyczyniały do wyrobienia w nim trzeźwiejszego sądu o sprawach bieżących; gdy Mickiewicz, Słowacki i wszyscy niemal wybitniejsi poeci i pisarze emigracyjni apoteozowali rewolucyą 1831 roku, jako czyn wysoce patryotyczny, jeden tylko Krasiński, chociaż, porwany zrazu prądem ogólnym, wyrzucał sobie, że nie wziął czynnego udziału w wypadkach, prędko jednak otrzeźwiał, dzięki wpływowi ojca, znanego przeciwnika tego ruchu nieszczęsnego, i obcowaniu z ludźmi, którzy potępiali politykę uczucia. Tak, wkrótce po powrocie z Warszawy, gdzie właśnie się zetknął z ojcem i innymi przedstawicielami tegoż kierunku, pisze do Gaszyńskiego: „Co ty nazywasz duchem rewolucyjnym u nas, co ty mienisz przez przytłumienie jego? Czyś się dotąd nie przekonał, że wszystko było niedojrzałe; że ideę wielką wcielono w krzyk i hałas i mierność? Jej niedobrze było w tych łachmanach, więc usunęła się. Ale powiedz mi, cóż nie było miernością, co nie wyszło u nas na ostatnią nędzę: i zapał, i olbrzymi teroryzm, co miał być nowym 93 rokiem, i poezya pisana, i elokwencya mówiona, czyto nie małe dzieci wszystko?" (1833, I, 16).

Warunki przeto wychowania i otoczenia, oraz temperament nerwowy, a badawczy i lubujący się w pogrążaniach w wątpliwości, były przyczyną, że zmysł krytyczny więcej mógł się wyrobić u Zygmunta niż u Mickiewicza i Słowackiego, ale dołączyła się tu, niestety, i inna okoliczność, która popęd ów do analizy we wręcz szkodliwym, bo pesymistycznym, rozwijała kierunku. Mam na myśli

ciężkie choroby, które bezustanku prawie dręczyły poetę, a wypływały przeważnie z rozstroju systemu nerwowego. Zebrawszy w jednę całość liczne ustępy z listów, w których się skarży na dolegliwości swoje, moglibyśmy utworzyć straszliwy i wstrząsający obraz katuszy, przez które Krasiński musiał przechodzić w przeciągu prawie całego życia. Przytoczę parę ustępów, które dadzą przybliżony obraz jego cierpień, a wyjaśnią jak mu nieskończenie trudno było oswobodzić się, wobec takiego stanu zdrowia, z więzów pesymizmu: przez cały 1832 rok cierpi Krasiński na oczy, w początku 1833 roku jedzie z tą chorobą do rodzinnych stron, gdzie się ona wzmaga wskutek zmiany klimatu, a dochodzi do granic ostatecznych w Petersburgu, dokąd poeta zmuszonym był podążyć za ojcem; tam spędza cztery i pół miesiące w łóżku. w ciemnym pokoju, na smutnych rozmyślaniach o własnej nędzy i o nieszczęściach kraju; skarży się również, choć nieco rzadziej, na bole oczu i w 1834—35 r. w parze z niemi idą cierpienia nerwowe, przynajmniej tak każą wnioskować rozpaczliwe ustępy w kilku listach o stanie odrętwiałości fizycznej i moralnej. która go napastuje nieraz i na długo, a którą charakterystycznie i wiernie nazywa „nocą rozumu“: „Nie pisałem długo, bo długo nad głową moją wisiała jakaś ciemnota, noc jakaś rozumu. Ty wiesz, że czasem to mi się trafia, i wtedy niezdolny jestem do niczego. Wtedy chciałbym się zakopać przed oczyma ludzi, wtedy czuję, że serce moje w garść prochu się obróciło, że wyobraźnia moja podlejsza od robaczka, że siły moje nędzne i przyszłość nikczemna. Rodzaj to czy choroby, czy szału, ale ni wolą, ni rozumowaniem odjąć się jej, czy jemu nie zdołam; aż przejdą dni i tygodnie, aż znów tam rozwidniać się zacznie, w tym grobie duszy mojej, i zajaśnieje z powrotem jutrzenka. Ale co gorzkiego, to że coraz częściej takie noce rozumu mnie napastują, coraz dłużej

trwają. Chorobą fizyczną zniszczała lepsza połowa ducha mego,... dogorywa mi w piersiach zapał, w głowie myśl, w sercu uczucie. A nie dzieje się to mimo wiedzy mojej: owszem widzę każdą iskrę, co gaśnie, każdą sprężynę, co pęka, widzę duszę moję zwijającą się w popiół, jak list spalony, co zżyma się i tli jeszcze, i tuż, tuż, już zczernieje, rozwieje się w nicość. Siła analizy pozostała mi; nią jak ostrzem zatrutem sam się rozdzieram i krajȩ, konam z przytomnością umysłu" 1835, I, 24. Podobne zupełnie skargi napotykamy w r. 1836: „Ty nie czujesz tej próżni bez imienia, bez granic, w której obumieram; choroba nieubłagana, powolna, rozstrajająca nie przepsuła ci ducha i ciała" I, 28; albo „szczegóły życia mego! Błądzić po ulicach, nie sypiać po nocach, ledwo słyszeć co do mnie mówią; cierpieć wiecznie w głębi ducha, książkę do ócz zbolałych przyłożyć i odrzucić ją ze wstrętem; położyć się na sofie i słuchać muzyki Konstantego, by zaraz wstać w jakiejś rozpaczy, obudzonej pięknością dźwięków i prosić go by przestał grać" I, 30. Tegoż roku jesienią przechodzi męczeńską, niby wodną, a właściwie lodową kuracyą, pocąc się dwa razy na dzień po trzy godziny, wskakując potem do zimnej wody pod kaskadę i kładąc na głowę strugę żywego lodu, nosząc wreszcie dzień i noc zimne okłady. Ten system leczenia zniedołężnia go ostatecznie. W lutym 1837 r., opisuje cierpienia swe w liście do Sołtana (II, 32), z pewnym rodzajem smutnego humoru: „ale artrytyzm, ale kurcz w oczach, ale rznięcie w piersiach i kaszel, to nieodstępni towarzysze; jeden głowę weźmie, drugi rąk się uchwyci. Darmo się wymawiać, żegnać ich, fukać, tak kochają, że do łóżka włażą za tobą i dniem po dniu pracując zwolna lecz nieustannie, zarazem przy tobie i na cmentarzu, tu ci członki gryzą, a tam dołki kopią". W innym liście (II, 35), powiada, że szuka ulgi w upijaniu się opium.

Podobnież skarżył się szczególnie na cierpienia oczu i w następnym 1838 roku (II, 47). Lata 1839–40. przynoszą mu zapewne ulgę, przynajmniej spotykamy mniej uskarżań się. Natomiast w 1841 roku znów się mnożą ustępy pełne rozpaczy wskutek cierpień fizycznych zarówno jak moralnych; w czerwcu pisze do Sołtana, że „choroba straszna mnie pochyliła, zgarbiła do ziemi, uczyniła rzeczą martwą, a smutną", z upragnieniem też oczekuje poeta śmierci, opisując w taki sposób przeszłość swoję: „Od lat dziesięciu, od kiedym począł być młodym, ciągle czułem się w podwyższonej drażliwości nienaturalnym stanie. Żyłem, jak galwanizowane trupy, życiem z zewnątrz zaciągnionem, bo wewnątrz zawsze śmierć była, śmierć mi znana, dotykalna dla mnie, a drugim niewidoma, ukryta przed nimi maską żywości, której elektryczne nurty wkońcu się przebrały, i teraz niema nade mnie nędzniejszego stworzenia! Reszty życia mego, przyszłości mojej nienawidzę!" Ustępy treści jednoznacznej znaleźlibyśmy i w listach ze wszystkich lat późniejszych, aż do samej śmierci poety, ale przytoczone urywki świadczą dostatecznie o rozpaczliwym stanie zdrowia poety, usprawiedliwiającym zupełnie skłonność jego do pesymizmu; nie pomogły Krasińskiemu kuracye jego nieustanne w Badenie, w Heidelbergu i w Akwisgranie, ani też wreszcie kąpiele; cały rok 1850 przebył w okropnych cierpieniach, odtąd stan jego pogorszał się ciągle, pisać też zaprzestał zupełnie, a ostatnie półtora roku życia były nieustannem pasmem boleści. Zgasł w Paryżu 23 lutego 1859 roku.

Czytając owe liczne ustępy pełne żalów tak wymownych z powodu cierpień ciągłych, przychodzi nam mimowoli na myśl Leopardi; wyżej porównałem z nim Mickiewicza; warunki polityczne Polski i Włoch w drugiej ćwierci bieżącego stulecia były pod niejednym względem podobne do

siebie, więc niema czego się dziwić, że pomiędzy utworami ówczesnych poetów włoskich, a naszą poezyą emigracyjną zachodzi niekiedy pokrewieństwo pod względem ducha i treści; w danym razie nietyle poezya, ile losy Krasińskiego i Leopardiego mają dużo podobieństwa: obaj, istni Łazarze biblijni, przetrawili cały wiek na bezskutecznych szamotaniach się z chorobą, która, im dalej, tem silniej pochłaniała ich wątły, a, jak rana, czuły na wszelkie draśnięcia zewnętrzne organizm; do męczarni cielesnych dołączyły się katusze moralne, wypływające z boleści na widok nieszczęść ojczyzny; — lecz tu kończy się ich podobieństwo; w dziełach swoich poszli obaj odmiennemi drogami: Leopardi, wcześnie przybity rozpaczą, zatopił szlachetne uniesienia ducha swego w najbezwzględniejszym pesymizmie, który w liryce swej, zarówno jak w dyalogach, przeprowadził z nieubłaganą logiką i z tym niewzruszonym i zrezygnowanym spokojem, jaki tylko zupełna beznadziejność dać może; poprzednik Schoppenhauera zajmuje on w poezyi ogólno ludzkiej toż samo stanowisko, co myśliciel niemiecki w filozofii; ale jakże inny duch wieje z poezyi Krasińskiego! pomimo wielu i wielu nut bolesnych, brzmi ona jednak wzięta w całości podniosłym a uspokajającym hymnem nadziei, że wkrótce będzie lepiej; listy tylko mogą uderzyć niejednego swą zgodnością z pesymistycznemi poglądami poety włoskiego, ale ten rozdźwięk pomiędzy poezyą a listami jest tylko pozorny.

Rozpatrzmy się w filozofii poety, o ile ona widoczną jest z listów, a przekonamy się, że w umyśle Krasińskiego najskrajniejszy pesymizm godził się z fanatyczną niemal wiarą w urzeczywistnienie ideałów. Otóż ledwie nie kamieniem węgielnym poglądów poety jest przekonanie, że życie a ból to jedno; przytoczę następne dwa nader charakterystyczne wyjątki: „Czynność jest życie, życie jest rozmaitością, rozmaitość jestto złe i dobre, rozkosz i ból; a zatem,

żyć, to cierpieć i rozkoszować na przemian; nie cierpieć wcale, byłoby nie być, bo bytu niema w zupełnej jedności. Szczęście więc bez granic i zmiany jest marzeniem tu i tam. A zatem ile wieczności nam stanie, tyle i bolu! a nie chcesz tego, to obieraj nicość. Ból albo nicość, — niema trzeciego stanu". 1836. I. 29. — „Żądza i cierpienie są zasadą, kamieniem węgielnym życia duszy twojej, koniecznym warunkiem, bez którego byłbyś podobnym do wody stojącej, gnijącej, spleśniałej. Co nazywamy śmiercią, musi być tem samem, co rozumiemy pod błędnym szczęścia wyrazem; bo niezawodnie to, co zowiemy życiem, równa się temu, co nazywamy boleścią. Doskonałe pojęcie tej zasady napozór szatańskiej godzi niejako z życiem, bo pokazuje, że w bolu jest konieczność, a gdzie tylko jest konieczność, tam nie można się sprzeczać, nawet myślą nietylko czynem, a gdy sprzeczać się przestajemy z czemsiś, znów powraca spokój! okupiony wprawdzie tysiącem poprzednich walk, służących za gorzkie doświadczenie, za żywe dowodzenie tej smutnej ale niewzruszonej, nieubłaganej algiebry życia. Otóż już w 27 roku żywota mojego, stanąłem na tym punkcie; coraz będę spokojniejszy, zdaje mi się, coraz bardziej będę lgnął do tego pewnika, że ból a życie są jednem i tem samem". 1839. II. 70. Tę zasadę tożsamości życia i bolu zastosowuje poeta i do wszystkich zjawisk życiowych, które przedstawiają mu się zawsze w czarnych barwach. Ludzie w ogólności wydają się źli i przewrotni, „skoro wracam między ludzkie duchy, wnet czuję się jakby prowadzonym na stracenie, gilotyną mi się staje moralną każdy bliźni mój". 1847. II. 142. Podobnież i dla pragnień i dążeń ludzkich nie umie znaleść słowa zachęty; potępia gwałtowne przewroty społeczne, nie jest w stanie ukryć wstrętu swego dla wszelkich ruchów, w których żywioły demokratyczne biorą udział, despotyzm mas porównywa z nienawistnym

dlań despotyzmem samowładców; magnat z pochodzenia i z instynktów nie umie utaić sympatyi swej dla sfer, wśród których żyje, a jednak potępia w „Nieboskiej komedyi“ z bezstronnością myśliciela nietylko czerwonych radykałów, lecz w osobie hr. Henryka i arystokracyą nieumiejącą wznieść się do uznania poświęcenia osobistego za obowiązek przekazany przez ojców. Lecz, co najdziwniejsza, że i Polska, którą w poezyi swej pragnie widzieć Chrystusem narodów, bywa nieraz przedmiotem pocisków ze strony poety.

W społeczeństwie własnem, które zbawić ma świat „z win podłości“, nie dopatruje żadnych cech prócz ujemnych, a po każdem zetknięciu się z rodakami, spotykamy w listach poety sądy o kraju, pełne nieopisanej goryczy. Jakiego był zdania o wypadkach 1831 roku, przytoczyliśmy wyżej w wyjątku z listu 1883 roku. Latem 1836 roku, spotyka u wód dużo współziomków z Królestwa i obcowanie z nimi dostarcza mu wątku do najboleśniejszych narzekań na upadek narodu w całym szeregu listów do A. Sołtana (Nr. 14 18): „Podłość doszła nieprzebranej miary, niema prawie człowieka, któryby umiał nawet powierzchowną godność zachować; dobry byt pieniężny i gospodarski ukołysał serca zranione; burakami i pszenicą grób polski zasypali, na wyścigi się uniżają i liżą“ II. 14. „Zewsząd Polska się wali, za granicą głupstwem wielu, gałgaństwem niektórych, w samym kraju przemocą zgóry i podłością samychże mieszkańców w niejednym względzie. Nie uwierzysz, jak się cała szlachta wyepissierowała, jak pieniądze zbiera i twierdzi, że nic nad pieniądze, jak nawet utrzymuje, że dosyć dobrze“. W dalszym toku, zastanawiając się nad tem, co robić człowiekowi ze szlachetniejszemi popędami, powiada: „kto z potokiem walczyć nie może, a nie chce spodlić się mułem jego brudnych fal, ten powinien scenę porzucić. Żyć

by jeść i pić hańbę, by wypaść się hańbą, by stać się wreszcie karmnym wieprzem na braki spodlenia, niewarto!“ II. 17. „Nie uwierzysz, zacny mój i ukochany, — pisze do Sołtana z Warszawy 1843. II. 118. — do jakiego stopnia poniżenia doszły tu serca: jak płyn, co w nich krąży, krwią już nie jest. Powiadam ci, błogosławieni ci, którzy o głodzie wędrują po drogach bitych świata, błogosławieni, którzy jej (Polski) na oczy nie oglądają swoje! Im może niewygodnie, ale zato godnie, im głód dokucza, ale nie hańba, wstyd; im nie przychodzi codzień pogardy łzami krwawemi płakać nad gnijącemi gruzy serc ludzkich. Męczeństwo poniżenia jest najgorszem z męczeństw“. W 1849 r., pisze również z Warszawy: „Nic smutniejszego nad stan, w którym ten kraj i to miasto: spokój grobowy, a w grobie fermentacya zgnilizny i robaki, zwane: zawiść, wściekłość, podłość“. II. 156. Podobne, pełne żalu krwawego ustępy, napotykamy i w listach z r. 1846, z powodu rzezi. Wobec takich zapatrywań na naturę ludzką w ogólności, na dążenia ludzi i na ojczyznę własną, wobec rozpaczliwego utożsamienia życia z bolem, pozostawało napozór chyba jedno tylko wyjście, ukorzenie się przed nicością, uznanie wiecznego snu śmierci za wyswobodzenie z pęt cierpień ziemskich, za ideał szczęśliwości, w której gryząca boleść istnienia nie zdoła zbudzić z wiecznej nieczułości objęć Nirwany. W ten sposób rozwiązywali zagadkę bytu i smutni bramini znad brzegów Gangesu i następca ich myśli Leopardi. A jednak Krasiński wstąpił na odmienne od nich tory: z dwojga alternatyw, — nicość czy ból — wybierał drugą, wzdrygał się na samę myśl nicości. W poetycznym liście do Gaszyńskiego z Wiednia (1837. I. 42), daje wolę przeklinaniom zimy, której odrętwiałość przypomina mu właśnie nicość a nad to nie widzi nic wstrętniejszego. „Daj mi lasy szumne głosem Boga, gdy po wierzchołkach dębów i sosen zacznie

bieżyć dreszcz wiatrów; daj pola nieprzejrzane traw zielonych lub rozbujałych kłosów. Daj mi co chcesz, byleby to, co dasz, było życia obrazem lub dźwiękiem..... śmierć dobra po skonaniu, ale przed skonaniem jej widok straszny, obmierzły, przeklęty... Nicość, śmierć, jedność — wszystko jedno! Otóż zima jest okropną jednością, pożerającą wszystkie rozmaitości". Najwybitniej jednak odmalowała się dusza Krasińskiego w liście (II. 120), który pisał do Sołtana w 1844 roku. Otóż, po długich, a rozpaczliwych ustępach, w których wieszcz żalił się na spodlenie i zmateryalizowanie społeczeństwa polskiego. następnie na strach ślepy, który niem owładnął, wreszcie na pochodzące ze strasznego systemu wychowania zdemoralizowanie młodzieży, niezdolnej już pojąć, że niegodziwe środki zgubnemi są w dążeniu ku celom świętym, otóż po trzech stronicach tych krwawych wyrzekań, doszedłszy do wniosku, że zwątpienie każdego może ogarnąć, zwraca się nagle Krasiński do chrześciaństwa, do osoby Zbawcy i tu znajduje bogate źródło pociechy: „Jednak, Adamie mój, nie smętnij zanadto, obraz ten tu skreślony czytając. Ten obraz, to szczegóły, to męka nasza, to próba nasza, ale nie koniec, nie ostateczna prawda! Trzeba i przez to przejść. Czyż Chrystus, mimo Bóstwo, nie doznawał ostatecznego zwątpienia? Czyż nie przeszedł przez gorycz goryczy wszystkich? I na to by mógł zmartwychwstać, trzeba było mu nietylko przez śmierć przechodzić, ale w chwili śmierci samej najokrutniejszej męki moralnej doznawać; zwątpić czy zmartwychwstanie, zwątpić czy zbawi ludzkość! Ten krzyk jego ostatni do ojca, był zarazem najwyższym szczeblem bolu i zasługi, a zatem i poświęcenia! Nie byłby inaczej do ostatniej kropli wychylił kielicha, a trzeba ostatnią kroplę wypić, by nic nie zostało! Wtedy dopiero śmierć w życie, ból w radość, przegrana w zwycięstwo się przemieniają: *non*

est saltus in natura! Otóż i my, patrząc tylko na fakty zmysłowemi oczyma, moglibyśmy nieraz zwątpić; ależ wiedzmy, że i zwątpienie jest tylko bolem najwyższym, a nie żadnym dowodem, nie żadną prawdą, owszem w tak świętych i bożych dziejach jak nasze, znakiem, że już bliska odrodzeń godzina". W tem więc, że cierpienia przebierają miarę, że zwątpienie ostatecznie ogarnia naród, że za niem idzie strach i uczczenie szatana, w tem wszystkiem widzi wieszcz nasz dowód, że „bliska odrodzeń godzina", bliski tryumf prawdy nad siłą, bo ból oczyszcza, uświęca i czyni człowieka godnym szczęśliwości. Jednem słowem, przywiązanie do ideału, miłość kraju, ufność w Bogu spoczywały tak głęboko w sercu poety, że żadne rozczarowania, żadne rozumowania nie mogły ich ztamtąd wyrugować, był w tem sercu upór wiary, o który napróżno rozbijały się przeciwności, nieszczęścia, bole. Wszystko, co na świecie, tej „golgocie z łez, krwi i błota", przypominało mu zagrzebane w duszy marzenia, stanowiło skarbnicę uciech wzniosłych, przystań dla duszy jego skołatanej, zdrój, w którym omywał się ze zwątpień. Taką skarbnicą była dlań sztuka równoważąca, jak mawiał, podłości ziemi, ale przedewszystkiem religia: „jedynie tylko wiara w wyższy układ świata, wiara w to, że wszystkie ziemi zdarzenia i gorycze są dysonansami, rozwiązywanemi w akord boski, w akord dotąd naszych uszu niedochodzący, ale mający kiedyś dojść do nich, zbawić nas może. Wierzymy więc, że znamy tylko życia połowę; źle mówię, znamy całość życia myślą, ale doznajemy tylko na sobie połowy tego wszechżycia, i dlatego, że tylko połowy, źle nam jest! Aleśmy duchy, nie marne kamienie. Z bolu zmartwychwstaje duch, szczęście i spokój boski jest przeznaczeniem naszem, bo jest naturą naszą; ztamtąd my wyszli i tam my powrócim". Rozmyślania nad zasadami i losami chrześciaństwa utwierdzały go

w wierze w przyszłe urzeczywistnienie ideału; przez cnotę zostali cisi wyznawcy wzgardzonej religii panami światowładnej Romy, przez życie i śmierć męczeńską boskiego założyciela tejże religii został zapewniony jej tryumf po wieczne czasy, tak też bole ucisku prowadzą społeczeństwa cierpiące do wyzwolenia z więzów zepsucia, do odrodzenia i panowania.

A więc kierunek myśli Krasińskiego był zasadniczo odmiennym od kierunku Leopardiego, z którym porównywałem go wyżej. Włoski liryk posiadał niezaprzeczenie więcej zmysłu realnego: ponieważ źle na świecie, ponieważ rzeczywistość w żaden sposób odpowiedzieć nie jest w stanie nieskończonym pragnieniom ducha, więc precz z nią! istnienie jest męką, a nicość dopiero wyzwoleniem. Tymczasem w umyśle wieszcza naszego szły w parze pojęcia może z sobą niezgodne, gdyż obok realnych bardzo poglądów na przewrotność natury ludzkiej poetyczne jakieś wierzenia w ostateczne zwycięstwo prawdy, jeśli jednak zapatrywać się mamy na poezyą ze stanowiska etycznego, tj., jak się na nią zapatrywał sam Krasiński, to bezwarunkowo musimy mu oddać palmę pierwszeństwa; o zwątpieniach jego dowiedzieliśmy się niedawno, dopiero po ogłoszeniu listów, spowiadał się bowiem z nich tylko przed najbliższymi przyjaciołmi. wówczas, gdy poezya jego pozostanie na wieki skarbnicą myśli i uczuć najwznioślejszych i najświętszych, prawdziwą mistrzynią i drogowskazem w życiu, wspaniałym jak mowa oceanu i rzewnym jak modlitwa dziecięcia, psalmem wiary, nadziei i miłości.

2.

Wybitną cechą, jak poezyi, tak też życia Krasińskiego jest zupełna jednolitość poglądów; jeśli działalność Mickie-

wicza i Słowackiego może być podzieloną na dwie i więcej epok, różniących się pomiędzy sobą pewną odmiennością w zapatrywaniach poetów, to, przy najuważniejszem nawet czytaniu listów Krasińskiego, nie potrafimy w nich dostrzec jakichkolwiek śladów zmian lub przejść duchowych, któreby wprowadziły poetę naszego na różne od poprzednich tory myślenia lub działania. Istota rzeczy zawsze taż sama: też same skargi na cierpienia fizyczne, też same utyskiwania z powodu upadku narodu, posuwane nieraz do krańców rozpaczy, wreszcie taż sama zawsze podniosłość ducha, szukającego ukojenia w pociechach religii i w opartej na niej wierze w celowość świata i w zwycięstwo prawdy. To też i poezya cała Krasińskiego, to gmach jednolity, świątynia gotycka brzmiąca i płacząca roztęsknionemi melodyami strzelających ku niebu arkad, jęk skamieniały ducha rwącego się do wyżyn słonecznych. W pierwszym z większych utworów swoich, w „Nieboskiej Komedyi“, wieszcz daje wyraz myślom swoim o walcę socyalnej, której widownią jest świat cywilizowany, — następnie w „Irydionie“ wypowiada pogląd swój na stanowisko i wzniosłe posłannictwo Polski wobec owych rozdzierających Europę przeciwieństw społecznych, „Przedświt“ posuwa myśl tę samę dalej, tłómacząc dlaczego właśnie ojczyźnie poety powierza Opatrzność tak szczytne zadanie, wreszcie „Psalmy“, „Dzień dzisiejszy“, „Ostatni“ są dopełnieniem, rozwinięciem w szczegółach myśli zawartych w „Przedświcie“. W taki sposób poezya Krasińskiego jest konsekwentnem, wolnem od sprzeczności rozwijaniem się myśli jednej — jedno wypływa w niej i dalszym jest ciągiem drugiego. Pozostawię na uboczu Nieboską Komedyą, jako niemającą ściślejszego związku z kwestyą odrodzenia ojczyzny, która zajmowała wieszcza w innych jego utworach i w rozwiązaniu której przejawił się właśnie mistyczny kierunek umysłu jego; nadmienię

tylko, że dzieło to uważać można za wstęp ogólny do wszystkiego, co potem pisał Krasiński; nie ciasny stosunkowo zakres jednej tylko ojczyzny poety, lecz ludzkość cała tło tu stanowi. Wystawiona przyszła walka socyalna, która w mniemaniu wieszcza ma zakrwawić świat cały, — walczą nędzni, uciskani i poniewierani przeciwko możnym tej ziemi, lecz nie zwyciężają ani jedni, ani drudzy, ponieważ i ci i tamci są nieskończenie oddaleni od wzniosłego ideału poety i równie nieprawi, ci nic dać nie chcą, tamci wszystko pragną odebrać siłą, jednym brak chrześciańskiej cierpliwości i umiarkowania, drugim miłosierdzia i poświęcenia, to też giną marnie, ostatni pada Pankracy, wódz demokratów, i, jakby uznając nieprawość swą, woła: „Galilaee vicisti"; ciemności zstępują na ziemię, a wśród mgły i mroku ukazuje się krzyż ognisty. Godło miłości i zaparcia się siebie ma zbawić świat. Myśl ta przewodniczyła odtąd wszystkim marzeniom wieszcza; w epoce owej całe nieraz miesiące przepędzał w Rzymie, a wymowne ruiny grodu, w którym rozwiązywały się losy narodów, nastrajały myślący umysł jego na dziwnie uroczystą nutę, nigdzie jednak nie bywał Krasiński tak do głębi poruszonym, jak w Kolizeum. Krzyż chrześciański, wznoszący się wśród zwalisk gmachu najwyuzdańszej rozpusty ducha, wśród „grobu pychy" rozjaśniał mu duszę, tłómaczył zagadkę dziejów, nasuwał tę błogą myśl, że nie siła, lecz cnota zwycięża. Rozmyślania wśród zwalisk Kolizeum natchnęły go do napisania Irydiona. Rzecz się dzieje w Rzymie, w epoce największego upadku cesarstwa, za panowania Heliogabala, a wystawioną jest walka trzech światów, z których się składa w gruzy chyląca się budowa Cezarów i Augustów: najpierw Rzym, zgrzybiały od rozpusty i cuchnący już zgnilizną rozkładu, uosobieniem jego jest sam imperator; następnie podwładne Rzymowi, lecz dążące do wyrwania się zpod jarzma jego

narody pogańskie, dyszące żądzą odwetu i zemsty; wreszcie chrześciaństwo, zapatrzone w niebo, uciskane, kryjące się w katakumbach, lecz przebaczające i modlące się za prześladowców. I ze świata tego, co się zżyma i kona, poeta ma wycisnąć myśl jednę, imię jej nada, postać nada, i choć poczęta w Rzymie, dzień, w którym Rzym zginie, nie będzie jej ostatnim dniem, trwa bowiem, dopóki ziemia i ziemskie narody, ale czy jest dla niej miejsce w niebie? Poemat cały ma być odpowiedzią na to pytanie. Myślą tą jest dążenie do swobody, które przy takim stanie rzeczy opanowywa naturalnym rzeczy porządkiem umysły uciemiężonych i jęczących. Lecz dwojaka droga prowadzi do celu: droga siły i gwałtu, spisków i knowań, zemsty i zniszczenia, i droga modlitwy, miłości, przebaczenia i cnoty. Więc któraż z nich jest lepszą i zgodniejszą z wolą Opatrzności, w którym wypadku znajdzie się dla myśli wieszcza miejsce i w niebie?

Z Greka Amfilocha i Germanki Krymhildy, kapłanki Odyna, rodzi się bohater poematu; wesołość boska i artystyczny wdzięk nadobnej, kołysanej w lubieżnych objęciach oceanu Hellady i świeże powiewy z dziewiczych lasów dębowych i z mroźnych wierzchołków gór Germanii składają się na utworzenie charakteru Irydiona. Ojciec żył ciągłą miłością i ciągłą myślą zemsty za hańbę Grecyi, „której pieśni były pieśniami świata, która dźwiękiem strun swoich odpędzała barbarzyńców ze wschodu“; na łożu śmierci przekazuje myśl swoję dzieciom, a syn przed świętem obliczem ojca składa przysięgę, nie chylić czoła, nie tracić wiary w złej godzinie, nie mieć smutku ni słabości, — „rozkoszy nie mieć — przywiązania nie znać — litości nie słuchać — ale żyć, by niszczyć, dopóki duch jego z ojca duchem się nie połączy“. I słowa ojca wchodzą w krew i kość syna; wiekowe męki pokoleń zmarłych i ślepa rozpacz żyjących zlewają się w sercu jego, by wybuchnąć ogniem gwałtownym a śmier-

telnym, jak uścisk samumu; bezgraniczna miłość Grecyi, niepohamowana żądza zemsty, pragnienie namiętne być panem ludów, aby prowadzić je, gdzie natchnienie wieszcze mu wskaże, — wszystko to razem tworzy gamę uczuć, które to porywają go ku wyżynom niedościgłym, to wprawiają w zwątpienie i boleść bez końca, — w gruncie rzeczy czynią go mało zdolnym do czynu, do działalności obmyślanej, trzeźwej, prosto do celu prowadzącej: „gdziekolwiek wytężę ramiona, — powiada — tam zapory twarde jak żelazo, ruchome, jak węże, i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia". Jednem słowem, mamy w osobie Irydiona istny obraz Krasińskiego. Ale, przeczuwając snać usposobienie młodocianego jeszcze syna, porucza Amfiloch opiekę nad nim powiernikowi swemu Masynisie: surowy, niewzruszony, suchy i spokojny, lecz w spokoju swym straszliwy, jak spiekłe pustynie Numidyi, z których rodem, nie odstępuje Irydiona, podnosi go i prowadzi w chwilach upadku, uczy nienawidzić Romę, dążyć do zemsty, i nie przebierać w środkach. Posłuszny naukom starca poświęca Irydion dla sprawy cześć siostry. Nie skutkuje jej skarga, sprawa ojczyzny wymaga poniżenia Elsinoi, powinna zaprzedać się i czarem wdzięków pokonać rozpustnego imperatora, wmówić mu, że od tajnych knowań Sewera i senatu, od szemrań i niezadowolenia pretorjanów zbawić go zdoła tylko Irydion. I cel zostaje osiągniętym: wezwany przed oblicze cesarza, podaje Irydion jeden środek do ocalenia tronu: rozegnać senat, wyciąć pretorjanów, zburzyć Romę i stolicę przenieść do Azyi, a dlatego zabawiać lud igrzyskami, sprowadzać zaś tymczasem potajemnie legiony germańskie do Rzymu, uzbrajać gladjatorów, niewolników i wyznawców Nazarenczyka. Heliogabal zgadza się na plan Irydiona i bohaterowi Krasińskiego błyska nadzieja zemsty i szczęścia, a przyszły widok spopielonej Romy, oddanej w spuściźnie

po ludziach skorpionom i wężom, przepełnia rozkoszą i pieści wyobraźnię jego. Lecz, aby szczęśliwy skutek mógł uwieńczyć usiłowania jego, na to trzeba pomocy nazareńczyków, o tę jednak zaporę rozbija się wymowa i wytrwałość Irydiona: „Wieki co przeszły — powiada Wiktor, osiwiały biskup i przewodnik zastępu męczenników — były dziecinnemi czasami ludzkości. Im bardziej stworzenie zbliżać się będzie do Stwórcy, tem żarliwszą miłością goreć będzie ku niemu i braciom swoim. Miecza nikt nie znajdzie na ziemi, ani ręki kata, a ten błogosławiony już dzisiaj, kto uwierzył w przyszłość takową i stał się jej przyśpieszycielem". Nie powstawać więc z bronią w ręku, lecz modlić się za wrogów powinni wyznawcy Chrystusa. Ale równie nieugięty w zamiarach swoich Masynisa wie dobrze, że chrześcianie ubóstwili „niewolnicę męża", więc aby Irydion mógł wcielić „królestwo nie tej ziemi w namiętności ziemi", trzeba mu niewiasty; niech wybierze jednę z nich — ubóstwianą przezeń Kornelią, którą czczą nazareni, jako oblubienicę Chrystusa, niech porwie ją czarem natchnienia, a ta pociągnie za sobą zastępy chrześcian. Wzdryga się zrazu syn Grecyi na samę myśl skażenia tej, która dziewictwo swe niesie w ofierze Najwyższemu, a której postaci świetlanej nie śmie kalać marzeniem ziemskiem, lecz i tu, jak zawsze, żądza zemsty bierze przewagę. Część znaczną poematu poświęca poeta walce duchowej, rozgrywającej się pomiędzy synem zemsty, a oblubienicą Chrystusa, Kornelia pada wreszcie porwana potęgą uczuć Irydiona, współwyznawców swoich nawołuje do broni, zwątpienie opanowywa nazareńczyków, czy iść mają za głosem niewzruszonego w świętości swych zasad biskupa, czy słuchać przemienionej nagle, a płomieniejącej namiętnością ziemską Kornelii; z piersi Symeona, jednego z chrześcian, wyrywa się skarga rozpaczy, jęk serca zranionego nieziszczeniem nadziei, nieskończonością cierpień

i zwątpieniem: „O Boże — woła — natchnij ich duszę, jakeś moję natchnął i ogień pożerający bitew roznieć w ich dłoniach“. Rozdwojenie w szeregach wiernych, a pośród rozdwojonych i przerażonych w ciemnościach podziemi okazuje się Masynisa, radością i tryumfem piekielnym grzmi głos wiecznego wroga niebios: „Wrogu, — zwraca się do Stwórcy — Ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierwszej wiosny ziemi! Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje“. Jak dziś, jedni milczą pokornie, drudzy z nożem w ręku zabierają się do rzezi — i ci, i tamci w imieniu Chrystusa, tak w przyszłości wojny, grabieże, uciski, gwałty dziać się będą w imieniu Zbawiciela. Na szczytach niebios On pić będzie puhar goryczy. Na szczytach niebios, wśród potęgi i chwały, dozna, co to piekło ziemskie“.

Tu występuje Masynisa w całej nagości swej, w złowrogiem oświetleniu nienawiści i zemsty. Nie zrozumieli go jednak nawet najbliżej wtajemniczeni w myśl poety, dlatego to Krasiński we dwa lata po ukazaniu się Irydiona tak w jednym z listów swoich wykładał znaczenie Masynisy: „Jestto pierwiastek wszech złego, który ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre... Jestto szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje, piekielne, zbrodnicze, złośliwe“. Wyraźniej mówiąc, mamy w nim uosobienie wieczystego fatalizmu dziejów, mocą którego wszelka idea wzniosła i święta w teoryi staje się błotem, w zetknięciu się z rzeczywistością, zastosowana do życia. W taki sposób, gdy w danym razie Irydion wciela szczytną myśl wyswobodzenia uciskanych narodowości zpod jarzma Romy — mistrzem jego w życiu staje się Masynisa, który uczy go iść do celu drogą spisków i podniecania chuci pospólstwa, i uczy widzieć urzeczywistnienie celu świę-

tego w zburzeniu i pogrzebaniu pod gruzami Romy i winnych i niewinnych.

Ale niedługo trwa obłęd Kornelii. słowa biskupa podnoszą ją z chwilowego upadku. lecz walka moralna przewyższa jej siły i Kornelia umiera. wzywając Irydiona. aby się nawrócił i modlił do Chrystusa. Słowa dziewicy dziwnie działają na zastępy chrześcian. liczba stronników Irydiona zmniejsza się. tymczasem walka wre w mieście. lecz. ponieważ nazareni nie przychodzą na pomoc gladiatorom. niewolnikom i barbarzyńcom, bijącym się pod wodzą Irydiona. sprawa jego upada. wspólnicy bohatera zniesieni lub wzięci w niewolę. Śliczną jest scena ostatnia, w której Irydion. patrząc ze szczytu góry na tryumfujący Rzym, skarży się, że wniwecz się obróciła myśl. w imię której walczył życie całe. Pociesza go stary mistrz i usypia nad brzegiem jeziora. w chłodzie jaskini, pod liśćmi winnemi i bluszczem — „kędy ni zorzy, ni gwiazd niemasz. ni głosu, ni bolu. ni marzeń“ — z obietnicą, iż go obudzi:

„Kiedy na Forum będą prochy tylko.
Kiedy na Cyrku będą kości tylko.
Kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko.

Aby mógł dosyta się napawać widokiem poniżenia Romy.

Na tem się kończy właściwy dramat, następuje epilog wspaniały, a na uroczystą nutę nastrojony: „O myśli moja. zaczyna wieszcz — ty przetrwałaś wieki! Ty senną byłaś w dniu Alaryka i w dniu wielkiego Attyli — ni brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ni Rienzi trybun ludu nie obudził ciebie! i święte pany Watykanu jeden po drugim przesunęli się przed tobą, jak cienie przed cieniem! Ale dzisiaj ty powstaniesz, o myśli moja!“ I właśnie dzisiejszą epokę rozczarowań, zwątpień i sprzeczności, żądań niedoścignionych i filozoficznej negacyi. wybiera szatan historyi. aby obudzić syna zemsty. Błądzą oni razem pośród zwalisk Rzymu. Patrzy Irydion na dzisiejszych panów Watykanu ponie-

wieranych i wyszydzanych, widzi same prochy, i kości i hańbę, ruina każda jest mu nagrodą i radość zda się bić z jego czoła, gdy, błądząc, dochodzą do Kolizeum. Tu uderza wzrok jego czarny krzyż drewniany i smutek ściska mu serce, smutek nad krzyżem poniewieranym i wzgardzonym, jak niegdyś Hellada jego. On walczył przeciwko Romie, jako uosobieniu siły panującej nad prawem, dziś Rzym upadł, a siła ślepa rządzi, jak dawniej. światem... nagle w powietrzu rozjęczonem skargami, pochowanych pod gruzami Kolizeum męczenników daje się słyszeć głos grzmiący i zponad krzyża wychyla się jaśniejąca postać Kornelii, wołającej go ku sobie. I tu, w miejscu, gdzie rozpustę pogaństwa pokonało poświęcenie i zaparcie się wyznawców wiary Ukrzyżowanego, odbywa się sąd nad Irydionem: „Wrogu wieczny! — woła Masynisa — on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romę". „Panie — głos Kornelii — on jest moim, bo on kochał Grecyą". „Ojcze Niebieski — dodaje poeta od siebie — Ty raz tylko jeden w wieczności, raz Syna własnego opuściłeś, by odtąd już nie opuszczać żadnego z dzieci Twoich — nie — żadne dzieło Twoje nie pójdzie w rozsypkę na wieki". I świadectwem, a modlitwą Kornelii zbawion Irydion, bo kochał Grecyą, ale aby odkupić błąd przeszłości, gdy szedł za wrogiem Przedwiecznego, musi iść na północ, do „ziemi mogił i krzyżów", którą pozna „po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców", tam powtórna próba jego, tam pracą krwawą i nieustanną, tam miłością i poświęceniem zmaże winę swoję; ulituje się wtedy Najwyższy i udaruje „czem aniołów swoich obdarzył przed wiekami — szczęściem — i co ludziom obiecał na szczycie Golgoty — wolnością".

I weszło słońce nad ostatkami Romy i nie było komu powiedzieć, gdzie się podziały ślady myśli mojej, ale ja wiem, że ona trwa i że ona żyje". — Cudne zakończenie:

czarowny dźwięk tych słów ostatnich przenosi nas w krainę snu, cośmy przed chwilą czytali, co wrzało dla nas i kipiało życiem, to wszystko roztapia się i ginie w przepaścistej jakiejś dali i przeszłość cała grodu wiecznego brzmi nam pieśnią tajemniczą, senną, przejmującą nas dreszczem zgrozy, jak, wśród grobowej ciszy skwaru letniego, dalekie odgłosy piorunów, zwiastuny nadchodzącej burzy.... rozwiały się marzenia wieszcza we mgłę i muzykę — on jeden, samotny, niezrozumiany, nikt nie współczuje mu teraz i nie pójdzie za nim, ale on wierzy, on wie, że myśl jego żyje, że stanie się ciałem, że w ojczyźnie ukochanej zajaśnieje pełnią i wdziękiem kształtów.

Niezmierna doniosłość Irydiona uwydatni się jeszcze bardziej, gdy go porównamy ze współczesnemi, a pokrewnemi myślą utworami poezyi polskiej. Po wypadkach 31 roku rozpacz owładnęła społeczeństwem naszem i myśl o wynalezieniu drogi prowadzącej do podźwignięcia kraju z upadku zaprzątała odtąd wszystkie myślące umysły. Byronizm, choć z natury swej kosmopolityczny, stał się jednak punktem wyjścia dla poezyi polskiej, ale przekształcił się w niej w patryotyzm, stawiący w ścisły związek kwestyą wyzwolenia narodowości z postępem ogólnoludzkim. Trzecia część Dziadów, Kordyan, „Dzieje Wacława“ Garczyńskiego wreszcie Irydion z Nieboską Komedyą, którą za wstęp do niego uważać należy, są wyrazem nowego zwrotu w literaturze naszej. Boleść nad upadkiem kraju ozwała się najpierw w duszy Mickiewicza i zpod pióra jego wylał się potok słów gorących, nacechowanych olbrzymią boleścią i natchnieniem. Ale cierpiący za miliony wieszcz nie umiał znaleść innego ratunku dla kraju, jak podniesienie uczuć do stanu ekstazy, która miała natchnąć siłą, łamiącą wszystkie przeciwieństwa. Krokiem naprzód są Dzieje Wacława, Garczyń-

ski bowiem namiętnie pragnął dojść do równowagi ducha, i pogodzić wybuchy uczucia z wymaganiami rozumu, ale pragnienie pozostało tylko pragnieniem, i chcąc ojczyznę zbawić, poeta wpadł na pomysł spiskowania, które głosił z zapałem godnym lepszej sprawy. Tą drogą poszedł także Kordyan, ale wahania jego ciągłe świadczą, że brakowało mu pewności, cechującej Wacława, że, jakby przeczuwał, iż lepsza istniała droga do celu. Przeszły po ukazaniu się Kordyana trzy lata — i Krasiński dał nam Irydiona, w którym ostatecznie rozwiązał kwestyą. Z wysokości równowagi duchowej, którą odrzucał Mickiewicz, do której napróżno dążyli Garczyński i Słowacki, a którą osiągnął autor „Nieboskiej“ po długich rozmyślaniach i walkach wewnętrznych, wskazał on nową drogę narodowi — drogę krwawej pracy, wytrwałości żelaznej wobec nieprzeliczonych pokus i przeszkód — wiary w świętość sprawy i w sprawiedliwość Opatrzności. Irydion więc jest ostatniem słowem emigracyjnej poezyi polskiej. Nie zrozumiano go zrazu; największy z poetów naszych, rozstając się coraz bardziej z harmonią ducha, zabrnął w labirynty nauki Towiańskiego, Słowacki przerzucał się z jednej ostateczności w drugą, tylko Krasiński bez względu na rozczarowania i zawody pozostał niewzruszenie na stanowisku, które wytknął w Irydionie, i wielką myśl swoję rozwijał nadal w następnych utworach. Jeśli pod względem gieniusza poetyckiego Krasiński ustępował Mickiewiczowi i nawet Słowackiemu, to ideały, których był stałym głosicielem, stawią go na wysokości, na której tamci nie umieli się utrzymać.

Ale dlaczego wyrok Niebios posyła Irydiona do Polski, dlaczego mianowicie przez Polskę ma się schrześcianić świat i myśl Boża uwidocznić na ziemi, — na to znajdujemy odpowiedź w „Przedświcie“, a właściwie w przedmowie do Przedświtu, streszczającej całą historyozofią Krasińskiego. Punkt

wyjścia poeta ma wspólny z Mickiewiczem, ze Słowackim i słowianofilami rosyjskimi, mianowicie wiarę w prawdziwość i doskonałość chrześciaństwa i w ostateczne wypełnienie obietnic Chrystusowych na ziemi. Rzecz swą zaczyna Krasiński od wskazania na analogią pomiędzy światem starożytnym przed przyjściem samem Chrystusa, a epoką obecną: toż samo zwątpienie w religii, taż sama negacya w filozofii, anarchia w sferach umysłowych zupełna, swawola, rozstrój, zrozpaczenie; ale w chaosie świata starożytnego zjawia się nagle Cezar i potężną dłonią swą przywodzi świat do jedności materyalnej i bezwiednie przez to przygotowuje drogę Synowi Bożemu, zamieniając „ziemię podówczas znaną w jeden wielki i szeroki gościniec". Podobnież i dziś, Cezar dni naszych, Napoleon, wyższy od poprzednika całą epoką ubiegłą, świadomy celu, któremu kwoli zesłała go Opatrzność, jednoczy i spaja narody. Państwo jego uniwersalne rozwiało się wprawdzie w dym, ale „co on pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy — co ta dłoń na chwilę wszechmocna spoiła, to samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże. Zapoznane ludy już się nie odpoznają, — skupiony duch germański już się nie rozprzęży, włoski toż samo i hiszpański toż samo! On narodowości ziemskie przebudził z uśpienia". Jednem słowem Napoleon przygotował nowy zwrot w dziejach stopniowego urzeczywistniania się idei Chrystusowej, zwrotem zaś tym ma być przekształcenie sfery polityki w sferę religii. Słowo Chrystusa nie mogło, zdaniem poety, przetworzyć odrazu świata pogańskiego; przed schrześcianieniem stosunków między narodami i państwami musiało schrześcianić sferę stosunków prywatnych — i tego właśnie już dopięło. „Za dni naszych — powiada Krasiński — osobnik każden chrześcianinem jest i wszystkie stosunki między nimi chrześciańskiemi są". Pozostaje więc idei chrześciańskiej iść w niedotkniętą jeszcze sferę polityki. „Świat już dzisiaj pojmuje ku czemu garnie

się historya, wie że nią rządzi mądrość Boża i że celem jej jest Ludzkość czyli cała powszechność, zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał. Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywemi są narodowości, w których odbiły się jako w najwyższym swoim rozkwicie wszystkich plemion ludzkich różnice. Czem nuty w akordzie, tem one w człowieczeństwie, rozmaitością i zgodą zarazem"... „Państwa są utworu ludzkiego, są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacyi Bożej i dla tego właśnie nie państwo bez narodowości, ale narodowości upaństwione jedne tylko mogą być chrześciańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości". Tymczasem działo się dotąd naprzekor prawu boskiemu, „każde bowiem państwo jest rozćwiartowaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. Idea Chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok". I właśnie dlatego „przez narodowość umęczoną na krzyżu historyi objawi się w sumieniu ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną, i że Kościoł Boży na ziemi, to nie tylko to, lub owo miejsce, ten lub tamten obrzęd, ale cały planeta i wszystkie jakiekolwiek być mogą stosunki tak osobników jak narodów między sobą".

Tej filozofii Krasińskiego, do której doszedł drogą krwawej pracy myśli i krwawych udręczeń serca, da się z całą słusznością zarzucić rażąca jednostronność. Do głębi duszy przejęty i oburzony antychrystusowym kierunkiem polityki, nie umiał poeta zachować trzeźwości swej w zapatrywaniach na inne stosunki życia i uznał, że idea chrześciańska zapanowała już w sferze stosunków prywatnych. Wzięta jednak jako całość i zestawiona z poglądami słowianofilów, nauka Krasińskiego jest nierównie podnioślejszą. Gdy bowiem ci ostatni opierali mesyanizm swój patryotyczny na uznaniu nieomylności zasad religii i polityki rosyjskiej, Krasiński wiarę

swą w opatrznościowe posłannictwo Polski wyprowadza z wyjątkowych okoliczności politycznych, w jakich ojczyzna jego się znalazła: ztąd przepaść cała w wynikach praktycznych obydwóch teoryj: zastosowane do życia słowianofilstwo okazało się jednostronnem zasklepieniem się w podziwianiu cnót i doskonałości Rosyi, wówczas, gdy za przejęciem się zasadami Krasińskiego bezwarunkowo musi iść uznanie odpowiedzialności ciążącej na narodzie i wynikającej ztąd konieczności pracy, cnoty i poświęcenia, nieodzownych warunków, by się godnymi okazać celu szczytnego, do którego Bóg przeznaczył ojczyznę wieszcza.

Sam „Przedświt“ możemy nazwać hymnem szczęścia, które ogarniało poetę w tych rzadkich chwilach, gdy, po długich błądzeniach w ciemnościach, natrafiał nagle na myśl nową, znajdywał ukojenie w jej treści życiodajnej, z rozpaczy, jaką tchnęła rzeczywistość, wyciskał nadzieję, a bezmyślność pozorna dziejów świeciła mu się blaskiem ideału. „Przedświt“ jest pieśnią miłości, jedną z najpiękniejszych jakie pisano: po modrej toni jeziora włoskiego płynie poeta z ukochaną swoją i rozbłękitnionej, rozanielonej i przebóstwianej w natchnieniu jego Beatryczy składa dziękczynienia, iż wyrwała go z przepaści zwątpienia i rozpaczy. Czar dźwięków, które wydobywa ona z harfy, i podniesiona fantazya poety przekształcają rzeczywistość w sen z kryształu i ze srebra, a we śnie tym widzą i zapadłą w nieskończoności przeszłość narodu i jaśniejącą szczęśliwemi odblaskami jutrzenki przyszłość jego. Rozskrzydlony natchnieniem, jakie miłość daje, widzi poeta w przeszłości ojczyzny tylko cechy jej dodatnie, tylko wspaniałą poezyą rycerskości, męstwa, poświęcenia, swobody i godności. Ponad topiele jeziora, ponad krawędzie skał unosi go myśl w ojczyste stepy śnieżne, gdzie śpią duchy ojców; poeta wywołuje je z grobów i pyta, dlaczego z pychą taką i nieoględnością

roztrwonili skarby życia. Z pogardą nań poglądają okazałe, i dumne postacie ojców i z tłumów umarłych podchodzi doń ów hetman, który ani z soli, ani z roli, ale z tego, co go boli wyrósł i każe klęczącemu poecie błogosławić winie ojców, bo oni szli ku tej ojczyźnie, która będzie; gdyby dążyli torem innych narodów, byłaby i Polska dziś „kramem tylko — nie narodem, sklepem ślniącej pełnym broni", tylko winie ojców, tylko ich bohaterstwu i krwi zawdzięcza potomstwo, „że nim ten jeszcze wiek przeminie, wejdzie ludów lud jedyny".

Ale rozwiewa się widzenie, a fantazya poety sprowadza nowe tłumy rycerstwa nad brzegi jeziora; wzgórza i skały okoliczne brzmią oddźwiękiem ich modlitw głuchych a poprzedzeni świętą Panią Częstochowską przesuwają się długim rzędem przed oczyma modlących się i szałem zachwytu ogarniętych kochanków. Lśnią ich pancerze i skrzydła srebrne przypięte do zbroi, powiewają pióra strusie na hełmach, błyszczą turkusy na szablach damasceńskich; tak się suną poprzez błękity i promienie, a przeszłość połączona w nich z przyszłością, bo, z przeszłości wylęgli, idą poto, by deptać i karać niesprawiedliwość na ziemi i na gruzach zbrodni budować świat nowy, boski, w którym ni łez, ni miecza, ni kata nie będzie. Natchnienie coraz bardziej porywa wieszcza, wzlatuje na skrzydłach zachwytu poza krańce przestrzeni i czasu i w bezdennej jakiejś topieli, w próżni, która rozwiera się jak ocean ponad przepaściami czasu, widzi owę złotą przyszłość ojczyzny; ludy wszystkie chylą przed nią czoło, płyną za nią jak chmury, uznawszy w niej piękno wieczne i myśl Bożą, wszechświat cały śpiewa pieśń jednę Bogu, a przez wszechświat idzie drogą narodów w nieskończoność i światło. Przepełniony szałem i szczęściem, poeta woła, że odtąd ojczyzna jego nie jest dlań miejscem, domem, obyczajem, skonem, albo zjawem państwa:

Ale Wiarą, — ale Prawem.
Ten już odtąd Bogu kłamie.
Kto cię zdradzi, kto cię złamie,
Bo myśl Boga w twojem łonie
I los świata w twym zakonie.

Ale wieszcz, ochłonąwszy z ekstazy swej, wyznaje, iż słowa są jego tylko echem marzeń, które śnili wspólnie z kochanką, ale słowo jest tylko marną połową arcydzieł życia, modlitwa zaś godna Stwórcy nie zna rozdziału myśli i czynów, a „co głosem śpiewa, to wciela pomału w kształt dotykalny", więc, ponieważ w pieśni tej wyśpiewał serce swe całe, rozstaje się odtąd nazawsze ze słowem, bo inne drogi otwarte przed nim i przed narodem: „zginście me pieśni — wstańcie czyny moje".

Tyle o treści cudownej tej tkanki marzeń: bezwzględność w apoteozowaniu przyszłości może się niepodobać cudzoziemcowi, ale szał natchnienia, potok słów płomieniejących ekstazą proroczą, bogactwo obrazów i języka, szlachetność wreszcie myśli, niezawodnie wstrząsną duszą wrażliwego na piękno czytelnika. Podobnież sędziom powierzchownym sprzecznością mogą się wydać słowa zachwytu poety nad dziejową przeszłością Polski, wówczas, gdy w przedmowie wiarę swą w święte powołanie narodu zasadza tylko na zewnętrznych warunkach politycznych, zastanówmy się jednak głębiej, a uznamy zasadniczą różnicę pomiędzy zapatrywaniami wieszcza naszego i poglądami Aksakowa na dzieje ojczyste. Prawosławie i forma rządu były przedmiotem uniesień słowianofilów i, konsekwentnie rozwijając poglądy swoje, dowodzili konieczności zerwania z Europą i powrócenia do moskiewskiej staroświeczczyzny w formach życia społecznego. Tymczasem piękny ustęp w „Przedświcie" o Czarnieckim i o cieniach ojców jest tylko wybrykiem entuzyazmu artysty: Krasińskiego bowiem pociąga wyłącznie strona poetyczna dziejów Polski, słynna po świecie całem rycerskość i męstwo przod-

ków, którzy przez wieki całe stawiali czoło wrogom chrześciaństwa i oświaty. Tak Francuz gotów się unosić zasługami narodu swego w walce w imię równości i wolności, Włoch sławą nieśmiertelną przodków na polu sztuki, Rosyanin wytrwałością ich w tylowiekowych cierpieniach pod jarzmem najezdców, ale poetyczne uniesienia owe nie doprowadzą jeszcze do bezwzględnej apoteozy przeszłości, do wytworzenia nieomylnych niby formuł, podług których naród ma nadal rozwijać się i do narzucania ich gwałtem narodom obcym, jednem słowem do tej ciasnej wyłączności, którą pomimo woli rozwinęli i utrwalili w społeczeństwie rosyjskiem Chomiakow i K. Aksakow; — naprzekor temu mesyanizm Krasińskiego, oparty na innych podstawach, inne również wskazuje cele: każe porzucić słowa, „które niechaj nucą dzieciątka niewinne“, a natomiast wstać każe czynom, by żyć i zginąć „cząstką w trudów arcydziele, zwrotką w poswięcenia hymnie“. Więc nie wstecz iść, nie odnawiać tego, co już ku chwale Boga i ludzi zginęło bezpowrotnie, lecz iść naprzód powolną i znojną drogą pracy i poświęcenia.

„Przedświt“ pozostanie najdoskonalszym wyrazem filozofii Krasińskiego, czuł to widocznie poeta, jeśli zapowiedział w poemacie, iż jest ostatniem słowem jego, niemniej przeto okoliczności zewnętrzne, zmusiły go wkrótce potem do wzięcia się znowu za pióro. Dążenia rewolucyjno-demokratyczne, znajdowały podówczas szeroki rozgłos w kołach emigracyi polskiej: mówiono o strupieszałości szlachty, o świeżym zasobie sił, jaki lud wnieść może na widownię dziejową, o potrzebę przeto dla narodu usunięcia szlachty i zastąpienia jej przez lud. Dążenia podobne przejmowały grozą wieszcza naszego, który od najmłodszych lat życia czuł niezwyciężony wstręt do krzykaczów klubowych, do rozruchów ulicznych i do wszelkich wogóle krwawych przewrotów, ciągnących za sobą rozbestwienie instynktów mas.

Przejęty oburzeniem Krasiński napisał „Psalm Miłości“, który w roku 1845 oddał do druku wraz z Psalmami Wiary i Nadziei, służącemi mu za wstęp; po rzezi galicyjskiej, która była jawnem potwierdzeniem poglądów poety, wydał w 1846 i 1847 r. „Psalmy Żalu i Dobrej Woli“, (pierwszy, jako odpowiedź na znany list Słowackiego), wreszcie „Dzień dzisiejszy“ i „Ostatniego“. W utworach tych nie wyrzekł wieszcz nic nowego; pod względem artystycznym, jako tendencyjno-polemiczne, stoją z wyjątkiem Psalmu Dobrej Woli, nierównie niżej od „Przedświtu“, dlatego też nie wchodząc w szczegółowy ich rozbiór, poprzestanę na streszczeniu lub przytoczeniu ustępów, które możemy uważać za dobitne przyczynki do wygłoszonej w „Przedświcie“ teoryi. Za tło do „Psalmu Miłości“, służą piękne słowa przytaczane z pewnemi odmianami, w początku kilku strof ostatnich: „Hajdamackie rzućcie noże! By nie klęły na was wieki, Że cel wieków znów daleki!“ Bo z dwojga złego — śmierć lub krwawa groza i srom rzezi rewolucyjnych — lepszą jest pierwsza, albowiem „zmartwychwstaje się zpod gromu, — nie zmartwychwstaje zpod sromu“. W powolnej zaś a znojnej drodze do urzeczywistnienia ideałów narodowych lud, ślepy i nierozwinięty, nie zdoła zdziałać nic bez pomocy szlachty, która mu powinna przewodzić, jako jedyny żywioł dojrzały historycznie, który piętno prac swych cierpień i dążeń wycisnął na dziesięcio-wiekowych dziejach ojczyzny. Tylko poświęceniem bez granic można dokonać rzeczy wielkich, a zaś jedynie szlachta dzierży w ręku „ofiary moc“, więc

„Wie się ona przeznaczoną
Do noszenia tu korony,
Lecz jedyną tu koroną
Wylać ducha na miliony!
Ciałom wszystkim rozdać chleba —
Duszom wszystkim — myśli z nieba!

Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie.
Tak Bóg czyni we Wszechświecie,
Bo cel światów szlachetnienie".

W tych słowach ostatnich wyraził się swojski wszystkim w ogóle poetom polskim, a wyssany z tradycyj dziejowych poetyczny demokratyzm, pełen wysokiego pojęcia o godności i obowiązkach szlachty, a dążący nietylko do równouprawnienia ludu, ale do uszlachcenia go, t. j. do podniesienia jego poziomu moralnego i umysłowego, aby mógł stać się godnym nobilitacyi.

Silniej jeszcze wyraził Krasiński ulubioną myśl swoję o konieczności ofiary w pełnym polotu lirycznego Psalmie Dobrej Woli, który Tarnowski, najgłębszy z krytyków Krasińskiego, uważa za najpiękniejszy owoc natchnień poety. Psalm ten może stanąć obok psalmów proroków biblijnych; bo z wieszczem namaszczeniem proroka zwraca się poeta do Boga, z sercem zbolałem nieszczęściami spadającemi na kraj, lecz z pogodą i ufnością, jaką ciepło wiary nadaje — i dzięki składa Najwyższemu za wszystko, za tysiącletnie pasmo dziejów niezmazanych plamą żadną, za cierpienia obecne, ponieważ krzyż znakiem jest łaski nieba, a błaga tylko o ducha mocy i ofiary, by naród sam siebie mógł wkrzesić czynami świętemi, gdyż bez nas samych Bóg nas zbawić nie może: On tak „ugodnił wysoko człowieka", iż wolną dał mu wolę, by mógł za wyborem własnym pójść po drodze boskiej do boskiego prowadzącej celu.

Zmysł krytyczny miał Krasiński i mieli słowianofile; ale ci wytężyli wszystkie siły umysłu ku naukowemu ugruntowaniu poglądów swoich; nie zwracali zaś uwagi, albo, jeśli zwracali, to zbyt nawiasowo, na to, że społeczeństwo rosyjskie było nieskończenie dalekiem od zrozumienia i przejęcia się ich ideałami; jednostronność ta stała się szcze-

gólnie rażącą u następców Chomiakowa, którzy, według Mamonowa, przekształcili wzniosłą naukę ich mistrza na zbiór ciasnych klerykalnych formułek. W umyśle zaś Krasińskiego nierównie większem było poczucie ideału, większą żądza czynu, dlategoto poglądy swoje mesyaniczne naszkicował tylko zlekka, a całej gorącości ducha i całej potęgi natchnienia swego użył na niezmordowane wzywanie rodaków do pokuty i do pracy. „Nagroda wieńczy tylko poświęcenia czyny", te słowa Krasińskiego możemy uważać za godło całej jego poezyi. Postać autora „Irydiona" pozostanie nazawsze jednem z najpiękniejszych zjawisk w świecie moralnym.

SZEWCZENKO i GOGOL.

Tak dziś rozpowszechniony w literaturze pesymizm znalazł wyraz w utworach wielu znakomitych poetów naszego stulecia, ale chyba żaden z nich nie miał tyle prawa do narzekań, żadnego nie traktował los tak pomacoszemu, jak Tarasa Szewczenkę; z 47 lat życia zostawać 24 lata w poddaństwie, a dziesięć lat opadać z sił pod ciężarem służby garnizonowej pośród oddalonych stepów uralskich, w ciągłej zależności od kaprysu pijanych naczelników, zaiste, los to stokroć gorszy, aniżeli cierpienia więzienne słynnego Silvio Pellico, który wzbudził niegdyś ku sobie współczucie całej myślącej Europy. Jednak nieszczęśliwy Szewczenko, nie zwątpił ostatecznie; jak wszyscy poeci słowiańscy, znalazł ukojenie w mistycyzmie.

Streśćmy pokrótce główne fakty z życia Szewczenki: w chacie ubogiego włościanina przychodzi na świat przyszły poeta, wcześnie odumiera go matka, a biedny, lecz żywy chłopczyna, doznaje srogiego prześladowania macochy, która za karę swawoli dziecinnych posyła go w stepy paść świnie od wiosny do późnej jesieni. Sam jeden wśród stepów, godzinami całemi wpatruje się w nieskończoną przestrzeń, z jakąś rozkoszą bezwiedną śledzi za biegiem promieni zachodzącego słońca, tonących w oceanie zieloności i już w chłopięcych latach przejmuje się dusza jego tą głęboką

tęsknotą i smutkiem, któremi dyszą stepy ukraińskie. Ojciec przeczuwa, że syn jego „ne bude abijakim czołowikom“, że „z joho bude abo szczoś duże dobre, abo welike ledaszczo“, i, idąc za głosem swego przeczucia, oddaje go na naukę do dziaka szkolnego, ale od jednego nauczyciela ucieka Taras do drugiego, potem do trzeciego, wszędzie go tłóką niemiłosiernie, chłopak nie znajduje nigdzie ani przystani dla burzliwego usposobienia, ani pokarmu dla żądz umysłu; starszy brat jego stara się go wciągnąć do pracy koło roli, ale napróżno, i brata opuszcza Taras, aż oto po wielu poszukiwaniach znajduje wreszcie przytulisko w słynnej ze swych malarzy Chlebnówce, i ma już oddać się nowemu rzemiosłu, gdy nagle biorą go gwałtem do dworu obywatela Engelhardta. Tam „awansuje“ na kozaczka pokojowego i Engelhardt zabiera z sobą 14 letniego lokajczuka zrazu do Wilna, potem do Warszawy; za zbytnie zamiłowanie do malarstwa, a za małą gorliwość w wypełnianiu nowych obowiązków, bije go z rozkazu pana służba cała, począwszy od kucharza i stangreta, aż nagle błyska Engelhardtowi myśl mieć własnego „nadwornego“ malarza; posyła więc Tarasa na naukę do rozmaitych malarzy warszawskich, a w r. 1832 wiezie go do Petersburga. Tam znajomości i stosunki z kilku wykształconemi osobami szybko rozwijają umysł młodzieńca, otwierają mu się oczy i jakże wtedy straszną wydaje mu się hańba zależności poddańczej! nieraz uśmiecha się przyszłemu poecie myśl odebrania sobie życia, w rozmowach zaś ze służbą Engelhardta nie liczy się z okolicznościami i puszcza wodze tajonemu oburzeniu. Sprowadza to nań gniew rządcy pańskiego, który skazuje 22 letniego artystę na oćwiczenie rózgami! Jedynie tylko szczere i gorące wstawiennictwo przyjaciół poety wybawia go od hańby. Nareszcie po trzechletnich staraniach osób tak wpływowych, jak poeta Żukowski, Szewczenko zostaje wykupiony z pod-

dańst wa (w r. 1838). W pierwszej chwili upaja go ogrom szczęścia, oddaje się rozpuście, wkrótce jednak budzą się w nim szlachetniejsze instynkty, a myśl o losie rodaków jęczących pod jarzmem poddaństwa każe mu wziąć pióro do ręki i stać się poetą cierpień ludu ukraińskiego; jeden po drugim zjawiają się jego poematy, sława jego rośnie w ojczystej Ukrainie, jedzie tam w r. 1845, poznaje Kostomarowa i innych znakomitszych rodaków, przejmuje się chrześciańsko-słowianofilskiemi dążnościami bractwa Cyryla i Metodego, nowe otwierają się przed nim obszary duchowe, promień szczęścia rozjaśnia spragnioną ideału duszę poety, ale krótkato i zawodna, niestety, radość; nagle uwożą poetę w te krainy, w których, jak powiedział Kulisz, o tyle możliwym jest rozkwit poezyi ukraińskiej, o ile wonność róż pod zabójczem tchnieniem północy. Biedny poeta! Dziesięć lat ciężkiej służby „sołdackiej“ — łajania, a nawet bicia, których naczelnicy nie szczędzili mu, ostatecznie go złamały. Wprawdzie w 1857 r. wrócił Szewczenko do Petersburga, zrazu był tam w modzie; zapraszano go na obiady, na wieczory i zgromadzenia, ale coraz rzadziej dźwięczała jego lira. Ciągle go prześladowały widma cierpień minionych pod postacią gorliwych śledzeń policyi za „dymisyonowanym żołnierzem Tarasem Szewczenką“. W czasie pobytu jego w Kijowie w r. 1859 aresztowano go znów bez żadnego powodu, a biedny poeta na posłuchaniu u gubernatora tak struchlał, że płakał! Wobec takiego nastroju ducha jedynie tylko „siwucha“ mogła go pocieszać. Autor „Hajdamaków“ rozpił się i zakończył życie swe pełne katuszy 25 lutego 1861 roku, w tej chwili, gdy Rosya cała witała okrzykiem radości ukaz carski, znoszący haniebne poddaństwo ludu!

W życiu Szewczenki odzwierciedliły się losy nieszczęsnego ludu ukraińskiego; poeta był zpod prawa wyjęty,

zrazu jako poddany, później jako „sołdat“, również wyjętem zpod prawa było plemię, które go wydało, plemię, które zaludniwszy stepy, pozbawione przeto granic przyrodzonych, wiecznie jęczało pod jarzmem sąsiadów i wrogów zarazem. Podobnie poezya Szewczenki w zupełności odpowiada zapatrywaniom na świat i na życie, oraz poezyi jego ludu: i tu i tam cechę zasadniczą stanowi uczucie smutku, pochodzące od cierpień odwiecznych ludu i poetyczna tęsknota, którą wpoiły szerokie zielone i rozspiewne głosami ptasząt obszary stepowe. Zdarzały się jednak w dziejach poniewieranego plemienia chwile, w których cierpienia przebierały wiarę: wówczas smutek cichy przeobrażał się w dziką rozpacz, a beznadziejna tęsknota w gwałtowne pragnienie zemsty i z nożem w ręku mścił się lud za męki swoje, potem w wierszach krwawych opiewał straszne czyny bohaterów-mścicieli.

I w poezyi Szewczenki, obok tęsknych i smutnych, znajdziemy motywy jadem nienawiści i żądzą krwi dyszące, ale pierwsze przeważają. Smutek głęboki przenika wszystkie myśli i uczucia poety; naprzykład, uczucie miłości indywidualnej wiąże się zawsze w poezyi Szewczenki z myślą o znikomości wszystkiego co ziemskie i z tęsknotą do życia pozagrobowego, gdyż dopiero tam, w owym lepszym świecie, możemy marzyć o wiecznej miłości. Ze wszystkich jednak uczuć najsilniej rozbrzmiewa w duszy poety miłość ojczyzny, chociaż smutek i tu przejawia się na każdym kroku; miłość to czysto fizyczna, taż sama, która podyktowała Syrokomli następujące dziwnie silne i piękne słowa:

Rodzinne łąki znam po aromacie,
Wodę rodzinną po smaku odgadnę,
Innego ptastwa śpiew mię nie omami,
Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa;
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami.
. . . . . .

Chlebie! Po twoim smaku i zapachu
Czuję znad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jej dzwonek, jak brzęczy nad głową.

Również czarujące wrażenie sprawiają ukraińskie motywy Szewczenki, natchnione miłością kraju. Niezmierzone okiem przestrzenie stepowe z ich roślinnością opromienioną miłemi słońca promieniami, malowniczo na tem tle zielonem rozrzucone w cieniu drzew wiśniowych i topoli białe chaty, rozlane wszędzie spokój i cisza wzywające do marzeń słodkich; wszystko to opisał i miłością swoją opromienił poeta: „o gdyby choć raz spojrzeć na miłą Ukrainę — marzył Szewczenko na wygnaniu swojem nad brzegami morza Kaspijskiego — napatrzeć się na nią, napić się wody dnieprowej i potem umrzeć!“ Ale ręka w rękę z namiętnem przywiązaniem do ojczyzny w myślach, w uczuciach i w utworach Szewczenki idzie zawsze szczere, współczucie dla cierpień ludu, które nadaje jego miłości odcień nieutulonego smutku. Smutek ten natchnął go do napisania „Katarzyny“, „Najemnicy“, „Czarownicy“, i innych poematów o treści podobnej. Hańba i bolesne owoce miłości nieprawej — oto ich treść główna: Katarzyna pokochała „Moskala“, wojskowego; ślicznie opisał poeta pierwsze uniesienia miłośne, później smutek i tęsknotę rozstania, hańbę nieszczęsnej ofiary miłości, wreszcie rozpacz rodziców, w których sercach poszanowanie prawa moralnego, oraz bojaźń opinii ogółu toczy walkę z miłością własnego dziecięcia; pierwsze uczucie bierze górę, córkę wypędzają z domu. Katarzyna idzie do ziemi „moskiewskiej“ szukać kochanka. Znajduje go wprawdzie, ale ten udaje, że jej nie zna i każe żołnierzom „odpędzić szaloną“. Nieszczęśliwa odbiera sobie życie. Wcale inaczej postępuje bohaterka poematu „Najemnica“: dziecko swoje podrzuca zamożnej, ale bezdzietnej

i starej rodzinie wieśniaczej, a sama, jako ich sługa najemna, pielęgnuje syna aż do ożenienia, ukrywając przed ludźmi swe uczucia matczyne; dopiero na łożu śmierci wyjawia synowi tajemnicę życia swego. Nierównie wyraziściej zarysowuje się postać Szewczenki w identycznym co do treści poemacie p. n. „Czarownica". I tu pan porzuca ubogą dziewczynę chłopkę, którą z sobą zabrał do Turcyi, gdy ta mu powiła tam dwoje bliźniąt: nieszczęśliwa matka po wielu przygodach przychodzi do wioski rodzinnej, ojciec wybacza jej winę i odtąd zamieszkuje ona z dziećmi we własnej chacie, ale gdy dzieci wyrosły, pan postępuje z córką, jak niegdyś z matką, syna zaś sprzedaje. Napróżno trzy całe lata szuka matka swych dzieci, błąka się po świecie szerokim, zmęczona wreszcie, wraca znów do wioski rodzinnej w chwili właśnie, gdy pan jej umiera; śmierć godzi ją z prześladowcą, modli się za duszę jego. Zaiste, godne podziwu i bohaterskie niemal przebaczenie! Rzadkie to uczucie rzuca oryginalne i wielce sympatyczne światło na poetę.

Nie będziemy się wdawali w szczegółowy rozbiór artystycznych lub psychologicznych zalet utworów powyższych: zaznaczę tylko, że poeta wykazał w nich większą znajomość duszy chłopskiej, aniżeli Gogol, który w „Wieczorach na futorze" i w „Mirgorodzie" opisał „głupich" chłopów z sarkastyczną protekcyjnością pana. Ale powinniśmy mieć na uwadze beznadziejnie smutny nastrój duszy Szewczenki wypływający z nieustannych rozmyślań o smutnej doli ludu swojego; ten nastrój ducha doprowadzał go nieraz do pesymizmu: „Czego pragniesz, co cię boli? — zwracał się Szewczenko do serca swego — uśnij, serce moje, na wieki uśnij, — nie patrz pełne smutku i żądz nienasyconych na świat i na ludzi szalonych... Zamknij serce, oczy!" A jednak od objęć rozpaczy chroniła Szewczenkę, podobnie jak Krasiński

głęboko w nim zakorzeniona religijność i ściśle z nią powiązana wiara w uzdrawiające i uszlachetniające działanie poezyi. Poezya — zdaniem Szewczenki — to rozmowa z Bogiem, która odrywa nas od padołu nędzy i grzechu, a podnosi ku niebu; poeta zaś jest wysłańcem Boga i pocieszycielem cierpiących. Tem uczuciem przejęty, Szewczenko przywiązywał szczególniejszą wagę do motywów historycznych w poezyi: bo cóż — twierdził on — bardziej przyczynić się może do podtrzymania ducha narodowego, na wysokości zadania w walce z groźną rzeczywistością, nad myśl o minionej sławie i wielkości. Owocem tego poglądu poety są liczne dumy historyczne i słynny poemat „Hajdamacy". Wyznajmy jednak, że poemat ten chyba nie wleje otuchy do duszy czytającego Ukraińca, Szewczenko bowiem nie napisał nic równie smutnego. Smutek bez granic i końca podaje tu z jednej strony rękę fatalistycznej beznadziejności, z drugiej zaś krwawym podszeptom nienawiści i zemsty: wiosna, stepy zielenią się i kwitną, w dąbrowach ptaki wesołym świegotem witają ciepłe tchnienia południa, ale nie mogą ludzie tem się zadowolnić — trzeba im chmur dymu i strumieni krwi, — o, ludzie! czy połączą was kiedy uczucia braterskie? Niestety! nigdy, — Troja starożytna była świadkiem ich dzikich zapasów i tak będzie po wieki wieków. Miesiącu bladolicy! straszneś widział rzeczy na ziemi, a jednak ukryj się lepiej poza górami, ażebyś nie był zmuszony płakać na starość. Nie potrzebują więcej ludzie twojego światła. Na takiemto tle kreśli poeta z dziką jakąś rozkoszą grozą przejmujące obrazy zemsty kozackiej. Ale w tym krwawym jego zachwycie dźwięczy ciągle głos nieutulonego smutku: Żeleźniak każe męczyć i pastwić się nad trupami poległych i umęczonych z obawy, aby nie zmartwychpowstali; w Łysiance kobzarz gra dziką pieśń na trupach, po których tańczą krwią pijani Kozacy; Gonta zarzyna własne

dzieci dlatego tylko, że je Polka urodziła, a potem zwraca się z prośbą do wiatrów, aby przyniosły jak najwięcej ciał polskich, ażeby dosyta mógł się napić krwi polskiej, ale we krwi się kąpiąc zarówno Gonta i Żeleźniak, jak i zakochany Jarema cierpią, tęsknią i smucą się, żadnemu z nich nie przyświeca radośny promień nadziei, że po krwi potokach nastąpią lepsze dnie dla nieszczęśliwej ojczyzny. Kończą się nareszcie rzezie — i znów żyto zielenieje na polach Ukrainy, znów wdzięczą się kwiaty na stepach, wiatr chyli wierzby i oczerety, wszystko zamilkło, wszystko jak niegdyś. „Snać taką była Boża wola", — fatalistycznie kończy poeta. W żadnym innym utworze Szewczenki nie znajdziemy tyle zrozpaczonej obojętności do wszystkiego, co go otaczało.

W ostatnich dniach tułactwa Anhellego po śnieżnych równinach Sybiru towarzyszyła mu Eloe, anioł smutku; zmarł tęskny bohater Słowackiego, a „Eloe usiadła nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach", czuwając, aby odgłosy życiowe nie zbudziły śpiącego marzyciela. Podobnież Szewczenko miał swego anioła smutku, zamierał w jego uściskach płomiennych, upajał się uczuciem swojem, a kochająca Eloe, chroniąc poetę przed rozpaczą, wprowadzała go do świątyni smutno-mistycznych westchnień i modlitw. Ale wówczas, gdy zachwyty mesyaniczne pchnęły w nowe obszary myśl Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego i gdy wieszcze nasi tworzyli całe religijno-filozoficzne systematy, pełne nieraz głębokości myśli i żaru uczucia — Szewczenko poetyzował smutek swój, nie potrącając prawie o palące kwestye współczesne. Zaczątki mesyanicznych jego popędów dają się dojrzeć w jednym tylko poemacie, w „Neofitach", i, dodajmy, w stopniu dość słabym. Tłómaczy się to przez niski stosunkowo poziom rozwoju umysłowego poety; nie zapomi-

najmy, że Szewczenko począł myśleć dopiero w dwudziestym roku życia, proces zaś samokształcenia z pomocą światłych przyjaciół przerwało długoletnie wygnanie, pozostał przeto poeta na zawsze „człowiekiem prostym“, dzieckiem ludu, ze zdolnościami gienialnemi wprawdzie, lecz niedostatecznie rozwiniętemi. Ztądto pochodzi ten rażący na pierwszy rzut oka ojcowsko-protekcyonalny ton listów Kostomarowa, Kulisza i Bronisława Zaleskiego do Szewczenki: chcąc się porozumieć ze śpiewakiem Ukrainy, musieli zstępować ze swych wyżyn duchowych. Prostota i szczerość uczucia, urocze, a pozbawione sztucznych efektów piękno formy, czarowna muzyka wiersza, oto wielkie zalety poezyi autora „Hajdamaków“, ale, gdy przedmiot wymagał szerszego na świat i ludzi poglądu lub głębokiej spostrzegawczości psychologicznej, wówczas stanowczo przerastał siły autora. Na poparcie twierdzenia powołujemy się na tak nieudatne utwory, jak „Krynica Moskiewska“ i „Księżniczka“. W pierwszym z nich skazany do ciężkich robót włościanin opowiada dzieje swoje: kochał niegdyś Kasię, ale dziewczynie bardziej się podobał Maksym, za którego też wyszła za mąż; zemstą więc i zazdrością powodowany bohater opowieści podpalił ich chatę, Kasia ze strachu umarła, a Maksym, którego pożar pozbawił mienia, musiał się nająć do roboty i pracą uczciwą zarobił sobie niewielkie mienie, ale wkrótce jednak wstąpił dobrowolnie do wojska, ażeby w ten sposób uwolnić od ciężkiego obowiązku jedynaka, syna teściowej swojej; po kilku latach wrócił do wsi rodzinnej, ale bez nogi, którą stracił na wojnie i znów wziął się do pracy; pracowite jego i pełne poświęceń życie doprowadzało do wściekłości bohatera. Długo walczył, aż nareszcie nie mogąc zapanować nad sobą, zabił Maksyma. Jakiżto bogaty temat dla psychologa w rodzaju, naprzykład, Dostojewskiego, ten stopniowy rozwój uczucia zazdrości! Tym-

czasem Szewczenko poprzestaje na opowieści gołych faktów, nastrój zaś duchowy bohatera swego umie wytłómaczyć tem tylko, że „dyabli opanowali jego duszę“, albo, że „gadzina trzykrotnie obwinęła się około serca“. Treścią „Księżniczki“ jest kazirodcze uczucie ojca do córki, ale przebiegowi namiętności poeta poświęca tylko 11 wierszy, wówczas, gdy resztę poematu stanowią nieciekawe opisy pałacu księcia, hałaśliwego jego życia, głodu we wsi itp.

Otóż należy mieć na uwadze wymienione niedostatki autora, chcąc wedle wartości ocenić poemat „Neofici“. „Neofitom“ Szewczenko nadawał nader doniosłe znaczenie: „Błagam Cię płacząc, — zwracał się w przedmowie do Najwiętszej Panny — zeszlij siły mej duszy ubogiej, abym umiał przemówić słowy ognistemi, aby słowa te przeszły przez Ukrainę całą i zapaliły serca ludzi“. Poecie uśmiechała się błoga nadzieja, że modły zostaną wysłuchane i że utwór jego „łzą ognistą spadnie kiedyś na ziemię i przestrogą się stanie dla przyszłych tyranów krzyżujących lud“.

Treść poematu nader prosta: w okolicach Rzymu mieszka możny i szczęśliwy Alcyd. Razu pewnego, gdy w towarzystwie wesołych heter, Alcyd oddaje się rozpuście, idący do miasta apostoł Piotr, wstępuje do niego na odpoczynek. Święty uczeń Chrystusów zniewala wymową swoją Alcyda i wesołe towarzystwo do porzucenia orgii i do wstąpienia w ślady jego. Cudowne to nawrócenie — piękny materyał dla poety-myśliciela — Szewczenko opowiada jak gdyby tylko mimochodem, podobnież, mimochodem i naprędce opowiedziane są inne epizody, a jakkolwiek niepodobną zarzucić poecie, aby nie odczuwał głęboko utworu swego, niemniej przeto sprawia on wrażenie na czytelniku, że napisanym został na prędce, że autorowi ciążyła myśl jego i że wskutek tego, nie troszcząc się ani o rozwinięcie szczegółów, ani o formę, starał się wylać byle prędzej wrzące w piersi

uczucie — słowem, że przedmiot przerastał siły autora. Wkrótce Alcyda wtrącają do więzienia i wywożą do Syrakuz; zrozpaczona matka udaje się do Cezara z prośbą o przebaczenie synowi, ale „biada ci! komuś w ofierze przyniosła łzy a ze łzami nadzieję? módlcie się tylko do Boga — do nikogo więcej...“ „Miłosierny bałwan“ (to jest bożek, w tem znaczeniu, że cesarzy rzymskich czczono jako bogów) rozkazuje jednak sprowadzić chrześcian z miejsc wygnania do Rzymu, ale w tym tylko celu, ażeby oddali cześć posągowi jego, któremu w świątyniach pogańskich i w miejscach publicznych składają hołdy boskie. „Módlcie się za Cezara — upomina Alcyd współtowarzyszów swoich — ale nie zginajcie kolan przed jego posągiem; prześladować i męczyć was będą, lecz nie traćcie nadziei, nie padajcie duchem, albowiem poczęli się już wnukowie wasi i, jako istni rycerze Chrystusa, bez ognia i bez noża pokonają świat bałwochwalczy“. Za taką naukę Alcyda rzucają do cyrku na pożarcie lampartom. Patrzy na to wszystko matka jego, widzi jak wywożą trupa syna i wrzucają do Tybru, jak wiją się nad nim na powierzchni rzeki kręgi szerokie, jak rozchodzą się dalej coraz i dalej, aż wreszcie ślad ich znika... i oto: „boleśnie, boleśnie zapłakała ona i po raz pierwszy się pomodliła za nas do Ukrzyżowanego; i zbawił ją ukrzyżowany Syn Maryi, i tyś, o matko, słowa jego żywe do żywej duszy przyjęła i do chat nędzarzy, do pałaców bogacza, na rynki od tłumów kipiące, poniosłaś słowa prawdy prawdziwego Boga“.

Myśl zasadnicza poematu da się wyrazić w sposób następujący: od cierpień życia jest jedno tylko zbawienie: poddać się woli Bożej, cierpliwie znosić brzemię ucisku i, nie tracąc wiary czekać, aż się ulituje Najwyższy. Na pierwszy rzut oka uderza pewne pokrewieństwo duchowe pomiędzy poematem Szewczenki, a „Irydionem“ Krasińskiego, albowiem

obaj poeci współziomkom wskazują pierwszych chrześcian, jako wzór do naśladowania, ale podobieństwo to tylko powierzchowne, ponieważ w poezyi Krasińskiego obok apoteozy cierpienia, które ma być oznaką łaski Bożej, wciąż słyszeć się dają pełne siły wezwania do walki ze złem, które wpoprzek stoi urzeczywistnieniu ideału: „Dość już długo brzmiał na strunach wieszczów żal! Czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stal!“ „Nagroda wieńczy tylko czyny poświęcenia;“ „Daj nam, o Panie, świętemi czynami śród sądu tego samych wskrzesić siebie!“ „Idźcie i czyńcie, chociażby serce wasze wyschło w piersiach waszych, chociażbyście zwątpili o braciach waszych i o Bogu samym mieli rozpaczać“, — oto cudowne akordy, które stanowią najpiękniejszą część poezyi Krasińskiego, a których brak w utworach wieszcza ukraińskiego. Mesyanizm Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego pełnym jest wiary ożywczej w bliską godzinę odrodzenia; wiarę tę znajdziemy i w utworach Szewczenki, ale wiara to w coś bardzo a bardzo odległego, wiara ginąca w falach myśli i uczuć pełnych rozdzierającego serce smutku. Mesyanizm „Neofitów“, będący apoteozą biernego cierpienia, nazwijmy mesyanizmem pesymistycznym; najchorobliwszy to rodzaj mesyanizmu. Chorobliwemi są nawoływania Mickiewicza do rozbudzenia w sobie ekstatycznych uniesień uczucia, chorobliwemi również zachwyty Słowackiego nad sennemi wytworami fantazyi, ale niemasz w życiu duchowem zjawiska równie chorobliwego, jak pesymizm.

2.

Nie wspomnieliśmy o Gogolu, gdy mowa była o słowianofilach i dopiero teraz, po krótkim zarysie mistycznych marzeń pieśniarza ukraińskiego, damy o nim pobieżną

wzmiankę. Badając prądy mesyaniczne, o ile one służyć mogą do określenia niektórych właściwości narodów słowiańskich, mamy przed sobą cele psychologiczne raczej, niż historyczno-literackie i z tego powodu uważamy za właściwe umieścić Gogola obok Szewczenki: chociaż cała działalność jego literacka należy do literatury ogólno rosyjskiej, ale z pochodzenia, z usposobienia i z poglądów Gogol jest Ukraińcem czystej krwi i przeto nierównie więcej ma wspólnego z autorem „Neofitów", aniżeli ze słowianofilami.

Namiętna miłość ojczyzny zagłuszała inne uczucia w duszy Gogola: „Rodacy! — woła on w testamencie swoim — kochałem was, kochałem tą miłością, która nie da się słowy wyrazić, którą dał mi Bóg, za którą dziękuję Mu, jako za największą łaskę, albowiem miłość ta jest radością moją i pociechą wśród najcięższych cierpień". Osnową tej miłości było to samo uczucie fizyczne, któreśmy widzieli u Szewczenki, z tą wszakże różnicą, że, wpatrując się w niezmierzone okiem i kwieciste przestrzenie stepowe, nie uczuwał on tęsknoty do uroczych krajobrazów cichej natury wiejskiej, do sadów wiśniowych, do chat białych i do tajemniczych głębi stawów; Gogol lubował się w równinach bezbrzeżnych, wzbudzały bowiem w nim nietylko miłość, ale i wiarę w wielką i świetną przyszłość Rosyi, oraz pragnienie pracy, któraby natchnęła rodaków jego tą miłością i wiarą. „Kto patrząc na te puste, niezaludnione dotąd i opuszczone przestrzenie — pisał Gogol w 1843 r. — nie uczuje tęsknoty, kto w dźwiękach serdecznych pieśni naszych nie usłyszy wyrzutów, skierowanych do siebie samego, ten albo spełnił już wszystkie swe obowiązki, albo nie jest w duszy Rosyaninem". „Pustkowia — znajdujemy w dalszym ciągu tegoż listu — napełniły duszę moję tęsknotą, ale zarazem wprawiły ją w zachwyt ogromem swoim. I z serca całego zawołałem wtedy do Rosyi: „czybyś nie

miała wydać bohatera, skoro takie dajesz obszary siłom jego żądnym działania i walki".

Uczucia nieogarnionego smutku i tęsknoty, które się rozwinęły zarówno pod wpływem natury ukraińskiej, jak dziejów kozackich, wycisnęły piętno na ludowej i artystycznej poezyi Ukraińców. Uczucia te przenikają nawet patryotyczne zachwyty Gogola, ale, wówczas, gdy smutek doprowadzał Szewczenkę do krwawych marzeń o straszliwej zemście nad ciemiężycielami ludu, łagodny z usposobienia Gogol dalekim był od takich myśli: w porównaniu do Szewczenki, autor „Martwych Dusz" odznaczał się większą biernością względem życia potocznego, ale natomiast posiadał znakomity dar spostrzegawczy i rzadką zdolność skupiania wszystkich sił ducha w jednym kierunku. W głębi duszy jego (jak u wszystkich mesyanistów) spoczywały dążenia idealne, osnute na tle religijno-patryotycznem, i poeta używał całej swej spostrzegawczości, jako niewyczerpanego materyału do rozmyślań nad tem, o ile rzeczywistość odpowiadała wymarzonym przezeń ideałom. Widząc pomiędzy jednym światem, a drugim przepaść nieprzebytą, dręczył się poeta i bolał, boleść ta jednak nie doprowadzała go do krwawych marzeń, lecz tylko do „śmiechu przez łzy:" Gogol chłostał nielitościwie i ze znakomitym humorem wady i błędy swego społeczeństwa i, co się tyczy talentu, to w tym względzie nie dorównał mu żaden z pisarzy rosyjskich. Nie mógł wszakże poeta zadowolnić się wyłącznie tylko negacyą. „Bądź błogosławioną wiaro święta! — pisał on w roku 1826 do matki, będąc jeszcze w szkole, pod świeżem wrażeniem wiadomości o śmierci ojca — w tobie znajduję źródło pociechy i uspokojenia w boleści". Otoż wychowany w tej głębokiej wierze od lat dziecięcych, Gogol wcześniej, czy później musiał się był zwrócić do religii i w niej szukać rozwiązania tłoczą-

cych się w duszy jego zagadnień. W „Rewizorze“ zamyślił zebrać, jak się sam wyrażał, w jednę kupę wszystko co było złego w Rosyi i odrazu wszystko wyszydzić. Komedya ta sprawiła w rzeczy samej wrażenie wstrząsające. Powodzenie oszołomiło autora. Pod wpływem powodzenia tego Gogol uwierzył w potęgę gieniuszu swego, żywszem tętnem zagrały w jego duszy idealne żądze i poeta uznał się za powołanego do poprawy społeczeństwa rosyjskiego za pomocą utworów swoich. Po „Rewizorze“ — pisał w wiele lat później Gogol w spowiedzi swojej — uczułem żywiej i silniej, aniżeli kiedybądź przedtem, potrzebę stworzenia dzieła wykończonego, w którem znalazłoby się nie to jedno tylko, z czego śmiać się należy“. Gogol zapragnął wtedy stworzyć typ Rosyanina ze wszystkiemi jego zaletami, któremi natura tak hojnie go obdarzyła, ale zarazem ze wszystkiemi prawdziwie o pomstę wołającemi wadami. „Sądziłem, że siła liryczna, której znaczny zapas czułem w sobie, pomoże mi do opisania tych zalet w taki sposób, że każdy Rosyanin miłością do nich zapłonie, siła zaś śmiechu, której równy posiadałem zapas, jak mi się zdawało, da mi możność wady te przedstawić tak jaskrawie, że je czytelnik duszą całą znienawidzi, chociażby nawet w sobie samym je znalazł“. Ale aby celu tego dopiąć, należało przedewszystkiem samemu sobie wyjaśnić, co w charakterze Rosyanina stanowiło przymiot jego główny, a co wadę, drogą zaś do tego wiodącą miała być praca nad poznaniem natury ludzkiej w ogólności. Mając myśl tę na celu, Gogol począł studyować moralistów i prawodawców i w ten sposób, sam sobie z tego nie zdając sprawy, (jak to opowiada w swojej spowiedzi) doszedł do uznania Chrystusa za wzór wszystkich cnót i wywnioskował ztąd, że, aby móc pisać o duszy ludzkiej, należało samemu przejąć się wzniosłym ideałem chrześciańskim i stać się lepszym.

Jednakże listy prywatne poety wykazują, że przebieg myśli i wrażeń, który doprowadził go do zwrotu w kierunku chrześciańskim, odbywał się w nim wcale nie tak nieznacznie: od dziecinnych jeszcze lat, marzenia idealistyczno-religijne stanowiły jednę z cech zasadniczych duchowego nastroju Gogola, opanowały go zaś ostatecznie wczasie choroby w Rzymie w 1840 roku. Cierpienia fizyczne naprowadziły poetę na myśl o znikomości rzeczy ziemskich, schorzałą jego wyobraźnię pochłonęła bojaźń przerażającej tajemniczości życia pozagrobowego i wtedyto doszedł Gogol do przekonania, że zbawienie duszy i osiągnięcie wiekuistej szczęśliwości jedynym jest celem w życiu i że nieustanne do tego nawoływania pisarz każdy powinien poczytywać za główny obowiązek. Myśl ta przenika odtąd wszystkie listy jego. Oto co pisał wkrótce po wyzdrowieniu (1841 roku): „Piszę teraz do was dlatego, żem zdrów, dzięki cudownej łasce Boga, który mię znów do życia powołał, po strasznej chorobie, z której, wyznać to muszę, nie przypuszczałem, abym kiedykolwiek mógł się wyleczyć. Zmiany cudowne zaszły w myślach moich i uczuciach. Cieszę się ze wszystkiego, literalnie ze wszystkiego, co się ze mną dzieje, a jak pomyślę do jakich cudownych dobrodziejstw doprowadzało mię to, co świat powszechnie nazywa niepowodzeniem, wówczas rozczulona dusza moja nie znajduje słów na wyrażenie wdzięczności swej tej ręce niewidzialnej, co ją prowadzi". Nader dokładnie określił Gogol usposobienie swoje w jednym z listów późniejszych (z r. 1845), z którego wyjątek już tutaj przytoczyć możemy, ponieważ od r. 1840 nie zmienił poeta swych pojęć religijnych: „od czasu jak opuściłem Rosyą, zaszła we mnie zmiana wielka. Sprawy tyczące się życia duchowego pochłonęły mię całkowicie i zrozumiałem, że, nie udoskonaliwszy się uprzednio, nie potrafię użyć zdolności i sił swoich na *korzyść* współbraci, że praca moja fałszywym tylko i chwilc

wym blaskiem świecić będzie, że w istocie rzeczy marną będzie i bezskuteczną. Jak mię Bóg do tego doprowadził, jak niepostrzeżenie wykształciła się pod tym względem dusza moja, to Bóg jeden wie; tego opowiedzieć nie podobna; na to foliałów całych trzeba, i foliały te swoją drogą nie wypowiedziałyby wszystkiego". Pod wpływem tych myśli o konieczności doskonalenia się duchowego, Gogol uwierzył wreszcie, że tą właśnie drogą dopnie upragnionego celu i że z czasem na tyle duchowo dojrzeje, że zdoła wylać natchnione z góry myśli swoje w utworze, który pociągnie na drogę prawdy cały naród rosyjski. Goszcząc nieustannie w krainie marzeń mistycznych, zapominał Gogol o życiu rzeczywistem. Starania o sprawach codziennych uważał za niegodne siebie: jak tylko wyzdrowiał, wnet zapragnął jechać do Moskwy, ale jakże tu się zająć samemu drobiazgami podróży? prosił przeto Pogodina i K. Aksakowa, ażeby po niego przyjechali: „powinniście jak dziecko mię piastować — pisał Gogol do K. Aksakowa — ale nie dla mnie samego, nie; przyjeżdżajcie po mnie, a będzie to zasługą z waszej strony. Zabierzecie ztąd wazę glinianą. Waza ta obecnie popękana, stara i ledwo się trzyma w całości, ale skarb się w niej mieści. A skarbu tego strzec należy". W tym samym mniej więcej czasie, na tej samej drodze znalazł się Adam Mickiewicz: gorąco zapragnąwszy skierować dążenia narodu ku szczytnym celom, doszedł wieszcz nasz, równie jak Gogol, do przekonania, że aby móc prawdę ludziom głosić, należy przedtem samemu stać się doskonałym i co najważniejsza obaj uznali za rzecz niezbędną nieustannie w sobie rozwijać i podsycać w tym celu ogień zachwytu religijnego. „Modlitwa powinna być zachwytem — dowodził autor „Martwych dusz" w liście do Jazykowa 1843 r. — t. j. należy skupić w modlitwie wszystkie siły duszy, i jeśli

pozostawać w takim nastroju przez pewien przeciąg czasu, wówczas natchnienie samo przyjdzie i pozostanie jedno tylko: wziąć pióro do ręki i pisać, albowiem wszystko będzie już gotowe w umyśle i przedmiot sam, i głębokie jego znaczenie i siła wyrazów". Pomimo jednak pokrewieństwa duchowego i tożsamości punktu wyjścia, wkrótce obaj poeci, jakto zobaczymy poniżej, udali się na rozstajne drogi. Wykryć, zgłębić i opisać tajniki ducha idealnego Rosyanina, dać przez to społeczeństwu rosyjskiemu nową ewangielią moralności, oto cel, do którego zmierzał Gogol, przystępując do drugiej części „Martwych Dusz". W pierwszej, podróżującemu bohaterowi poety nasuwały się wyłącznie typy ujemne: marzyciel Maniłow, samolub i bez charakteru, — ograniczony, a pełny zwierzęcych instynktów Sobakiewicz — Nozdrew niedbający o jutro hulaka i szalbierz, — Pluszkin, wstrętny i głupi sknera — wreszcie sam bohater, Czyczykow, był typem ujemnym, wprawdzie autor nadał mu główne, zdaniem jego, zalety charakteru narodowego rosyjskiego, a mianowicie, stałość niezłomną w walce z przeciwnościami i dyplomatyczną umiejętność zastosowywania się do ludzi rozmaitych usposobień i rozmaitych warstw społecznych; ale przymiotów, któremi natura tak go hojnie obdarzyła, używał Czyczykow do osiągnięcia celów egoistycznych i poziomych; wychowany w rodzinie urzędniczej, nieposiadającej i nieuznającej żadnych zasad moralnych, pozbawiony przeto od dzieciństwa dobrego przykładu, miał Czyczykow jedno tylko na widoku — zrobienie fortuny; istnienia wznioślejszych ideałów nie przypuszczał, a dążył do celu swego, nie przebierając w środkach i z godną lepszej sprawy wytrwałością; fatalizm [illegible] nad nim, nie [illegible] mu się zadne plany i kombinacje [illegible] na duchu; w drugiej jednak części miał się [illegible] podług planu [illegible] innego [illegible] moralnym, i pod

uszlachetniającym ich wpływem, przeobrazić się w owego idealnego Rosyanina, o którym autor nie przestawał marzyć. Praca ta jednak postępowała naprzód żółwim krokiem. Autor za wiele wymagał od niej i od siebie samego: drogą modlitw, uniesień i zachwytów religijnych pragnął wznieść się do nadprzyrodzonego obcowania z Bogiem, które miało mu dać natchnienie do głoszenia ludziom prawdy. Jakkolwiek miewał rzadkie wprawdzie chwile ekstazy, w których porównywał siebie, jakeśmy widzieli, ze starą wazą glinianą, zawierającą wewnątrz skarby, ale częściej wątpił i tracił nadzieję. Stan chorobliwy organizmu bodaj czy nie główną był tego przyczyną; rok 1845 dał się pod tym względem szczególnie we znaki poecie; dręczyły go cierpienia żołądkowe, rozstrój nerwów, nieustanne ziębienie wszystkich członków ciała, które go zmuszało do ciągłego ruchu, inaczej bowiem doznawał uczucia zimna tem dolegliwszego, że sztuczne ogrzewanie ciała zamiast uspokajać, rozdrażniało go więcej. Wobec tak smutnych warunków poeta przypuszczał, że wkrótce będzie musiał zakończyć wszelkie rachunki z życiem, wszystko, co dotąd napisał i wydał, uważał za rzeczy bez wartości i niepotrzebne (Korespondencya, wstęp t. IV, str. 559), a jednak nie chciał zejść ze świata nie zostawiwszy po sobie trwałego wspomnienia i oto, właśnie w tym celu, postanowił wydać wyjątki z korespondencyi swej z przyjaciółmi, w których wszelkiemi siłami starał się rozwiązać dręczące go zagadnienia treści etycznej. Działała jednak w tym razie inna jeszcze pobudka: uśmiechała się czasem autorowi nadzieja wyzdrowienia i przeto możliwości doprowadzenia do skutku zamiaru napisania drugiej części „Martwych Dusz". Ażeby z zadania swego sumiennie się wywiązać, należało poznać wszechstronnie naród rosyjski, ale zdawało się Gogolowi, że znajomości tej nie posiadał; czuł nad tem głęboko, a żywił właśnie tę słodką nadzieję,

że listy, w których roztrząsał kwestye najbardziej obchodzące ludzkość, poruszą do głębi społeczeństwo rosyjskie i zmuszą je do wypowiedzenia poglądu swego na sprawę, najważniejszą, zdaniem poety, ze wszystkich. „Korespondencyą“, drukowano w Moskwie, pod redakcyą Pletniewa; przez cały ten czas Gogol był w ciągłym niepokoju, a listy jego świadczą, jak ogromną przywiązywał wagę do tego dzieła swego: „Porzuć wszystkie twoje sprawy prywatne, — upominał Gogol Pletniewa — a zajmij się drukiem korespondencyi. Bo ona potrzebną jest, nadzwyczaj potrzebną dla wszystkich“. „Na miłość Boską, — pisał w liście następnym — użyj wszystkich sił i środków, aby ją czem prędzej wydrukowano. Zrób to nie dla mnie, lecz dla dobra ogólnego. Serce własne mi to mówi i nadzwyczajna łaska Boska, która dała mi siły do pracy, w chwili, gdy już nie śmiałem nawet marzyć o tem. Wówczas wszystko poczęło mi sprzyjać, odstąpiły mię nagle cierpienia i dolegliwości, znikły odrazu wszystkie przeszkody i trwał ten stan szczęśliwy, dopóki nie napisałem ostatniego wiersza swej pracy“.

Rzecz dziwna, do jakiego stopnia zaślepienia doszedł tu Gogol! Pomimo niejednokrotnych z jego strony zapewnień, że książka jego już przeto, że spowiedzią jest człowieka myślącego i utalentowanego, niejednę musi w sobie nową rzecz zawierać i że wyłożył w niej w sposób dosadny i jaskrawy „elementy rosyjskie“, (t. j. podstawy charakteru narodowego) nie znajdziemy w niej nic oryginalnego, przeciwnie, nader nieprzyjemnie uderzy nas ubóstwo zawartych w niej myśli; treść całą stanowią ustępy poetyczne o wielkości Rosyi i jej świetnej przyszłości, praktyczno-moralne nauczki dla obywateli ziemskich, gubernatorów, urzędników i ludzi światowych, dla kobiet wogóle i dla kobiet, jako żon i matek, wreszcie nie pozbawione czasami oryginalności uwagi

o poezyi rosyjskiej i o poetach, o znaczeniu przekładu Odyssei Żukowskiego dla społeczeństwa rosyjskiego. I na tem koniec. Gdzież więc szukać mesyanizmu? na czem autor opiera i jak rozwija swoje poglądy mistyczno-patryotyczne? Punkt wyjścia u Gogola ten sam, co u wszystkich mesyanistów: mianowicie chrześciaństwo i głęboka wiara w urzeczywistnienie ideałów Chrystusowych, za pośrednictwem ukochanej przez Boga Rosyi, ale, wówczas, gdy Mickiewicz, Krasiński, Chomiakow i nawet marzyciel Słowacki starali się mniej lub więcej filozoficznie poglądy swoje uzasadnić, Gogol o tem nie myślał wcale: wiarę swoję w przyszłość Rosyi wypowiadał w prześlicznych wprawdzie pełnych siły i uczucia lirycznego ustępach, ale na czemże ją opierał? na tem, że niezmierzone obszary Rosyi wspaniałem są polem do walk i czynów bohaterskich i że Rosya powinna przeto wydać bohaterów! — podobne wylewy uczucia zastępowały u autora „Martwych Dusz“ miejsce głębszych rozmyślań i badań, których najstaranniej unikał; na wszczynającą się wówczas polemikę słowianofilów z zachodowcami spoglądał z wysoka: „Wszyscy ci słowianiści i europeiści... — pisał Gogol — czy starowiercy i nowowiercy, zdają mi się tylko karykaturami tego, czem chcieliby być“, albo w innem miejscu: „Słowianofile to samochwalcy i każdy z nich wyobraża sobie, że on mianowicie odkrył Amerykę i stara się wmówić, że znalezione przezeń ziarnko ma rozmiary harbuza“.

Zamiast historycznego lub filozoficznego uzasadnienia teoryi swojej, a raczej wiary w Rosyą, Gogol nader starannie przeprowadza i rozwija myśl niepozbawioną pewnego związku z tą wiarą — myśl o swej niemocy duchowej, o konieczności poprawy, o ciągłem dążeniu swojem do moralnej doskonałości, o zależności posłannictwa Rosyi od rozpowszechnienia dążeń tych i usiłowań wśród całego społeczeństwa. „Nie na to przyszedłem na świat — powiada —

ażeby stać się twórcą epoki nowej w dziedzinie literatury. Zadanie moje daleko prostsze; przedewszystkiem powinienem myśleć, jak każdy zresztą człowiek, o duszy własnej". Do pracy tej wzywa też współziomków swoich: zamiast wytykać wady bliźnim albo wyszukiwać ujemne strony warunków życia społecznego i politycznego, należy pokornie przyjąć winę na własne barki i wszystkich sił duszy użyć, ażeby samemu stać się lepszym. Od stopnia osobistej doskonałości pojedyńczych jednostek zależy szczęście i przyszłość Rosyi. Zgodnie z tym poglądem, Gogol bardzo „pokornie", ale też bardzo logicznie broni wszystkich instytucyj społecznych i państwowych, przypisując ich pozorne wady winie wykonawców prawa: „Kto winien? My, czy rząd? Rząd zawsze i nieustannie działał. Świadczą o tem całe tomy przepisów, praw i ustaw, niezmierna ilość instytucyj wszelkiego rodzaju, naukowych, dobroczynnych i takich nawet, ktore w żadnem innem państwie nie istnieją. Z góry szły zapytania — odpowiedzi z dołu". A odpowiedzi, zdaniem Gogola, były zawsze niezadowalniające, zawsze świadczyły o niskim stopniu moralności wykonawców: „Wszędzie, wszędzie dokądkolwiek się zwrócę, widzę, że wina cięży na tych, którzy zastosowują prawa, a więc na nas samych". Nieraz nawet doskonałość praw wprawiała naiwnego autora w jakiś zachwyt mistyczny: „Im bardziej przyglądać się będziemy organizmowi zarządu gubernialnego, tem bardziej musimy podziwiać mądrość założycieli: mówią, że Bóg niewidzialnie dla innych budował rękoma monarchów. Wszystko doskonałe, wszystko tak urządzone, ażeby zachęcać ludzi do pięknych czynów, a powstrzymywać na drodze do nadużyć".

Podobnie jak słowianofile, wywyższa Gogol prawosławie i samowładzę monarszą, które zdaniem jego, wspólnie podają ręce ułomnej ludzkości i prowadzą ją na drogę prawdy. Nie znajdujemy jednak u Gogola tej jasności i dokła-

dności, która cechuje słowianofilów; Gogol poprzestawał na lirycznych wylewach uczucia: katolicyzm porównywał do skrzętnej gospodyni Marty, a prawosławie do skromnej Maryi, która, nie dbając o rzeczy ziemskie, usiadła u nóg Zbawiciela, aby móc słuchać jego nauk boskich. Dlategoto „kościoł prawosławny, zapatruje się na życie tak szeroko i wszechstronnie, tylko prawosławie jest w stanie rozwinąć wszystkie lepsze pierwiastki umysłu i serca. Prawosławie zawiera w sobie wszystko, czego wymagają warunki życia rosyjskiego, zarówno pod względem państwowym, jako też rodzinnym, wszystkiemu nadaje kierunek, wskazuje drogę prawdy". Katolicy zarzucają kościołowi prawosławnemu brak żywotności, ale „my jesteśmy trupami, a nie nasz kościoł, bronić go powinniśmy nie roztrząsaniami oderwanemi, ale życiem naszem". W tej sprawie świętej naród rosyjski ma pochodnię i podporę w osobie swego monarchy. Miłością wielką ukochał on poddanych swoich, bo wie jaką jest odpowiedzialność jego wobec Boga, który naznaczył go zastępcą Tego, który jest miłością" — dlatego prowadzi on naród swój, „do tego światła, wśród którego Bóg przebywa". „Wszystkie karty dziejów naszych — pisał Gogol w tym samym ustępie — dobitnie świadczą o woli Opatrzności, aby się utworzyła w Rosyi i rozkwitła w całej pełni samowładza monarsza. Wszystkie zdarzenia dziejowe, począwszy od niewoli tatarskiej, wyraźnie nauczają, że cała potęga władzy powinna być ześrodkowaną w ręku jednego, aby ten jeden mógł nadać kierunek państwu, poruszyć siły społeczne i natchnąć serca poddanych tem wysokiem pojęciem o istocie i obowiązkach człowieka, bez którego nie możemy ani zrozumieć siebie, ani osądzić, ani uzbroić się do tej walki przeciwko wszystkiemu, co ciemne i złe, na czele której stoi i którą kieruje nasz samowładny monarcha. A właśnie tą świętą żądzą walki powinniśmy się starać wszyscy rozpalić,

ażeby car mógł, jeden na czele wszystkich, z pochodnią w ręku, prowadzić naród cały, niby jednę duszę, do tego światła wiekuistego, którego łaknie Rosya". Olbrzymie to znaczenie władzy monarszej głęboko, zdaniem Gogola, pojęli poeci rosyjscy, miłość i bezgraniczne oddanie się carowi stanowi treść i siłę ich liryki, w której „wskutek tego czuje się jakiś prawdziwie carski majestat".

3.

Nie odznaczała się więc nauka Gogola głębokością i dziwnato rzecz, że autor mógł tak głęboko wierzyć, iż słowa jego wstrząsną całe społeczeństwo rosyjskie, że mógł tak naiwnie przywiązywać cudowną niemal wagę do tych napomnień moralnych. Przytoczymy jeden jeszcze ustęp nader wymownie świadczący o „świętej prostocie" autora we wszystkiem, co się tyczyło spraw tego świata; oto w jednym z listów swoich radził jenerał-gubernatorowi, ażeby porzucił wszelkie kancelaryjne zwyczaje i przepisy, a natomiast, ażeby osobiście rozmawiał z urzędnikami i tłómaczył im ich obowiązki: „o obowiązkach można tak pięknie mówić — pisał Gogol — że obydwom, (tj. zwierzchnikowi i podwładnemu) zdawać się będzie, iż r o z m a w i a j ą z a n i o ł a m i w o b e c n o ś c i B o g a s a m e g o. Staraj się więc pan przemawiać do duszy podwładnych. Nie zapominaj, że w mowie rosyjskiej zwierzchnik nazywa się ojcem. Bądź z nimi, jak ojciec z dziećmi, a ojciec przemawia wprost do dzieci, nie wdając się w korespondencye listowne. Postępując w taki sposób, wprowadzisz pan podwładnych na drogę zrozumienia obowiązku i spełnisz czyn prawdziwie wielki".

Tę smutną działalność autora „Martwych dusz" w osta-

tych latach życia jego. Pypin[1]) starał się wytłomaczyć przez to, iż brakło Gogolowi wykształcenia poważnego, oraz, że umysłem jego nie przestawały kierować odgłosy wpływów Puszkina i Żukowskiego, które niegdyś jeszcze ugruntowały w nim ściśle zachowawcze napatrywania. Pełen szlachetnego oburzenia na nędze życia, — powiada Pypin — a jednocześnie pełen żądzy pracy dla dobra ogólnego, Gogol nie umiał dopatrzeć związku pomiędzy niższeństwem urzędników a ciemnotą, albo pomiędzy ciemnotą a politycznym i społecznym ustrojem Rosyi. Gogol przecenił powodzenie swoje, uniósł się wiarą we własne siły, wziął się nagle do rozwiązywania kwestyj, których rozwiązać nie był w stanie, i zwrócił się do łatwej dydaktyki, sądząc, że wszystko zależy od wyjaśnienia ludziom prawideł moralności chrześciańskiej, że to wyjaśnienie zmusi każdego zosobna do poprawy, że, pod wpływem „Korespondencyi", urzędnicy przestaną kraść, obywatele bić chłopów i wszystko odtąd pójdzie jaknajlepiej. Nie ulega wątpliwości znaczna doniosłość tych przyczyn, które wskazuje Pypin, główną jednak, zdaniem naszem, stanowią nie warunki wychowania i otoczenia Gogola, ale przyrodzona organizacya jego sił duchowych, te dary i zasoby umysłu, które z sobą przyniósł na świat. Jeśli mamy, podług Bain'a, dzielić charaktery ludzkie na trzy rodzaje, stosownie do tego, co w nich przeważa, rozsądek, uczucie, czy wola, to Gogol w takim razie niechybnie zaliczonym być musi do kategoryi drugiej: uczucie jego uzewnętrzniało się we współczuciu dla cierpiących i w gorącem pragnieniu uszczęśliwienia bliźnich, ale energią tego uczucia osłabiało w znacznym stopniu działanie rozumu, który z dziwną zaiste spostrzegawczością umiał wynajdywać ujemne strony życia, a przez to krępował, sprowadzał niemal

[1]) „Charakterystyki prądów literackich w Rosyi". 1873.

do zera wolę poety, a to tem bardziej, że Gogol nie posiadał w sobie tej często wrodzonej umysłom poetycznym żądzy czynu i walki, którą posiadali naprzykład Byron, Lermontow i inni. Gogol nie znajdował w sobie samym dość sił, ażeby powstać, jakto zrobił Bieliński, przeciwko złemu, ze złożonemi rękoma znosił rozpaczliwe jarzmo warunków politycznych i szczęśliwość społeczeństwa rosyjskiego pokładał w dążeniu każdej zosobna jednostki do doskonałości chrześciańskiej.

Zestawiliśmy wyżej Gogola z Mickiewiczem; doprowadźmy porównanie nasze do końca, a czytelnicy dokładniejsze będą mieli wyobrażenie o autorze „Martwych dusz“: Mickiewicz był olbrzymem ducha w całem znaczeniu wyrazu, łagodny zaś i pokorny Gogol zdałby się prędzej na oderwanego od świata mnicha, niż na bojownika prawdy; wybuchy uczucia doprowadzały Mickiewicza do ekstatycznych zachwytów, wówczas przestawały dla niego istnieć żelazne pęta rzeczywistych warunków życia, poeta wierzył, że myśl jego stanie się ciałem; przejęty ideą, że zbawienie ojczyzny zawisło od moralnej doskonałości społeczeństwa, i że doskonałość ta polegać powinna na ciągłej ekstazie uczuć religijnych i patryotycznych i na ciągłej gotowości złożenia siebie w ofierze dla dobra narodu, począł twórca „Dziadów“ głosić ideę ukochaną wszystkim i wszędzie z niezrównaną siłą i natchnieniem. Nawoływań jego słuchano z uśmiechem szyderstwa i politowania, wielu miało go za szarlatana, ale nie tracił wieszcz nadziei; z pogardą i dumnem poczuciem słuszności swej sprawy potępiał przeciwników żywem słowem i piórem; narodowi własnemu na zebraniach kółek emigracyjnych, Europie całej z katedry Collége de France, obwieszczał z podziwu godną odwagą to, co za prawdę uważał. Nie miała jednak nauka jego powodzenia, nawet bliskie kółko czcicieli ni-

do zrozumienia poety, ale niestrudzony bojownik nie upadł na duchu: nie porzucając ani przekonań swoich, ani nawoływań do pokuty i poprawy moralnej, postanowił Mickiewicz inną jeszcze drogą działać, rozpoczął czynną walkę przeciwko tym formom społecznym i państwowym, które zawadzały urzeczywistnieniu ideałów jego; formował w Rzymie w roku 1849 legiony polskie, mające stanąć w obronie niezawisłości Włoch, — w r. 1855 porzucił rodzinę, poniósł trudy życia obozowego i wśród cierpień fizycznych i zgryzot moralnych wyzionął ducha w Turcyi, wszystkie siły swe poświęcając sprawie połączenia narodów słowiańskich dla walki z Rosyą. Działalność Mickiewicza możemy uważać za pozbawioną gruntu, ale niepodobna nie ugiąć czoła przed potęgą energii wieszcza. Mickiewicz nie wdawał się w roztrząsania; szedł za nieomylnym głosem serca i z niezłomnym uporem rozgłaszał i starał się w czyn przekształcać te myśli, które powstawały w głębiach jego ducha pod wpływem uniesień i zachwytów uczucia.

Jakże godnym politowania był pod tym względem Gogol: „Korespondencya“ jego, podobnie jak prelekcye Mickiewicza, stała się przedmiotem szyderstw powszechnych i pocisków, i biedny autor najzupełniej postradał równowagę. Znając nastrój duchowy poety, — tę świętą żądzę prawdy, która w nim gorzała, z łatwością zrozumiemy niepokój, który go dręczył na myśl, jakie wrażenie wywoła książka jego, czy wywrze wpływ dodatni, czy będzie mógł pożegnać życie z pocieszającą myślą, że praca jego wydała owoce, — zrozumiemy również tę rozpacz i te skargi, któremi napełniał Gogol, po wyjściu z druku „Korespondencyi“, wszystkie listy do przyjaciół, ale wyznamy, że karłem duchowym był autor „Martwych dusz“ w porównaniu do wielkiego Mickiewicza, bo ani ufał w siły swoje, ani umiał walki z przeciwnościami, chwiał się nawet w wie-

rze w moc i zbawienność zasad swoich, nawzajem sam potrzebował otuchy, rad życzliwych, pomocy i opieki. Tymczasem, książka, w której, chcąc nieść pomoc bliźnim w ich cierpieniach i ułomnościach, wyspowiadał się ze wszystkich myśli i uczuć swoich i wszystkich sił ducha użył, ażeby wskazać i wyłożyć środki, prowadzące do spokoju wewnętrznego, — książka ta stała się przedmiotem jadowitych wycieczek, a Bieliński, najznakomitszy i najszlachetniejszy krytyk, niegdyś wielbiciel talentu Gogola, radził mu leczyć się w domu obłąkanych! Takich ciosów Gogol nie umiał przenieść: „Nie mogę pojąć — pisał wówczas (1847 r.) do Sergiusza Aksakowa — jak się to stało. żem jeszcze głowy nie stracił, żem nie zwaryował! Wiem tylko, że serce moje złamane, i że straciłem zdolność do pracy! Można walczyć z najsroższymi wrogami, ale niech Bóg każdego uchowa od strasznej walki z przyjaciółmi! Wówczas wszystkie siły zamierają". „Błagam was teraz już nie o miłość i nie o przyjaźń, — pisał Gogol później nieco — nie miejcie dla mnie przyjaźni, ale udzielcie mi choć kroplę miłosierdzia, bo mówię wam, że położenie moje bardzo ciężkie". Upadając pod ciężarem rozczarowania, Gogol z pokorą wyznawał, że słuszne są uwagi krytyków, a niepowodzenie książki swej przypisywał własnej niedojrzałości: „powiem wam otwarcie i szczerze, — pisał w tym samym roku do księdza Matwieja — że przyczyną wszystkich wad mej książki nie tyle jest duma i zarozumiałość, ile własna moja niedojrzałość. Późno zacząłem się kształcić, w takim wieku, kiedy inni posiadają już wykształcenie, i z zadowolenia wielkiego, że udało mi się przezwyciężyć pod wielu względami, wyobraziłem, że mogę innych nauczać, napisałem książkę, a napisawszy, przekonałem się, żem sam jeszcze uczeń".

Powoli jednak począł Gogol znów do sił przychodzić. Zawsze żywiąc myśl napisania dalszego ciągu „Martwych

dusz", przedsięwziął trudną wówczas podróż do Jerozolimy, aby tam u grobu Zbawiciela móc otrzymać natchnienie z góry. Nie ziściły się jednak nadzieje jego; znalazłszy się już w Ziemi Świętej, pojął Gogol, że serce miał zbyt chłodne i zatwardziałe i że „dalekiem od niego było to, co uważał za bardzo bliskie". Pomimo to, wróciwszy do Moskwy, Gogol znacznie się ożywił i w ciągu 1849—50 roku pracował usilnie nad utworem swoim, w następnym jednak roku znowu zasłabł; jednocześnie ogarnęły go jakieś zachwyty religijno-mistyczne, i pewnego razu w nocy, w czasie modlitwy, usłyszał głosy tajemnicze, które mu zwiastowały bliską śmierć. Halucynacya ta silnie podziałała na Gogola, odtąd począł bardziej jeszcze badać samego siebie, zagłębiać się i truć myślą, że nie spełnił zadania swego i nie wprowadził społeczeństwa rosyjskiego na drogę prawdy; pod wpływem dręczących go ciągle zwątpień spalił rękopis swój; resztki drugiej części „Martwych dusz", które ocalały wypadkiem, nie dają najmniejszego materyału do sądu o mistycyzmie Gogola, opuszczamy je przeto.

Dwóch wielkich poetów wydała Ukraina w wieku naszym, obaj skłonni byli do marzeń mesyanicznych i u obydwóch sympatyczny ten, acz chorobliwy, rys uzewnętrznił się w sposób najbardziej chorobliwy, bo z silnym odcieniem pesymizmu. Wytłómaczyć to się daje przez to, że narodowość ukraińska w ciągu dziejów swoich wycierpiała od zawistnej surowości losu, więcej niźli inne pobratymcze narody. Czy należy skłonność tę do pesymizmu uogólnić i określić jako cechę charakterystyczną typu ukraińskiego? Na to za mało posiadamy faktów. Zdaniem naszem jestto chwilowe tylko spaczenie. Nie powinniśmy zapominać, że w zaraniu dziejów Rosyi piewcy narodowi Rusi południowej opiewali sławę bohatera, który z męstwem wielkiem i bezgraniczną ofiarnością poświęcał siły swoje na obronę ojczy-

zny od wrogów zewnętrznych i od ucisku wewnętrznego. Szlachetna i wyniosła postać Ilii Muromca oblała wspaniałem światłem ludowe epos kijowskie. Nie potępiajmy więc przedwcześnie pesymizmu „Neofitów“ i „Korespondencyi“ — i nie traćmy nadziei, że rzucone niegdyś ziarno rozkwitnie z czasem w poezyi ukraińskiej i zatrze to przykre wrażenie, jakie sprawia rozpaczająca muza Szewczenki i Gogola.

PIOTR PRERADOWICZ

W chwili gdy mesyanizm wybujał u nas, w Rosyi i na Małej Rusi, mieliśmy za sobą kilkowiekową spuściznę literacką; Rosya zaś, chociaż znacznie później wstąpiła na widownię cywilizacyjną, posiadała już wybitnych pisarzy, a co więcej ogrom i potęgę polityczną; Ukraina wreszcie, pomimo separacyjnych dążeń w literaturze, poczuwała się do łączności politycznej z Rosyą i najzdolniejszy jej przedstawiciel wnosił do piśmiennictwa wielkoruskiego potok marzeń mistycznych, wylęgłych na rodzinnym jego ukraińskim gruncie; inaczej jednak miały się rzeczy u naszych pobratymców z Zachodu i Południa: Czesi, Słowacy, Słoweńcy, Serbowie i Chorwaci poczynali dopiero przychodzić do świadomości swojego istnienia, a ruch literacki zwykł iść w takich wypadkach jednym torem: poczyna się bowiem od rozprawek gramatycznych i dzienniczków wydawanych dla ludu, a dopiero później walka z uciskiem wywołuje całą masę broszurek politycznych, o treści patryotycznej, pełnych wykrzykników, to powołujących lud do walki z wrogiem, to lamentujących na ucisk, jednem słowem o tendencyi zbyt jaskrawej i zbyt związanej ze sprawami dnia, aby przejść mogły do potomności, a tem bardziej zająć cudzoziemców. To też pozostawimy na uboczu zabarwione mesyanizmem panslawistyczne mrzonki poetów i my-

ślicieli czeskich i słowackich (Kollar, Sztur) o zatarciu odrębności narodowych w jakiejś wszechsłowiańskiej nirwanie, a zatrzymamy się na chwilę na bardziej realnej w polityce, a bogatszej w sztuce Chorwacyi.

Mała latorośl wielkiego południowo-słowiańskiego, czy też ilirskiego, lub serbo-chorwackiego szczepu zaczęła rozwijać się stosunkowo najpóźniej, gdyż dopiero w 1835 r. Ludwik Gaj począł wydawać pierwsze pisemko (Danica Ilirska) w narzeczu literackiem, mającem za sobą pewną tradycyą w płodach piśmiennictwa Dubrownickiego w XVI i XVII wieku. Treść tej kiełkującej literatury chorwackiej, stanowiły przeważnie artykuły, broszury i wiersze polemiczno-patryotyczne, oraz rozprawki z dziedziny filologii. Praca ta, pochłaniając umysły najzdolniejsze, uniemożliwiała rozwój literatury poetycznej o szerszym zakroju i najwybitniejszy działacz w owym okresie odrodzenia (1835—50) Stanko Vraz trwalsze znacznie położył zasługi, jako redaktor, wydawca, tłómacz i agitator patryotyczny, niż jako poeta.

Znalazł się jednak wyjątek, nawet dość świetny, a zawdzięczamy go jedynie zewnętrznym okolicznościom w życiu Piotra Preradowicza; poeta bowiem służył w wojsku, nie zależąc od siebie, musiał pędzić żywot tułaczy i raz tylko przebył nieco dłużej, bo dwa lata w Zagrzebiu. Nieustanne wędrówki i oddalenie od serca ruchu chorwackiego wyszły mu na dobre, nie mogły go bowiem pochłonąć sprawy bieżące i tem przeto swobodniej rozwinął się talent artystyczny.

Urodził się Preradowicz w 1818 r., a w 1830 oddano go do zakładu wojskowego w Wiener Neustadt, przepędził tam lat 8, w tym przeciągu czasu, zapomniał on całkiem mowy ojczystej i z trudnością, jak sam wspomina, porozumiewać się mógł z matką. Jednak talent do poezyi ozwał

się w nim wcześnie, pisywał też dużo, zawsze poniemiecku, a z większym jeszcze zapałem rozczytywał się w utworach literatury niemieckiej. Szkoda, że autor jego życiorysu, Ivan Trnski, nie przytacza poetów, nad którymi szczególnie zachwycał się młody Preradowicz; sądząc jednak z ducha jego poezyi, wnioskuję, iż pomiędzy jego ulubieńcami niepoślednie miejsce zajmował wzięty wówczas Lenau, którego utwory pomniejsze przekładał w następstwie na język ojczysty. W roku 1840, wstąpił jako oficer do pułku, w którym służył Preradowicz, znany już wówczas, a niezmiernie zasłużony w ruchu piśmienniczym chorwackim, jako wydawca źródeł historycznych, Iwan Kukuljewicz; pod jego wpływem wziął się młody poeta do pracy nad mową ojców, począł wkrótce czytać klasyków dubrownickich, przekładał nawet na niemiecki niektóre z nich ustępy, nie mając jednak jeszcze wcale zamiaru pisywania w narzeczu chorwackiem. Jedynie okoliczności, że musiał z pułkiem swym spędzić cztery lata w Dalmacyi (1841—46), zawdzięczamy zwrot patryotyczny w jego umyśle; zetknął się wtedy poeta z patryotycznie nastrojoną młodzieżą, zapoznał się też z wydawcą pisma „Zorza Dalmatinska“, które pod względem kierunku szło wtedy ręka w rękę z zagrzebską „Danicą“ Gaja i już w 1844 r. drukuje w „Zorzy“ zręczny wierszyk „Zora puca — bit će dana“ (rozświta — będzie dzień). Przyjaciele serdecznie go witali, słusznie przeczuwając w nim wielki talent, ponieważ w tym drobnym wierszyku uwydatnił się już wtedy jeden z wybitnych rysów artystycznej natury Preradowicza, mianowicie umiejętność łączenia w dziwnie harmonijną całość zwrotów patryotycznych z obrazami natury. W r. 1848, bił się we Włoszech, w 1849 walczył pod banem Jellačiczem przeciwko Węgrom i odtąd był przy osobie bana w Zagrzebiu do 1852 r., resztę życia

spędził to w Wiedniu, to w Węgrzech, umarł w Wiedniu w 1870 r. w randze jenerała.

Ale wracam wstecz. Źle wyszli Chorwaci, dopomagając rządowi w wojnie z Węgrami, gdyż po uśmierzeniu rewolucyi zapanowała w meternichowskim duchu prowadzona reakcya nietylko w pobitych Węgrzech, ale i w wiernej Habsburgom Chorwacyi i aż zbyt wyraźnie ujawniła niszczącą swą potęgę w bezwzględnym ucisku narodowych dążności naszych pobratymców; jednem słowem położenie było bez wyjścia, powodów do rozpaczy miał Preradowicz niemniej jak i nasi poeci, lecz nieszczęścia ojczyzny uderzyły umysł młodego pieśniarza w zupełnie odmienny sposób.

W r. 1851 ukazał się jego „Vilin san ili prošast i budučnost“ t. j. „Sen Wiły, lub przeszłość i przyszłość“ w formie opowiadania o widzeniu, które miała we śnie Wiła (u nas Rusałka): Śniła się jej góra, rozdzielająca jakiś świat nieznany na dwie połowy, jednę z nich opromienia słońce, wszędzie też zieloność rozwesela oko, śmiejące się łąki usiane kwiatami i srebrzą się rosą, a echo roznosi ciągły gwar życia od góry do góry; całkiem jednak inaczej wygląda druga połowa, martwa, śpiąca, śniegiem na nieprzejrzanej pokryta przestrzeni, sen śmierci zdaje się zalegać ją wokoło, tylko płazy straszne stanowią jedyny znak życia. Nagle blask dziwny oślepia oko Wiły i w blasku tym rozróżnia ona cudne kształty dziewicy o złotych wijących się w pierścienie włosach. Jestto Sława królowa Wił słowiańskich, dźwięcznym a łagodnym głosem tłómaczy jej znaczenie proroczego widzenia: świat ten, co się wydaje jej napozór nieznanym, to jednak jej własny, ojczysty, chorwacki świat, gdyż owe pola śnieżne, to obraz bezbarwnej przeszłości nieszczęśliwego narodu, który był wieczną igraszką kaprysów losu ślepego, mroźny wiatr z północy przypomina te-

raźniejszość, żywiącą się cuchnącemi resztkami czasów minionych, a śnieg, który ów wiatr rozrzuca, to łzy zlodowaciałe nikczemnych żądań i dążności brudzących weselną ucztę odrodzenia. Węże uosabiają zdrajców ojczyzny, zawieszone zaś i zamarznięte w obłokach sokoły — wojowników, którzy przeciwko zdrajcom walczyli, lecz pokonać ich nie umieli; we mgle, ubielającej długie pasmo niw, jęczą zbłąkane owce chorwackie, co się dobrowolnie poddały pod jarzmo wroga zastraszone siłą jego. Ze wszystkich zaś nieszczęść największem jest owa mętna woda, otaczająca cały obszar przeszłości, gdyż w niej upatruje mistyczna tłómaczka widzenia podobieństwo zdradzieckiej pomocy, którą cudze ręce dostarczały biednej ziemi ojczystej. I poeta odwraca oczy od smutnego widoku, nie chcąc dłużej spozierać na to, co ku sławie chorwackiego narodu zaprzepaszcza się już bezpowrotnie, a zwraca się natomiast ku krainie leżącej po przeciwnej stronie góry; tam się rozpościera przed nim złota przyszłość, tam ziemia usiana wszystkiem o czem nadzieja szepce sercu chorwackiemu, boleść każda dojrzewa tam w radość, a radość rozkwita w wieniec kwiatów, kwiaty zaś płodzą nasienie dla przyszłości; nadzieja, słońce i wiosna rządzą w nierozerwalnej łączności i zgodzie i panować mają, póki myśl szlachetna oskrzydlać będzie pragnienia ludzkie, lecz wszystko to — to przyszłość bardzo i bardzo odległa, dużo skruszy się kości i dużo krwi wyschnie, nim się ona wypełni, gdy tymczasem smutna teraźniejszość nienasycona nigdy w niepomiernej chciwości potu i krwi ludzkiej wymaga dużo nie dając wzamian nic, tam nawet, gdzie wiele jest dłużną. Czuje już jednak poeta przedsmak szczęśliwości, bo owe olśniewające w nieskończonej swej rozmaitości kwiaty, które ubarwiają błonia zielone, piętrząc się coraz wyżej pod ciepłem promieni słonecznych, to symbol wzniosłych rozkoszy

płynących ze zgodnej pracy Słowian. Praca to szlachetna, ale znojna: perlistą rosę, sączącą się z kielichów kwiatów, porównywa poeta ze znojnym potem, spływającym z zoranych troskami czoł przewodników ojczystych. A jednak praca ta słodką i płodną bywa, gdy miłość wiąże ich wysiłki skierowane ku wspólnemu celowi. Tak na owych błoniach rosa karmi i ożywia wodę, co napełnia niezliczone źródła, a ze źródeł spływa do strumyków i rzek, by zlewać się i ginąć w nieskończonościach morza, tam pochłania ją słońce i później chmury, które wiatr roznosi, aby były pomocą rosie, aby wlewały świeżość i siły ożywcze w spragnioną ziemię. Podobnie miłość i pomoc wzajemna panować powinny nietylko w państwie natury, lecz i w usiłowaniach ludzkich, gdyż tylko one zdolne są je uwieńczyć skutkiem pomyślnym; niech więc ogłosi Wiła swej dziatwie widzenie swe prorocze, niech trąbą głośną zagrzmi jej głos, niech hart nowy wleje w serca odważnych i niestrudzonych, a sennych i lękliwych niech zbudzi, by podążali za szermierzami przyszłości, przyśpieszając wypełnienie szczytnych dążeń ducha narodowego.

Poemacik ten, tak słusznie zatytułowany przez autora „Przeszłość i Przyszłość“, najdokładniej maluje zapatrywania jego na kwestyą ojczystą. Niema potrzeby przeprowadzać porównania z Dziadami, z Kordyanem, z Anhellim, z Przedświtem, różnica zbyt rażąca: i tu i tam przyświeca poetom ten sam ideał, ale odmienne wzbudza uczucia, odmiennych też szukają dróg do przeprowadzenia go w czyn, zamiast ciągłego szału, przechodzącego to w rozpacz bez granic, to w ekstatyczne uniesienia, spotykamy w bladym, w porównaniu z płodami naszej poezyi mesyanicznej, utworze Preradowicza spokojną równowagę ducha; ztąd też różnica w wywieranem na nas wrażeniu: gdy potęga szału natchnie-

nia połączenia z potęgą artyzmu. [illegible] z dzieł polskich wieszczów, przejmują czytelnika aż do szpiku kości, poemat Preradowicza czytamy z najzupełniejszym spokojem, nie zdoła poruszyć on serc ani uderzyć wyobraźni, a jednak, pomimo zbyt daleko posuniętego symbolizmu, tak mało licującego z wymaganiami estetycznemi, wraża się w pamięć myśl szlachetna poety i jego poetyczne porównanie znojnego potu i wzniosłych uniesień szermierzy wyzwolenia ojczyzny, do rosy i kwiatów ubarwiających zielone błonia przyszłości. Pozostał też Preradowicz wiernym sobie aż do śmierci; zbliżał się do naszych poetów tewiańczyków pod względem mistycznych dążeń, ale przekonania jego religijno-filozoficzne nie nadwerężyły w niczem artystycznego spokoju utworów.

Prawdopodobnie nie odrazu doszedł Preradowicz do takiej równowagi: nieszczęścia kraju musiały go pogrążać w chwilowe zniechęcenia: świadczą o tem dwie poezyjki „Jesen“ i „Pjesnikova Kob“ widocznie pochodzące ze zbolałego serca, chociaż nie dość wyraźnie co do treści, tak, iż rozpacz poety możnaby przypisać przyczynom osobistym, gdyby nie był ich umieścił w wydaniu swych pism w oddziale pieśni patryotycznych. Nienawiść ku Zachodowi wraz z tęskliwem wyczekiwaniem zbawienia od Wschodu zapewne też nieraz ogarniała duszę poety: w poezyi poświęconej smutnym rozmyślaniom nad klęską pod Grobnikiem, a napisanej w 1851 r., powiada autor, iż Zachód gnije już i kona, że od strzał wschodnich giną owoce jego pracy, że w boju tym Chorwaci stoją na przedniem posterunku i pierwsi bić się będą, ale marzeń podobnych nie spotykamy więcej nigdzie i dlatego nie kładę na nie nacisku; od politykomanii, od jałowych kazań na temat panslawizmu chroniło poetę wrodzone mu głębokie poczucie piękna; piękno jednak, mawiał on, musi zawsze iść w pa-

rze z dobrem („Słowiańscy dioskurowie“ 1863); kierując się tą myślą, poeta pragnął pieśniami swemi pocieszać i podnosić umysły współziomków w nieszczęściu, pieśni swoje zalecał on chorej ojczyźnie, jako ziele uzdrawiające, niechaj tem zielem goi rany swe, niechaj sokiem cudownego ziela omywa i leczy oczy oślepłych i zcudzoziemczałych synów. Ale zmysł artystyczny podszepnął poecie, że nawoływania panslawistyczne nie zagoją ran ojczyzny i, dzięki temu, autor „Snu Wiły“ nastroił lirę swoję patryotyczną na nutę nierównie dźwięczniejszą, tworząc cały szereg poezyj pomniejszych, w których z nadzwyczajnym wdziękiem łączył błysk uczucia patryotycznego ze stosownym obrazem natury; „Świt“, „Pieśń do słońca“ i „Pieśń wiosenna“, w której prześlicznie porównał odradzającą się ojczyznę do ziemi, budzącej się ze snu zimowego, szczególnie się odznaczyły pod tym względem.

Ale poeta bolał nietylko nad nieszczęściami ojczyzny; gniotły go inne smutki: życie to ciągła walka idealnego pierwiastku w duszy człowieka z materyalnym, najsilniej wyraża się ta walka w duszy poety; ciągną go błękity nieba, ale jako syn ziemi nie może się z nią rozstać, kocha ją pomimo wszystkich jej ujemności, zawieszony ztąd wiecznie pomiędzy niebem a ziemią. („Pjesnik“ 1844). Ta nieukojona tęsknota do ideału, przenikająca wszystkie myśli i dzieła Preradowicza wzrastała, gdy miłośne uniesienia ogarniały serce jego; poeta kochał się w 1845 i 1846 r., nowe uczucie nacechowało większą część jego piosenek wydanych w tym czasie i dziwny, niewypowiedzianie słodki urok zawiera w sobie wiejąca z nich melancholiczna rzewność. Miłość, powiada poeta, to tajemnica, to pieczęć boska na życiu ludzkiem, którą śmierć dopiero otwiera, to tęcza promienna, którą słońce, symbol wszechmiłości Bóstwa, stwarza z łez naszych, napróżno

śledzić początku miłości, nikt nie wie godziny, w której się rodził, tak też pamięć uśpiona w pierwszych błyskach życia i miłości. Żałuje poeta, iż nie jest Petrarką, że z pieśni swych nie stworzy wiecznotrwałego pomnika na cześć jedynej, ukochanej, lecz choć dzwon pogrzebowy jedynym będzie odgłosem jego sławy pośmiertnej, jednak jej imię nie zgaśnie z nim razem; jak za życia wyrastały w sercu jego piosnki na cześć lubej, tak też po śmierci z tegoż już pogrzebionego serca śliczne kwiaty wykwitać dla niej będą na grobie i kwitnąć, aż dopóki wiosna nie zaprzestanie roztaczać swych promieni i kwiatów. Wesoły dziś dla mnie dzień, woła poeta w „Veseo danak“: uczucia, jakby morze wezbrane, rozsadzają pierś jego, na ich skrzydłach leci w błękity nieba, dotyka słońca i gwiazd, ziemia otwiera mu skarby swych głębi, morze sine bieli się od okrętów przynoszących mu bogactwa ze wszystkich końców świata, wśród zimy uśmiechają mu się niwy i stroją w zieloność i kwiaty, nawet z obszarów przyszłości spada przed nim zasłona, teraźniejszość zda mu się przekształconą w czarowną krainę marzenia, a wszystkoto zkąd? bo dziś pierwszy raz ukochaną swoję może nazwać swoją.

W tym czasie napisał Preradowicz „Jedyną“, może to wymarzony obraz kochanki, albo, jak tego prof. Markowicz, autor wyczerpującego rozbioru dzieł poety, chce, tylko upostaciowanie nieskończonej tęsknoty do ideału zapełniającej duszę poety, w każdym jednak razie mamy tu wierny obraz tak dobitnie charakteryzującego umysł Preradowicza uczucia: wiecznie myśli pieśniarza skierowane ku jedynej, nieznanej, lecz ktoto? zapytuje sam siebie, — ale napróżno; i we śnie, i na jawie, i w nocy, i we dnie obraz jej zawsze przed oczyma jego, gdy nawet duszę całą skupi w modlitwie ku Bogu i wtedy widzi ją w kształtach boskich u stóp tronu

nie ginie na świecie, a tylko zmienia zewnętrzny kształt, doskonaląc się ciągle, aż świat dojdzie do owej doskonałości, która na wieki panować będzie.

W odzie do miłości (Ljubav 1863) idealistyczna filozofia Preradowicza streszczoną jest najdokładniej: Miłość, to córa Boska, którą Stwórca zesłał na świat, aby uszczęśliwiała ludzi, zwracając ich ku Bogu, — ona pierwszą przyczyną wszystkiego, nią się rządząc stworzył Bóg niezmierzone i niezliczone światy, które przez nieskończoność i wieczność podążają w cudnej harmonii ku jednemu celowi, — dzięki też jej tchnął Bóg w nikłe ciała ludzi nieśmiertelnego ducha, aby im otworzyć ku Sobie drogę poprzez pasmo przeobrażeń; jej nakoniec dziełem, iż czarna zasłona skrywa przed pamięcią ludzi tajemnicę minionych przeobrażeń, aby wspomnienia bolesne nie były ludziom przeszkodą w nieprzerwanym postępie ku doskonałości. Miłość ubarwia człowiekowi życie, daje mu towarzyszkę, z którą podzielać może myśli swe i uczucia, i z nią raj na ziemi. Ale to pierwszy jej stopień, piękniejszą staje się miłość, gdy żyje poświęceniem, ztąd Preradowicz wyżej ceni miłość macierzyńską i przyjaźń od miłości płciowej. Na wyższym jeszcze stawia szczeblu miłość ku ojczyźnie; ale najszczytniejszym jej objawem jest miłość powszechna czyli miłosierdzie; onato tępi międzynarodowe przesądy, i ona zjednoczy kiedyś wszystkie ludy i przygotuje w ten sposób złotą erę ludzkości. Odę kończy poeta piękną a rzewną modlitwą o rychlejsze wypełnienie owej tak tęskliwie wyczekiwanej przez niego przyszłości.

Pomimo ładnych ustępów utwór ten zajmuje podrzędne stanowisko w szeregu innych dzieł poety, a to z tego powodu, iż traktuje miłość jako istotę odrębną, doradczynię Boga, działającą podług własnego widzimisię. Niema potrzeby dowodzić, iż pojmowanie takie nie zgadza się z po-

wszechnem zapatrywaniem i że u samego autora nie mogło być rzeczą przekonania, a tylko błędem estetycznym.

W równej mierze napotykamy ślady mistycyzmu w poemacie „Pierwsi ludzie“. Idea wszechpotęgi miłości, kierującej światem i tu odegrywa pierwszorzędne znaczenie. „Ja jestem miłość, — grzmi wśród chórów anielskich głos Stwórcy — wszystko, co tworzę, kieruję ku wyższym celom i powoli prowadzę wszechświat ku wieczystej doskonałości“. I Bóg rozkazuje aniołowi, aby z brylantowego kielicha życia wylał kroplę na ziemię i tchnął w nią ducha nieśmiertelnego, gdy się przeistoczy ono w ziarno. W taki sposób powstaje pierwszy człowiek. Ziemia drży z radości na widok tego, w którym przeczuwa najdoskonalsze dzieło Najwyższego – i pierwsza część cała poświęcona ślicznemu opisowi wszystkich cudów przyrody i wszystkich wdzięków panującej w raju zgodności. Za każdym rzutem oka odkrywa Adam nowe cuda, pogrąża się coraz głębiej w morze rozkoszy i piękna, lecz szał zachwytu trwa niedługo, poczucie samotności wraz z wypływającą zeń tęsknotą opanowują go wkrótce i klęka pierwszy człowiek, rzewnie błagając Najwyższego o istotę, z którąby mógł swe życie podzielać. W ciągu modlitwy gorzka łza jedna, pierwsza łza jego, spada na ziemię. Wkrótce zasypia; sen zaś ducha czystego nie jest marą, lecz objawieniem, gdyż będąc uwolnionym od pęt cielesnych wzlatuje wtedy ku wyżynom nadziemskim, zkąd widzi w wyraźnych kształtach przeszłość całą i przyszłość. To też i przed wzrokiem Adama przesuwają się dzieje przyszłe jego potomstwa, widzi on, jak się rozmnaża, jak potop je niszczy za występki, jak się potem znów mnoży i dzieli na niezliczone narody, które się tępią wzajemnie w nieustannej walce o byt, nakoniec po długich a zabójczych wojnach pozostaje tylko garstka, ta się jednoczy i płonie w jednym wielkim płomieniu, w którym się ukazuje krzyż ognisty, godło wiecznej zgody i miłości, które

odtąd na wieki panować mają na kuli ziemskiej. Tymczasem Bóg wysłuchuje modlitwę Adama i anioł wylewa znów kroplę z kielicha życia, kropla ta spada na łzę pierwszego człowieka, przeistacza ją w perłę, anioł tchnie w nią ducha Boskiego i powstaje pierwsza niewiasta. Poemat zakończony nauką, którą anioł w imieniu Stwórcy daje prarodzicom naszym: treść tej nauki polega na tem, iż szczęśliwość ich nie opuści, póki będą umieli utrzymać równowagę pomiędzy duchem a ciałem, ale równowagę owę pojmuje Preradowicz we właściwy idealistycznej jego naturze sposób: ponieważ materya zmienną jest, a tylko duch jest wiecznym, ponieważ przyczyn wszystkiego, co się dzieje w świecie cielesnym, szukać należy w świecie duchowym, bo tam tylko prawda i światło prawdziwe, gdy tu mamy zaledwie słaby odblask nieskończoności, a więc powinniśmy dążyć do wywyższenia ducha, dotykając się zaledwie uciech ziemskich, z obawy, aby w nich nie utonąć, gdyż z jednej chwili upadku wyniknąć może nieszczęście, które rozciągnie się na długi szereg pokoleń. Jednem słowem, zdaniem poety, o tyle tylko ustępować należy wymaganiom cielesnym, o ile to się wydaje niezbędnem dla podtrzymania ducha.

Zakres pracy nie pozwala mi wejść w ocenę estetycznych zalet utworu, a właśnie tu roztoczył autor hojniej, niż gdziekolwiekindziej, bogate skarby swej wyobraźni. Cuda rajskiej przyrody i pierwsze rozkosze miłości wzajemnej Adama i Ewy opisane z wdziękiem nadzwyczajnym; wogóle Preradowicza, równie jak Słowackiego, wyobraźnia zwykła była unosić w dziewicze a nietknięte ludzką myślą krainy, z tą jednak znaczną różnicą, że u wieszcza naszego w każdym niemal wierszu przebija się jego ruchliwa, namiętna, skłonna do ekstazy fantazyjność, lubująca się w krwawych a wstrząsających całą istotą obrazach, wówczas gdy utwory chorwackiego poety przenika tęskny wprawdzie i rzewny

ale zawsze spokojny, idealizm, dlatego też znacznie słabsze wywierają wrażenie. Później nieco, lecz w tymże okresie twórczości, przełożył Preradowicz „Resurrecturis“; poczuł widocznie w dziełach polskiego poety-myśliciela znaczne pokrewieństwo ducha; — szkoda, że żadnych nie mamy źródeł do wnioskowania o wpływie, jaki mogła mieć nasza poezya na umysł chorwackiego poety, w każdym razie nie mógł ten wpływ być znacznym, bo dzieła Preradowicza nie noszą żadnych śladów przejęcia się duchem literatury ówczesnej polskiej, dążności zaś naszych poeta nie rozumiał, widział w nich tylko przeszkodę do urzeczywistnienia wszechsłowiańskiej zgody, z tego też stanowiska potępiał je, o czem świadczy wiersz jego do Polaków, napisany w 1850 roku.

Znaleźliśmy więc w wymienionych trzech utworach potwierdzenie myśli naszej, iż spirytystyczne upodobania nie nadwerężyły w niczem artyzmu poezyi Preradowicza. Objaw ten moglibyśmy tłómaczyć małą stosunkowo gorliwością poety do nowej nauki, ale pośmiertne papiery jego wskazują, iż przez całe życie myślał o stworzeniu dzieła, w któremby spirytystyczne jego przekonania szły ręka w rękę z artystycznem wykończeniem.

Urywki zaczętego tylko poematu „Pustelnik“ świadczą o tem wymownie. Poeta bowiem przystępuje do dzieła z religijnem namaszczeniem, wzywając błogosławieństwa Bożego, aby pieśń jego była ku chwale Najwyższego. Dziwnego, jak wyznaje, wybiera bohatera w osobie pustelnika, świat z podobnego wyboru szydzić będzie, ale nie dba on o zmienne sądy ludzi, — płodne niegdyś pola dziś pustynia zalegać może — tak też czas przyjdzie, że pustelnika jego czcić będą jako bohatera. Zapatrywania ludzkie tak się zmieniają, iż zasługą pozostaje tylko dążność szlachetna, właśnie też jemu przyświeca piękna myśl zasłużenia się ojczyźnie; szron siwizny ubiela mu już głowę, śmierć niedaleka, a więc zo-

stawić pragnie po sobie pamiątkę dla kraju, iskrę ze swego serca, aby świeciła współziomkom w dążeniu ku prawdzie. Opowiadanie samo zaczyna od nader ładnego opisu, jak statek wyrusza na morze, ale opis ten skończonym nie jest — z drugiej zaś pieśni pozostały tylko dwie stance mówiące nam o żyjącym zdala od świata samotniku, którego zajęciem jedynem była dotąd modlitwa, gdy nagle opanowuje go wątpienie na myśl, dlaczego Bóg dopuszcza tryumf złego na ziemi. Nic więcej nie pozostało z poematu tego, nie możemy przesądzać o myśli poety, lecz o wielkiej wadze, jaką przywiązywał do dzieła swego, mówi nam okoliczność, iż pracował nad niem od 1862 r.

Najjaśniejszym jednak wyrazem przekonań Preradowicza pozostaje jego oda do Słońca Nowego „Novomu Suncu", znaleziona też pomiędzy pośmiertnemi rękopisami, a ułożona, jak dowodzi biograf poety, w r. 1864. Z radością, powiada poeta, wspomina on chwilę, gdy przed 20 laty pierwszy raz błysnęło mu nowe słońce, on zaś, olśniony blaskiem jego niezwykłym, przeczuł w niem światłość dla świata całego [1]). Dziś, przyświecając już wysiłkom ludzi, zwraca ich owo słońce z nizin ziemskich ku niebu, osusza łzy, które wylewali po śmierci ukochanych istot, naucza ich, iż ciało, to marna tylko powłoka, a daje im spojrzeć natomiast w tajemnice świata zagrobowego. Nikną promienne mgły raju i ciemności piekieł, nieznane krainy stają się wyraźnemi dla oka i w niemym zachwycie możemy podziwiać wspaniałą zgodność pomiędzy wymaganiami rozumu a wszechmądrością Boga. Poezya ta ma posiadać jakoby dużo waryan-

[1]) Chwila ta odnosi się do roku 1843: gdy pracował raz przy stole swym, przyszła mu nagle myśl, iż w tej właśnie chwili przechodzi koło okien jego ukochana przezeń istota; spojrzawszy, zobaczył ją w rzeczy samej, chociaż nigdy nie miała zwyczaju przechodzić tamtędy. Odtąd począł wierzyć w przeczucia.

tów. Świadczy i to o ostrożności poety, gdy chciał wyraźniej się wyspowiadać z swych przekonań, i o walce, którą staczała w nim ciągle nowatorska gorliwość ze zmysłem artystycznym.

A więc słowiańska natura wzięła górę w umyśle Preradowicza, — pragnąc ideału, nie umiał zadowolnić się tak charakteryzującem niemiecki idealizm Szyllerowskiem „Das Dort ist nimmer hier“, a szukając natomiast drogi do urzeczywistnienia swych tęsknień, popadł w spirytyzm; spirytyzm ten o tyle ma wspólności z mesyanicznemi dążnościami, że widząc w nim drogowskaz dlu ludzkości, doszedł Preradowicz do przekonania, iż właśnie plemię słowiańskie powołanem jest do wypełnienia nowego zwrotu w dziejach ludzkości, ale i tu, dzięki harmonijnej naturze swej, nie popadł w jałowe kaznodziejstwo, lecz poprzestał na napisaniu dwóch odpowiednej treści poezyj: „Zvanje Slavjanstva“ 1860, i „Slavjanstvu“ 1865. Streszczenie ich uważam za zbyteczne, dość nadmienić, iż obie nacechowane są ideą twórczej potęgi miłości, której poeta był zawsze wiernym; np. w pierwszej z tych poezyj Bóg roztacza swe dary pomiędzy narody: tym daje mądrość, tamtym waleczność, — innym znów pomyślność, Słowian zaś obdarza siłą miłości, aby mogli zbawić świat, gdy popadnie w błędy.

Jeśli wieczne tęsknienie do ideału, wiara w przyszłe zwycięstwo dobra i ściśle etyczny pogląd na posłannictwo sztuki stanowią charakterystyczne znamiona poezyi Preradowicza co do treści, to pod względem formy zasadniczą jej cechą jest, jak wspomnieliśmy, wyśmienity takt artystyczny. Gdyby z tym taktem szły w parze odpowiedne zdolności, Preradowicz stanąłby na bardzo wysokiem stanowisku, ale właśnie brakowało mu gieniuszu. Badając objawy

mistycyzmu patryotycznego w literaturach słowiańskich, chodziło mi głównie o określenie dążności tych w poezyi chorwackiego pieśniarza, nie mogłem więc wejść we wszechstronną ocenę dzieł jego, ale z przytoczonych wyżej streszczeń czytelnik może osądzić, że nie odznaczał się Preradowicz szczególną oryginalnością umysłu: w utworach jego mogą przyciągnąć ku sobie czytelnika tylko szlachetna podniosłość myśli, wdzięczny wiersz i owo właśnie poczucie artyzmu, które w porównaniu z innymi przedstawicielami potężnego prądu mistyczno-patryotycznego stawia go w korzystnem świetle, pomimo nierównie mniej wybitnego talentu: gdy nasi poeci-towiańczycy, nie umiejąc powstrzymać entuzyazmu do nowej nauki, a wdając się w apostolskie jej rozpowszechnianie, utracili zmysł do sztuki i skończyli na ekstazach i halucynacyach, gdy słowianofile rosyjscy, marząc o pogodzeniu i zastosowaniu dążności swoich do rzeczywistych warunków życia, doszli prawie do apoteozy grubej siły, — jeden Preradowicz pozostał na wysokości poetyckiego stanowiska; — pozostał on wiernym sztuce, dając w swych utworach wyraz tym tylko najogólniejszym zasadom nowej nauki, które, zdaniem jego, szły w parze ze szczytnem posłannictwem sztuki — idealnej pośredniczki pomiędzy ziemskim światem, a owym wyższym, niemateryalnym, do którego ludzkość dążyć ma w nieprzerwanym postępie; ztąd też zamiast teozofii i politycznych majaczeń przenika dzieła jego wzniosła a uszlachetniająca wiara w miłość rządzącą światem, w wieczność idei w zmiennych a doskonalących się stopniowo kształtach, w ciągłość postępu w przeobrażeniach, którym mają ulegać pokolenia ludzkie, — zgóry już przeznaczone do wypełnienia myśli Bożej na ziemi, wreszcie w ostateczny tryumf prawdy; idee te wspólne są jemu wraz z Mickiewiczem i Słowackim, tylko naszych olbrzymów porwał prąd reformatorski, poniósł i zagubił w przepaściach

teozofii i jałowej polityki, — Preradowicz zaś umiał zatrzymać się w porę, umiał rozróżnić świat poezyi od świata bezteściwych zaciekań się i fantazyujących kazań.

Kierunek jego może wydać się anachronizmem, jeśli go zestawimy z owoczesną poezyą europejską, która brzmiała jeszcze odgłosem mężnych a pięknych skarg Byrona na ucisk myśli ludzkiej, jednak, wniknąwszy w rzecz bliżej, zrozumiemy, że młode społeczeństwo chorwackie nie było zdolnem do przejęcia się uczuciem Byrona, które Niemcy tak słusznie nazwali „Weltschmerz", czytanie zaś dzieł Preradowicza, tchnących tak wzniosłym spokojem ducha, stanowi prawdziwy wypoczynek dla umysłu po rozpaczliwie beznadziejnych wytworach ówczesnej literatury w Europie.

Zbytnią zapewne byłoby z naszej strony śmiałością, jeżelibyśmy, uogólniając filozofią poezyi Preradowicza, chcieli rozciągnąć charakteryzujący ją takt artystyczny na cały naród chorwacki, jednak nie należy zapominać, że nie w tym tylko wypadku jesteśmy świadkami przedziwnych instynktów estetycznych serbo-chorwackiego szczepu, gdyż z tego właśnie względu zwróciło przed laty na siebie uwagę całej Europy ich śliczne epos ludowo-bohaterskie.

ZAKOŃCZENIE.

Gdy, po tytanicznych wysiłkach rewolucyi francuskiej i bohaterskiej epopei wojen napoleońskich, kolej wypadków wracała znów na tory odwieczne i przelana krew, zamiast ziszczenia wielkich haseł, sprowadzała tem cyniczniejszy tryumf prawa silniejszego, wówczas opuszczały samotnego więźnia ze Świętej Heleny nierozłączne z blaskiem zwycięstw i chwały światowładne orły imperatorskie i, przeleciawszy nad niedawnem widowiskiem szumnych bitew, rozbrzmiewającem jeszcze echem jęków poległych, roznosiły po świecie sławę nowego mocarza, który nie siłą oręża, lecz czarem słów miał panować: bo konał posępny bohater Korsyki, a rozlegała się natomiast wspaniała, mężna, acz smutna pieśń Byrona — skarga po nadziejach zawiedzionych przeciwko szatańskiej ironii losu, wieńczącej skutkiem pomyślnym, egoistyczne zabiegi nikczemnych; — i cudne słowa poety znajdywały oddźwięk w sercach tych wszystkich, co myśleć i czuć umieli; myśl jego wszechwładniej w nich zapanowywała, niż sława i blask laurów napoleońskich, ale że rozpaczliwa zmienność losów najdotkliwiej dała się we znaki biednym krajom słowiańskim, więc nie dziw, że nasiona, rzucone przez autora *Childe Harolda*, na bujniejszą, niż gdzieindziej, i zdol

niejszą do zapłodnienia natrafiły tam glebę i katuszami rodaków, a śmiałą negacyą dumnego lorda natchnieni, powstali tam mężowie wielcy, głoszący bliski upadek Zachodu i odrodzenie świata przez plemię słowiańskie. W szkicach powyższych przesunęli się oni w zwartym szeregu przed nami i zobaczyliśmy, że wszyscy z tegoż samego wychodzili założenia; jedno tylko uderzało ich w Europie: tryumf siły nad prawem, samolubstwa i wyrachowania nad uczuciem i poświęceniem, a obok tego protest uciśnionych, ujawniający się w bezsilnej i rozpaczliwej skardze Byrona i byronistów. Więc świat cywilizowany zużył się, doszedłszy do negowania siebie samego, — wnosili ztąd — czas przeto wstąpić na widownię dziejową narodom świeżym, a noszącym w sobie pierwiastek uczucia, którego brak, zapierającej się ideałów chrześciaństwa, Europie. Myśl tę pierwszy wygłosił Mickiewicz: tylko miłość chrześciańska — nauczał — tylko zaparcie się i poświęcenie mogą świat zbutwiały wprowadzić na drogę światła i prawdy; więc rozpalcie tlejącą w was iskrę, aby pochłonęła istotę waszę całą, a w szale ekstazy staniecie się podobni Bogu i dokonacie cudów; i porwany tą myślą, przez pryzmat ideału swego patrzał wieszcz na umiłowaną ojczyznę i zdało mu się wtedy, że ogień płonący w sercu jego płonął w sercach rodaków i że płomienne ich tęsknoty łączyły się, aby wydać męża bożego, który miał wlać zdrój życia świeżego w próchniejące dusze ludzi. Eteryczny, pełen myśli i polotów anielskich, gość nie z tego świata, a wiecznie zatopiony w marzeniach, mniej nierównie miał Słowacki serca, niż twórca Dziadów, mniej też powodował się złudzeniami w zapatrywaniach na rodaków, ale dał natomiast porwać się czarodziejskim snom fantazyi, i, uwierzywszy w boską jej moc, rozradował się myślą, że wieszcze słowa jego zawierają w sobie cudne kwiecie, które bujnie rozrośnie się na niwie polskiej i nasyci i odżywi zanikające siły

Europy. Gdy Mickiewicz, ślepo słuchając głosu uczucia, a Słowacki wyobraźni przekraczali granice rozumu, Krasiński, potomek możnych panów i żądny sławy i świetnych czynów przodków, dumał w Kolizeum u stóp krzyża o hańbie ojczyzny; wśród martwej ciszy śpiących ruin szeptał mu krzyż o tajemnicach dziejowych; łagodnem światłem opromieniały błękity cichy symbol chrześciaństwa, błękitno też i promiennie było w duszy wieszcza i, nauczony westchnieniami krzyża i poważną mową smętnych kolumnad, posyłał wzniosłe słowa pociechy cierpiącym rodakom: jak upadł żelazny Rzym przed cnotą wzgardzonych wyznawców Chrystusa, tak nadal myśl chrześciańska ma tąż samą ciernistą drogą krzyża dążyć ku urzeczywistnieniu swemu i dziś przez naród umęczony na krzyżu historyi objawi się w sumieniu ludzkości idea konieczności uchrześcianienia stosunków politycznych, ale, aby stać się godnymi posłannictwa, wskrzeście wprzód samych siebie znojem, krwią i czynami świętemi. Trzeźwiejszy od poprzedników dał się jednak Krasiński wplątać w sieci mesyanizmu i przeniósł powołanie apostoła nad poety. Z tegoż założenia, co trzej olbrzymi poezyi polskiej wychodził Chomiakow, ale myślicielem będąc, uczonym i publicystą więcej niż poetą, mistrz nadto w krytyce, dyalektyk niezrównany, syn narodu świadomego i nawet dumnego nieraz ze swej odrębności duchowej pośród ludów europejskich, nie na wykrzyknikach natchnienia i zapału pełnych oparł swoję krytykę Europy zachodniej, lecz na samodzielnem i wszechstronnem zbadaniu dziejów jej, religii, filozofii i sztuki, następnie starał się przenieść tenże pierwiastek krytyczny do części pozytywnej nauki swojej, traktującej o posłannictwie słowiańszczyzny; nie mógł przeto pogrążać się w zachwyty ekstatyczne, jak Mickiewicz, ani umiał zapominać się w złotych rojeniach fantazyi, jak Słowacki, nie mogła go również zadowolnić żadna historyozo-

ficzna teorya, na nadziejach, przeważnie i wyczekiwaniach od przyszłości oparta, jak u Krasińskiego, lecz w rzeczywistych, istniejących warunkach społecznych i politycznych narodu swego lub plemienia pragnął znaleść podstawy do budowania nowej teoryi, a kochając nadewszystko Rosyą, w niej je znalazł, w religii jej i w formie rządu, które miały rozwinąć i udoskonalić w Rosyanach wrodzony im pierwiastek u c z u c i a. Wzniośle pojmował i pięknie tłómaczył ojciec słowianofilów i jedno i drugie, ale ubóstwiwszy istniejące formy, dał niebezpieczną broń do rąk swoich nibyto stronników, z których bodaj, że żaden nie zdołał wznieść się do wysokości mistrza. Ponieważ ideał religijny i społeczny urzeczywistnionym jest w Rosyi, — wnioskowali oni — pozostaje więc rozszerzyć go na zewnątrz, biada i śmierć tym, co go dobrowolnie przyjąć nie zechcą. O szczebel niżej stanęli kobzarz ukraiński Szewczenko i Gogol, pisarz wprawdzie rosyjski, ale z pochodzenia i usposobienia Ukrainiec: ciężar nieszczęść i nędz osobistych i społecznych przygniótł ich do ziemi, żmija smutku wgryzła się w ich serce i, choć z mglistej dali przyświecał im mistyczny ideał odrodzonej i uchrześcianionej słowiańszczyzny, mdłe jednak i słabe było to światło, które rzucał w ciemnię ich tęsknot i bolów.

W taki sposób jeden po drugim w fatalne nieraz wpadali błędy najwięksi poeci i myśliciele, jakich wydała Słowiańszczyzna w stuleciu bieżącem; żaden z nich nie umiał poskromić w sobie zbyt głęboko zakorzenionych popędów mesyanicznych, wszyscy dla ideału, który świecił im w duszy, zapominali o żelaznych warunkach rzeczywistości, rozmijali się z prawdą dziejową, nieraz z zadaniami sztuki. Ale w tym chórze wyróżnił się równowagą ducha poeta chorwacki; talent wprawdzie drugorzędny, wiernie pomimo to pojął posłannictwo sztuki i, chociaż w popędach swoich i przekonaniach również był mistykiem jak i tamci,

ale w pieśniach wygłaszał te tylko z zasad swoich, które odpowiadały stanowisku poezyi, więc wiarę w miłość rządzącą światem, wiarę w stopniowe doskonalenie się ludzkości i w ostateczne zwycięstwo prawdy nad fałszem.

Czy wnioski powyższe dadzą się uogólnić na szerszą skalę? Badając dzieje i literaturę, starać się ująć, określić i uplastycznić rysy charakterystyczne duchowej istoty plemion i narodów, — oto zadanie krytyki, podług Taine'a. Zadanie ciekawe, ważne, ale dzisiaj jeszcze prawie niemożliwe do spełnienia. Sam też mistrz nie wskazał i nie umiał wskazać na drogę, którą w tym wypadku iść należy, nie oznaczył metody, wrażenia ogólne z życia potocznego (impressions littéraires) uznał za jedyne źródło do określenia właściwości rasowych, ale wrażenia te zastosował z olśniewającym talentem do badania pojedyńczych epok i autorów. Pozostawił przeto autor „Filozofii Sztuki" szerokie pole zmysłowi i zdolnościom tych badaczy, którzyby zechcieli podążać w ślady jego.

Na wyrobienie charakteru plemion i narodów złożyły się czynniki przeddziejowe w większym stopniu niźli dziejowe, podobnie jak na jednostce ludzkiej głębsze i trwalsze pozostawiają ślady wrażenia niemowlęctwa i dzieciństwa, niż wszelkie późniejsze: — to też rasa każda, występując na widownię dziejową, miała już swoje mniej lub więcej typowe właściwości, które do dziś dnia umiała przechować. Wobec tego wytłómaczenie, w jaki sposób powstawały i rozwijały się charakterystyczne cechy plemienne, należy do odległej jeszcze przyszłości, zawisło bowiem od postępów wiedzy na polu antropologii przedhistorycznej, mało dotąd dostępnej i mało zbadanej; natomiast umiejętnie uogólniając objawy dziejowego życia narodu, możemy kusić się o wykrycie i określenie owych cech.

Jeśli się zastanowić nad duchem literatury naszej, to każdego uderzy mistyczna forma, jaką przybierały u nas ideały narodowe; toż samo w mniejszym lub większym stopniu da się zastosować do reszty Słowian; wreszcie i w historyi politycznej spotkamy równoległe mistycyzmowi literackiemu objawy w częstych dążeniach i walkach w imię idei pozbawionych gruntu, w zadziwiającym braku zmysłu politycznego, w donkiszoteryi, która doprowadziła nas do utraty bytu politycznego. Jednem słowem, skłonność do marzeń mesyanicznych jest jedną z tych właściwości duchowych plemienia słowiańskiego, które najbardziej zastanowić mogą badacza; ponieważ zaś ten prąd umysłowy najsilniej się przejawił w pierwszej połowie stulecia bieżącego, gdy w szeregu hołdowników swoich miał wszystkie niemal pierwszorzędne umysły w Polsce, liczne grono poetów i myślicieli w Rosyi, wreszcie znakomitych literatów w innych krajach słowiańskich, więc nader pożądanem byłoby porównawcze wyświetlenie tej epoki, dziś jeszcze mocno utrudnione z powodu braku studyów przygotowawczych. Jednak, na podstawie powyższego rozbioru szczegółów życia i twórczości najwybitniejszych mesyanistów naszych i słowiańskich, ośmielam się stawić następujące wnioski: uczucie i fantazya posunięte do najwyższego stopnia natężenia stanowią podkład mistycyzmu; stosownie do usposobienia jednostki może przeważać pierwszy albo drugi czynnik, ich zaś siłę mniej lub więcej łagodzi obecność pierwiastku krytycznego. Uczucie i fantazya uwydatniły się nader silnie w polskim mesyanizmie, ale kosztem pierwiastku krytycznego; zachwyt i upojenie ideałem, ogniste odezwy do drzemiących uczuć ludzkich, popęd namiętny ku pchnięciu ich natychmiast na tory czynów miłości i poświęcenia — oto są cechy jego zasadnicze. Dowiódł nasz mesyanizm ogromnej wagi w charakterze narodowym polskim entu-

zyazmu, nieznającego granic pomiędzy możliwem, a niemożliwem, lecz Krasiński, oparłszy owę chorobliwą poniekąd skłonność do uniesień bez miary i końca o niewzruszone podwaliny Wiary, znalazł właściwy kierunek dla prądu, który, choć wspaniały zpozoru, ale, nie będąc zamkniętym we właściwem łożysku, mógł unieść naród na bezdroża niebezpiecznych egzaltacyj. Dążność mesyanizmu ukraińskiego jest jednakową z polskim, czyli też, wyrażając się dokładniej, z ideałami Krasińskiego. Lecz utwory Szewczenki i Gogola pozbawione są tej energii uczucia, która stanowi najponętniejszą właściwość poezyi polskiej, zamiast zaś tej energii, tło ich stanowi jakiś smutek ponury, prawie rozpaczliwy. Zgadzamy się z Kostomarowem, że Ukraina, w duchowej swej istocie, szczególnie jest zbliżoną ku Polsce, lecz ciężkie losy dziejowe wycisnęły na jej literaturze pieczęć pesymizmu, od którego, na szczęście, wolne są utwory muzy polskiej. Wbrew przeciwnie mesyanizmowi polskiemu i ukraińskiemu, słowianofilizm rosyjski jest owocem skojarzenia popędów mesyanicznych z trzeźwym krytycyzmem. Rosyanin liczył się zawsze z granicą możliwości i, nie uwodząc się marzeniami niedającemi się urzeczywistnić, usiłował wyciągnąć korzyść praktyczną z idealnych pociągów serca, kojarząc je jaknajściślej z istniejącemi warunkami życia. Kierując się tą zasadą, słowianofilizm uczynił boskie posłannictwo Rosyi zależnem od rozwoju w niej uczuć prawosławnych...

Co się tyczy znaczenia etycznego ideałów mesyanicznych, to smutek przenikający marzenia poetów ukraińskich bodaj że nie mógł działać dodatnio. Jeszcze niekorzystniej przedstawił się pod tym względem słowianofilizm: ściśle powiązawszy ideały swoje ze stanem istniejącym rzeczy, dał on pochop do najfałszywszego ich przekręcania. Mesyanizm zaś polski, będąc owocem namiętnych uniesień

i zachwytów, mógł w pierwszej chwili, pod wrażeniem świeżych wypadków, powodować szkodliwe rozmarzania się, — obłęd ten jednak nie mógł trwać długo i dziś już przestał istnieć, ale utwory wieszczów polskich — wspaniały wyraz mocy i żarliwości ich ducha, wiary i miłości bez granic, świętej żądzy dobra i prawdy — pozostaną dla potomności wieczną skarbnicą wzniosłych uczuć i wzniosłych dążności.

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa V

Adam Mickiewicz 9

Juliusz Słowacki 57

Mickiewicz i Słowacki pod wpływem Towiańskiego 115

Aleksy Chomiakow i słowianofilstwo rosyjskie 189

Zygmunt Krasiński 239

Szewczenko i Gogol 277

Piotr Preradowicz 308

Zakończenie 329

D 377 .Z37 C.1
Mesyanisci i sowianofile
Stanford University Libraries
3 6105 039 499 228

0310009

CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(650) 723-1493
grncirc@sulmail.stanford.edu
All books are subject to recall.

DATE DUE

APR 17 2002
JUN 07 2002